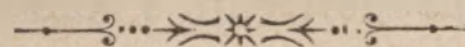


Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.



II.

Sztuczne minerały i drogie kamienie. — Sztuczne rubiny i szmaragdy. — Sztuczny dyament. — Tryumfy Moissana i próby Friedela i Berthelota. — Postępy na polu oświetlania. — Światło *Pyrophorus noctiluca.*—Natura światła. — Fosforescencya. — Fluorescencya.—Fizyczny i fizyologiczny efekt rozmaitych barw. — Lampy Siemensa, Wenhama i in.—Światło Auera, jego zalety i wady.

Próby naśladowania przyrody w jéj sztuce tworzenia kamieni sięgają już dość dawnych czasów. Podobno w grobach celtyckich znajdowano szkła rubinowe, które służyły za ozdoby i jako talizmany zamiast prawdziwych drogich kamieni. Gdy wszakże wszelkie niemal dawniejsze próby były przedsiębrane bez jasnego poglądu na środki, jakiemi w tym samym celu posługuje się natura, natomiast nowsze doświadczenia na tém polu odznaczają się nie tyle chęcią osiągnięcia materyalnych korzyści praktycznych, ile zamiarem wydarcia przyrodzie jeszcze jednéj z jéj cudownych tajemnic. I po niewielu stosunkowo latach systematycznéj w tym kierunku pracy, powiedzieć dziś można, że sztuczna synteza kąmieni prawdziwie pięknemi rezultatami już szczycić się może. Zdołano w sztucznych warunkach, posiłkując się niezmiernie wysokiemi temperaturami i olbrzymiemi ciśnieniami, wytworzyć cały szereg minerałów z dokładnie temi samemi własnościami, jakie wykazują minerały znajdowane w skorupie ziemskiéj. Zwłaszcza z grupy t. zw. krzemianów (sylikatów), które stanowią przeważną część skorupy ziemskiéj, udało się nowoczesnym mineralogom-eksperymentatorom przyrządzić dziesiątki bardziéj i mniéj pospolitych minerałów.

Lecz wiadomości o tych tryumfach wiedzy doświadczalnéj nie często przedostają się do szerokiego ogółu. Ogółowi bardziéj imponuje sztuczne otrzymanie ciała niepospolitego—drogich kamieni. Że tam uczeni po raz drugi stwarzają w swych tyglach skorupę ziemską, cóż to kogo obchodzi — lecz gdy któremu z nich uda się sztucznie wytworzyć rubin i dyament, toż to dopiéro uciecha! Lecz cieszyć się dotychczas nie ma powodu, a kto wié, czy i wówczas, gdy każdy za kilka groszy dyamentów dostanie, zadowoleni będziemy? Obecnie drogie kamienie naturalnie nic jeszcze na wartości nie straciły, gdyż sposoby sztucznego ich otrzymywania pochłaniają tak znaczne sumy, że można za nie kupić nie jeden brylant. Można wszakże na pewno prawie liczyć, że sposoby te zostaną uproszczone, że sztuczne kamienie znacznie będą tańsze. Lecz wówczas przestaną zarazem być „drogiemi“, staną się pospolitemi i pożądanie „pereł i dyamentów“ osłabnie.

Na próby przyrządzania drogich kamieni można spoglądać tylko ze stanowiska naukowego i w tym względzie próby te w doświadczalnéj mineralogii i chemii zajmują toż samo miejsce, co np. próby otrzymania albitu, zeolitu lub innego krystalicznego krzemianu. W zasadzie téż niczém prawie się nie różnią doświadczenia, mające na celu otrzymać rubin, szafir lub dyament, od doświadczeń, w których chodzi o syntetyczne przyrządzenie polnego spatu. Na pozór nawet zadanie jest łatwiejsze, gdy mamy do czynienia z drogiemi kamieniami. Tu znamy dobrze ich skład chemiczny i cała trudność polega tylko na przeobrażeniu ich z postaci nieforemnéj, bezkształtnéj w krystaliczną, gdy tymczasem przy syntezie krzemianów trzeba często wykonać jeszcze cały szereg przemian chemicznych, ażeby otrzymać dany osobnik mineralny. Stąd syntezy tego ostatniego rodzaju bardziéj są zawiłe, mniéj przystępne do zrozumienia dla niespecyalistów. Bliżéj przeto i na tém miejscu zajmiemy się przedstawieniem wyników, jakie osiągnięto dotąd w próbach sztucznego wytwarzania „drogich“ kamieni, témbardziéj że zapozna nas to wogóle z metodami, praktykowanemi obecnie na polu mineralogii doświadczalnéj.

Największe postępy osiągnięto dotychczas w pracowniach chemicznych w kierunku wytwarzania korundów. Po dyamencie korund jest najtwardszym i najcenniejszym kamieniem. Występuje on w przyrodzie w rozmaitych odmianach, z których najważniejszemi są czerwony rubin i niebieski szafir. Korund składa się z tlenka glinu, który w postaci najrozmaitszych połączeń, najczęściéj z krzemionką (jako glina), jest jedném z najbardziéj rozpowszechnionych ciał na

ziemi. Do tego tlenku glinu w krystalicznych jego formach, w jakich właśnie tworzy drogie kamienie, przybywają drobne ślady barwiących materyi.

Pierwsze próby sztucznego wytworzenia korunda sięgają roku 1839-go. Sénarmont umieszczał w rurce szklanéj rostwór wodny jakiegokolwiek związku glinki, który rozkłada się w wyższéj temperaturze i następnie rurkę zatapiał. Przy ogrzéwaniu takiego ze wszech stron zamkniętego naczynia powstaje w jego wnętrzu znaczne ciśnienie, związek glinowy się rozkłada, a po rozbiciu rurki Sénarmont mógł dostrzedz mikroskopowéj wielkości kryształy korundu i rubinu. Do tegoż rezultatu dochodzili inni uczeni, gdy poddawali żarzeniu podobne związki w stanie suchym zamiast w rostworze wodnym. Lecz trzeba pamiętać, że czysty tlenek glinu nie topi się w naszych piecach. Stopić go można w nieco niższych temperaturach jedynie przez dodanie pewnych ciał, jak boraksu, minii, fluorku wapnia i t. p., tak zwanych w hutnictwie topników. Otóż w r. 1847 Ebermann otrzymał już nieco większe kryształy rubinu, gdy dodał boraksu, który ułatwił topienie się tlenku glinu. Lecz dopiéro przed laty kilku chemicy francuscy Frémy i Verneuil przyrządzili w pracowni kryształy rubinu wielkości naturalnych kamieni, gdy zamiast stałych i ciekłych związków glinowych, poddali działaniu wysokiéj temperatury związek gazowy. Najlepiéj nadaje się do tego fluorek glinu, który otrzymać można przez działanie kwasu fluowodornego na tlenek glinu. Ciało to już w umiarkowanéj temperaturze poczyna wrzéć; a gdy parę jego wraz z małą domieszką pary wodnéj przepuszczać przez rozżarzoną rurę, zachodzi wspomniany rozkład. Następnie przekonali się Frémy i Verneuil, że można skombinować razem obiedwie operacye, t. j. przyrządzenie fluorku glinu i jego rozłożenie. Potrzeba więc tylko umieścić w tyglu — dobrze zamkniętym, ażeby zapobiedz uchodzeniu pary — odpowiednią mieszaninę ciał, które, działając na siebie w cieple, wytwarzają powyższą parę. Gdy potém podniesiemy jeszcze wyżéj temperaturę pieca, następuje rozkład. Jednocześnie wydziela się tu kwas fluowodorny, i w chłodniejszych miejscach tygla działa na nowe porcye tlenku glinu. Tak więc pierwotnie utworzone drobne kryształy wciąż się powiększają, gdyż działanie pary trwa póty, póki starczy w tyglu materyału do jéj wytwarzania. Po ostygnięciu masy dość jest obmyć kryształy wodą; zazwyczaj mają one tak gładkie powierzchnie, że nie wymagają dalszego obrabiania (szlifowania). Dotychczas tylko prawdziwie piękne rubiny otrzymali odkrywcy tym sposobem, lecz przez dodatek innych ciał barwiących zapewne uda się także otrzymać szafiry i in. Rubiny Fré-

myego i Verneuila są zabarwione przez mały dodatek chromianu potasu.

Inny drogi kamień, szmaragd, ma skład bardziéj złożony. W 100 częściach zawiera on 67 cz. krzemionki, 19 cz. tlenku glinu i 14 cz. tlenku berylu, a prócz tego jeszcze drobny ślad ciała nadającego mu zieloną barwę. Mineralog francuski, Hautefeuille, stapiał powyższą mieszaninę z dodatkiem odpowiedniego topnika i tlenku chromu, jako ciała barwiącego na zielono i otrzymywał istotnie dość przezroczyste, pięknie zielone pryzmaty szmaragdu kilkumilimetrowéj grubości.

Otrzymywano także sztucznie szpinel, którego jasne i czerwone odmiany zwłaszcza wysoko stoją w cenie. Mieszanina składała się z czystéj glinki i tlenka magnezu, naturalnych części składowych tego kamienia, do których dodano kwasu bornego, jako topnika i chromu, jako ciała barwiącego.

Od czasu, gdy w początku tego stulecia Davy dowiódł, że dyament jest niczém inném, jak skrystalizowanym węglem, że zatém od grafitu i zwykłego węgla różni się tylko stopniem czystości i formą krystaliczną, nie brakło prób sztucznego wywołania podobnéj krystalizacyi. Już w r. 1828 Cagniard-Latour działał fosforem na siarek węgla, oczekując, że fosfór połączy się z siarką i uwolni węgiel, który wydzieli się tu w kryształach; i istotnie otrzymał mikroskopowe kryształy, które uważał za dyamenty. Despretz poddawał wyładowaniom indukcyjnego przyrządu elektrycznego węgiel w sztuczny sposób przyrządzony, daléj wystawiał takie ciekłe połączenie węglowodoru na wpływ prądu potężnego stosu galwanicznego i w obudwu razach otrzymał kryształy, które wszakże tylko niezwykłą twardość wspólną miały z dyamentem. Możnaby jeszcze kilka innych przytoczyć przykładów, w których najczęściéj na chybił trafił kuszono się o rozstrzygnięcie tak nęcącego zadania, jakiém jest sztuczne wytworzenie dyamentu.

Lecz jednocześnie starano się przeniknąć sposoby, jakiemi dyament powstał w naturze. Oczywiście, zrazu poprzestawano na mniéj lub więcéj szczęśliwych domniemaniach. A i dziś jeszcze porozumienia zupełnego w tym kierunku nie ma. Każdy więc domysł daje nowe pole do prób, które jednakże wyjść nie mogą z dość ciasnego koła doświadczeń. Chemik bowiem, gdy chce otrzymać ciało w krystalicznym stanie, głównie dwiema metodami posługiwać się może: albo stara się stopić dany związek w wysokiéj temperaturze i następnie pozwala mu powoli ostygać, albo też rozpuszcza go w jakiéj cieczy, z któréj następnie po odparowaniu téj ostatniéj wydzielają się kryształy. W obudwu razach otrzymuje się zwykle tém większe kryształy, im powolniéj proces zachodzi. Otóż, w zajmującym nas tu

wypadku pierwszy sposób mało daje widoków powodzenia. Węgiel należy do najtrudniéj topliwych ciał, przez długi czas nawet sądzono, że wogóle stopiony być nie może. Lecz i druga z powyższych ogólnych metod nie da się wprost zastosować, tak jak to w innych podobnych wypadkach ma miejsce, zwykłe bowiem w chemii stosowane rozpuszczalniki nie rozpuszczają w sobie węgla. Wiadomo wszakże, że niektóre metale w stopionym stanie łączą się z drobnemi ilościami węgla i wydzielają go następnie, gdy zostaną ochłodzone. Do takich należy np. rzadki metal lityn. Chemik angielski, Hannay, w r. 1880 stapiał pod znaczném ciśnieniem lityn z sadzą i pewnemi topnikami, a po okrzepnięciu masy dojrzał w niéj malutkie kryształy, o własnościach dyamentu. Zwyklejszy, bardziéj przystępny rozpuszczalnik węgla mamy w żelazie. Trzy główne odmiany żelaza, surowiec, stal i żelazo sztabowe, różnią się od siebie głównie rozmaitą zawartością węgla, którego część znajduje się zwykle w luźném z żelazem połączeniu mechaniczném. Stopione żelazo rozpuszcza w sobie dość znaczne ilości węgla, który następnie po ostygnięciu wydziela się w formie kryształów grafitu. Lecz tą drogą zawsze dochodzono tylko do grafitu, nigdy do dyamentu.

Niedawno wszakże słynny już dzisiaj chemik francuski, Moissan, ponownie podjął próby otrzymania dyamentu, posługując się żelazem jako rozpuszczalnikiem. W doświadczeniach zaś swoich uczony ten kierował się badaniami, dokonanemi nad składem mineralnych części, towarzyszących t. zw. dyamentom „karbonado“, oraz nad dyamentami występującemi w błębitnéj ziemi Przylądka i w meteorytach żelaznych z Cañon-Diablo. Ażeby zaś otrzymać nie kryształy grafitu, lecz dyamentu, użył olbrzymiego ciśnienia i bardzo wysokiéj temperatury, wychodząc z przypuszczenia, że dyament, który ze wszystkich odmian węgla najznaczniejszą ma gęstość, zapewne téż pod znaczném powstał w naturze ciśnieniem. Wysoką temperaturę osiągnął za pomocą swego pieca elektrycznego, t. j. skrzyni z ogniotrwałego materyału, w któréj umieszczone są wprost siebie dwa pręty węgla, małą oddzielne przestrzenią. Przez dwa te pręty przechodzi potężny prąd elektryczny i wytwarza świetlny łuk, który, jak wiadomo, daje najwyższe dotąd znane temperatury. W takim właśnie piecu Moissan topi surowiec (żelazo z dodatkiem węgla) wraz z węglem zupełnie czystym, otrzymanym z cukru; temperatura wynosi tu 3,000°. Węgiel rozpuszcza się w dość znacznéj ilości w żelazie, a następném zadaniem jest wystawienie masy podczas ostygania na bardzo silne ciśnienie. W tym celu wyjmuje się tygiel z pieca i szybko zanurza go w wodę. Wskutek tego zewnętrzna część metalu krzepnie i tworzy

stałą skorupę, w któréj wnętrzu ciekłe jeszcze jądro daléj powoli ostyga. I oto przychodzi tu z pomocą osobliwsza własność surowca: podobnie jak woda rozszerza się podczas marznięcia, tak téż surowiec, przechodząc z ciekłego stanu w stały, rozszerza się, staje się gatunkowo lżejszym. Lecz w naszym wypadku rozszerzaniu się takiemu staje na przeszkodzie skrzepła już zewnętrzna skorupa, dzięki czemu we wnętrzu powstaje olbrzymie ciśnienie, które, zdaniem Moissana, sprzyja wytwarzaniu się dyamentu.

Rezultat w istocie odpowiadał oczekiwaniom. Po zupełném ostygnięciu masy wewnątrz tygla można było żelazo rozpuścić w kwasach, poczém w pozostałéj reszcie znaleziono obok grafitu, ciemne, twarde krystały, bardzo podobne do owych „karbonadro“ i prócz tego przezroczyste kryształy zwykłego dyamentu. Te ostatnie były niewielkie; jednakże można było określić ich krystaliczną formę, twardość i ciężar właściwy, co utwierdziło w przekonaniu, że są one zupełnie identyczne z naturalnym dyamentem. Ostatnia zaś wątpliwość o téj identyczności znikła zupełnie, gdy kryształy te rozżarzone w tlenie spaliły się całkowicie na dwutlenek węgla.

Rezultat osiągnięty przez Moissana może rzucić światło na naturalny sposób powstawania dyamentów. W Cañon Diablo (Arizona) znaleziono niedawno temu żelazny meteoryt, którego masa usiana była drobnemi kryształkami. Te ostatnie, według dokładnych rozbiorów chemicznych, składały się w części z ciał podobnych do grafitu, w części zaś także z mikroskopowych dyamentów, czarnych zarówno, jak i przezroczystych. Bardzo jest prawdopodobne, że te ostatnie powstały tu w sposób podobny, jak w doświadczeniu Moissana. A również staje się prawdopodobném, że t. zw. niebieska ziemia, w któréj na Przylądku Dobréj nadziei występują dyamenty, jest niczém innem, jak produktem zwietrzenia wulkanicznych mas metalowych.

Prócz żelaza z równém powodzeniem użył Moissan srebra jako rozpuszczalnika dla węgla. I srebro bowiem tą samą odznacza się właściwością rozszerzania się podczas krzepnięcia.

Publiczne ogłoszenie powyższych rezultatów w paryskiéj Akademii dało sposobność dwóm innym znakomitym chemikom francuskim, Friedelowi i Berthelotowi do doniesienia o próbach otrzymania dyamentu, które i oni, niezależnie od siebie, przez dłuższy czas prowadzili.

Friedel starał się także sztucznie wytworzyć warunki, w jakich prawdopodobnie powstał dyament w meteorycie z Cañon Diablo. Węglowi w meteorycie tym towarzyszą: żelazo, siarka, nikiel i fosfór,

z których najpewniéj pierwsze dwa pierwiastki odgrywały pewną rolę przy utworzeniu dyamentu. Doświadczenie Friedela wykonane było w następujący sposób: w małym bloku stalowym zamknięto szczelnie nieco siarku węgla, w jednym razie blok taki rozgrzano do jasnego żaru, w drugim do ciemnéj czerwoności, a po ostygnięciu rozpiłowano je pośrodku. W obudwu razach siarek węgla uległ rozkładowi, wydzielając bezkształtny węgiel, siarka zaś przeniknęła głęboko w metal. Następnie Friedel działał siarką na opiłki surowca z zawartością około 4% węgla. Działanie to odbywało się w szczelnie zamkniętém naczyniu, raz w temperaturze wrzenia siarki, drugi zaś około 500°. Rozpuszczono następnie w kwasie utworzony siarek żelaza, a po oczyszczeniu pozostałego węgla dymiącym kwasem azotnym i chloranem potasu otrzymano drobną ilość czarnego proszku, który rył korund i najpewniéj właściwościami wielce był zbliżony do dyamentu.

Z innego zupełnie założenia wyszedł Berthelot, który próbował rozpuścić węgiel w fosforku żelaza, otrzymanym przez odtlenienie fosforanu żelaza za pomocą sadzy. Otrzymał on znaczne ilości stopionego związku fosforu z żelazem, który zawierał w rozpuszczeniu węgiel w osobliwszéj postaci. Zarówno badania Friedela, jak i Berthelota nie dały więc jeszcze żadnych ostatecznych rezultatów i sam Berthelot uważa naukową stronę zadania za rozstrzygniętą w zupełności przez doświadczenia Moissana.

* * *

Coraz więcéj w życiu codzienném rozpowszechniające się światło elektryczne było bodźcem do udoskonaleń na polu możliwie ekonomicznego wyzyskania dotychczasowych źródeł sztucznego oświetlenia. Stąd wynikła walka, która przed oczami naszemi się odbywa i któréj rezultat dziś już do pewnego stopnia przewidzieć można, biorąc pod uwagę i ścisły rozbiór fizyczny i fizyologiczną wydajność rozmaitych sposobów oświetlenia. Zwłaszcza postępy w oświetleniu gazem mają w ostatnich czasach do zanotowania niejedno udogodnienie, zasługujące na bliższą uwagę.

Gdy zamierzamy wybadać rozmaite rodzaje sztucznego światła co do ich wydajności, musimy je porównywać pod względem bogactwa świetlnego. W tym względzie nie bardzo daleko zaszliśmy dotychczas, gdyż nasze pomiary światła polegają przeważnie na podstawie fizycznéj, ograniczając się jedynie na mierzeniu siły według znanego prawa, iż siła światła zachowuje się odwrotnie proporcyonalnie do kwadratu z oddalenia od świecącego źródła. Lecz oznaczona w ten

sposób intensywność światła względną ma tylko wartość dla praktycznéj oceny efektu świetlnego. Źródła światła o równéj sile „świéc“ mogą w ostatecznym swym rezultacie znacznie różnić się, np. w zamkniętych przestrzeniach, gdzie ich działanie zawsze doznaje mniejszych lub większych strat, zależnie od własności ścian. Promieniowanie światła i ciepła prawidlowo zmniejsza się w stosunku do kwadratu z odległości i w tym samym stopniu promienie cieplne i świetlne ulegają pochłonieniu przez ściany. Lecz pochłonięte przez ściany ciepło zostaje znów w części zwracane otaczającemu powietrzu przez promieniowanie i przewodnictwo, gdy tymczasem promienie światła ulegają przytém przeobrażeniu na promienie ciepła i dla ostatecznego efektu świetlnego w zupełności giną. Rezultat świetlny nie mniéj téż jest zależny od rozmieszczenia przyrządów oświetlających, które, zależnie od konsumcyi, wysyłają promienie światła w rozmaitych kierunkach. Tak np. palnik „regeneracyjny“ Siemensa (nr. 1) z płomieniem zwróconym w górę daje w położeniu poziomém 222 świéc normalnych, pod kątem 45 stopni tylko 132; palnik Wenhama poziomo tylko 99, a natomiast pod kątem 45 stopni 170 świéc.

Z drugiéj strony stosowane dotychczas fotometryczne metody nie dają dostatecznego pojęcia o wyzyskiwaniu zawartéj w palnym materyale energii dla celów czysto świetlnych, zapominają bowiem prawie w zupełności o osobliwie ważnym momencie, mianowicie fizyologicznym. Specyficzne działanie, wywierane przez światło na nasz organ wzroku, zmienia się w zależności od składu światła, albowiem poszczególne promienie, czyli rozmaite barwy światła, przy jednakowéj energii wywierają na siatkówkę oka wrażenia o rozmaitém natężeniu. Stwierdzono, że oko nasze jest najwraźliwsze na promienie zielone i zielonożółte, czyli na te, które na widmie słonecznem występują pomiędzy liniami Fraunhofera *D* i *E*. Na téj osobliwéj wraźliwości oka polega między innemi ów cudowny niemal blask owadu *Pyrophorus noctiluca*, występującego zwłaszcza w środkowéj i południowéj Ameryce. Nie jest bynajmniéj bajką to, co donoszą dawniejsi badacze o tym ciekawym owadzie, że mianowicie krajowcom służy niejako za pochodnię, i że w wysyłaném przezeń świetle można czytać i pisać. Można doświadczalnie wykazać niezwykłą wraźliwość oka ludzkiego na zielone i zielono-żółte promienie, jak to istotnie wykazał Noble, rozrzażając żelazny pręt w zupełnie ciemnéj przestrzeni. Występuje tu nasamprzód zielonawo-białe, a późniéj dopiéro żółte światło, które stopniowo przybiera barwę pomarańczową. Jak wiadomo, w normalnych warunkach spostrzegamy przy rozżarzaniu ciał barwy w tym kolejowym porządku, w jakim występują one w widmie słone-

necznem, a więc naprzód czerwoną, późniéj żółtą, zieloną i t. d. Istotnie też zielone i zielono-żółte promienie w doświadczeniu Noble'a nie występują wcześniéj niż żółte i czerwone. Jedynie dzięki większéj wrażliwości siatkówki oka dostrzegamy je tu wcześniéj, niż czerwone i żółte, gdyż warunki doświadczenia odpowiednio są urządzone.

Widzimy więc, że, chcąc pozyskać ścisłą, niezawodną miarę dla efektu świetlnego, musimy uwzględnić pewne czynniki, które wogóle mało są w dotychczasowych metodach fotometrycznych uwzględniane Wiadomo nam daléj, że pomiędzy falowemi drganiami eteru świetlnego różnice ilościowe, polegające na długości fal i szybkości drgań sprowadzają nietylko różnice w dostrzeganych przez nas barwach, lecz także, że przy pewnéj długości fal drgania te wogóle nie dochodzą do świadomości naszéj jako światło, lecz działają na nas wrażeniem ciepła, a przy innéj znów skrajnéj długości, nie wywołują również wrażenia światła, natomiast wywierają działania chemiczne. Jednocześnie fale rozmaitéj długości różnią się wzajem łamliwością czyli stopniem odchylenia, jakiego doznają przy przejściu z jednego ośrodka do drugiego. Fale największéj długości i najpowolniejszych drgań najsłabszym ulegają odchyleniom, najmniéj są łamliwe; są to fale czerwone. Jeszcze dłuższe, drgające jeszcze wolniéj, jeszcze mniéj łamliwe od czerwonych, t. zw. pozaczerwone (ultraczerwone), nie sprawiają w nas wrażenia światła, są to fale ciepłe. W miarę zaś zmniejszania się długości fal, wzrastania szybkości drgań i stopnia odchylenia przebiegamy od promieni czerwonych całą skalę widma i dochodzimy do najkrótszych, najszybciéj drgających, najsilniéj łamliwych fal światła fioletowego. Po za temi zaś istnieją tylko jeszcze pozafioletwe, których nie widzimy, lecz które odznaczają się zdolnością sprowadzania zjawisk chemicznych. Promienie pozafioletowe, najsilniéj łamliwe, a występujące w mniejszéj lub większéj ilości, obok promieni cieplnych i świetlnych, przy każdym sposobie oświetlania, najlepiéj wykryć się dają przez swe działanie chemiczne na pewne chemiczne związki, jak siarczan chininy, chlorofil, wyciąg kory kasztana i niektóre podwójne sole platyny. Ciała te odznaczaczają się własnością przeobrażania fal pozafioletowych w fale świetlne, czyli powiększania długości fal i zmniejszania szybkości drgań, gdy padają na nie te chemiczne promienie. Zjawisko to nazywamy fluorescencyą.

Jakże, zapytajmy, należy mierzyć natężenie tych trzech rodzaów promieni i jak oddzielać je od siebie?

Co się tyczy mierzenia, to promienie ciepła można z pewnem

przybliżeniem oznaczyć za pomocą termometru, promienie światła ogólnie znanemi sposobami fotometrycznemi, a promienie chemiczne działaniem ich chemiczném na pewne ciała (np. sole srebra). Trudniejszém jest zadanie oddzielania tych wzajemnych promieni. Genialny fizyk angielski Tyndall podał sposób oddzielania cieplnych promieni od świetlnych i chemicznych. Przepuśćmy promienie wysyłane z jakiegokolwiek źródła światła przez naczynie napełnione roztworem ałunu, w takim razie pochłonięte zostaną promienie ciepła, przejdą zaś przez naczynie promienie światła i ultrafioletowe. Jeżeli naczynie z ałunem zastąpimy przez naczynie zawierające roztwór jodu w siarku węgla, to zajdzie odwrotne zjawisko: pochłonięte zostaną wszystkie świetlne i ultrafioletowe promienie, przejdą zaś bez zmiany promienie ciepła. Bardzo jest interesującém podobne doświadczenie przy użyciu światła lampy elektrycznéj. Gdy umieścić na drodze tych promieni naczynie z ałunem, w takim razie przez skoncentrowanie przenikających promieni za pomocą soczewki nie można w ognisku téj ostatniéj zapalić kawałka papiéru. Lecz usuńmy naczynie z ałunem i zamiast niego pomieśćmy naczynie z jodem: w ciemném ognisku kawałek papiéru natychmiast zapłonie. Można w ten sposób także zapalić cynk i magnez i rozżarzyć do jasności cieką blaszkę platyny.

Za pomocą ciemno-fioletowych płyt szklanych można promienie fioletowe i ultrafioletowe oddzielić od promieni ciepła i pozostałych promieni świetlnych. Jeśli znów te przepuszczone fioletowe i ultrafioletowe promienie rzucimy na roztwór siarczanu chininy, mamy przed sobą jedno z najpiękniejszych zjawisk fluorescencyi.

To przeobrażanie się promieni silniéj łamliwych w mniéj łamliwe, które jest powodem fluorescencyi, występuje także w pokrewném zjawisku t. zw. fosforescencyi, z którém bliżéj zapoznać się musimy, choćby dlatego, że zdaje się ono być ważném dla objaśnienia nowszych metod oświetlania. Nazwą fosforescencyi obejmujemy pewną grupę zjawisk świetlnych, dla których wspólném jest to, że niektóre ciała wydają w ciemnych przestrzeniach blado-matowe lub zielonawo-żółte światło, różniące się od zwykłego niezmiernie słabém działaniem cieplném. Przyczyny samego zjawiska są nader rozmaite. W fosforze świecenie jest wynikiem procesu chemicznego, mianowicie utleniania się tego ciała na powietrzu i zapewne podobnie ma się rzecz z niektóremi grzybkami, przeważnie w zwrotnikowych krajach występującemi, choć zapewne inne jeszcze wchodzą tu w grę przyczyny, dotąd bliżéj niepoznane. W całym szeregu ciał zwierzęcych i roślinnych fosforescencya jest wynikiem obecności świécących bakteryi. Te t. zw. fotobakterye są także powodem świécenia morza.

W przeciwstawieniu do tego rodzaju fosforescencyi znajduje się fosforescencya spowodowana przez następcze świecenie a polegająca na tém, że pochłonięte promienie światła w części przeobrażone w mniéj łamliwe, znów odbijają się w ciemności. Własność tę widzimy w niektórych ciałach nieorganicznych, zwłaszcza w połączeniach siarki z wapniem, barytem i strontem. Wystawione na krótki choćby czas na wpływ światła dziennego, ciała te następnie w ciemności świécą, wysyłając promienie mniejszéj łamliwości większéj długości fal.

Ze wszystkich atoli zjawisk fosforescencyi nie ma chyba bardziéj interesującego jak świecenie wspomnianego już owadu amerykańskiego. W nowszych czasach Langley i Very bliżéj zbadali naturę tego światła i przekonali się, że całkowita jego energia w widzianéj części widma występuje głównie w żółtych i zielonych promieniach. Stopień działania tego, samego przez się tak mało znacznego źródła światła ma podobobno być 400 razy większy od działania promienia gazowego. Mamy więc doskonały dowód, jak ważném jest uwzględnienie fizyologicznego momentu przy ocenianiu źródła światła. Właśnie na tym przykładzie udowodnił Langley, że rozmaite promienie światła, od czerwieni do fioletu, przy jednakowéj energii oddziaływają z rozmaitą siłą na nasz organ wzroku. Drgania eteru pochodzące od źródła światła pobudzają w różny sposób naszą siatkówkę i to zależnie od swéj ilości oraz od odległości fal. Przed badaniami Langleya mniemano ogólnie, że rozmaite promienie światła, np. zielone i czerwone światło, przy jednakowéj sile promieniowania w jednakowo silny sposób także działają na oko. Lecz okazało się to błędném. Przy jednakowéj energii, wrażenia świetlne dla rozmaitych barw mają następujące wartości:

Barwa:	fiolet	zielona	żółta	czerwona	ciemno-czerwona
Wrażenia świetlne:	1,600	100,000	28,000	12,000	1.

Wartości te zapewne zależą od indywidualności obserwatora, lecz stosunek ich przez to nie ulega zmianie. Bądź cobądź różnica pomiędzy 1 promieni ciemno-czerwonych a 100,000 zielonych jest tak znaczna, że aż nadto wyraźnie występuje tu ona jako niezmierna ważność uwzględniania czynnika fizyologicznego przy ocenianiu wartości naszych sposobów oświetlania. Jeszcze jaskrawiéj rzecz ta się przedstawia, gdy zważymy, że, według dotychczasowego, przeważnie fizykalnego systemu mierniczego, w dziedzinie wytwarzania światła nie mamy do zaznaczenia bardzo wielkich postępów. Według mierzeń, dokonanych przez Tyndalla, Blattnera, Nicholsa i Staube, wydajność energii zużytéj do wytwarzania światła, wynosi w odsetkach: w olej-

néj lampie 3%, w palniku gazowym 4%, w elektryczném świetle żarowém 5—6%, w lampie łukowéj przy pomyślnym kącie nachylenia 18 — 19, w innych razach tylko 8 — 12, w lampie magnezowéj 15 i w rurkach Geisslera 32%. A więc zwykłe nasze źródła wydają w postaci światła około 10% złożonéj w nich energii. Innemi słowy, 90%, a najczęściéj więcéj jeszcze energii przeobraża się w drgania eteru, które pozostają bez wpływu na nasze oko, lecz które jednakże istniéć muszą, jeżeli wogóle nasz zmysł wzroku ma w danym razie przejąć wrażenie światła. Jesteśmy, według słów Lodgea, podobni do organisty, który dla wydobycia kilku tylko tonów musi koniecznie we wszystkie piszczałki organów wpuścić powietrze. Ze stanowiska fizycznego sądząc, dochodzimy więc do przekonania, że nader skromne na punkcie wyzyskania energii w celu oświetlania zrobiliśmy postępy, skoro dzisiejsze nasze, tyle podziwiane światło elektryczne nie wiele jest doskonalsze w tym względzie od najpierwotniejszych środków oświetlających.

A jednakże techniczne pomysły na tém polu wciąż się mnożą i niewątpliwie mają w sobie coś dobrego, skoro lepsze z nich nawet szybko się upowszechniają. Dość przypomniéć tu znaną lampę regeneracyjną Siemensa, która dziś w wielu wielkich salach jest używana, dalej lampę Wenhama, wreszcie ostatni postęp w dziedzinie oświetlania gazowego — lampy Auera, które obecnie nietylko w pokojach mieszkalnych i sklepach, lecz i do oświetlania ulic bywają już stosowane.

W lampach Siemensa i Wenhama chodzi głównie o podniesienie temperatury spalania gazu i osiąga się to przez doprowadzanie uprzednio rozgrzanego powietrza. Produkty spalenia, jakie się tu tworzą, uchodzą na zewnątrz dzięki odpowiednio urządzonym wentylatorom. Niedogodnością tych lamp jest zbyt zawiła ich budowa. Prostszą jest już lampa skonstruowana przez Fahrntjelma i Clamonda, w któréj grzebyki lub sztyfciki metalicznego magnezu zostają do jasności rozżarzone. Nie ma tu niedogodnych ubocznych przyrządzików, lecz za to trzeba się posługiwać gazem wodnym, który z powodu innych swych wad dostatecznie upowszechnić się jeszcze nie mógł.

Największego bez wątpliwości znaczenia nabrały w ostatnich czasach gazowe lampy Auera, które, po pierwszych niepomyślnych próbach przed kilku laty, obecnie w udoskonalonéj formie szybko zyskują sobie wziętość. Główną częścią składową takiéj lampy jest t. zw. koszulka wyrobiona z ogniotrwałego materyału i rozżarzająca się do jasnéj białości. Koszulka ta przyrządza się, jak zapewnia wynalazca, w następujący sposób. Z tlenków rzadkich pierwiastków,

jak cer, dydym, lantan, cyrkon i t. p., tworzy się rostwór azotanów tych metali i w rostworze tym zanurza odpowiednio utkaną siatkę bawełnianą lub wełnianą, którą następnie zwija się w formie woreczka, związując u obudwu końców platynowym drucikiem. Po wyschnięciu tkankę się zapala, organiczne jéj części ulegają spaleniu, a azotany powyższych metalów jednocześnie rozkładają się i pozostawiają tlenki w pierwotnéj tkaninie koszulki, którą — oczywiście bardzo ostrożnie, gdyż łatwo się rozsypuje — umieszcza się nad zwykłym palnikiem gazowym.

Według zapewnień Auera światło jego lampy ma być czysto białe, tak że wszystkie barwy ukazują się w niém, jak w świetle dziennném. Lecz zależnie od wyboru materyałów na koszulkę, można podobno otrzymać rozmaite odcienie.

Nie ulega wątpliwości, że światło Auera ma stanowczo pewne zalety. W porównaniu ze zwykłém światłem gazowém jest ono jaśniejsze, mniéj wytwarza ciepła i mniéj zużywa gazu. Dwie te ostatnie zalety pozostają ze sobą w naturalnym związku: mniéj znaczne wydzielanie ciepła jest skutkiem mniejszego zapotrzebowania gazu. Gdy zwykły płomień gazowy o sile 16 świéc zużywa na godzinę 111 litrów gazu, palnik Auera o téjże sile światła zużywa tylko 22 litry, w tym ostatnim więc wytwarza się tylko piąta część téj ilości ciepła, jaką daje płomień gazowy. Pod względem wytwarzania ciepła światło Auera ustępuje jednak światłu elektrycznéj lampy żarowéj. Przy jednakowéj sile świetlnéj produkuje ono 3½ raza więcéj ciepła, aniżeli lampa elektryczna.

Główną zaletą światła Auera jest taniość, któréj zawdzięcza ono dość szybkie upowszechnienie. Trzeba wszakże nie zapominać o dość dużych kosztach instalacyi, oraz o tém, że owa koszulka nader jest delikatna i łatwo się rozsypuje. Największą wszakże wadą jest osobliwa barwa światła, ów zielono-żółtawy odcień, który wszystkim przedmiotom nadaje jakieś fantastyczne wejrzenie. Auer sam przyznaje, że to da się zmienić przez odpowiedni ilościowy dobór materyałów składających koszulkę, lecz wówczas niewątpliwie światło straci znów najważniejszą swą zaletę, mianowicie niezwykłą siłę świetlną. Widzimy, że największa zaleta światła Auera jest zarazem największą jego wadą. Paradoks zaś ten łatwo potrafimy wytłómaczyć, przypominając sobie to, co powiedziano wyżéj o sile wrażeń świetlnych zależnie od ich barw.

W świetle Auera występują przeważnie promienie zielone i żółte, położone w widmie pomiędzy liniami *D* i *E*, a wiadomo nam, że te właśnie promienie najsilniejszy sprawiają efekt na oko. Prócz tego

zaś ciała, składające koszulkę w lampie Auera, odznaczają się do pewnego stopnia własnością przeobrażania ultrafioletowych promieni w mniéj łamliwe promienie zielonawo-żółte, co przypomina nam zjawisko fosforescencyi. Zostało to w najnowszych czasach doświadczalnie sprawdzone przez M. Keana, który badał najrozmaitszego składu koszulki lamp auerowskich i porównywał ich siłę świetlną z jednéj strony, z drugiéj zaś barwę wydawanego podczas żarzenia światła. Z zestawień M. Keana jasno wynika, że najsilniejszy efekt świetlny otrzymuje się jednocześnie z najnieprzyjemniejszym dla oka odcieniem zielonawo-żółtym.

W świetle Auera mamy coś zupełnie analogicznego do światła owadu *Pyrophorus noctiluca*: i tu i tam z najmniejszym nakładem mechanicznym osiągamy największe działanie fizyczne. Lecz podobnie jak zmiana w blasku światła wydawanego przez ów osobliwy owad umieści go w szeregu najpolitszych robaczków świętojańskich, tak téż bezwątpienia usiłowania, skierowane ku domieszaniu czerwonych promieni do światła Auera zdegradują je do rzędu zwykłych dotychczasowych źródeł światła.

Gdy więc światło Auera na drodze swego zastosowania praktycznego może dojść do pewnéj tylko niedalekiej granicy, natomiast postępy w innym kierunku dokonywane pouczają najdowodniéj, że jedyném oświetleniem przyszłości jest oświetlenie elektryczne.

Maksymilian Flaum.





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Galicyjskie Towarzystwo kredytowe ziemskie, jego powstanie i półwiekowy rozwój,“ napisał Dr. Władysław Ostrożyński, adwokat krajowy i zastępca syndyka Towarzystwa kredytowego ziemskiego, Lwów 1892, str. 389.

W roku 1892, galicyjskie Towarzystwo kredytowe ziemskie obchodziło 50-letni jubileusz swego istnienia, dla uczczenia którego Dyrekcya postanowiła wydać pamiętnik, opisujący założenie Towarzystwa i półwiekowe jego dzieje.

Pracę tę Dyrekcya powierzyła zastępcy syndyka Towarzystwa, (która to nazwa odpowiada naszemu radcy prawnemu) doktorowi Władysławowi Ostrożyńskiemu, a ten wywiązując się z poruczonego mu zadania, napisał książkę, któréj tytuł wyżéj podaliśmy.

Geneza książki, tudzież stanowisko, zajmowane w instytucyi przez autora, wyjaśniają nam wszystkie dodatnie i ujemne strony jego pracy, — przystęp do archiwum Towarzystwa dał autorowi możność opisania jego dziejów z kronikarską drobiazgowością, nie pominął zatém nietylko ani jednego wyższego ni niższego dygnitarza, który w ciągu półwiekowego istnienia instytucyi jakikolwiek urząd w niéj piastował, ale nawet ani jednego posła, który wchodził do składu sejmów, na których sprawy Towarzystwa były rozbierane; nie pominął daléj ani jednego wniosku przez kogokolwiek, kiedykolwiek podanego, nawet takich, nad któremi przechodzono do porządku dziennego, i które nie zasługują na to, aby je wydobywać z toni zapomnienia; — z drugiéj strony urzędowy charakter wydawnictwa wykluczył z niéj wszelki żywioł krytyczny, — mamy zatem przed sobą kronikę instytucyi, wtajemniczającą nas we wszystkie, najdrobniejsze szczegóły

półwiekowéj jéj działalności i podnoszącą zasługi jéj założycieli, kierowników i członków, bez krytycznéj jednak ich oceny, ani porównawczego poglądu na to, co gdzieindziéj w pokrewnych instytucyach na tém polu zdziałano.

Pan Ostrożyński znany jest zaszczytnie z poważnych prac swoich na niwie literatury prawniczéj: filozofia prawa, kryminalistyka, dawne prawo polskie mają mu do zawdzięczenia cenne bardzo nabytki, z dziełem zaś tego autora, mającém za przedmiot sprawy ekonomiczne, spotykamy się po raz pierwszy. Okoliczność ta, tudzież stanowisko autora, jako radcy prawnego Towarzystwa, wyjaśniają nam w dalszym ciągu powody, dla których kwestye prawne są daleko gruntowniéj i dokładniéj przez niego traktowane, aniżeli sprawy ekonomiczne i finansowe.

Ciężki był poród galicyjskiego Towarzystwa kredytowego, już na sejmie w r. 1822 stany galicyjskie domagają się wprowadzenia banku ziemskiego, którego projekt polecono wygotować wydziałowi stanowemu, po 20-tu jednak dopiéro latach, a mianowicie w r. 1842 Towarzystwo żywot swój rozpoczęło na mocy zatwierdzonego przez cesarza Ferdynanda I, w dniu 3-im listopada 1841 r. statutu.

Autor dzieli historyę Towarzystwa na trzy okresy.

W pierwszym od r. 1842 do 1861 Towarzystwo stanowiło instytucyę stanową, szlachecką — przystąpienie do Towarzystwa było wprawdzie dobrowolne, każdy właściciel dóbr tabularnych mógł albo nie mógł zaciągnąć w Towarzystwie pożyczkę na swoje dobra, ale każdy był dobrami swemi za operacye Towarzystwa odpowiedzialny, nawet wówczas kiedy z kredytu jego nie korzystał. Konsekwencyą takiego uczestnictwa było, że zarząd nie znajdował się wyłącznie w ręku członków instytucyi, ale przeważny wpływ na sprawy Towarzystwa wywiérały stany, gwarantujące za wypełnienie zobowiązań instytucyi — sejm zatém mianował prezesa dyrekcyi, dwu jego dyrektorów i jednego zastępcę, pozostałych dwu dyrektorów i dwu zastępców wybiérał tenże sejm wspólnie z członkami Towarzystwa, wreszcie kontrolę nad działalnością instytucyi i jéj dyrekcyi rozciągał wydział stanowy w charakterze rady nadzorczéj. W razie rozwiązania się Towarzystwa, majątek jego miał przejść na własność stanów.

Pomyślny rozwój Towarzystwa zatamowany został przez wypadki z roku 1848, które wywołały w Austryi reakcyę do tego stopnia, że nawet tak niewinne zebrania, jak ogólne zgromadzenia Towarzystwa kredytowego ziemskiego przez lat 15 nie mogły być zwoływane, co paraliżować musiało i działalność instytucyi, która w ciągu lat 10

od roku 1850 do 1860 wydała pożyczek zaledwie na dwa miliony guldenów.

Jakkolwiek rozwój instytucyi w całym tym okresie jest nieznaczny, gdyż od chwili zawiązania Towarzystwa do roku 1860, a zatém w ciągu lat 18 wydano wszystkiego 1316 pożyczek na ogólną sumę 16,427,100 złotych reńskich, to wewnętrzna jednak administracya nie pozostawia nic do życzenia, czego dowodem jest to, że już od roku 1851 Towarzystwo zaczęło obniżać, a późniéj zupełnie zniosło pobiéranie opłaty na koszta zarządu.

Okres drugi obejmuje czas od roku 1861 do 1868. Uchylenie dyplomem październikowym z r. 1860 reprezentacyi stanów i wprowadzenie sejmu krajowego musiało wywołać i zmiany w zakładzie kredytowym, który, jakośmy wyżéj widzieli, nie był instytucyą ogólnokrajową, ale stanową i z reprezentacyą stanów ściśle związaną. Nastąpił tedy okres reorganizacyjny, który przy austryackim biurokratyzmie trwał lat ośm, i zmiana statutu uchwalona na ogólném zgromadzeniu roku 1861, zyskała najwyższe zatwierdzenie w dniu 20 maja 1867 r., a przez ten czas Towarzystwo krępowane dawnym statutem, nader słabą rozwijać mogło działalność: przy końcu tego okresu było zastawionych w Towarzystwie dóbr 1,908 z długiem 15,667,010 zł. reńskich, rok 1866 wykazał jedyny w dziejach Towarzystwa bilans ze stratą na operacyach instytucyi, dochodzącą do 5114 zł. 54$^1/_4$ cet., a nizki kurs listów zastawnych zniewolił Towarzystwo do podniesienia stopy procentowéj z 4 na 5%.

W trzecim okresie od r. 1869 do 1892 Towarzystwo doścignęło wysokiego stopnia rozwoju i staje w rzędzie najpotężniejszych instytucyi finansowych w państwie austryackiém. Nie pojmujemy wszakże, w jaki sposób instytucya przybiéra, wedle słów p. Ostrożyńskiego cechę k o s m o p o l i t y c z n ą. Instytucya kredytowa, zamykająca swoją działalność w granicach nietylko jednego państwa, ale zaledwie jednéj prowincyi, nie może być nazwaną kosmopolityczną, zwłaszcza, jeżeli instytucya ta nie udziela kredytu osobistego przedzierającego się często do krajów obcych, lecz jedynie kredyt ziemski, hypoteczny, z natury rzeczy do danego terytoryum przywiązany. Towarzystwo straciło swój charakter szlachecki, i stało się instytucyą ogólno-krajową, ale od tego do kosmopolityzmu bardzo daleko.

W okresie tym działalność Towarzystwa rozszerzoną została na Wielkie Księstwo Krakowskie, a w r. 1891 i na Księstwo Bukowińskie, gwarancya stanów i wszystkich dóbr tabularnych została uchylona a miejsce jéj zajęło poręczenie stowarzyszonych dóbr, ograniczone do 5% sumy dłużnéj, — zarząd przeszedł do dyrekcyi, wybranéj

przez ogólne zgromadzenie, kontrolę rozciąga rada nadzorcza, również przez ogólne zgromadzenie ustanowiona.

Łączność Towarzystwa z ogółem dóbr większéj własności ziemskiéj i w tym okresie jeszcze zupełnie zerwaną nie została, ogólne bowiem zgromadzenie Towarzystwa składa się z 73 delegatów, wybranych nietylko przez członków instytucyi, ale przez wszystkich właścicieli ziemskich w tabuli krajowéj zapisanych. Jestto pozostałość z czasów, kiedy za zobowiązania Towarzystwa odpowiadał każdy właściciel dóbr tabularnych, bez względu na to, czy zaciągnął w Towarzystwie pożyczkę, czy jéj nie zaciągnął. Dziś, po ustaniu tego poręczenia, pozostawienie wpływu na losy Towarzystwa osobom, nie będącym jego uczestnikami, jest anachronizmem, — zwolniono właścicieli dóbr tabularnych od obowiązków, a pozostawiono im prawa. Wedle art. 1 ustawy, galicyjski Instytut kredytowy ziemski jest stowarzyszeniem większych właścicieli dóbr ziemskich w celu dostarczenia dogodnego kredytu tymże dobrom, pod solidarną gwarancyą wszystkich właścicieli dóbr, którzy do Towarzystwa przystąpili.

Jakiémże tedy prawem mogą w stowarzyszeniu mieć wpływ na jego losy osoby obce, do stowarzyszenia nie należące, żadnego ryzyka nie ponoszące i z instytucyą żadnym zgoła interesem nie związane? Być może, że los instytucyi nie jest im zupełnie obojętny, jako obywatelom kraju, ale o obojętność tę nie mogą być posądzani i inni obywatele kraju, nie dzierżący w swych rękach tabularnéj własności ziemskiéj.

Prawo wyborcze obcym instytucyi żywiołom przyznane jest nietylko bierne, ale i czynne, właściciele dóbr tabularnych, nie będący uczestnikami Towarzystwa, nietylko wybiérają dyrekcyę, ale i sami mogą być powołani do rady nadzorczéj. Posiadanie większéj własności ziemskiéj daje *eo ipso* kwalifikacyę moralną i materyalną do zabiérania głosu w sprawach Towarzystwa i do rozciągania nad jego działalnością kontroli; z chwilą gdy kto przestał być właścicielem dóbr tabularnych, kwalifikacyę tę traci.

Ciekawi byliśmy poznać jak na tę kwestyę zapatruje się p. Ostrożyński, i jak on w tym punkcie ustawę motywuje, jeżeli ją za zasadną uważa i otóż wpływ wszystkich właścicieli dóbr tabularnych na sprawy instytucyi p. Ostrożyński w następujący sposób usprawiedliwia: „Ogólne zgromadzenie nie jest jedynie reprezentacyą członków Towarzystwa, t. j. dłużników, lecz czémś więcéj: jest reprezentacyą zakładu, opiérającego się na dwu czynnikach, na tym, który dla utrzymania się w trudnych dla rolnictwa czasach przy ziemi po ojcach

odziedziczonéj, szuka za tanim kredytem (?), i na tym, który ma funduszów pieniężnych na to dostarczyć, a który dla swego kapitału szuka jaknajwiększego bezpieczeństwa. Że tak jest istotnie, wskazuje na to sam statut, który czynne i bierne prawo wyborcze nadaje każdemu właścicielowi dóbr, bez względu na to, czy jest członkiem lub nie" (fol. 147).

Słuszna to bardzo zasada, aby w instytucyi kredytowéj, reprezentowany był nietylko dłużnik, który szuka kredytu, ale i wierzyciel, który funduszów pieniężnych na to dostarcza; ale jaki zachodzi logiczny związek pomiędzy tą, a prawem wyborczém, biernėm i czynném, przyznaném wszystkim właścicielom dóbr tabularnych?

Autor pomieszał tu pojęcia. Najprzód przeciwstawia reprezentacyi dłużników reprezentacyę zakładu, tymczasem zakład nie jest wierzycielem, ale tylko pośrednikiem pomiędzy dłużnikiem, a wierzycielem, następnie gdybyśmy nawet przyjęli, że zakład jest bezpośrednim wierzycielem, toć przecież nienależący do Towarzystwa właściciele tabularni nie stanowią zakładu.

Na całym świecie, gdziekolwiek uznano za potrzebne, ażeby w instytucyach kredytowych, emitujących listy zastawne, a na wzajemności opartych, obok dłużników i wierzyciele w sposób mniéj lub więcéj rozległy rozciągali kontrolę nad działalnością instytucyi, tam opiekę nad bezpieczeństwem kapitałów powierzono samym wierzycielom, którymi są właściciele listów zastawnych, — w Towarzystwie kredytowém ziemskiém Królestwa Polskiego ustanowiony został w tym celu Komitet właścicieli listów zastawnych; w Galicyi natomiast reprezentacya praw właścicieli listów zastawnych oddaje się w ręce właścieli dóbr tabularnych, z których wielu nietylko listu zastawnego nigdy nie posiadało, ale go może nawet nigdy nie widziało.

Wracając do przerwanego wątku dziejów instytucyi, dowiadujemy się z rozbieranéj książki; że w trzecim tym okresie od r. 1869 do 1892 Towarzystwo wydało 4,432 pożyczki na sumę 125,526,300 złr. i zniżyło stopę procentową z 5% na 4½ tudzież na 4%. W końcu sprawozdawczego roku 1891 niespłacona suma zaciągniętych w Towarzystwie pożyczek wynosiła 77,410,275 złr. 32 cent., na zabezpieczenie których Towarzystwo posiada 3,298 hipotek [1]), wartości 197,136,899 złr., dług zatem Towarzystwa obciąża stowarzyszone dobra w stosunku 35% ich wartości.

---

[1]) W książce p. t. Towarzystwa kredytowe ziemskie, napisanéj również z powodu 50-letniego jubileuszu Towarzystwa przez D-ra Tadeusza Skałkowskiego, ilość hipotek podana jest — 2,140.

Różne projekty, zrodzone w ciągu półwiekowego istnienia instytucyi, a mianowicie założenie przy pomocy Towarzystwa kredytowego ziemskiego instytucyi kredytu długoterminowego dla miast, zamiany instytucyi, z któréj korzysta tylko większa własność ziemska na powszechny zakład kredytowy, dostępny i dla włościan, wreszcie uorganizowanie kredytu na potrzeby kapitału obrotowego, tudzież kredytu melioracyjnego, w wykonanie wprowadzone nie zostały.

Książka p. Ostrożyńskiego daje nam, jak w tytule zapowiedziano, dokładny obraz powstania i półwiekowego rozwoju instytucyi, która bądź co bądź wielkie zasługi dla rolnictwa galicyjskiego położyła, prowadzi czytelnika wiernie przez cały czas dziejów instytucyi, odsłania mu wszystkie dodatnie i ujemne jéj strony, chwile powodzenia i klęski, wtajemnicza go we wszystkie szczegóły życia instytucyi, nie pomija żadnego prawa, jakiém instytucya w ciągu pół wieku się rządziła, ani żadnego projektu, jaki w jéj łonie powstał, dyskusyi, jakie nad projektami były prowadzone, ani losu, jaki je ostatecznie spotkał; czytelnik znajduje tam bardzo bogaty materyał statystyczny, tyczący się nietylko saméj instytucyi, ale i ekonomicznego położenia Galicyi, autor bowiem z wielką starannością wykazuje związek, jaki zachodzi pomiędzy dziejami instytucyi, a historyą kraju całego.

Trudne jednak miałby czytelnik zadanie, gdyby z książki pana Ostrożyńskiego poznać chciał zasady instytucyi, organizacyą jéj kredytu tak czynnego, jak biernego. Stoi temu na przeszkodzie przedewszystkiém system wykładu, przyjęty przez autora, który opowiada wypadki porządkiem chronologicznym, a skutkiem tego zasady nie są oddzielnie grupowane, i koleje, jakie każda zasada w ciągu trwania instytucyi przechodziła, zmiany, którym uległa i jak ostatecznie się skrystalizowała, odszukiwać trzeba w każdym oddzielnym okresie, gdzie one są dość chaotycznie pomieszane.

W ogóle strona dogmatyczna słabo jest rozwinięta w dziele p. Ostrożyńskiego, który zwracał uwagę głównie na koleje losu, przez jakie instytucya przechodziła, tudzież na stronę zewnętrzną, formalną, a mało wnikał w wewnętrzny ustrój instytucyi, w naturę zasad ekonomicznych i finansowych, któremi ona jako zakład kredytowy się kieruje. Z tego wynika, że autor wyszczególnia wszystkie płace urzędników i kancelistów, kiedykolwiek przez nich pobiérane, opowiada praktykowane powszechnie przepisy porządkowe, że na ogólnych zebraniach głosowanie odbywa się przez podnoszenie rąk a wybory kartkami, i w ogóle nader drobiazgowo zajmuje się formami i szczegółami, nie mającemi żadnego zgoła znaczenia, a natomiast bardzo po-

bieżnie traktuje takie zasadnicze kwestye, jak amortyzacyę długoterminowych pożyczek, wycofanie z obiegu listów zastawnych i t. p.

Natomiast ilekroć autor rozbiéra stosunki prawne Towarzystwa, wówczas znać, iż znajduje się w swoim żywiole. Z dokładnością tedy traktowana jest różnica, zachodząca pod względem prawnym pomiędzy pierwotnym statutem Towarzystwa, który wedle autora ma posiadać moc powszechnie, bezwzględnie obowiązującéj ustawy, a późniejszemi jego zmianami, mającemi moc obowiązującą tylko dla osób statutem Towarzystwa związanych, nie zaś dla osób trzecich; tak samo dobrze jest traktowana prawna kwestya hipotecznego zabezpieczenia listów zastawnych przy konwersyi wyższoprocentowych na listy zastawne, opłacające niższy procent i t. p.

Współczesne działanie w Galicyi kilku instytucyi tak krajowych, jak i obcych, udzielających długoterminowego kredytu hipotecznego, mogło dostarczyć sporo materyału do porównania działalności i wpływu tych instytucyi z działalnością i wpływem galicyjskiego Towarzystwa kredytowego; z materyału tego autor nie korzystał, tak samo mogłoby być nader pouczające porównanie z Towarzystwem kredytowém ziemskiém, operującém w granicach Królestwa Polskiego. Autor na instytucyę tę dość często się powołuje, ale nie wówczas kiedy idzie o kwestye zasadnicze, ale tylko przy drobiazgowych. Tak naprzykład przytacza autor fakt, że Towarzystwo kredytowe ziemskie w Królestwie Polskiém udziela wedle uznania dyrekcyi zasiłki swym urzędnikom w razie śmierci ich żon, rodzin i dzieci, lub w innych nadzwyczajnych wypadkach, daléj, że od zalegających w opłacie rat dłużników, pobiéra karę w pierwszym miesiącu ½%, w drugim 1% i tym podobne fakta i fakciki; ale napróżnobyśmy szukali wykazania tak ważnéj różnicy, jaka zachodzi pomiędzy gwarancyą, udzieloną właścicielowi listu zastawnego przez Towarzystwo kredytowe galicyjskie, w stosunku 5% zaciągniętéj pożyczki z zabezpieczeniem hipoteczném, a gwarancyą Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiém, w wysokości nieograniczonéj, lecz bez zabezpieczenia hipotecznego, albo porównania stanowiska, jakie obie te instytucye zajęły w sprawie parcelacyi, któréjto sprawie autor słusznie przypisuje wielkie znaczenie społeczne,

Usterki, któreśmy wytknęli, są może wynikiem programu, jaki sobie autor zakreślił, — zadaniem autora nie było danie dogmatycznego wykładu zasad instytucyi, ale przedstawienie historycznego jéj rozwoju, a z zadania tego należycie się wywiązał.

J. Kirszrot-Prawnicki.

Ks. Dr. Józef Bilczewski. „Maniusz Acyliusz Glabryo“.

Od czasu, jak Rossi zwrócił uwagę świata naukowego na rzymskie katakumby, jako pierwszorzędne źródło do badania pierwszych wieków chrystyanizmu, nabierać poczęły legendowe podania o męczennikach i wyznawcach coraz żywszéj barwy historycznéj, może czasami z ujmą dla aureoli świętości, ale bez kwestyi z pożytkiem dla prawdy dziejowéj. Głównie na nowych odkryciach w katakumbach opiera się rozprawa, którą omawiamy, chociaż autor zużytkował sumiennie także materyał literacki.

Napróżnoby ktoś szukał w podaniach kościelnych, lub w najstarszych kalendarzach i spisach świętych męczennika Maniusza Acyliusza Glabryona. Źródła pisane tyle tylko mówią o nim, że Glabryo musiał r. 91 (po Chr.) na rozkaz cesarza Domicyana walczyć w amfiteatrze z niedźwiedziem, mimo, że piastował wysoką godność konsula. Pokonawszy niedźwiedzia, cofnął się Glabryo w zacisze życia prywatnego, ale jakkolwiek udawał nawet idyotę, przecież Domicyan skazał go na wygnanie, wreszcie na stracenie 95 r., jako spiskującego przeciw porządkowi społecznemu. Wiemy także, że zarzucono mu, iż „przyjął obyczaje żydowskie“; wobec tego jednak, że mozaizm był w Rzymie religią przez rząd ulegalizowaną, niemożliwą jest rzeczą, ażeby Glabryona stracono za przejście na wiarę żydowską, naodwrót nasuwa się przypuszczenie, że był on chrześcianinem, bo chrześcian uważano wówczas za niebezpieczną sektę żydowską. Niedawno odkryte groby familijne Glabryonów w katakumbach dowodzą niezbicie, że konsul z r. 91 był rzeczywiście męczennikiem chrześciańskim podobnie jak współczesny mu, również konsul i bliski kuzyn dynastyi Flawiańskiej—Flawiusz Klemens.

Oto jest krótka treść ciekawéj rozprawy ks. dra Bilczewskiego, więcéj jednak może jeszcze interesujące jest dość ogólne tło historyczne, które autor uważał słusznie za stósowne naszkicować, celem lepszego umotywowania swych szczegółowych wniosków.

Z zajęciem czytamy u ks. B. zarys losów chrześcijaństwa w końcu I i na początku II w. Arystokracya rzymska przyjmowała chętnie zarówno mozaizm jak i chrystyanizm, który od czasu do czasu miał chwile wytchnienia, jak np. za rządów Antoninów. Polyteizm hellenistyczny w oczach prawie dogorywał; powiedzmy raczéj—system społeczny i polityczny na nim oparty dążył ku rdzennéj reformie. Chrystyanizm był wówczas nie tylko reformatorskim wobec państwa, ale w skrajnych swych objawach wprost rewolucyjnym. Znany „ojciec kościoła“ Tertullian wyraźnie głosił, że chrześcian „nic nie obchodzi

państwo“. „My—pisał także, mamy tylko jedną rzeczpospolitą, a nią jest świat cały. Dla kogo każdy jest bratem, dla tego wojna jest największą zbrodnią. Chrześcianie nie są żołnierzami, ale raczéj kapłanami pokoju“. Czytając te słowa—mimowoli zdaje się nam, że mamy przed sobą jakieś zdanie wyjęte z broszury przejętéj na wskroś ideami kosmopolityzmu i „utopiami“ wiecznego pokoju..... ale Tertullian był nawet przez współwyznawców uważany za skrajnego „w gorliwości o dobro wiary“. Większość pisarzy kościelnych, jak Minucyusz Feliks i Klemens Aleksandryjski, zalecała umiarkowanie, ażeby umożliwić rodzinom senatorskim przyjmowanie wiary. Umiarkowany kierunek wogóle zwyciężył—Tertullian mało znalazł prozelitów, za to znajdujemy już w I-ym wieku między chrześcianami takich Glabryonów i Klemensów—jak nie mniéj szereg nie mały pań należących do najwyższych rodów patrycyuszowskich. *Kazimierz J. Gorzycki.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Elementarz wiadomości pożytecznych,** ułożony przez *Henryka Wernica.* Warszawa. G. Centnerszwer. 1893, kart 14. — Książka ta, jak parę jéj podobnych stanowi połączenie nauki czytania z najpierwszym stopniem nauki o rzeczach. Cechą wyróżniająca ją od innych jest, iż tekst do nauki czytania ułożony został systematycznie przez znanego pedagoga p. Henryka Wernica. Zaczyna się wprawdzie od wyliczenia alfabetu małego i dużego, ale z tą przestrogą, iżby nie żądać od dziecka, ażeby je poznało odrazu. Może lepiéj było téj przestrogi uniknąć, kładąc pierwszą stronicę na miejscu ostatniém w książce, albo téż w środku, kiedy już dziecko stopniowo poznało wszystkie kształty; zdaje się, że p. Wernic uległ w téj mierze zanadto tradycyi elementarzy. Dopiéro na drugiéj stronie tekstu rozpoczyna się właściwa systematyczna nauka czytania od ćwiczenia się w poznawaniu samogłosek, ułożonych w następnym porządku: *i*, *u*, *ó*, *e*, *o*, *a*, *y*, *é*, *ą*, *ę*. Ćwiczenie to polega na wyróżnianiu początkowych dźwięków samogłosek w odpowiednio dobranych wyrazach: *i*gła, *u*l, *e*cho. Nie daje autor wskazówki, jak według tego systemu postąpić z *é*, od którego żaden wyraz się nie rozpoczyna, trzeba było poznanie tego dźwięku i litery odłożyć na późniéj, kiedy dziecko nauczyło się już łączyć samogłoski ze spółgłoskami. Uwaga co do samogłosek: *y*, *ą*, *ę*, że trzeba je wydobyć z wyrazów: r*y*ś, b*ą*k, g*ę*ś i t. p. również stosowniéj byłaby położona w miejscu, gdzie już

nastąpiło owo zaznajomienie się z połączeniami dźwięków. Lepiéj podobno operować z początku małą liczbą samogłosek, aniżeli narażać się na trudności i zmianę w metodzie nauczania. Słuszną jest przestroga, żeby położyć nacisk na tę okoliczność, iż brzmienia samogłoskowe dają się przedłużać lub skracać, podwyższać lub zniżać, ale nie należało chyba zbytecznie wyłączać niektórych brzmień spółgłoskowych, które również przedłużać się daje np. *s*. P. Wernic jest naturalnie przeciwnikiem sylabizowania i słusznie wymaga, by przy ćwiczeniu się w połączonych dźwiękach samogłoskowych ze spółgłoskowemi wymawiać całe wyrazy; w układzie atoli tych połączeń zbyt szybko, jak się zdaje, każe postępować, podając już w pierwszym wierszu następne: *ul*, *ule*, *ale*, *ile*, *lulu*, *lala*. To przyśpieszone tempo wykładu spostrzegać się daje i w dalszym ciągu, aż do tego ustępu, kiedy od czytania zgłoskami całych zdań przechodzi się do płynnego ich wygłaszania. Tu p. Wernic postępował bardzo skrupulatnie, bo aż do końca książeczki umieścił w dwu łamach dwa te różne sposoby ćwiczenia się w czytaniu. Pod względem umieszczenia całych zdań złożonych z wyrazów jednozgłoskowych, możnaby się posprzeczać; ćwiczenie takie wypływa z systematu jedynie, ażeby wszystkie poprzednie stadya nauki czytania przejść raz jeszcze w związku zdań; ale dążność ta systematycznie przyzwyczaja niepotrzebnie słuch do brzmień kakofonicznych, od których potrzeba będzie odwodzić następnie przy nauce stylu. Takie zdanie, jak: dziad niósł pęk drew i t. p. jest stylistycznie nieznośném. Należy na pochwałę techniki wykonania powiedziéć, że za pomocą odmiennych czcionek wyróżniono te dźwięki, które w danéj chwili wyróżnić potrzeba przy nauce czytania i że *i* jako znak zmiękczenia oznaczono w samych początkach mniejszą od innych czcionki. Obrazki bardzo dobrze wykonane przedstawiają po kolei: dzieci i ich zabawki, mieszkanie, pokój, sypialny, szkołę, ogród, dziedziniec folwarczny. W każdym obok jakiéjś całostki umieszczono dużo znamiennych szczegółów.

— *Jan Wolfgang Goethe.* **Wilhelm Meister** (obie części), przełożył i wstępem poprzedził Piotr Chmielowski. Warszawa. S. Lewental, 1893, str. XVI, 814. — Po raz to pierwszy w języku naszym wychodzi to dzieło wielkiego poety, w którém on podobnie jak w Fauście złożył najwięcéj myśli swoich i procesów duchowych. Tłómacz starał się w tłómaczeniu nietylko oddać wiernie treść utworu, lecz także i styl jego, o ile to się dało pogodzić z naturą mowy ojczystéj; przetwarzać stylu na tok zupełnie inny nie chciał, sądzęc, iż tym sposobem zatarłaby się jedna z najpoważniejszych cech oryginału.

Znaczna liczba poezyi, znajdujących się w „Wilhelmie Meistrze“ również po raz pierwszy pojawia się w przekładzie polskim; prócz kilku, które już dawniéj były tłómaczone, reszta t. j. większość została obecnie dopiéro przełożona, z zachowaniem najdrobniejszych nawet szczegółów formy.

= *Sewer.* **W cieniu i w słońcu.** Obrazki. Warszawa. T. Paprocki. 1892, str. 387.—Sposób pisania Sewera znany jest czytelnikom „Ateneum“, ponieważ mieściło ono często utwory jego pióra; niedawno jeszcze, bo w 1-ym kwartale bieżącego rocznika mieli czytelnicy sposobność zapoznać się z jego opowiadaniem, przedstawiającém duszę podnioślejszą „w kleszczach“ pospolitości. Zbiór zatytułowany: „W cieniu i w słońcu“ obejmuje także obrazek, może najpiękniejszy ze wszystkich tu zawartych, p. n. „Wiosna“, drukowany również w „Ateneum“ z r. 1889. Przypomniawszy te szczegóły, przejdźmy w krótkości inne składowe części zbiorku. „Nad brzegiem Rudawy“ przedstawia nam stosunki ludności żydowskiéj i chrześciańskiéj na wsi w Galicyi, nie według tego zwykłego szablonu, który każe po jednéj stronie kłaść wyzyskiwanych, a po drugiéj wyzyskiwaczów; lecz z wniknięciem w delikatniejsze i różnorodniejsze odcienie usposobień, poglądów i nawyknień z obu stron. Postać Sary Wałowéj, zabiegliwéj, skrzętnéj, nie bardzo się rachującéj z wymaganiami ścisłéj moralności, ale podobnéj w tem do innych mieszkańców wioski, tylko przebieglejszéj i zręczniejszéj, bardzo szczęśliwie pochwycona została i konsekwentnie przeprowadzona. W jéj pasierbie Zyzmie, którego ona niecierpi, na którego sprowadza przekleństwa rabina, widzimy temperament nerwowy, miarkowany chęcią i umiejętnością zdobywania grosza nie w sposób pospolity, lecz z dodatkiem wyższéj inteligencyi, a przytém z jakiémś zabłąkaném do serca dziwném przywiązaniem do dziewczynki wiejskiéj. Ta postać, w początku bardzo dobrze nakreślona, od chwili usiłowanego samobójstwa z powodu rozbicia się pierwszych planów, znika z widowni i pojawia się po latach kilku w nowéj przemianie zewnętrznéj, ale z niezmienioném pragnieniem pozyskania serca dziewczyny. Wymagałaby ta stałość pierwszych wrażeń czy uczuć wśród nader ruchliwego, jak domyślać się trzeba, życia Zyzmy, subtelniejszego wyjaśnienia. Stosunek natomiast dziewczyny do Zyzmy, mającéj dla niego pewną słabość, ale zą nic nie chcącéj się zgodzić na oddanie mu swéj ręki, gdyż stałaby się pośmiewiskiem całéj wioski, bez któréj żyćby jéj było niepodobna, zupełnie dobrze utrzymany został.—„Pan Piotr“ to starannie wykończony wizerunek człowieka, który dla zaszczytu kłaniania się wielkim panom i paniom, dla zjada-

nia u nich obiadów czy kolacyj oddaje im na usługi swój czas, swój niewielki zresztą spryt, swoją całą osobę—i otrzymuje za to w końcu, gdy wynik wszelkich starań okazał się niepomyślnym, wzgardliwy uśmiech i wypowiedzenie wstępu do salonów. Jest to w szczegółach figura zupełnie nowa w naszéj beletrystyce i wykonana wybornie.—„Konkurs“ daje nam poznać z jednéj strony prawdziwie artystyczny, żywy jak skra, lekkomyślny, poczciwy charakter malarza poszukującego modelu dla namalowania pięknego biustu, a z drugiéj—rutynę pełną uprzedzeń i zastrzeżeń, która naturę nazywa niemoralnością. Całe opowiadanie tętni życiem, zajmuje, bawi i do rozwagi pobudza.—„Pozytywizm w praktyce“ nie zajmuje się doktryną pozytywistyczną, wzięty jest raczéj w tém znaczeniu, w jakiém osoby komedyi swojéj „pozytywnemi“ nazwał Narzymski. Wyrachowanie, pewna oschłość serca, popisywanie się hasłem interesu osobistego, dążenie do gromadzenia grosza—oto zasady, które niby wyznaje Kazimierz, ale które zmieniają swoją szorstką, odstręczającą postać pod wpływem serdecznego uczucia.—Wreszcie „Jedna noc w Londynie“ zapoznaje nas z życiem gorączkowém wielkiego miasta, które wchłania w siebie żywoty jednostek, przetwarzając je w niedostrzegalne niemal kółka olbrzymiéj maszyny, ale w którém mimo to pod działaniem potrzeby wyrabiają się dzielne, świadome zadania swego charaktery.

= *Klemens Junosza*. Wybór pism w X tomach. Tom IV. **Pod wodę**, obraz z życia wiejskiego. Nakładem autora. Warszawa, 1892, str. 224.—W powieści téj mamy nowe przeciwstawienie dwu pokoleń: starszego i młodszego, ale dokonane w sposób odmienny, aniżeli to się robiło przed laty 25-iu. Poprzednio wobec ojców romantyków, niepraktycznych, sercowych, nie umiejących rządzić się groszem, a może go nawet lekceważących, stawiano synów zmuszonych do skupienia sił wszystkich, ażeby wytrwać w danym zawodzie, mówiących, że stłumili w sobie uczucia, by się jedynie rozumem kierować, stawiających dążność do zdobycia majątku jako nieodbitą konieczność wszelkiego rozwoju umysłowego czy wogóle duchowego. Otóż dzisiaj owi praktyczni synowie sami się stali ojcami i doczekali się potomstwa, które przestaje już wierzyć w niezłomną prawdziwość głoszonego przez nich hasła i zaczyna się dopominać o udział serca w sprawach życia społecznego. Oczywiście pokolenie to nie jest i być nie może powtórzeniem jedynie usposobień i nastroju generacyi romantycznéj; przejęło ono i wchłonęło nabytki doświadczenia i nauki; odczuwa wszakże i pojmuje słowa Chrystusowe, że człowiek nie samym tylko żyje chlebem. Ojcem w powieści Klemensa Junoszy jest Sylwester Załuczyński,

człowiek prawy, ale chłodny i wyrachowany, który cały swój wiek męski spędził na pracy i oszczędności, to też dorobił się znacznéj fortuny, pozyskał uznanie sąsiadów, lecz nie miał ich miłości. Żonę swoją, córkę przemysłowca, potrafił łatwo nagiąć do trybu życia, jaki z góry zakreślił; syna atoli i córki nie zdołał według pragnień swoich ukształtować. Były to istoty dobre, posłuszne, czcią go otaczały, lecz miały odrębne swoje poglądy na życie i odmienne od ojca usposobienie. I u syna i u córki odezwało się potężnie uczucie, którego żar ojciec całém postępowaniem swojém przytłumić się starał. Janek mianowicie kształcący się po za domem, w życiu koleżeńskiém znalazł nastrój różny od tego, jaki w domu panował i poddał mu się nie tylko instynktownie, ale też z rozwagą. Stąd powstał rozdźwięk pomiędzy nim a ojcem, ujawniony najprzód w kwestyi małżeństwa. Ojciec chciał go ożenić z panną bogatą, ażeby majątek módz zwiększać coraz to bardziéj; syn zaś pokochał panienkę ubogą, któréj rodzicom musiał udzielić pożyczkę, ażeby się przy lichéj wioszczynie utrzymać mogli. Oczywiście o scenach zmuszania do małżeństwa nie mogło tu być mowy; ale nastąpiło ochłodzenie stosunków. Syn jako dzierżawca jednego z folwarków ojcowskich wywiązywał się najskrupulatniéj z zaciągniętych zobowiązań, ale w domu rodzicielskim pokazywał się rzadko, a ojcu dawał jedynie oznaki uszanowania i dowody posłuszeństwa, ponieważ z ukochaną swoją widywać się zaprzestał. Staremu, choć się serca wypierał, przykro najprzód, a potém boleśnie było doznawać chłodu ze strony syna, bo i w duszy Sylwestra tkwiło przytłumione żelazną wolą uczucie. Stało się ono łącznikiem pomiędzy nim a synem i jego kolegami—nastąpiło wylanie serc i zgoda. Junosza nie chciał wprowadzać ostrych dysonansów do swego utworu; wolał przeciwieństwa usposobień, poglądów i charakterów zlać w jedną harmonijną całość. Być może, przydałoby się w tym względzie trochę więcéj subtelności w przeprowadzeniu procesu duchowego, jaki zachodził w duszy Sylwestra; lecz i w takim stanie, w jakim się obecnie powieść „Pod wodę“ znajduje, ma swoje niemałe zalety i czyta się z prawdziwém zadowoleniem z pewném pogodném uczuciem.

— *Dr Władysław Rabski.* **Asceta,** dramat w 3 aktach. Poznań. 1893, str. 106.—Rzecz tego dramatu dzieje się w małém mieście prowincyonalném; a kollizya polega na starciu się idei i dążeń postępowych z zastarzałą rutyną, z zadowoloną z siebie bezwładnością i z nieszlachetnemi popędami samolubów obłudnych. Żywioł postępowy przedstawia tu doktor medycyny Mulik i żona jego Helena. Złe strony życia małomiasteczkowego rozdzielone zostały pomiędzy różne

osobistości, z których najwydatniejszemi są: Łaszkowski, dzierżawca probostwa, świętoszek pokrywający płaszczykiem pobożności swoje poziome interesa materyalne, oraz Godlewska, pragnąca co prędzéj wypchnąć swą siostrzenicę, Maryę Walewską za mąż. Węzeł działania skupia się w osobie Henryka Olińskiego, którego wuj Łaszkowski chce koniecznie widzieć księdzem, a który poczuwszy w sobie żądze zmysłowe, rozkochawszy Maryę, dręczy się w głębi sumienia, starając się surową ascezą pokonać namiętność. Ponieważ powód, dla którego Łaszkowski popycha siostrzeńca na drogę niewłaściwą jego usposobieniu, nie został wyjaśniony, słów bowiem tegoż o prawdziwém powołaniu Henryka nie można brać dosłownie;—więc téż zatarg z doktorem Mulikiem, chcącym biednego ascetę, wycieńczonego fizycznie i rozdwojonego moralnie, uleczyć, zwracając myśli i pożądania w kierunku stosowniejszym dla jego usposobienia, nie ma szerszéj podstawy społecznéj, nie tłómaczy się nam dość zrozumiale i traci na dramatyczności. Chciał téż autor, jak się zdaje, przenieść punkt ciężkości grozy dramatycznéj na samego Henryka, dając mu w dziedzictwie po rodzicach skłonność do obłąkania, a więc nadzwyczajną pobudliwość nerwów bez odpowiedniéj energii w zakresie woli i czynów. Jest on istotą słabą, zdenerwowaną, łatwo dającą się powodować zarówno doktorowi jak i wujowi: jestto osobistość na wskroś chorobliwa, któréj zachowanie się zapowiada, iż skończyć musi obłąkaniem. Ażeby z takiego materyału wytworzyć postać zajmującą na scenie, potrzeba wielkiego i wytrawnego talentu Ibsena, którego „Upiory“ prawdopodobnie nasunęły młodemu autorowi pierwszą myśl do „Ascety“. Takiego talentu p. Rabski nie złożył jeszcze dowodu, a zadanie swoje utrudnił dobierając Henrykowi opętaną erotyzmem kochankę w Maryi Walewskiéj, któréj postępowanie również nienormalne jak Henryka, różni się od niego swą siłą wybuchową. Ażeby pokierować dramatycznie obłąkańcem bez woli i waryatką z miłości, na to potrzebaby było niepospolitéj siły twórczéj; a i tak i w najszczęśliwszym nawet wypadku prócz zadowolenia klinicznych upodobań pewnéj części czytelników, nie wiem, czyby się dało osiągnąć jakiś donioślejszy wynik artystyczny. Dobrze przynajmniéj, iż autor nie kazał bohaterom swoim zbyt długo bawić na scenie; śmierć Henryka w obłąkaniu z wyczerpania sił i śmierć Maryi z trucizny dobrowolnie zażytéj, uwalnia czytelnika od ich niemiłego widoku. Dr Mulik i jego żona są dość dobrze naszkicowanemi postaciami, a plotkarstwo i intrygi małomiasteczkowe, dokonywane przez różne osoby, nie posiadają wprawdzie rysów jakichś świeżo podpatrzonych, ale nie rażą bardzo nieprawdopodobieństwem. Najsłabszą stroną utworu, prócz dwu postaci kochanków, będzie styl,

nie mający dość siły do wyrażenia uczuć i sytuacyi pełnych grozy, nie posiadający zalety malowniczości nie wyszukanéj, nie deklamacyjnéj trochę, jaką spostrzegamy w mowie Heleny. Struna liryczna odzywa się często; czasami drga dźwięcznie i harmonijnie, wyrażając uczucia prawdziwe, odczute.

= *B. Manassewitsch.* **Die Kunst die polonische Sprache durch Selbstunterricht schnell u. leicht zu erlernen.**—Książka, któréj tytuł podaliśmy, jest częścią obszernego wydawnictwa p. t. *„Die Kunst der Polyglottie“*, mającego na celu rozszerzenie znawstwa nowożytnych języków pośród Niemców. P. Manassewitsch nie szczędzi drugiego już nakładu, ażeby w narodzie niemieckim rozszerzyć znajomość języka polskiego w najprzystępniejszy sposób, t. j. chce on Niemców nauczyć mówić po polsku w celach głównie praktycznych, z tego też stanowiska należy oceniać jego gramatykę. Realny nasz wiek nie każe ludziom uczyć się obcych języków dokładnie dla celów wiedzy, zadowalnia się têm, jeśli mówimy byle jak, ale za to wieloma językami, jakie się napotyka częściéj na międzynarodowym rynku przemysłu i handlu. P. Manassewitsch poprzedza drugie wydanie swéj gramatyki obszerną przedmową, w któréj podnosi także literackie znaczenie polszczyzny; tego rodzaju słowa są jednak dla głównego celu jego gramatyki—eufemizmem; natomiast pojmujemy, jeżeli autor podnosi potrzebę znajomości języka polskiego dla Niemca, *„welcher in einen intimen Kontakt zu der Bevölkerung in den polnischen Provinzen Russlands, Deutschlands und Oesterreichs treten will“*. Stosownie do głównego swego celu uczy gramatyka p. M. przedewszystkiém wymowy polskiéj i wywiązuje się z zadania tego o tyle szczęśliwie, o ile wogóle można było uprzystępnić dla Niemca wymawianie ą, ę, cz, dź, y, ż, ź. Do pomocy w wymawianiu samogłosek nosowych używa autor przykładów z języka francuskiego, przez co gramatyka jego dla Niemca, nie mówiącego po francusku jest mniéj przystępną. Ażeby umożliwić szybkie tłumaczenie ustępów omawia p. M. najpierw „rzeczownik“, następnie—bezpośrednio „czasownik“, a inne imiona, tudzież partykuły przenosi na sam koniec swéj gramatyki. Podział to nienaukowy, ale dla celu gramatyki M. korzystny i praktyczny. Składnią, osobliwie składnią rządu zajmuje się p. M. nader mało, natomiast podaje w praktycznych celach spis nieregularnych czasowników, najzwyklejszych zwrotów mowy polskiéj i przysłowia. Chcąc wydać ogólną ocenę omawianéj gramatyki, nie możemy wymagać od niéj naukowości, tylko musimy zadać sobie pytanie, czy i o ile p. M. zbliża się do celu swego, ażeby Niemców w możliwie najkrótszym czasie nauczyć

po polsku mówić. W porównaniu z tego rodzaju gramatykami, uczącemi języków zachodnich, ma gramatyka p. M. wiele braków, dla tego głównie, że nie uczy języka od razu na przykładach, ale najpierw zaznajamia swych uczniów z zasadniczemi formami gramatycznemi, które w znanych naszéj publiczności gramatykach polsko-francuskich Ahna, lub Ollendorfa wypływają powoli z przykładów, przeznaczonych do tłumaczenia. Mimo to nie możemy odmówić gramatyce p. M. wszelkich zalet, przeciwnie sądzimy, że przy pewnéj pomocy może każdy Niemiec z niéj wiele skorzystać. *K. I. G.*

— *H. Herkner.* **Die sociale Reform als Gebot des wirthschaftlichen Fortschrittes.** 1891.— *G. Schulze-Gävernitz.* **Der Grossbetrieb, ein Wirthschaftlicher und sozialer Fortschritt. Eine Studie auf dem Gebiete der Baumwollindustrie.** 1872.—Lujo Brentano zwolna wytworzył całą szkołę w ekonomii politycznej, która z jednéj strony wciąż ściera się z teoretykami socyalizmu przewrotowego, z drugiej zaś usiłuje skreślić prawdopodobny bieg dalszy rozwoju ekonomicznego i wyznaczyć możliwe i niezbędne reformy społecznego. Brentano jest dzisiaj w Niemczech rodzajem „anglomana“ ekonomicznego i w stosunkach produkcyjnych Anglii widzi przyszłość, ku któréj zmierza każde inne społeczeństwo. Wielki przemysł,ześrodkowany w coraz mniejszej liczbie posiadaczy, i obrócenie ludności w szeregi najemnickie są to jego zdaniem nieodwołalne podstawy dalszego postępu. Atoli właśnie w téj konieczności historyczno-ekonomicznéj spostrzega on potężną dźwignię postępu. Na pewnym szczeblu rozwoju technika wielkoprzemysłowa poczyna wymagać od najemnika pewnych właściwości duchowych, które możliwemi są jedynie przy skracaniu bezustannêm dnia pracy i podwyższaniu skali zarobkowéj. Otóż wymienione dwie książki są poświęcone dalszemu opracowaniu tych idei. Herknera książka nosi charakter teoretyczny. Usiłuje on dowieść, że reforma społeczna, wytknięta w swoim kierunku przez prawodawstwo fabryczne, a dążąca do skrócenia dnia roboczego i za pomocą związków zawodowych regulowania płacy, jest dzisiaj przykazaniem już nie etycznéj, ale ekonomicznéj natury. Niska płaca dzisiaj już zwraca się przeciwko zaślepionym przemysłowcom i staje się jedną z zawad główniejszych dalszego postępu technicznego, dla którego formą najodpowiedniejszą zdaniem Herknera pozostanie własność prywatna z inicyatywą taką samą. Schulze-Gaevernitz usiłuje te same założenia uzasadnić na przykładzie dziejów przemysłu bawełnianego angielskiego. Stara się wykazać, że stan, przedstawiony przez Marxa w *Kapitale*, był tylko przejściowym i że teraz przemysłowiec angielski zrozu-

miał, iż skrócenie dnia pracy i podniesienie zarobku nie tylko nie zmniejszają zysków, ale owszem zwiększają je, bo podnoszą napięcie wysiłku ludzkiego i umożliwiają uwagę, jakiéj wymaga od robotnika nowoczesna maszyna. Nie te kraje, gdzie zarobek jest najniższy, lecz te, gdzie stoi on na najwyższym poziomie, wyrabiają produkt najlepszy i najtańszy. Książka Gaevernitza bezwarunkowo zasługuje na poznanie. Autor jéj jest dzisiaj bezwarunkowo najwybitniejszym rzecznikiem tego kierunku ekonomicznego, który ukazał się na tle sądów polubownych pomiędzy pracodawcami angielskiemi a arystokracyą robotniczą *trades-unionów* i stanowi podstawę politycznéj partyi gladstonistów *par excellence*. *L. K.*

= *Charles Letourneau:* **Evolution mythologique dans les diverses races humaines.** Paris 1892 r. Od lat sześciu z pod pióra badacza francuskiego ukazuje się jakaś nowa „Ewolucya.“ Płodność ta okupiona jest przez względnie niską wartość utworów, ale chyba żadna książka Karola Letourneau nie zachodzi tak daleko pod tym względem, jak obecnie wydana. Zagadnienia, poruszone przez tego socyologa, stanowią przedmiot poszukiwań licznéj rzeszy folklorystów, którzy, zwłaszcza w obrębie Indyan Ameryki północnéj i Australii, nagromadzili niezwykle cenny materyał faktyczny; dodajmy do tego kilka monografii w zakresie krajowców syberyjskich, murzynów Afryki, ludów oceanu Spokojnego. Otóż wszystkie te dobytki, zebrane niekiedy przez ręce bardzo umiejętne i skrupulatne, pozostały dla Letourneau tajemnicą, i nadaremnie poszukiwalibyśmy w jego dziele jakiejś cytaty z tych licznych prac. Cały postęp, dokonany przez etnografię, w ciągu ostatniego dwudziestolecia, zgoła nie istnieje dla autora nowéj „Ewolucyi.“ Opiéra się on przeważnie na opowiadaniach dorywczych podróżników, po większéj części francuzów, odznaczających się częstokroć jaknajwiększą lekkomyślnością w podawaniu faktów. To téż wymieniona książka, mimo swojéj dość znacznéj objętości, posiada bowiem z górą 600 stronic, nie tylko nie dorzuca czegoś nowego do nauki, ale nawet nie stoi na poziomie obecnéj wiedzy. Faktów nagromadził autor mnóstwo, ale wszakże nie ilość, lecz jakość ich rozstrzyga o wartości i znaczeniu! I zanim się powołuje na fakt jakiś, należałoby go uprzednio zbadać i ocenić należycie, jak tegoczesny historyk czyni z podaniami kronikarskimi. Układ nowéj książki i ogólne stanowisko są takie same jak we wszystkich dotychczasowych pracach Letourneau. „Pomimo różnic w barwie skóry, budowie twarzy, formie czaszki, ludzie, pod względem mitologicznym, odbywali jednako ewolucyę, byli igraszką tych samych złudzeń, wo-

bec nieznanego w świecie i życiu znaleźli te same rozwiązania dziecinne; wszyscy wyszli z tego samego punktu, szli tą samą drogą — z jedną różnicą, że jedni zaszli daléj, inni zatrzymali się bliżéj.“ W skreślenie istoty tego rozwoju w rozumieniu socyologa francuskiego nie zapuszczamy się, zaznaczymy jedynie, że ją rozpatruje według sztucznie ułożonych szczebli rasowych, od australczyków i murzynów po przez Mongołów do ludów semickich i aryjskich. *L. K.*

= Cesarski warszawski uniwersytet ogłasza następujący **Temat,** podany przez fakultet prawny, dla współubiegających się o premium im. Adama Chojnackiego, w latach 1893—1895, za dzieło popularne, mające na celu oświatę ludu: „O oszczędności, o kasach i stowarzyszeniach oszczędnościowych i pożyczkowo-oszczędnościowych.“ Główniejsze warunki konkursu: Nagroda konkursowa wynosi 900 rs. Dzieło powinno być przedstawione najpóźniéj 18 (30) kwietnia 1895 roku. Powinno być napisane w języku ruskim i przez ruskiego poddanego; może być drukowane, albo przedstawione w rękopisie, ale napisane porządnie i wyraźnie. Pozostawia się do uznania autora ogłoszenie drukiem nagrodzonego dzieła w języku ruskim lub polskim.



NEKROLOGIA.

† **Bliziński Józef** urodził się w Warszawie 10 marca 1827 roku i tu ukończył gimnazyum gubernialne, otrzymawszy patent w r. 1843; następnie uczęszczał przez rok jeden na t. zw. „kursa prawne.“ W r. 1845 przeniósł się na wieś do odziedziczonego majątku w powiecie włocławskim i oddał się gospodarstwu. Pierwszym jego występem w literaturze był obrazek dramatyczny w 1 akcie, wierszem napisany p. t. „Imieniny“, drukowany w „Gazecie Codziennéj“ za redakcyi Kraszewskiego w r. 1860. Nastąpiła potém w zawodzie komedyopisarskim przerwa jedenastoletnia, zapełniona drobnemi powiastkami i humoreskami, drukowanemi w różnych czasopismach, a mianowicie w „Tygodniku ilustrowanym“, jako to: „Wyprawa pana Prota“, „Uprzedzenie sąsiedzkie“, „Sprawa honorowa“ i t. p. Dopiéro w r. 1871 ukazuje się w „Gazecie Polskiéj“ druga z kolei komedya p. t. „Przezorna mama“ (w 3-ch aktach prozą), w r. 1873-im jednoaktówka: „Marcowy kawaler“, która się zaraz dostała na scenę i zrobiła imię Blizińskiemu. W r. 1874 wyszła znowu jednoaktówka: „Ojczulek“, przerobiona późniéj na dwuaktową komedyę p. t. „Uczuciowi“. Z roku 1875-go pochodzi komedyjka jednoaktowa: „Chléb ludzi bodzie“, grana p. t. „Mośkowe swaty“. W r. 1876-ym przeniósł się ś. p. Bliziński do Galicyi, gdzie nabył wieś Bóbrkę w pow. liskim i przebył w niéj lat 12, walcząc z kłopotami gospodarskiemi, układając dopełnienia do Słownika Lindego (kilkanaście tysięcy wyrazów); w lipcu wreszcie r. 1888 przenieść się musiał na stałe mieszkanie do Krakowa. Czas ten, pomimo kłopotów i zawodów, był chwilą, w któréj ś. p. Bliziński stworzył najlepsze swoje komedye. W r. 1877 na konkursie dramatycznym krakowskim premiowano jego 4-aktową komedyę: „Pan Damazy“, która i w Warszawie miała

wielkie powodzenie i stanowi niewątpliwie najcelniejszy utwór zmarłego pisarza. W r. 1878 nastąpiła jednoaktówka: „Mąż od biédy“; w r. 1881 pojawiła się 4-aktowa komedya: „Rozbitki“. Z r. 1883-go pochodzi nowa jednoaktówka: „Ciotka na wydaniu“, a z r. 1886-go 4-aktowy „Szach i mat“. W tymże roku do współki z Zygmuntem Sarneckim napisał komedyę: „Lekkoduch“. W r. 1887 dał jednoaktówkę „Mąż w drodze“, a w r. 1889-ym: „Dziką różyczkę“. Ostatnią jego komedyą jeszcze nie drukowaną i u nas nie graną jest „Chwast“. Wszystkie jego postacie odznaczają się swojskością, prawdą, tchną życiem. Powiastek ś. p. Blizińskiego mamy trzy zbiory: „Dziwolągi“ (1876), „Nowe humoreski“ (1885), „Nowele-humoreski“ (1890); w tym rodzaju twórczości mniéj był szczęśliwym. Z prac, jakie podjął celem dopełnienia Słownika Lindego, nie zdołał ogłosić żadnéj większéj całości; wydał tylko broszurę, mającą znaczenie praktyczne, p. t. „Barbaryzmy i dziwolągi językowe“ (1888 r.). Zmarł w Krakowie 29 kwietnia 1893 r. na zapalenie płuc, budząc żal powszechny. Pogrzéb odbył się z wielką uroczystością.

† **Dargun Lotar**, profesor zwyczajny prawa niemieckiego w uniwersytecie jagielońskim na wydziale filozoficznym, gruntowny i bystry badacz prawa, urodzony w Opawie, na Szląsku austryackim 1853 roku, gimnazyum kończył w Krakowie, uniwersytet w Wiedniu; czas jakiś studyował w Berlinie; zmarł w Krakowie 29 kwietnia r. b. w wieku lat 40. Wielka to strata dla nauki. Pisał po niemiecku i po polsku. Z r. 1882 pochodzą jego rozprawy: „*Zum Problem des Ursprungs der Ehe*“ (Brunświk), „O pokrewieństwie przez same tylko matki u dawnych Germanów“, „Prawo frankońskie“; z r. 1883-go: „*Mutterrecht und Raubehe*“ (Wrocław), „O zastosowaniu etnografii do historyi prawa“; z r. 1884: „*Ursprung des Eigenthums*“ (Stuttgart), „*Arbeitskapital*“ (Tubinga), „O zabezpieczeniu robotników“; z r. 1885: „*Egoismus und Altruismus in der Nationaloekonomie*“ (Lipsk); z roku 1886-go: „Dr. Wilken: *De vrucht van de beofening der ethnologie*“ (Lejda); z r. 1888: „O źródłach przepisów karnych w dziełach Groickiego“, z r. 1889: „O zabezpieczeniu robotników w teoryi i najnowszém ustawodawstwie“, z r. 1891: „O rodzinie pierwotnéj“ (w „Ateneum“, zeszyt listopadowy i grudniowy).

† **Węclewski Stanisław**, brat znakomitego filologa klasycznego Zygmunta, nauczyciel gimnazyum w Chełmnie, zmarł we Wrocławiu 6 kwietnia. Główniejsze jego prace są: „*Ueber das polnische Lautsystem*“ (1852), „*De Polonorum cultu et humanitate XVI et ineunte XVII saeculo exteris testibus et arbitris advocatis*“ (1858), „*Simon Maritius. Ein Beitrag zur Culturgeschichte Polens*“ (1867). Prócz tego

wydał krytycznie z objaśnieniami „Flisa“ Klonowicza (1862) i „Sielanki“ Szymonowicza (1864).

† **Edward Maryan de Galli**, urodzony w r. 1813, kształcił się w liceum krzemienieckiém, a następnie wszedł do akademii medycznéj w Wilnie 1834 r., którą ukończył z dyplomem doktora medycyny i chirurgii. Osiadł potém na wsi w Wołosowie, blisko Żytomierza, ale niebawem przeniósł się do samego Żytomierza, gdzie przebywał lat 40. W r. 1842 wydał w Wilnie trzytomowy zbiór „Pism“ swoich; pierwszy zawierał obrazki i rozprawki: „Ines de Castro“, „Gorączka“, „Lekcya anatomii serca“, „Fatalizm i duch“, „Szkic filozofii greckiéj“, „Paracels“; w tomie drugim mieściły się poezye, a w trzecim dramat „*Torquato Tasso*“. Tegoż roku, również w Wilnie wyszła jego praca p. t. „Tymofiej Chmielnicki“, fragment historyczny z XVII stulecia. W r. 1847 ukazały się dwutomowe „Pamiętniki moich przyjaciół“ (Wilno). Był członkiem towarzystwa lekarskiego wołyńskiego i w r. 1861 ogłosił w Żytomierzu „Sprawozdanie z czynności“ tegoż. Wydał także w Żytomierzu rozprawę p. n. „Tojeść syryjska“ (*Asclepias syriaca*), roślina włókno dająca, o jéj uprawie u nas i użyciu w rękodzielniach,“ Do rozprawy Gustawa Belkego „O szarańczy“ dodał swoje przypisy (Żytomierz, 1860). Był dobrym mineralogiem i miał kolekcyą minerałów, zwłaszcza gub. wołyńskiéj. Był także amatorem i znawcą malarstwa i zebrał cenną galeryę obrazów. Zmarł nagle na atak sercowy 14 kwietnia r. b. w Żytomierzu.

† **Wołyński Artur** urodził się w Warszawie 1844 r., kształcił się w uniwersytetach francuskich i włoskich, w r. 1867-ym za rozprawę o Orygenesie otrzymał stopień doktora filozofii, od r. 1870 osiadł we Florencyi. Zainicyował i uskutecznił myśl założenia muzeum Kopernika w Rzymie. Wydobył z archiwów wiele szczegółów do życia Kopernika i Galileusza. Prócz licznych artykułów w czasopismach, wydał osobno: „*De Sibyllis seu ethnicorum pro christiana religione testimonium*“ (1870), „*Lettere inedite a Galileo Galilei*“ (1872), „*Cenni biografici di Nicolo Copernico*“ (1873), „Kopernik w Italii“ (t. r.), „*Relazioni di Galileo Galilei colla Polonia*“ (t. r.), „*La diplomazia toscanae Galileo Galilei*“ (1874), „Dwukrotny proces Galileusza“ (1885). Zmarł w Rzymie w końcu kwietnia.

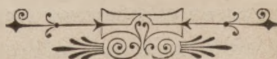
† **Wilamowski Cezary**, antykwaryusz, założyciel dwutygodnika „Przegląd archeologiczno-bibliograficzny“, który od r. 1881 przez lat kilka wychodził.

† **Holewiński Wacław**, urodzony w Kielcach 1844 r., ukończył kurs nauk przyrodniczych w Szkole głównéj ze stopniem magistra, oddał się następnie dziennikarstwu, będąc spółpracownikiem pism co-

dziennych i tygodniowych, mianowicie „Przeglądu Tygodniowego“. Przez czas jakiś wydawał czasopismo specyalne: „Gorzelnictwo i piwowarstwo“, również czasowo był współwłaścicielem „Kuryera Codziennego“ i właścicielem „Wędrowca“. Rozpraw obszerniejszych pozostawił niewiele: „Zasługi Kopernika wobec cywilizacyi“, „Czary w Polsce“, „Życie i sprawy Teodora Tomasza Jeża” (1882 r. w dodatku miesięcznym do „Przeglądu Tygodniowego“). Od lat kilku ciężkie cierpienia nie dozwoliły pracować dalej. Zmarł w mieście rodzinném w pierwszéj połowie kwietnia.

† **Zieliński Ludwik**, syn Władysława Kornela, urodził się roku 1867 we wsi Kłodnicy Dolnéj w gub. lubelskiéj, kształcił się we Lwowie, przybywszy do Warszawy, oddał się pracy dziennikarskiéj, głównie w „Wędrowcu“. Zmarł w Warszawie w początku kwietnia.

† **Kosiński Adam Amilkar**, urodzony w r. 1814, pierwotnie był nauczycielem prywatnym i wtedy pisywał mnóstwo powieści, które wielką cieszyły się poczytnością. W zbiorowém wydaniu wyszły naprzód: „Powieści i opowiadania żołnierskie” (3 tomy, 1845 r.), a potém „Powieści z dziejów polskich“ (3 tomy, t. r., Warszawa), „Powieści staroszlacheckie“ (3 tomy, 1847), „Ostatni książęta mazowieccy“ (3 tomy, 1853), „Czarno i biało”, „Krew hetmańska“, „Dziecię królewskie“, „Magnaci i szlachta”, „Miasta, wsie i zamki“, „Obrazki dawne i tegoczesne“, „Powieści i legendy“. Zrażony krytyką, która wykazała, że niektóre z opowiadań swoich brał z autorów francuskich. Powieściopisarz usunął się z widowni literackiéj i ożeniwszy się osiadł jako obywatel ziemski w okolicach Częstochowy. Pod koniec życia przeniósł się do Warszawy i od r. 1877 zaczął wydawać „Przewodnik heraldyczny“, którego do r. 1885 wydał tomów 5. Zmarł w Warszawie 24 kwietnia r. b.

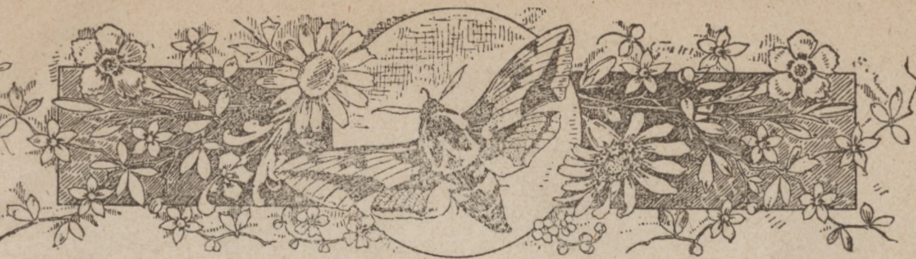


SPROSTOWANIE.

Str. 281 w sonecie „Dań morza“, w wierszu 1-ym, zamiast: *na burze* powinno być: *nieraz*.

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Мая 1893 г. — Druk Jana Cotty.



Z FAL ŻYCIA.

Do swéj pieśni.

Piosenko ty moja, tak długo za echem
Błąkałaś się smutna i łzawa,
A głuchém milczeniem, lub chłodnym uśmiechem
Najbliższa ci dusza oddawa.

Więc zamkniem się z sobą i z własnych popiołów
Odgrzebiem iskierkę przyszłości,
Aż boleść, co cięży na piersi jak ołów,
Roztopi się w ogniu miłości.

I wstaniem znów silni bogactwem duchowem,
Co losów zwierzyła nam ręka;
O ciężkich godzinach nikomu ni słowem;
Ból taki spojrzenia się lęka.

Z łez, ze krwi powoli wyleją się zwrotki
Téj pieśni, o którą świat woła,
Jak wiosną błyskają przylaszczki, stokrotki
Pod tchnieniem Młodości anioła.

Lament.

(Z motywu ludowego).

Była ona młodziuteńka,
Była ona śliczniuteńka

I rzuciła nas;
Była ona robotnica,
Była ona pomocnica,
Odeszła nie w czas.
Była ona czyste złoto,
Pomagała nam z ochotą;
Teraz oto idą żniwa,
Wstańże, matko nieszczęśliwa,
Wydobądź twój sierp:
Stare kości chyl, nieboże,
Młoda córka nie pomoże,
Bóg tak chciał — więc cierp.
Była ona urodziwa,
Była ona szczebiotliwa
Jako w gaju ptak;
A dziś — codzień kto powita?
Kto o zdrowie babkę spyta?
Kto upieści tak?
Pójdą długie dnie, tygodnie,
Nim twój, matko, żal ochłodnie,
Zanim otrzesz łzy:
Twojéj doni, twojéj miłéj
Nie zapomnisz do mogiły,
Nie zapomnisz ty!
W naszym sadzie był to kwiatek,
A nie rozkwitł — oj!
Zazdrościła każda z matek,
Krążył chłopców rój. —
A my płótno przędli, tkali,
Na wyprawę gotowali,
I czekali, że do chaty
Jasny miesiąc przyjdzie w swaty,
Jasny miesiąc sam;
Pan—królewicz gdzieś z za morza,
Bo go zwabi nasza zorza;
Oj nie zorza — krasa doni,
Że królewicz się pokłoni
O nią do nóg nam.
Pogardziłaś naszém wianem,
Ojcem, matką i młodzianem

I ciszą tych ścian;
Teraz trumna twoja chata,
A za posag jedna szmata,
A robak twój pan.
Ni z drużkami ci tańcować,
Ni na łanie ci przodować,
Ni korowaj piec.
Piasek skryje młode oczy,
A czerw brzydki pierś roztoczy,
Już matce nie strzedz!
    Nie ustrzeże cię nikt, miła!
    Ach, coś ty nam uczyniła?
    Czyż tobie nie srom?
    Że ot matka z bólu wyje,
    Ojciec czołem w trumnę bije,
    Taki pusty dom?
Tłumem schodzą się dziewczęta,
Stroją Zośkę jak od święta;
Splotły rutę i barwinek,
I na wieczny odpoczynek
Przystroiły ją.
Oj-że żal nam, żal niezmierny!
Bądź ty Boże miłosierny
Nad duszyczką tą.
Na wysokiém twojém Niebie,
Niech przygarnie ją do siebie
Twych Aniołów rój.
Nie ma ciebie, nasza lubko,
Oj dziewczyno, oj hołubko,
Nie ma ciebie — oj!

W łodzi.

Wieczór cichy. U stóp góry
Widzę drżącą łódź.
Łódko chyża, wód lazury
Spiesz twą piersią pruć.
    Cicho; kąpią srebrne zdroje
    Góry skalny zrąb:
    Łódko chyża, weź nas dwoje,
    Nieś na siną głąb'!

Posłuchała -- z wioseł skrzele
Wzięła — w dal się rwie:
Jak mi błogo, mój Aniele,
Patrzéć w oczy twe.
Łódka piersią nurt przecina,
Za nią piany smug:
Cichych marzeń to godzina,
A jam u twych nóg.
Kwitną lilie, kwitną białe,
Wietrzyk z cicha dmie;
Serce smutne i zwątpiałe
Tu znów marzyć śmie.
Kocham ciebie, kocham ciebie!
Tę pieśń wiatr mi gra,
A z tych złotych gwiazd na Niebie
Wtórzy każda skra.
Patrzę w ciebie, mój Aniele
I łzy w oczach mam:
Bo iść razem hardo, śmiele
Nie sądzono nam.
Kocham ciebie! szemrzą trzciny
Wzdłuż wybrzeży w dal;
Kocham -— szemrze odmęt siny
Połyskliwych fal.
Białe lilie chylą czoła
Zasłuchane w śpiew:
Może na nie ktoś téż woła
Z fal? z powietrznych stref?
Mrok gęstnieje, mgła się ściele,—
Razem nie iść nam...
Patrzę w ciebie, mój Aniele,
I łzy w oczach mam.
Korną prośbę mam w źrenicy,
Na mych ustach drży:
Mój Aniele jasnolicy,
Czy mię pojmiesz ty?
Chwila mija, życie ginie
Śród bolesnych prób;
Jedno tylko nie przeminie,
Co przytwierdzi grób.

Ty mnie utul na twém łonie,
W tchnieniu ust twych skąp; —
Ruńmy razem w ciche tonie,
W modrą, szklaną głąb'!

Usta.

Usta, usta purpurowe,
Co za czar z was tchnie?
Wy łagodne i surowe
I natchnione i zmysłowe,
Usta, usta purpurowe,
Czemu o was śnię?

Róża wznosi kraśną głowę,
Rój pszczół ku niéj mknie.
Chcą nektary pić miodowe
W krótkie lotne dni czerwcowe.
Usta drogie, purpurowe,
Czemu o was śnię?

Tam, gdzie Ganges wre spieniony,
Rośnie dziwny kwiat:
Ledwo dotknie mu korony,
Ginie owad pochwycony.
Usta! do was przytulony
Konałbym tak rad!

Usta, widok wasz oszala!
Błogi, kto was tknie;
Lecz ten męki czuł Tantala,
Komu żądza pierś przepala,
A on patrząc wiecznie zdala,
Znał was tylko w śnie.

Pytanie.

Po co kwiat kwitnie? Mówią — aby w ziarnie
Wypłacił ziemi to, co wziął z jéj łona;
A w sercu ludzkiém miłość i męczarnie
Po co? By nowe powstały plemiona?

Ziarna? Plemiona? Jakiż cel ich w końcu?
Co one sobie, co światu przynoszą?
Dokąd zdążają? Ku jakiemu słońcu?
I za co takie jarzmo cierpień noszą?
Wszak przyjdzie chwila, kiedy zgaśnie słońce,
Zdrętwieje ziemia dziś kwieciem okryta;
Wobec wieczności niczém lat tysiące —
Duch je przebiega i: „Co wówczas?“ pyta.
A oneż kwiaty zniszczone przedwcześnie,
Burzą, lub płochą ręką codzień rwane?
A w sercu piewców niedosnute pieśnie?
Geniusze w walce znękane, złamane?
Ach, tak bez przerwy w jęków huraganie,
Co pod nieb stropem i ryczy i szlocha,
Wiecznie powraca to samo pytanie:
Poco kwiat kwitnie? Poco człowiek kocha?

Tęskna.

Z nastaniem wiosny zakwitł bez,
Czekałam cię stęskniona:
W oczach mi drżały krople łez,
Serce się rwało z łona;
Lecz czas wszystkiemu znaczy kres
I wiosna uleciała...
Nie było cię — przekwitnął bez
Tęsknota pozostała.
Ja śniłam znów, że róży woń
Przynęty ma niezłomne;
Że o twą pierś mą oprę skroń
I tęsknic mych zapomnę;
Lecz przekwitł jaśmin, bledną już
Szkarłaty róż jaskrawsze...
Nie było cię w godzinie róż
Ja kocham, tęsknię zawsze.
I przyjdzie jesień, zżółknie liść,
Wiatr jęknie, kwiaty posną;
Czyliżbyś wówczas ty miał przyjść,
Jeśliś nie przyszedł wiosną?

Na ziemię zimny padnie szron
I resztki życia zwarzy;
Lecz serce me, choć blizki skon,
O tobie zawsze marzy.

Cicha.

Ty nie tul do ust ręki mojéj,
Bo nie wiész, ile ta pieszczota
Goryczą serce moje poi,
Jaki żal duszą moją miota.
Dla ciebie zwyczaj to bez treści,
Który wypełniasz obojętnie,
Lecz co innego w nim się mieści
Dla mnie, co kocham cię namiętnie,
Lecz kryć się z tém i milczéć muszę,
Bo wyrok świata na niemotę
Nas skazał, choć nam dano dusze
Zdolne czuć miłość i tęsknotę.
Ty nie wiész, wzrok twój nie dostrzega,
Ani zrozumiéć jesteś w stanie,
Jak tęskno oko me wybiega
Źrenicy twojéj na spotkanie;
Że niby więzień, co z za kraty
W smudze lazuru tonie okiem
I na nią składa marzeń światy,
Ja żyję tylko twym widokiem;
Że głos twój na me serce działa
Jak najpiękniejszéj ton piosenki
I że tak bardzo, takbym chciała
Przycisnąć usta do twéj ręki...
I żal mię bierze, iż wam życie
Wszystkie puhary hojnie chyli,
Nawet to, czego nie cenicie,
Jak towarzyski ten przywiléj.
Komu się pienią uczt kielichy,
Niech bierze całus ust płonących
Całunek ręki to hołd cichy
Serc beznadziejnych i tęskniących.

Więc go zostawcie nam, w mogiły
Niosącym uczuć tajemnice,
Niby kosztowne kruszcu bryły,
Skryte w głąb ziemi gdzieś w ciemnice.
Tym kwiatom, którym los zazdrosny
Nie dał rozkwitać w blaskach słońca,
Dajcie choć jeden powiew wiosny,
Choć jeden srebrny błysk miesiąca.
Więc nie nieś do ust mojéj ręki
I niech się serce nie rozżala;
Niech głosu twego drogie dźwięki
Pieszczą me ucho tylko zdala.
Ja się przed ludźmi zdradzić boję
Bo nuż mi kiedy łzy z ócz trysną
I mimowoli usta moje
Do ręki twojéj się przycisną?

Lilia.

Niech ja przed tobą zawsze cicha,
Niech pozostanę zawsze biała —
Cóż stąd, że serce k'tobie wzdycha,
Gdy wola milczéć mu kazała?
Cóż stąd, że usta twe mię nęcą?
Że na ich widok krew mi gore,
Gdy — czego prawa nie uświęcą —
Ja nie chcę brać i nie zabiorę?
Cóż stąd, że chciałabym w zachwycie
Na łono tulić cię stęsknione?
Ja kocham gwiazdy na błękicie,
Choć wiem, jak od nas oddalone.
Lecz nie mów mi, żem obojętna:
Krew ojca wiń, że taka dumna;
Że choć-by stargać serca tętna
Muszę stać prosto jak kolumna.
Wiem, czém jest nosić ogień w łonie;
Ku szczęściu zrywam się spragniona,
Lecz gdy przez fałsz mam sięgnąć po nie,
Dłoń ma opada odrętwiona.

I czego życie mi nie dało,
Ja niechcę brać, o druhu miły!
Więc gdy mię wspomnisz —wspomnij białą,
Cichą, choć smutną do mogiły...
Lecz kiedy troska cię zamroczy,
Gdy duch śród zwątpień się zachwieje,
Ja z łez ociérać twoje oczy,
Ja będę w serce lać nadzieję.
Gdy noga twoja się pośliźnie,
Gdy z bólu jękną usta twoje,
Ja przyjdę — rany twe zabliźnię,
Piosenką ducha uspokoję.
Boleści koić mnie przystało;
To udział nasz przez wieków wieki.
Więc gdy mnie wspomnisz—wspomnij białą
I pobłogosław mnie — dalekiéj...

Rozstanie.

Cicho. — Nic nie mów — i pieczęć pieszczoty
Na ustach moich pozostaw na wieki,
Dziś, gdy się rozwiać masz niby sen złoty
I w świat odlecić daleki — daleki...

W tym dniu tak drogim, ach w tym dniu ostatnim,
Co mi się jeszcze jak jutrzenka złoci,
Pozostań duchem czystym, jasnym, bratnim,
Zostań promieniem światła i dobroci.

Abym mógł kiedyś, kończąc życia mękę
I cichy idąc pod trumienne wieko,
Błogosławiącą zanucić piosenkę
I unieść obraz twój pod mą powieką.

Adam M — ki.





DYABEŁ W POEZYI.

Studyum historyczno-literackie *).

3. Eklektycy i nowatorzy.

Eklektyzm. — Jego przyczyny. — Romantyzm niemiecki. — Chateaubriand: „Męczennicy“ i „Natchez owie“.—Grabbe: „Don Juan i Faust“. — Lenau; „Faust“. — Madach. „Tragedya człowieka“. — Flaubert: „Kuszenie św. Antoniego“. — Dyabeł symbolem wiedzy. — Epigonowie demonicznéj poezyi Byrona. — Carducci: „Hymn do szatana“. — Baudelaire: „Litania do szatana“. — Demonizm u dekadentów. — Dalsze modyfikacye bajronowskiego typu. — Leconte de Lisle: „Tristesse du diable“.—Lermontow: „Demon“.—Dyabeł erotyczny. — De Vigny: „Eloa“. — Nowatorowie.—Teofil Gautier: „Larme du diable“. — Soumet: „La divine epopée“. — Immermann: „Merlin.“—Quinet: Merlin l'Enchanteur.—Drobne utwory romantyczne: Victor Hugo: „La fin de Satan“. — Jules Bois: „Gody szatana“. — Powrót do nieba.—Teraźniejszość i przyszłość poezyi demonicznéj. [1])

Proces stopniowego uszlachetniania się typów dyabła w poezyi był tylko odbiciem ogólnego rozwoju umysłowego ludzkości. Każdy wiek, jak słusznie powiada Brandes, malował Lucyfera na obraz i podobieństwo swoje. Im bardziéj w danéj epoce i spo-

*) Zob. „Ateneum“ zeszyt marcowy r. b., str. 425.

[1]) Literatura: Sainte-Beuve: „Portraits“, „Chateaubriand et son Groupe litteraire“. Vinet: „Etudes sur litterature française du XIX Siècle.“ Brandes: „Hauptströmungen“, I, II, III, V, VI; „Moderne Geister“; Schweitzer: „Skandin. Litter.“; Schwicker: „Ungar. Litter.“; Lemaitre: „Les contemporains“: Anatole France: „Vie litteraire“; Ch. Morice: „Litter. de toute à l'heure“; Schmidt. „Porträts aus dem XIX Jh.“; Bourget: „Etudes et Portraits“, „Essais de Psychol. Contemp.“; Faguet: „Etudes sur XIX s.“; Brunetière: „N. Questions de

łeczeństwie żywioł ruchu przeważał nad pierwiastkiem bezładu i martwoty, tém subtelniejszym stawał się uosobiony symbol zła w poezyi, przeradzając się wreszcie w dowcipnego wyobraziciela jednostronnéj może, ale trafnéj krytyki, lub téż w poważnego reprezentanta rozumu i postępu.

Ponieważ Goethe i Byron wyciągnęli z elementów tradycyjnych i zużytkowali poetycznie wszystko prawie, co tylko się zużytkować dało, liczni ich następcy przeto musieli albo przeżuwać stare motywy, albo téż szukać nowych dróg i tworzyć dzieła oryginalne wprawdzie, ale najzupełniéj niezgodne z duchem prawdziwego chrystyanizmu. Nowatorów, jak zwykle, było niewielu, eklektyków zaś i epigonów istnieje cały legion. Wybierzemy z niego kilku sławniejszych żołnierzy, których utwory musimy z konieczności traktować jako zjawiska sporadyczne, nie połączone wcale, albo téż zczepione bardzo luźno węzłami pokrewieństwa poetycznego.

Eklektyzm w poezyi demonicznéj — to tylko jeden z poszczególnych objawów eklektyzmu literackiego, jaki od początku wieku XIX zapanował i do dnia dzisiejszego panuje w Europie.

Ojcami tego kierunku byli romantycy niemieccy.

Lubując się w demonizmie wogóle, spłodzili oni mnóstwo mglistych widm i widziadeł, nie utworzyli jednak ani jednéj wybitniejszéj figury dyabła, była to bowiem dla nich istota zanadto wyrazista, zbyt żywotna i jędrna, a zamało ulotna i powiewna. Niemoc artystyczna atoli szła u romantyków niemieckich w parze z nadzwyczajną zdolnością rozumienia i odczuwania wytworów cudzych z subtelną wrażliwością estetyczną na wpływy obce. Nie stworzywszy nic prawie doniosłego, zwrócili oni uwagę całego świata na kilkanaście pogrzebanych literatur, oraz na setki zapomnianych arcydzieł, typów i legend, pomiędzy któremi znajdowały się również liczne utwory, figury i motywy demoniczne.

Za pośrednictwem pani de Staël („de l'Allemagne“) zdobycze i teorye romantyków dostały się do ruchliwéj Francyi, by ztamtąd, przekształcone odpowiednio, rozejść się po całym świecie. Niemałą także rolę w téj wzajemnéj wymianie idei filozoficzno-literackich odegrali emigranci francuscy, wśród których najwięcéj do rozwoju poezyi demonicznéj przyczynił się Chateaubriand (1768 — 1848), dając jéj

critique“; Spasowicz: „Puszkin i Lermontow, jako bajroniści“; Taine; „Essais de critique et d'histoire“, „Nouveaux E. d. c. et d'h.“; Dupuy: „Victor Hugo“; M. Paleologue: „Alfred de Vigny“; Engel: „Gesch. des nordamerik. Lit.“, etc., oraz utwory rozbierane w tekście.

w słynnéj estetyce katolicyzmu, zwanéj „Duchem chrześciaństwa“, podstawy teorytyczne, oraz próbując dowieść praktycznie w swoich nudnych pseudo-epopeach prozą („*Les Martyrs*“ i „*Les Natchez*“), że „dziwność“ biblijna nie stoi niżéj od dziwności mytologicznéj.

W „Męczennikach“ autor „Renégo“ stawia z jednéj strony politeizm, którego twórcą i protektorem jest szatan, z drugiéj zaś—chrześciaństwo, którém opiekuje się opatrzność. Ponieważ rzecz dzieje się za czasów Dyoklecyana, zgrzybiałe pogaństwo przeto wygląda tam na swój wiek za młodo, rozwijająca się zaś dopiéro religia chrześciańska — za staro. Słusznie powiedział Benjamin Constant, że w „Męczennikach“ nieistniejąca już, zagasła wiara homeryczna walczy z nienarodzonym jeszcze katolicyzmem Bossueta.

Równie anachronicznie traktowana jest postać samego dyabła, który ma nibyto skupiać w swojéj osobie wszystkie aspiracye i ideały pogańskiego klasycyzmu, a mimo to w swoich przemówieniach naśladuje demagogów wielkiéj rewolucyi i nie waha się nawet używać zwrotów, zapożyczonych z Marsylianki. Jest on, prócz tego, tak mało samodzielny, że kiedy w piekle powstała kłótnia, nie szatan, lecz Bóg, cieniem swéj ręki ją uśmierza. Równie licho i marnie wygląda dyabeł w „*Natchez*'ach“, gdzie, stając w obronie politeizmu ludów amerykańskich, usiłuje pobudzić wszystkich pogan nowego świata do walki z chrześciaństwem.

Wogóle, dzieła Chateaubrianda, ważne jako reakcya przeciwko doktrynom Boileau'a i Voltaire'a, nie zbogaciły literatury satanicznéj żadną wybitniejszą postacią, lub choćby pojedyńczym motywem. Autor „Męczenników“ nie tworzył dyabłów, lecz zszywał ze starych poetycznych łachmanków demoniczne maryonetki. W podobny sposób, z mniéj, lub więcéj, szczęśliwym skutkiem, postępowała większość poetów XIX wieku, naśladująca tylko i kombinująca wybitniejsze typy ubiegłych stuleci.

Najliczniejszém potomstwem, rzecz prosta, cieszyli się: Mefistofeles Goethego i Lucyfer Byrona.

Niektórzy, pragnąc uniknąć prostego naśladownictwa, próbowali łączyć te dwa odmienne zupełnie charaktery demoniczne w jeden; dawało to jednak nieszczególny rezultat. Najlepszym może z tych bękarcich typów jest szatan (Rycerz) w oryginalnéj tragedyi epigona romantyzmu niemieckiego, Chrystyana Grabbego, którego zwano „pijanym Szekspirem“ („Don Juan i Faust“, 1829). Nieugiętość i duma Lucyfera łączy się w téj figurze z chytrością i podstępnością Mefistofelesa. W jedném miejscu mówi on o sobie z przesadą, jako o gigantycznym duchu, „który wśród tysiącoletnich płomieni, darem-

nie języki swe na nim tępiących; wśród wszystkich zwątpień, wyrywających, niby huragan, myśl i uczucie z posady, wśród całej nędzy upadku ze szczytów niebieskich, nie stracił odwagi i wiary w siebie, i wiecznie nienawidzi, wiecznie walczy w nadziei zwycięstwa“ (Akt II, sc. I). Gdzieindziéj znowu wspomina rozżalony o swojém straconém szczęściu i miłości, a na szydercze zapytanie Fausta: „cóż to? dyabeł staje się sentymentalnym?“ — odpowiada z goryczą: „Kto wié? może i był nim niegdyś! Teraz drwi z tego, co prawda! Czyż jednak mógłby tak okropnie nienawidzićć, gdyby ongi tak potwornie nie kochał? Żelazo mięknie w ogniu, nim w miecz się przemieni: tylko szczęśliwego może dotknąć nieszczęście. Dyabeł bliższym jest Boga, niżeli... robak ziemski“ (II, 2).

Obok tych silnych i, pomimo przesadnéj retoryki, pięknych wybuchów namiętności, spotykamy ustępy mdłe, słabe, wstrętne. Dumny przed chwilą król czeluści piekielnych, płaszczy się przed Faustem, jak niewolnik, całuje mu stopy z udaną pokorą, podnosząc hypokryzyę do godności systematu: „pełzać i pełzać, i zawsze pełzać, po to jednak tylko, by późniéj tém okropniéj się podnieść z błota ziemskiego!“ (IV, 4). Aczkolwiek nie jednolity, szatan Grabbego [1]) posiada jednak pewne rysy oryginalne, których brak prawie zupełnie Mefistofelesowi Lenaua („Faust“) i Lucyferowi Madacha („Tragedya człowieka“). Dyabeł Lenaua (1802—1850) jest wogóle tylko kopią swego sławnego imiennika, kopią, w któréj jeden jedyny motyw zasługuje na wyróżnienie. Pragnąc podniecić zmysłowość Fausta, czart prowadzi go nie do knajpy studenckiéj, jak Mefistofeles Goethego, lecz na wesele chłopskie, i tam, wyjąwszy z rąk muzykanta wiejskiego skrzypce, poczyna grać tak, że wszystkich ogarnia szał lubieżny... Czuć tutaj wpływ atmosfery, wśród któréj wychował się Lenau, Niemiec z języka i nazwiska, lecz Węgier z urodzenia. Współziomek jego, Węgier krwią i mową, Emerich Madach (1823—1864), wprowadził do swojéj „Tragedyi ludzkości“ typ, w którym nie ma nawet téj odrobinki magiaryzmu, a który niewolniczo niemal, a w dodatku bardzo słabo naśladuje niemieckiego ducha negacyi. Rozwlekła krytyka stworzenia (scena I) wygląda, w porównaniu z dowcipnemi epigrama-

[1]) Zabawną bardzo figurę dyabła w stylu komiczno-satyrycznym wprowadza Grabbe do swojéj fantazyi krytyczno-społeczno-literackiéj p. t. „Scherz, Satire, Ironie und tiefere Bedeutung.“ Dyabeł, przyszedłszy na ziemię, marznie, pomimo siedmiu futer; ludzie go ratują, za co im się odpłaca niewdzięcznością; wreszcie słynna „babka“ zabiera szatana z powrotem do piekieł, gdzie już ukończono „mycie podłóg i szorowanie sprzętów“.

tami goetowskiego Mifistofela, jak gruby odlew gipsowy, obok delikatnie rzeźbionéj kamei. Podobnie jak Mefistofeles, podaje się madachowski Lucyfer za istotę odwieczną, za „ducha, który zawsze przeczy od czasów niepamiętnych“, który więc miał udział w procesie twórczym i domaga się za to nagrody. Otrzymawszy dwa drzewa rajskie, przyjmuje ten skromny dar z radością, wié bowiem, że jeżeli negacya

Najmniejszy nawet punkt oparcia znajdzie,
Z podstaw poruszyć cały wszechświat zdoła!

Doprowadziwszy Adama i Ewę do upadku, złośliwy bies stara się zabić w nich nadzieję, wiarę i chęć do życia, pokazując im smutne sceny z przyszłych dziejów ludzkości.

Jak i cały ten, przeceniany przez szowinistów węgierskich dramat, tak i jedna z najgłówniejszych osób, biorących udział w jego akcyi, a mianowicie — dyabeł, nie posiadają ani odrobiny życia. Lucyfer jest tylko tubą, przez którą autor wygłasza swoje pesymistyczne poglądy na przeszłość i przyszłość, oraz stan teraźniejszy ludzkości.

Analogicznie, ale o wiele oryginalniéj i głębiéj pojął i opracował dyabła inny krańcowy pesymista, Flaubert, w swojém piękném, choć przeładowaném erudycyą „Kuszeniu świętego Antoniego“. Nie mogąc doprowadzić pustelnika do grzechu obrazami rozkoszy, przybiera dyabeł postać Hilaryona, byłego ucznia Antoniego i, podobnie jak madachowski Lucyfer, poczyna przesuwać przed oczyma świętego dzieje umysłowe ludzkości, wcielone w szereg postaci bogów, herezyarchów, proroków i t. p. Im dłużéj się ciągnie ta procesya i im więcéj wątpliwości powstaje w sercu świętego, tém bardziéj rośnie drobna i wątła początkowo postać mniemanego Hilaryona, a kiedy wreszcie ostatnie z tych czczonych niegdyś widm i upiorów pogrąża się w nicość, następuje straszne, głębokie, ponure milczenie, które święty przerywa, szepcząc: „Wszyscy już znikli!“ — „Ja pozostałem!“ — odpowiada Hilaryon, przemieniony w świetlanego geniusza i tak wielki, że Antoni musi przechylić głowę w tył, żeby mu w twarz spojrzéć. — „Któż więc ty jesteś?“ zapytuje święty, Hilaryon zaś woła z dumą: „Państwo moje obszerne, jak wszechświat cały, a żądza moja nie zna granic! Ja idę ciągle, ciągle, oswobadzając ducha z więzów i ważąc światy; idę bez nienawiści, bez litości, miłości i Boga. Nazywają mnie w i e d z ą.“ — I, porwawszy przerażonego pustelnika, pokazuje mu cały mechanizm niebieski, oraz tajemniczą budowę stworzenia, budząc współcześnie w umyśle biédaka tysiące wąt-

pliwości, co do samego istnienia bytu i domagając się wzamian za te odkrycia hołdu poddańczego. Symbolizm tu jest jasny: na miejscu ideałów, które runęły w przepaść, stanęła wiedza, starająca się skruszyć wszystko, co jest niezgodne z wymaganiami rozumu i żądająca takiéj saméj czci, jaką niegdyś odbierali mieszkańcy różnych olimpów i asgardów. Czy wystarczy ona ludzkości? czy zdoła ukoić jéj zwątpienia i zapewnić szczęście? Poeta na to nie odpowiada, lecz w ostatniéj scenie swego poematu przedstawia nam pustelnika, który, pozbywszy się z brzaskiem dnia dręczących wątpliwości, oraz ponętnych pokus, podniecających ciało i ducha, wraca do codziennego trybu życia i, zrobiwszy znak krzyża świętego, kończy modlitwę rozpoczętą wczorajszego wieczora...

W każdym razie dyabeł Madacha i Flauberta stracił już prawie zupełnie osobowość i przerodził się w czysty symbol. Trafia się to u poetów XIX wieku bardzo często.

U rozpatrywanych dotychczas występował on przeważnie jako symbol krytyki i rozkładu [1]), obecnie przyjrzymy się utworom, których autorowie, wstępując w ślady Byrona, apoteozowali szatana, jako świetlanego geniusza rozumu. Najdaléj pod tym względem zaszedł Carducci w swoim słynnym, wyklinanym przez jednych, przecenianym przez drugich hymnie „do Szatana“ (*A Satana*), zaczynającym się od słów:

A te dell essere
Principio immenso,
Materia e spirito
Ragione e senso [2]).

Carducci, jak członkowie średniowiecznéj sekty Lucyferyanów, utożsamia szatana ze wszystkiém, co było w naturze ludzkiéj zdrowego, wesołego, szczęśliwego z jednéj (Adonis, Astarte, Aryman (?)), a mądrego, szlachetnego i niezależnego z drugiéj strony (Wergiliusz, Horacy, Wicleff, Huss, Savonarola, Luter).

Cały ten utwór, przepełniony retoryką i naciąganemi zestawieniami, kończy się kilkoma strofami uwielbienia dla opiewanéj postaci, wśród których największą popularność zyskało sławne pozdrowienie:

---

[1]) Do mefistofelicznego typu należy jeszcze Lucyfer w „Złotéj legendzie“ Longfellowa, jakotéż „obcy pasażer“, oraz „odlewacz guzików“ w symbolicznym nawskroś „Peer Gyncie“ Ibsena.

[2]) Poesie di Giosué Carducci, Firenze G. Barbara, 1880. „Hymn do szatana“, stanowiący niejako etyczno-polityczne „*credo*“, napisany został w r. 1863, wydany zaś po raz pierwszy w r. 1865, jako pisemko ulotne.

Salute, o, Satana,
O ribellione,
O forza vindice,
Della ragione [1]).

Wszystko to, jak wiemy, powiedział o wiele piękniéj i logiczniéj Byron, którego żaden późniéjszy poeta na tym punkcie nie prześcignął. Nawet tak dziwaczny umysł, jak słynny nekrofil literacki, Baudelaire (1821 — 1867), u którego nienaturalność była prawdziwą naturą, który wszystko widział na opak, nietylko, jak sądzą ogólnie, dla efektu i pozy, lecz dla tego, że cierpiał na pewien daltonizm i astygmatyzm moralny, nawet on nie dopatrzył nic nowego w opaczném zwierciedle boskości, noszącém miano szatana.

Głośne „*Litanies de Satan*“ [2]) — to tylko liryczna parafraza byronowskich motywów, przecedzona przez dekadenckie sitko. Tak samo się przedstawia dyabeł w dźwięcznych, ale nieszczerych bluźnierstwach ateisty, Richepina, który wygłasza apologię szatana po to tylko, żeby módz ją zakończyć przygotowanym z góry, a w dodatku wątpliwéj wartości efektem: *Si je croyais à Dieu, je serais pour le diable!*

I inne, pokrewne, mniéj, lub więcéj, Baudelaire'owi natury, jak narwany Barbey d'Aurevilly, dogorywający w szpitalu Verlaine, wizyoner, Maeterlinck, zolista-renegat, Huysmans i t. p. — są to przeważnie zdenerwowani malarze nastrojów, lecz nie postaci, ani charakterów. Wierzą oni, czy udają wiarę w czarta, lecz wywoływać go już

---

[1]) Witaj, szatanie, ty wichrzycielu! O, ty, rozumu dzielny mścicielu!

[2]) O toi, le plus savant et le plus beau des Anges,
Dieu trahi par le sort et privé de louanges,
O, Satan, prends pitié de ma longue misère!
O, Prince de l'exil, à qui l'on a fait tort,
Et qui, vaincu, toujurs te redresse plus fort,
O Satan etc.
Toi dont l'oeil clair connait les profonds arsenaux,
Où dort enseveli le peuple des métaux,
O Satan...
Toi dont la large main cache les précipices
Au somnambule errant, au bord des édifices,
O Satan...
Toi qui, magiquement, assouplis les vieux os
De l'ivrogne attardé foulé par les chevaux.
O Satan...
Bâton des exilés, lampe des inventeurs,
Confesseur des pendus et des conspirateurs,
O Satan...

nie potrafią. Na to potrzeba mieć energię Manfreda, lub téż żywić aspiracye Fausta! Lepiéj daleko udaje im się uplastycznianie śmierci. Jestto negacya bezwzględniejsza, głębsza, jaskrawsza, niżeli szatan, i dlatego téż odpowiada lepiéj mistycznemu nihilizmowi téj garstki poetów, tworzącéj krańcowy biegun literatury francuskiéj, wahającéj się ciągle pomiędzy brutalnym naturalizmem z jednéj a panteistyczno-ascetyczną egzaltacyą z drugiéj strony. Szatan jest dla nich, jak niegdyś dla romantyków niemieckich, zbyt pozytywnym, osobistym i realnym; im potrzeba wcielenia nicości absolutnéj, zera, niebytu; to téż w „Kwiatach grzechu“ Baudelaire'a śmierć niepoślednie zajmuje miejsce, Maeterlinck zaś w swoim „Intruzie“ i „Ślepcach“ przedstawił w sposób wstrząsający zetknięcie się uosobionéj śmierci z życiem.

Oryginalniejsze odmiany dyabłów, trzymanych wprawdzie w byronowskim stylu, lecz nie naśladujących wprost demonicznych kreacyi twórcy Lucyfera, spotykamy w poezyach współczesnego „parnaszczyka“ Leconte de Lisle'a (ur. 1818) i w popularnym „Demonie“ zmarłego przedwcześnie poety ruskiego, Lermontowa (1814—1841). Szatany obu tych pisarzów cierpią, jak Korsarz, Giaur, Lara i Manfred Byrona, na ową charakterystyczną odmianę *spleenu*, zwaną „*weltschmerzem*“. „Monotonne dni — jęczy dyabeł de Lisle'a — zbierają się, niby dészcz straszliwy, w wieczności mojéj i nie zapełniają jéj wcale. Potęga, duma, rozpacz — wszystko jest próżnością! i gniéw mi ciąży, i walka mnie nudzi (*Tristesse du diable*).“ W dalszym ciągu szatan pragnie utracić swoją nieśmiertelność, jak Manfred pragnął zatracić świadomość i pamięć.

I demon Lermontowa więcéj ma w sobie bajronowskiego „manfredyzmu“, niżeli „lucyferyzmu“, jeżeli się tak wyrazić można. Nudzi on się także, bo choć

Nad ziemią władzę dostał w dział
I wiele nasion złych w nią siał,
Lecz złe oporu nie spotkało,
Za walką więc zatęsknił śmiałą —
I smutny był wygnania duch [1]),

który musiał „znać wszystko, wszystko czuć i widziéć i wzgardę dla wszystkiego miéć.“ — W dalszym ciągu, co prawda, pod wpływem miłości, jaką uczuł do pięknéj Tamary, budzi się w nim dawna demoni-

[1]) Cytujemy według bezimiennego przekładu, wydanego przez redakcyę „Przeglądu Tygodniowego“, 1881 r.

czna energia, do któréj dołącza się pewien sentymentalizm. „Jam ten — opowiada on kochance —

„Co rwie nadziei kwiat...
Ten, kogo cały świat przeklina,
Jam królem wiedzy i swobody,
Jam wrogiem niebios, złem przyrody —
I widzisz, jam u twoich nóg!
W ofierze składam do twych rąk
Modlitwę cichą méj miłości,
Ból pierwszych ziemskich moich mąk
Łzę, co raz pierwszy w oku gości[1].

Nuta erotyczna, na któréj tak silnie gra Lermontow w swoim „Demonie“, nie była pomysłem bezwzględnie nowym w poezyi satanicznéj. Pomijając już byronowskie „Niebo i ziemię“, gdzie miłość staje się przyczyną upadku aniołów, analogiczny motyw spotykamy w „*Eloi*“ de Vigny'ego, który to poemat, zdaniem Spasowicza, wywarł pewien wpływ na utwór ruskiego poety. U Lermontowa dyabeł kocha się w ziemiance, u de Vigny'ego Eloa, anielica, zrodzona z łzy Chrystusowéj, wylanéj nad grobem Łazarza, lituje się nad szatanem dlatego, że jako „najwinniejszy musi on być najnieszczęśliwszym z nieszczęśliwych. Nie mogąc zapanować nad uczuciem, Eloa opuszcza niebo i zlatuje w otchłanie piekielne, by zbliżyć się do przeklętego archanioła, który nie stracił nic ze swojéj piękności zewnętrznéj, a którego słodkie, upajające słowa przypominają, jak słusznie zauważył Brandes, sofoklesowy hymn do Erosa z „Antygony“:

Jam ten, którego, nie znając, kochają!
Mój tron płomienny wsparłem na człowieku,
Na serca jękach, na marzeniach duszy,
Na żądzach ciała i sympatyach tajnych...
Przezemnie we śnie przemawia małżonka,
Młoda dziewica w szczęsne kłamstwa wierzy,
Ja im noc daję, co za dzień pociesza,
Jam król tajemny tajemnéj miłości...

I, roztoczywszy przed mieszkanką niebios cały szereg rozkosznych obrazów miłości ludzkiéj, szatan-Eros woła:

Wszystko to moje dzieło, zasługa zbrodniarza!
Ów przeklęty, jak widzisz, jest pocieszycielem,
Który płacze nad losem niewolników Pana,

---

[1]) Puszkin w krótkim fragmencie zatytułowanym „Scena z Fausta“ wprowadza Mefistofelesa, trzymanego zupełnie w duchu pierwowzoru.

Łagodzi im przez miłość straszną gorycz bytu
I, pomnąc na ból wspólny, co wszystkich jednoczy,
Daje im błyski szczęścia, zapomnienia chwile.

Mefistofeles budził w Małgorzacie wstręt, Ada litowała się nad Lucyferem, u Eloi litość zmienia się w miłość:

Milczeniem swém Eloe mówiła: jam twoja!
A szatan szeptał cicho: bądź moją, bądź moją!
Ty nie wiesz dotąd, ile szczęścia zaznać można,
Kojąc na swojém łonie czyjeś łzy i łkania!

Zrodzona na ziemi Małgorzata przyczynia się do zbawienia Fausta, anielska córa Chrystusa, Eloa, porzuciwszy na wieki rozkosze niebieskie, spływa w ramiona króla ciemności, pytając go nieśmiało: „jestżeś teraz szczęśliwy i zadowolony?“ — „Smutniejszy-m, niż zazwyczaj...“ odpowiada strącony archanioł [1]).

Piękny poemat de Vigny'ego ważny jest dla nas z tego także względu, że stanowi niejako punkt zwrotny w traktowaniu stosunku szatana do niebios. Miłość anielicy, córy Chrystusa, dla przeklętego odstępcy i buntownika była prologiem do całego szeregu utworów, których autorowie, krusząc szranki tradycyi, starali się — z niezbyt pomyślnym skutkiem zresztą — pchnąć poezyę demoniczną na nowe tory.

Byron uczynił szatana Prometeuszem, Carducci zaś i Baudelaire ubóstwili go prawie. Cóż więc ich następcom pozostawało do zrobienia? Pójść jeszcze krok dalej i, wbrew dogmatowi i legendzie, wprowadzić upadłego archanioła do niebios.

Po de Vigny'm, który zesłał mu do otchłani niebiańską pocieszycielkę, wystąpił Teofil Gautier. On to w swoim subtelnym fajerwerku naiwnéj ironii, zwanym „Łzą dyabelską“ (*Larme du diable*, 1839), poruszył, przez usta św. Magdaleny, kwestyę powrotu szatana na łono szczęśliwości rajskiéj, na co dobrotliwy Stwórca odpowiada:

„Za paręset lat — zobaczymy!“

Znacznie daléj poszedł Aleksander Soumet w swojéj, zapomnianéj dzisiaj zupełnie „Epopei boskiéj“ (*La divine épopée*, 1840). Jestto poemat dziwaczny, długi i nudny, godny jednak uwagi z tego względu, że poeta po raz pierwszy próbuje przedstawić zupełne zla-

---

[1]) Dalsze losy Eloi opowiedział Słowacki, czyniąc z niéj w jednym ze swoich poematów „smętną strażniczkę grobów północy“ (cf. „Ateneum“, 1892, lipiec: „Geneza i znaczenie Eloi u Słowackiego).

nie się piekła z niebem [1]). Rzecz dzieje się w przyszłości, po końcu świata. Wszystko znikło, zostało tylko niebo i piekieł czeluście. Semida, ostatnia kobieta, obecnie zbawiona już i święta, kocha, jak Małgorzata, potępionego Idaméela, który walczył za życia z Bogiem, po śmierci zaś, dostawszy się do otchłani, podniósł rokosz przeciwko Lucyferowi, strącił go z tronu i sam objął piekielne rządy. Semida płacze w niebie; Chrystus i święci litują się nad nią. Wreszcie Syn boży błaga Ojca przedwiecznego o pozwolenie odkupienia piekieł. Najwyższy się zgadza, pod warunkiem nowéj śmierci, nowéj Golgoty. Chrystus zstępuje do otchłani, Idaméel każe go po raz drugi krzyżować i męczyć, każda nowa tortura jednak posuwa naprzód dzieło odkupienia. Krzyż, rosnąc ciągle, unosi ku niebu świętą ofiarę, a z nią razem i całe piekło. Idaméel, przerażony utratą państwa, sam wbija kopię w serce Zbawiciela — i piekło zaczyna opadać w dół. Ojciec przedwieczny atoli, nie chcąc, by dzieło Syna zostało stracone, wypełnia całą otchłań światłem mistyczném, które niszczy wszystko, co było złego w piekle. Jeden dumny Idaméel ośmiela się opiérać temu wpływowi, i on jednak pada, pospołu ze skruszonym i żałującym już dawno za grzechy Lucyferem, na kolana i, otrzymawszy przebaczenie, łączy się w niebie z ukochaną Semidą na wieki.

Ze streszczenia tego widać, jak małą rolę odgrywał tutaj Szatan właściwy, strącony z tronu przez zwykłego śmiertelnika, który zostaje zbawiony wraz z całém piekłem, nie tyle przez własną skruchę, ile przez łzy, prośby i wstawiennictwo kobiety:

La femme a dû guérir le mal qu'elle avait fait (XII).

Słowem, obok zwrotu do pra-chrześciańskich doktryn, rozwinięcie katolickiego motywu „wiecznéj kobiecości“, połączone z niezbyt szczę-

---

[1]) Nie było to tak bezwzględnie nowém, jakby się zdawać mogło. Z poetów już Klopstock wprowadził skruszonego Abbadonę do raju. W pierwszych wiekach chrześciaństwa możność zbawienia upadłych aniołów dopuszczał Orygenes, oraz wielu herezyarchów, a późniéj sławny teolog Jan Skot Erygiena (IX w.), który wychodził z panteistycznéj zasady, że ponieważ kiedyś wszystko znajdowało się w Bogu, wszystko do niego wrócić powinno. Jestto ten sam pogląd, który, jak wiemy, stanowi u Indusów zasadniczy fundament ich religijno-filozoficznego systematu: Zło, jako przejściowy objaw realizacyi bytu, nie może istnieć wiecznie, lecz musi zniknąć, wracając na łono absolutu, t. j. odwiecznéj przyczyny przyczyn. Wielu metafizyków europejskich w. XIX przyjęło ten staroindyjski pogląd na naturę i pochodzenie zła. Poeci wstąpili w ich ślady.

śliwemi fantazyami autora, który, usuwając Lucyfera na drugi plan, zwichnął zupełnie oryginalne założenie swego utworu [1]).

Do tego samego celu, odmienną atoli, wdzięczniejszą i logiczniejszą drogą podążyli także dwaj inni poeci: Niemiec, Immermann i Francuz, Quinet, którzy za temat do swoich utworów obrali znaną nam już legendę o czarodzieju, Merlinie, synu inkuba i zakonnicy. Jakkolwiek pierwszy wydał swój utwór w r. 1831, drugi zaś w trzydzieści lat późniéj, każdy z nich opracował swój temat zupełnie samodzielnie i oryginalnie. Jestto zresztą w poezyi demonicznéj wieku XIX-go zjawiskiem dosyć powszechném, że nawet pomiędzy dziełami, opartemi na identycznych motywach, trudno dopatrzyć genetycznego związku. Dostęp do źródeł jest dzisiaj tak łatwy, że każdy chętniéj czerpie z pierwszéj, niżeli z drugiéj ręki! Jeżeli więc w grupowaniu omawianych obecnie utworów, kierujemy się pokrewieństwem motywów i treści, jestto klasyfikacya czysto zewnętrzna, nie oparta, jak w poprzednich rozdziałach naszego studyum, na prawach ewolucyi. Niegdyś bowiem poezya demoniczna była związana organicznie z umysłowością całych narodów i epok, dzisiaj zaś wegetuje ona tylko, podtrzymywana upodobaniami lub kaprysami wyjątkowych jednostek, które, nie mogąc znaleść pośród rzeczywistości odpowiednika dla idei, fermentujących w ich mózgu, szukają symbolów wszędzie, nie wyłączając średniowiecznego nieba i piekła. Immerman zlał le-

---

[1]) Z innych dzieł, zrodzonych w epoce romantyzmu, zasługuje na uwagę angielski romans Roberta Maturina p. t. „Melmoth. L'homme errant (trad. par Maria de Fos)," który był znany i u nas, wspomina bowiem o nim Przecławski w jednym ze swoich artykułów. „Nowe wędrówki oryginała" Korzeniowskiego przypominają zlekka utwór Maturina, i tu i tam bowiem występuje człowiek, spełniający funkcye szatana — „kandydat na dyabła." Dalszy ciąg romansu Maturina wyszedł z pod pióra Balzaca (Melmoth reconcilié). Jestto znakomita próba odtworzenia psychologii człowieka, zmienionego w dyabła. Mogąc wszystko, Castanier, spadkobierca Melmotha, nie pożąda niczego, wszystko bowiem zrozumiał, przejrzał do głębi i uznał za rzeczy niegodne pożądania. „Wiedząc wszystko — tęsknił za nieznaném." „En voyant les principes et le mécanisme du monde. il n'admirait plus les résultats et manifestait bientôt ce dédain profond qui rend l'homme supérieur semblable à un sphinx qui sait tout, voit tout et garde une silencieuse immobilité. Riche de toute la terre — la richesse et le pouvoir ne signifièrent plus rien pour lui." — „Comédie du diable" tegoż autora jest tylko satyrą estetyczno-społeczną. Dyabeł urządza w piekle teatr, różne szkoły walczą o niego i t. p. Utwór F. Souliégo „Memoires du Diable" — to modernizacya motywu, użytego przez Lesage'a, z tą różnicą, że dyabeł Souliégo posiada bez porównania więcéj konsekwencyi, energii i złośliwości, słowem — demonizmu. Jest on o wiele lepszym, niżeli zły duch w „Don Juanie de Marana" Dumas'a.

gendę o Merlinie z panteistycznemi marzeniami gnostyków. Dyabeł jego jest identyczny z „Demiurgiem“ Walentyna, Bazylidesa i Marcyona. Tylko tłum prosty uważa go za straszydło, wtajemniczeni adepci widzą w nim „księcia przyrody, na którego ramionach siedzą słowiki, a który, niby bóg wiosny, niesie ze sobą miłość i życie.“ Błędem jego i winą jest to, że, zamiast uznać dobroć Najwyższego Boga i świętość Chrystusa, buntuje się przeciwko niebu i chce z niém walczyć daléj, przy pomocy syna, zrodzonego z niepokalanéj dziewicy. Merlin, aczkolwiek czci i szanuje swego piekielnego rodzica, jako rządcę materyi, nie spełnia jednak pokładanych w nim nadziei, lecz, pragnąc zmusić Demiurga do uznania, nietylko wyższości, ale i sprawiedliwości bożéj, roztwiéra przed nim niebiosa:

Merlin. Jeśli myśl o tém przejmuje cię zgrozą,
Że twa przyroda w nicość się pogrąży
Przez to, że w chwili, kiedyś ją utworzył,
On ją w ramiona, jak oblubienicę,
Ująwszy, złożył na jéj ustach święty
Całunek, który Chrystusem nazwano —
Wiedz-że, wszechmocny, lecz ograniczony
Duchu: świat teraz dopiéro żyć zaczął,
I już nie umrze. Otwórzcie się nieba!
Patrz! (*Robi ruch ręką. Obłoki się rozsuwają. Widać wspaniałość niebios*).

Szatan. Coś uczynił? mnie i tobie biada!
Ślepnę.....

Merlin. Przyjdź do siebie!...

Szatan. O, Adonai... ach!...

Merlin. Co widzisz?

Szatan. Męki!... Sam siebie tam widzę...
I wszystko, wszystko!... Prawdaż to, czy złuda?
Kto władcą rzeczy? kto cienia? ja nie wiem...
On?... ja?... o, dosyć, przestań mnie już dręczyć!...

Merlin. Ty sam to jesteś wraz z legiony twemi!
Tyś wyszedł z niego, jego byłeś sługą,
On przybrał w tobie nienawiści formę,
Bo go wszechmiłość wypełnia...
Patrz, patrz, ty, boże natury potężny,
Patrz na naturę, tkwiącą w łonie Boga!

W równie oryginalny sposób mógł pojąć i przedstawić dyabła tylko indus [1]), lub téż współziomek wielkiego Kanta, którego kryty-

---

[1]) W „Bhagavad Gita“, Arjuna, wpatrzony w wspaniałość Kryszny, woła: „O, Boże, ja widzę w twojém ciele wszystkich bogów i gromady istot żyjących. I wielkiego Brahmę, siedzącego na lotusie i wszystkich

cyzm przerodził się ostatecznie w schopenhauerowski panteizm, tak blizki „Wedanty“ i „Sankhyi“ starych filozofów indyjskich!

Szatan Immermanna króluje, ale tylko nad światem przejawiającym się w czasie i przestrzeni, nad światem fenomenów, po za któremi kryje się istota rzeczy, kantowskie „*das Ding an sich*,“ tkwiące w pierwotnéj przyczynie przyczyn — Bogu. Czyż można było silniéj upokorzyć dumnego księcia materyi, jak dowodząc mu, że całe jego państwo i on sam nawet — to tylko odległa emanacya, cień cienia Najwyższéj Istoty! Jak człowiek jednak, nawet przekonawszy się, że cały byt realny jest tylko złudzeniem, nie przestaje mimo to pożądać życia i jego rozkoszy, tak samo Immermanowski Demiurgos-Szatan, poznawszy prawdziwe swoje stanowisko we wszechświecie, nie może się sobie sprzeniewierzyć i, nietylko nienawidzi daléj niebios, ale pragnie złamanego życiem Merlina przeciągnąć na swoją stronę, nie mogąc zaś tego dokazać, zabija go potęgą swéj woli. Jestto obraz wiecznego procesu walki brutalnych żądz z idealnemi aspiracyami, walki, warunkującéj życie i rozwój, zarówno pojedyńczych jednostek, jak i całych narodów i społeczeństw.

Immermann pojął postać i dzieje Merlina w sposób niezmiernie głęboki, czysto filozoficzny. Symbolizm, przejawiający się w pokrewnym utworze Edgara Quineta (Merlin l'Enchanteur), oparty został na gruncie polityczno-historycznym. Quinet nie sięga tutaj do źródlisk bytu, lecz probuje znaleźć rozwiązanie zagadek moralno-społecznych. Merlin Quineta — to wcielenie geniuszu francuskiego ze wszystkiemi jego zaletami i wadami; Wiwiana reprezentuje przyrodę Jacques Bonhomme — lud, i t. p. Szatan wyobraża zło, głównie społecznéj natury. Pod wpływem perswazyi i czynów Merlina, które uszlachetniają wszystkie narody ziemi, zgrzybiały ojciec jego, szatan, znużony nienawiścią zaczyna się nawracać i wreszcie własnemi dłońmi przewraca filar, podpierający sklepienie otchłani: dusze potępionych odzyskują wolność i na świecie zaczyna panować niczém niezmącone szczęście. Jest to alegorya dosyć przejrzysta, ale zimna i sucha, postaci zaś quinetowskiego szatana, jak i całemu poematowi zresztą, brak jednolitości. Chwilami wydaje on się bezduszną abstrakcyą, chwilami zaś wpada w ton zbyt popularny, trywialny prawie.

Polityczno-społeczne aluzye stanowią w ogóle słabą stronę francuskich homerów piekła. U Chateaubrianda dyabeł, jako rewolucyo-

---

Riszich, i węże niebieskie. Ja widzę... (XI, 15) (według francuskiego przekładu Burnoufa).

nista, deklamował strofy marsylianki, u Quineta [1]) zaś i Victora Hugo stał on się reprezentantem odwrotnego prądu. Victor Hugo próbował postawić swój poemat (*Fin de Satan*) na gruncie filozoficznym.

Tak przynajmniéj sądzić można z przedmowy do „Legendy wieków“ (1857), która miała być środkowém ogniwem trylogii, opiéwającéj „Jestestwo“ pod trzema jego postaciami. Trzy owe postaci to: nieskończoność, ludzkość i zło: absolut, postęp i względność, a odpowiadające im poematy — „Bóg,“ „Legenda wieków“ i „Koniec szatana.“ Pierwsze z tych dzieł, pozostało tylko pomysłem, a ostatnie zaś, które, pomimo wielu wad, należy do najwybitniejszych i najcharakterystyczniejszych utworów współczesnéj poezyi demonicznéj, któremu przeto obszerniejszą, niż innym poematom poświęcimy wzmiankę, ukazało się dopiéro po śmierci poety [2]).

Pomimo formy epicznéj „Koniec Szatana“ nie jest bynajmniéj epopeją w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, lecz utworem filozoficzno-symbolicznym.

Akcya poematu, trwająca miliony lat, rozgrywa się kolejno w przestrzeni, „*hors de la terre*,“ i na powierzchni globu ziemskiego. W prologu, zatytułowanym „*Et nox facta est*,“ kreśli poeta strącenie szatana ze szczytu niebios. Upadek trwa już wieki, szatan pogrąża się coraz głębiéj w otchłań bezmierną, nie znajdując żadnego punktu oparcia. Wreszcie uderza ręką o jakąś masę granitu, chwyta się za skałę i staje zwracając twarz ku niebu. Tak stał tysiąc lat, patrząc na promienne słońca, krążące w przestrzeni. Wtém rozlega się grzmot, szatan wybuchnął dzikim śmiéchem i plunął w górę — ślina ta została późniéj Barabaszem. Wtedy silny powiew wiatru spycha bluźniercę w przepaść. Szatan leci, leci — i po długim przeciągu czasu zatrzymuje się znowu.

W przestworach eteru zagasły wszystkie słońca, z wyjątkiem trzech. I te jednak kolejno gasną. Kiedy ostatnie zaczęło tracić blask, szatan zadrżał; przeraziła go myśl o wiecznéj ciemności i samotności. Roztoczył więc swe olbrzymie skrzydła nietoperze i poszybował w górę, ku gasnącemu światłu, wołając: „Gwiazdo złota! bra-

---

[1]) Quinet wprowadza kilku bladych dyabłów, krytykujących stworzenie, w I intermedyum swego misteryum p. t. „*Ahasverus*.“

[2]) Ogłoszony pośmiertnie w r. 1886. Prócz tego, wprowadza Wiktor Hugo dyabła, trzymanego w stylu średniowiecznym do pięknéj legendy swojéj p. t. „*Le beau Pecopin et la belle Bauldour*“ oraz do kilku drobniejszych utworów, wśród których zasługuje na uwagę satyryczno-polityczna bajeczka o dyable, grającym w karty z niebem o Ludwika Napoleona i hrabiego-kardynała Mastaï Ferreti.

cie! nie gaśnij, nie zostawiaj mnie samego!“ Gwiazda malała ciągle, stając się powoli iskierką, drobnym, czerwonym punkcikiem na czarném tle niebios. Szatan, po dziesięciu tysiącach lat, doleciał do niéj w chwili, kiedy ostatnie błyski światła konały. Ten wzlot szatana ku gasnącéj gwieździe, oraz opis słońca, umiérającego w przestrzeni, należą do najpiękniejszych ustępów, nietylko hugonowskiego poematu, lecz i poezyi współczesnéj wogóle — i można je śmiało postawić obok sławnéj wędrówki szatana przez chaos w „Raju utraconym“ Miltona. Wreszcie słońce zgasło, szatan pozostał sam w ciemnościach. Tymczasem w niebie aniołowie spostrzegli nad brzegiem przepaści pióro, wyrwane ze skrzydeł strąconego archanioła. Na zapytanie, czy należy je zepchnąć w otchłań, Bóg odpowiada: „Nie rzucajcie tego, co samo nie spadło.“

Teraz poeta przenosi nas na ziemę. Plemię ludzkie tonie w grzechu, Bóg postanawia je zgładzić. Potop zaléwa wszystko i zwraca się do Chaosu by wziął ten świat napowrót. Chaos podnosi swą głowę „ślepą, olbrzymią, straszliwą, z dwiema czarnemi przepaściami w miejscu oczów“ i odpowiada, że nie chce odbiérać tego, co mu raz zabrano. Wreszcie Bóg się zgadza, by świat odżył. Fale opadają; w błocie, pozostawioném przez wody, konają przedpotopowe potwory; Noe wychodzi z arki i ludzie obejmują władzę nad ziemią. Wtedy zjawia się widmo, okryte zasłoną. Jest-to Izis-Lilit, córka Szatana i Ciemności. Przed stworzeniem Ewy, była ona żoną Adama, lecz została przezeń odepchniętą. Ludzie przedpotopowi czcili ją jako bóstwo. Lilit przychodzi, aby w imieniu ojca-Szatana zasiać ziarno złego w nowym, odrodzonym świecie. Ziarnem tém są trzy narzędzia, któremi Kain zabił Abla, a mianowicie: kawał żelaza, drewniana maczuga, oraz kamień. Żelazo zmieni się w miecz, drzewo w szubienicę, a kamiéń — w więzienie.

Na tém kończy się prolog. Księga pierwsza poematu nosi nadpis: „Miecz“ i opowiada dzieje Nemroda, wielkiego myśliwego i wojownika. Znalazł on w szlamie przedpotopowym ów kawał żelaza, na którym zostały krwawe ślady pierwszéj zbrodni i ukuł zeń miecz. Mieczem tym podbija całą ziemię i pragnie nawet, jak Kai Kawus z Schachnameh, dosięgnąć samego Boga w niebie, za co zostaje zgruchotany gromem.

Na tém kończy się księga pierwsza i poemat przenosi nas znowu na chwilę w przestrzenie pozaziemskie. Wspominaliśmy wyżéj, że nad brzegiem przepaści zostało pióro ze skrzydeł Szatana:

Miałoż to pióro duszę! Któż to wiedzieć może?
Dziwném było z pozoru: leżąc promieniało

Jakimś upadłym blaskiem...
Czasem płomień przebiegał po śnieżystym puchu,
Świadcząc, że owe pióro, nad przepaścią drżące,
Było niegdyś cząsteczką skrzydła buntownika.
Dzień i noc, czuła wiara, i śmiałość bezbożna,
I piekielna ciekawość i bezmierne żądze,
Pogardzające losem, i wichry i fale,
Szlachetne, mądre myśli, i szaleństwo wściekłe —
Wszystko to drgało, żyło, w têm olbrzymiêm piórze...
Ale więcêj miłości, aniżeli burzy
Czuć było w ruchu pióra, które wiatr niebieski
Oraz otchłani tchnienie kolejno wstrząsały.
Wtêm padł na nie cudowny wzrok Tego, co stworzył
Niebo, ziemię i światło. I pod tym promieniem
Pióro drgnęło — i jaśnieć i rosnąć poczęło,
Przyjmując kształt i życie: blask stał się kobietą."

Kobiêta się podniosła, rozjaśniając nieskończoność swym niewinnym uśmiechem. Aniołowie, serafy, cheruby, patrzeli ze zdumieniem na tę siostrę swoją:

„Którą zrodziło niebo i piekieł czeluście."

Równie pięknéj niebiosa nie widziały nigdy. Dumna była i czysta; twarz jéj jaśniała łagodnym blaskiem i paliła żarem, a we wzroku jutrzenka zdawała się zlêwać z błyskawicami.

Na zapytanie aniołów, jakie imię ma nosić nowonarodzona, zabrzmiało z głębin nieskończoności:

„Słowo, które na czole młodego anioła
Wspaniałą gwiazdę: wolność w téj chwili stworzyło."

Tu już zaczyna wchodzić w grę polityka: z pióra zbuntowanego niebianina tworzy Pan Bóg anioła wolności.

Księga druga p. t. „Szubienica" opowiada życie i mękę Chrystusa. Śmierć sprawiedliwego nie poprawiła świata. Izis-Lilit, fatalność, córka i wykonawczyni zamiarów Szatana, zstępuje do otchłani, by zdać ojcu sprawę z tego, co zrobiła na ziemi. Zło tryumfuje, dobro ginie! Nasienie Kaina wydało owoce, ludzie się nienawidzą i mordują wzajemnie. Kamiêń bratobójczy rozrósł się w olbrzymie więzienie — Bastylię. Ale Szatan nie słucha Lility. Jeszcze przed pojawieniem jéj się w otchłani, płakał on nad swojêm nieszczęściem. Bo Szatan zepchnięty, odtrącony, wzgardzony, kocha Boga i tęskni za światłością niebieską, którą utracił. Jeżeli zsyła zło na ludzi, to nie z upodobania w złêm, lecz przez zemstę, przez zazdrość, chce on dotknąć Boga w jego tworach, chce powiększyć liczbę nieszczęśliwych, ponieważ sam nie zna spokoju i szczęścia. Ale

każdy przejaw złego na świecie powiększa tylko tortury moralne potępionego archanioła. Każde wywołane przez niego cierpienie odbija się na nim samym. Jęki i łkania Szatana doszły do niebios, i druga córka jego, Wolność, prosi Najwyższego o pozwolenie zstąpienia do piekieł.

Bóg zezwala — i anielica ukazuje się w ciemnéj czeluści prawie współcześnie z Lilitą. Izys-Lilit, czyli Fatalność, rażona promieniami, bijącemi z czoła Wolności, rozpływa się w mgłę, a Szatan, pierwszy raz od wieków, zasypia, bo tylko we śnie może oglądać wysłańców raju. Wolność klęka przed nim i mówi: „Ojcze, pozwól, bym zbawiła dobrych, czystych i niewinnych! Patrz, słuchaj, ja płaczę nad nimi i nad tobą, o, zgódź się na moją prośbę! Bóg mnie stworzył „Wolnością,“ ty zrób mnie „Oswobodzicielką świata!“ Na czole śpiącego szatana pojawił się na chwilę blask podobny temu, który zdobił niegdyś lice Archanioła, i przez ściśnięte usta wybiegł wyraz: „Idź!“

Z księgi trzeciéj, noszącéj nazwę „Więzienie“ pozostało tylko kilka drobnych fragmentów, oraz tytuły pojedyńczych rożdziałów. Ostatni miał zawiérać opis zburzenia Bastylii.

Epilog rozgrywa się znowu w przestrzeniach pozaziemskich. „W ciemnościach rozlega się ciągle łkanie Szatana...“ — „Ja go kocham — woła upadły Archanioł — a on mnie nienawidzi!“ Wtém zabrzmiał głos Przedwiecznego:

„O, nie, ja ciebie nie nienawidzę!
Między nas wstąpił anioł, który grzech twój zgładził:
Tyś skrępował człowieka, Wolność go zbawiła,
Ona jest moją córką i twoją zarazem,
Więc wzniosłe to ojcostwo znowu nas jednoczy.
Zmartwychwstań Archaniele, demon niech przepada.
Rozpraszam ciemność nocy: Szatan już nie żyje,
Odradza się Archanioł, Lucyfer niebieski!“

Słowa powyższe zamykają poemat, którego idea przewodnia da się streścić w tych kilku wyrazach: miecz, szubienica, więzienie — to trzy symbole przemocy materyalnéj, czyli złego; znosząc przemoc, znosimy zło. Czy wszelkie zło jednak? To pytanie. Zło objawia się subiektywnie cierpieniem, a czyliż każde cierpienie ma źródło tylko w przemocy człowieka nad człowiekiem? Pomijając już to, że miecz, szubienica i więzienie nie wyczerpują bynajmniéj wszystkich objawów przemocy materyalnéj, sama idea wyprowadzenia zła jedynie z nadużycia siły, jest ciasną. Bo, przypuściwszy nawet, że przemoc zupełnie zniknie, że silniejszy przestanie raz na zawsze wyzyskiwać

i krzywdzić słabszego, czyż wtedy z pewnością bezwzględne szczęście stanie się udziałem świata, a wszelkie zło przepadnie? Nie idąc nawet tak daleko, jak pesymiści, którzy sam „byt“ uważają za cierpienie, trudno nie przyznać, że bardzo często piekło, nietylko zewnątrz, lecz i wewnątrz człowieka goreje, że w nim samym tkwi nieraz przyczyna cierpienia. Gdyby było inaczéj, to czyliż takie typy, jak Hamlet, Faust i Manfred, mogłyby się pojawić w poezyi, czyż odegrałyby tak wielką rolę w życiu duchowém ludzkości? O téj formie cierpienia, czyli, biorąc rzecz przedmiotowo zła, nie czyni Hugo w swoim utworze nawet najlżejszéj wzmianki. Wskutek tego zapewne i postać, będąca wcieleniem złego — Szatan, wyszła niezmiernie blado i bezbarwnie. Chciał on się zrównać ze swoim Stwórcą i za to został strąconym w otchłań. Tutaj, niby małe dziecko, bojące się pozostać samo w ciemnym pokoju, zbuntowany Archanioł drży na myśl, że słońca na firmamencie pogasną i że noc wieczna pokryje piekło. Ta obawa przygnębia go do tego stopnia, że przez dziesięć tysięcy lat nie próbuje wcale podjąć walki na nowo, poprzestając na trywialném pluciu i złorzeczeniach. Po za tém nie robi nic. Późniéj także nie wiele działa, wyręczając się we wszystkiem swoją córką Izydą-Lilitą. Ona to uwodzi i popycha do zbrodni ludzi, ona przygotowuje tryumf złego na świecie. Szatan zaś cierpi i płacze — płaczący Szatan, to pyszna antyteza, trudno się więc było oprzéć pokusie wyzyskania jéj — cierpi, ale dlaczego? Czy dlatego, że nie dopiął celu swych dążeń, że został upokorzony? Bynajmniéj! Płacze, ponieważ mu smutno samemu w ciemności, a w niebie było weseléj i jaśniéj. Słowem, cierpi raczéj z zewnętrznych niżeli z wewnętrznych przyczyn, gdyż rojeń o wielkości wyrzekł się zupełnie. Cała nicość téj postaci uwydatni się skoro ją porównamy z kreacyą innego wielkiego republikanina i poety — Miltona.

Jakże mizernie brzmią skargi hugonowskiego Szatana, który błaga piekło, by nad nim łzy roniło (str. 288).

„Ayez de la pitié, gouffre, prison, géhenne,
Sépulcre, chaos, nuit, desolation, haine,
Ayez de la pitié, si le ciel n'en a pas!
Sur Satan, de si haut précipité si bas!
O voûtes de l'enfer, laissez tomber des larmes.“

Czy to jest mowa dumnego Archanioła, co śmiał się z Bogiem mierzyć?

„. . . . . Bien pleure;
Sanglote, implore, écume, aime! et sois rebuté!
Aime! réfais toujours la même lâcheté!
Chien Satan, vautre toi toujours dans la bassesse!“

Tak: „kochaj, płacz i tarzaj się, grzęźnij w podłości.“ Oto kwintesencya charakteru półboga, tytana, buntownika! Ani śladu jakiejś potęgi ducha! Nawet czuły, sentymentalny Abbaddona, upadły i żałujący seraf w „Messyadzie“ Klopstoka, ma więcéj godności. Wogóle motyw kompromisu pomiędzy piekłem a niebem wyszedł, pod względem poetycznym, szatanowi na niekorzyść i, osłabiwszy indywidualność téj postaci, zrobił z niéj bezkrwisty symbol. Ze stanowiska filozoficznego atoli musimy uważać ten fakt za logiczny i naturalny skutek rozwojowego procesu. Wyrażając się figurycznie, można powiedzieć, że poetyczny charakter dyabła zakończył niejako cykl swych indywidualnych egzystencyi, czyli przebiegł wszystkie szczeble drabiny, po któréj według myślicieli indyjskich, oraz wielu panteistów europejskich, zstępuje i wstępuje każda monada przedwiecznéj substancyi bytu:

Najpiérw spłynął z prądem inwolucyjnym od Absolutu do materyi, czyli z nieba na ziemię (upadek), gdzie został zrównany z najniższemi twory przyrody i musiał, według słów ewangelii, wstępować w ciała zwierząt nieczystych. Potem, przechodząc przez szereg coraz to szlachetniejszych form, zdemateryalizował się zupełnie w dziełach wieszczów naszéj epoki i, odzyskawszy napowrót swą archanielską naturę, wrócił na łono nieskończoności (odkupienie). Ani Soumet atoli, ani Quinet, ani téż Wiktor Hugo nie postawili kwestyi jasno i wyraznie na takim gruncie. Immermann to zrobił, kreśląc jednak środkowe stadyum ewolucyjnego procesu, nie mógł przedstawić końcowego momentu rehabilitacyi. Dopiéro w roku zeszłym, okultysta, Jules Bois, w dramacie „Gody szatana“ (*Les Noces de Sathan (sic!), drame ésoterique*) opiéwa w dźwięcznych, ale mglistych rymach, konieczny niejako powrót poniżonego chwilowo archanioła do stanu pierwotnéj czystości i spokoju; obowiązkową rolę zbawicielki pełni tu symbol intuicyi i kobiécości, Psyche, która swym pocałunkiem mistycznym przetwarza zmęczoną już złem ludzkość — szatana w szlachetnego ducha niebios, mówiącego o sobie i swojem zadaniu:

Je suis sorti du fond du Mal et de l'Abime
Comme l'Autre[1]) est sorti du fond des puretés,
Mais je purifierai mon noir Pere l'Abime:
Les pierres du Mal construiront la Verité!

Wszystkie te próby, odbiegające coraz to daléj od czystéj tradycyi chrześciańskiéj i roztapiające jędrną postać czarta w bladych

[1]) Chrystus.

tumanach symbolizmu, zdają się świadczyć, że prawdziwa poezya demoniczna wypowiedziała już w Europie swoje ostatnie słowo.

Pod wyrazem „prawdziwa“ rozumiemy taką, która się liczy z historycznym rozwojem szatańskiego typu i, wprowadzając do niego nowe pierwiastki, zlewa je organicznie z dawnemi, czyniąc zaś z chrześciańskiego dyabła symbol, nie pozbawia go osobowości. Że dla poetów z „bożéj łaski“ szranki tradycyi biblijnéj i legendowéj nie stanowiły przeszkody do tworzenia wspaniałych i oryginalnych postaci — dowodem potężne kreacye Goethego i Byrona. Nie brak tam i symbolizmu, ale jest przedewszystkiém to, co stanowi jądro szatańskiego typu, a mianowicie: indywidualność, charakter i demoniczna potęga.

Symboliczne dyabły poetów XIX stulecia nietylko nie mają nic wspólnego, prócz nazwy, z tradycyjnym księciem piekielnym, lecz, co najgorsza, brak im często wszelkiéj plastyki i charakteru. Czy tak będzie zawsze, i czy nie znajdzie się już nigdy poeta, któryby potrafił, ożywić tę wpółsenną i rozemgloną dzisiaj postać i uczynić z niéj istotę, godną braterstwa Mefistofelesów i Lucyferów — tego przewidziéć niepodobna! Zarówno jednak współczesne kierunki literackie, jak i ogólny nastrój filozoficzny epoki, nie zdają się temu sprzyjać. Poezya, jak wiemy, albo się trzyma ściśle ziemi, albo téż rozpływa w falach nastrojowego subiektywizmu, filozofia zaś zerwała już dawno z prądami dualistycznemi i chyli się silnie ku monizmowi. Czy więc weźmiemy dogorywający już materyalizm, czy téż narodzony, albo raczéj odradzający się obecnie panteizm spirytualistyczny — w obu tych systematach znajdzie się bezwątpienia miejsce na złośliwych chochlików, żaden atoli mistrz słowa i myśli nie zdoła chyba w przesyconéj podobnemi pierwiastkami atmosferze wyhodować potężnéj figury ponurego i nieprzejednanego Arymana, ktory, jakeśmy to w pierwszéj części naszego studyum wykazali, tylko na gruncie dualistycznym rozwinąć i utrzymać się może. Pozostają jeszcze, coprawda, antagonizmy i walki społeczne, do których poetycznego odtwarzania — jak przekonywa prześliczny „Prometeusz i Syzyf“ Konopnickiéj — nawet stare, klasyczne symbole użyć się dadzą. I na te dysonanse jednak zapatrują się dziś socyologowie, jako na konieczne fazy przejściowe naturalnego procesu dziejowego, i tu więc spotka dyabła prawdopodobnie los, jaki mu przepowiedział Vrchlicki w swoim „Duchu i świecie“ [1]):

---

[1]) Przekład Miriama. Warszawa Paprocki. str. 144.

W piersiach człowieka tak czucie miłości
Zakwitło, jak róż krzak biały,
Że szatan, olśnion blaskami światłości,
Zawył i — skonał bez chwały.
Pokój i szczęście rządziły, stanęły
Pola w kłosistéj sukience...
. . . .
Że szatan kiedyś był w blasku swéj sławy,
Opatrzność już zapomniała!
Bóg wierzył tylko, że to był cień mgławy,
Który nań ziemia rzucała...

---

4. Figury demoniczne w utworach poetów polskich [1]).

Dyabeł u poetów dawniejszych. — „Wizerunek" Reja. — Alegoryczne figury szatanów. — Lucyfer Drużbackiéj. — Parafraza procesu szatańskiego. — Imiona dyabłów. — „Demon" Górnickiego. — Dyabły w dramatach i dyalogach. Ich jowialność. — Malus demon Szymonowicza. — Dyabły dekoracyjne. — Zmiana poglądów. — Ks. Bohomolec i jego dzieło o dyable. — Dmochowskiego pogląd na demonizm w poezyi. — Zupełny upadek dyabła w literaturze pseudoklasycznéj i odrodzenie się jego w romantyzmie. — Wpływy swojskie i obce. — Przewaga cudzoziemczyzny. — Błędne teorye Berwińskiego. — Dyabeł rodzimy. — Jego charakter. — Niekorzystny wpływ „Fausta" Goethego na oryginalność poezyi demonicznéj u nas.— Samodzielność Mickiewicza. — „Pani Twardowska" i projekt „pana Twardowskiego." — „Twardowski" Zielińskiego, Korsaka, Grozy, Kamińskiego i Kraszewskiego. — Twardowski Szujskiego. — Zaniedbanie Boruty. — Boruta Grabowskiego. — Typy mefistofeliczne. — Zły duch w „Jordanie" Sowy. — Szatan w „Lesławie" Zmorskiego. — Typy miltonowsko-byronowskie. — Czarny duch Kraszewskiego. — Anioł upadły Romanowskiego. — Masynisa Krasińskiego i Pamfilus Słowackiego i ich oryginalność. — Dyabły symboliczne. — Szatan-Rozum Krasińskiego i szatan jako *principium individuationis* u Czaykowskiego. — Zakończenie.

W naszéj poezyi artystycznéj, dyabeł odegrał rolę niewielką i nieświetną, i występował przeważnie w charakterze alegorycznym. Jako postać, jako indywiduum pojawił się dopiéro w epoce romantyzmu, a i wtedy bywał zwykle odbiciem satanicznych figur Goethego, lub Byrona.

---

[1]) Literatura: Czacki: „o Litewskich i Polskich prawach." Berwiński: „Studya o gusłach, czarach, zabobonach ludowych;" Al. Świętochowski: „O prześladowaniu dyabła w Polsce" (Przegl. Tyg. 1877); Kolberg: „Lud;" Ciszewski: „Lud rolniczo-górniczy z okolic Sławkowa;" Wójcicki: „Klechdy;" Maciejowski: „Piśmiennictwo polskie;" Wiśniewski: „Historya liter. polskiéj;" Wójcicki: „Teatr starożytny w Polsce;" Chomętowski: „Dzieje teatru polskiego;" W. Smoleński: „Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiéj;" Gliński: „Bajarz polski;" Zawiliński: „Z powieści i pieśni górali beskidowych;" St. Chełchowski: „Powieści

Przed wiekiem XIX nie spotykamy w literaturze polskiéj ani jednego demonicznego typu, mogącego się równać ze słynnemi kreacyami wieszczów Zachodu. Narodzeniu się podobnych postaci przeszkadzała z jednéj strony ogólna przewaga liryki [1]) nad poezyą epiczną i dramatyczną, z drugiéj zaś fakt, że nieliczni epicy i mniéj jeszcze liczni dramatycy nasi mieli głównie na względzie cele dydaktyczno-moralne i nie wiele się troszczyli o wewnętrzną, czysto psychologiczną stronę figur, uosabiających tylko pewne nadprzyrodzone potęgi i wpływy. To też w największéj i najpoważniejszéj epopei polskiéj z XVI w. „Wizerunku“ Reja (1558), gdzie dyabły odgrywają rolę dosyć znaczną, poeta, wstępując w ślad Palingeniusza, przesuwa przed oczami czytelnika cały szereg wcielonych występków i grzechów, lecz nie żywych, czujących i myślących demonów. Widzimy tam więc (XI) króla rozterek, Warchoła, co ma:

Łeb jako u niedźwiedzia, a baranie rogi,
Zęby, jako u wieprza, a u szkapy nogi,

---

i opowiadania ludowe z okolic Przasnysza,“ „Wisła“ (roczniki); ks. Bohomolec: „Dyabeł w swojej postaci, albo o upiorach, gusłach, wróżkach, losach, czarach z przydatkiem o ukazywaniu się duchów“ (Warszawa, 1773—1777, nakł. Michała Grölla, bibliopoli nadwornego J. K. M.); Świeżawski: „Przyczynek do studyów nad Twardowskim“ (Bibl. War. 1875), „Postępek prawa czartowskiego przeciw narodowi ludzkiemu“ 1570 (nowe wyd. Akad. krakow.); Rej: „Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego podł. edycyi 1560 wyd. St. Ptaszycki;“ Ad. Mickiewicz: „Rzecz o literaturze słowiańskiéj,“ oraz prace i poematy wzmiankowane, lub rozbiérane w tekście.

[1]) Niektórzy lirycy nasi, jak Szarzyński, Miaskowski, Kochowski, wspominają dość często o piekle i dyable, ale w sposób ogólnikowy, bez wdawania się w określenia natury i charakteru szatana. Oto próbki, zaczerpnięte ze zbioru liryk religijnych Kochowskiego p. t. „Ogród panieński, pod sznur pisma św. wymierzony, a kwiatami tytułów Matki Boskiéj wysadzony.“ Poeta, objaśniając wierszem rozliczne epitety N. M. P. wielbi ją między innemi, jako: „amazonkę odważną, któréj święte nogi — Belzebubowi złemu zdeptały łeb srogi;“ lub też „Buławę Herkulesa, od któréj zamachu — samego, awernowe gady giną z strachu.“ Daléj opowiada, że: „Gdy piekielny najezdnik chce na nas kłaść więzy — Panna brańców odbija i ordę zwycięży;“ „To miejsce święci biorą, skąd Lucyfer spada — Lecz i nad świętych wyższe Marya osiada,“ „aczci to według wiary mówić rzeczy trudne,—mówię jednak: przez Pannę piekło nie tak ludne i t. p. Wszystko to świadczy aż nadto wymownie, że w poglądach na stosunek potęg niebieskich a specyalnie N. M. P. do szatana nie różniliśmy się ani na jotę od całéj Europy katolickiéj. Wiara zaś w opiekę i orędownictwo N. M. P. stały jak wiemy, w odwrotnym stosunku do wiary w przemoc szatana i jego aniołów. To nam objaśnia do pewnego stopnia względną słabość naszych demonów w życiu i poezyi.

Ręce, jako u żaby, skrzydła z jakiejś błony,
Jako u nietoperza, czarnym przesadzone.
Goły po pas, a na dół, by niedźwiedź kosmaty,
Kiedy go psi oskubią, wiszą po nim płaty;
Miecz goły dzierży w ręce, a w drugiéj buławę,
A z swojemi panięty ma jakąś rozprawę.

Potem idzie Darmopych, król pychy, równie poczwarny „z gębą nadętą, by pudło; na piędź rozszyrzoną;“ daléj, Sobiepan, hetman łakomstwa i zazdrości, Żarłok, hetman pijanic, z „rozwalonym brzuchem i świńskim pyskiem,“ a nakoniec sam Lucyfer o trzech — jak u Dantego — głowach, uwiązany, jak w legendach średniowiecznych — na łańcuchu. Nietylko kształty, ale i odzież, i akcesorya, i słowa, i ruchy — wszystko to ma znaczenie czysto symboliczne, które poeta przez usta Solona w dalszym ciągu poematu wykłada.

Podobna metoda traktowania szatana przetrwała bardzo długo. Drużbacka (1687—1765) w swoim poemacie alegorycznym „Forteca od Boga wystawiona, pięcią bram zamknięta t. j. dusza ludzka z pięciu zmysłami,“ opowiada, jak dyabli, zdobywszy ową „twierdzę“ rozniecają w niéj różne namiętności, a sam

Lucyfer zasiadł do gry faraona,
Na stołach stoją w butlach wina główne;
On sam bank trzymał, złotem rzucał suto,
Przysłał mu weksel w momencie pan Pluto.

Gospodarując w ten sposób, doprowadzają dyabli duszę do straszněj nędzy, z któréj ją ratuje Zbawiciel. Jest-to, jak widzimy, bardzo naiwna i bardzo niezgrabna i płytka alegorya upadku, oraz odkupienia człowieka [1]).

---

[1]) Dyabłom specyalnie poświęcony jest utwór czysto dydaktyczny p. t. „Postępek prawa czartowskiego przeciwko narodowi ludzkiemu“ (1570), będący kompilacyą, przerobioną z popularnych na Zachodzie a wspomnianych już przez nas „procesów szatańskich.“ Lucyfer wysyła do niebios Beliala, żądając, albo powrotu do dawnych stanowisk, albo zupełnéj władzy nad ziemią i człowiekiem. W obronie ludzi występuje Ś-ty Michał — i dyabli sprawę przegrywają. Później oskarżają Chrystusa, który im zabrał z otchłani dusze patryarchów o gwałt i rabunek — i znowu przegrywają proces. W dalszym ciągu autor, idąc za słynném „*Theatrum diabolorum*“ Frankfurt (1569), opisuje różne rodzaje dyabłów, lokalizując zręcznie ich nazwiska niemieckie: Rozwot — co rozwodzi małżeństwa i sejmy; Koffel — w oryginale Saufteufel; Harab — myśliwy; Strojnat, „czart pyszny, który stroi pyszne ludzie;“ Kierdos — „czart pilen duchownych ludzi;“ daléj Szczebiot, Węsad, Ilelu, Polelu, Kozyra, Śmieszek, Lelek, Czeczot etc. Ważne są imiona Beruta (Boruta?) i Latawca, który, po wypędzeniu z piekieł, został inkubem (por. Zamek Kaniowski Goszczyńskiego!) Inni autorowie zwali go „przyłożnikiem.“

W szczegółach zewnętrznych naśladuje Drużbacka — co także później w „Wojnie Chocimskiéj“ robił Krasicki — demonologię „Jerozolimy wyzwolonéj“ Tassa, popularnéj u nas wskutek pięknego przekładu Piotra Kochanowskiego.

O wiele więcéj rysów indywidualnych posiadają dyabliki w dramatach, oraz dyalogach duchownych i szkolnych.

W tych ostatnich, będących tylko modyfikacyą średniowiecznych misteryów, dyabeł stanowił przyprawę niezbędną. Utrzymał téż się w nich bardzo długo i, jak świadczy choćby znana bajka Krasickiego o „Zbytku przygotowań,“ cieszył się wielkiemi względami ojców Jezuitów, którzy obdarzali swego faworyta „sześciołokciowym ogonem“ i krępowali „potrójnym łańcuchem,“ czyniąc zeń imponującą, ale nieruchawą poczwarę. Ogólnemi rysami przypominają szatani, występujący w dyalogach i komedyach naszych, dyabłów, znanych nam z misteryów, *schwäncków* i fars Europy zachodniéj. Są to także typy komiczne, błazeńskie i mało wyraziste, nad którem, gdyby nie kilka drobnych cech lokalnych, nie wartoby było zastanawiać się dłużéj. Noszą oni przeważnie imiona, zrodzone na miejscowéj glebie i nie przypominające w niczém kosmopolitycznych nazw urzędowéj demonografii zachodu. Rzadko więc spotykamy tam nadętych Astarothów i Adramelechów, częściéj za Węglików, Smołki i t. p. zabawnych chochlików, którzy, już to targują się i swarzą wesoło z chłopem o smołę do kotłów piekielnych, już téż rozgniewani na śmierć za to, że pozwoliła ujść grzesznikowi, lżą ją, biją i dławią, a dopiéro spostrzegłszy, że już „leży, jako drewno, a mało w niéj ducha pewno“ wołają doktora „niemca,“ by ratował zemdloną „ciotusię“ (Dziewosłęb dwor-

---

On to podobno spłodził „Świętego (*sic!*) Merlinusa,“ chociaż autor temu niedowierza, posądzając ową nierządną królewnę brytańską o wykręty i kłamstwo. Dziełko to zawiéra mnóstwo ciekawych szczegółów demonologicznych, które tutaj, jako nie należące bezpośrednio do przedmiotu, pominąć musimy. — Drugim utworem, w którym także nastrój dydaktyczny przytłumia zupełnie stronę poetyczną jest „Demon Socratis, albo rozmowa złodzieja z czartem“ Łukasza Górnickiego. Czart, reprezentujący tutaj pojęcia autora, stara się dowieść złodziejowi, że nie dyabli, ale jego własna wola, popycha człowieka do grzechów. Szatan pojęty jest tutaj bardzo idealnie, i to zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. „Szkaradny, ani piękny nie jestem — powiada o sobie — bo nie mam twarzy, ubić cię téż nie mogę, bo rąk nie mam; smrodu téż odemnie nie poczujesz, bo nie jadam. W dalszym ciągu zaś oświadcza, że nie jest zwyczajnym dyabłem, lecz jednym z tych duchów, „co na powietrzu mieszkając, jest mu wolno z tym, abo z owym stowarzyszyć się człowiekiem i jego z więtszego złego do mniejszego prowadzić.“ Czuć tu wpływ platonizmu, któremu, jak wiadomo, hołdował nieodrodny syn epoki odrodzenia, Górnicki, Sam Czart utożsamia się w końcu z słynnym Demonem Sokratesa. Gor. Dzieła (wyd. Lewentala tom III, str. 243—261).

ski). W innéj znowu dramatyzowanéj satyrze z początku XVII-go wieku (Nędza z biedą z Polski idą), czart się skarży dowcipnie na zwyczaj spędzania wszystkiego złego na dyabłów.

Nuż co zginie: dyabeł wziął, albo dyabli zjedli,
Choć jak żywo złodziejstwa na nas niedowiedli.
Dyabeł bierze pieniądze, dyabeł majętności,
A ja tego nie dźwigam dla saméj ciężkości!
Nuż kto kogo winuje, niecnotę wyrządzi,
Żadnego nie winuje, dyabła wnet osądzi.
Odejdzie żona męża, albo też mąż żony,
Potém mówi: dyabeł mnie zaniósł w te tu strony...
A dyabeł tam ani był, ani go tam nosił,
Ja nikogo nie dźwigam, chociażby mnie prosił...

Jak widać z tych okruchów, tkwiło w dramacie naszym nieco pierwiastków, które, przy sprzyjających warunkach, mogły się były z czasem stopić w jednolity i dosyć oryginalny typ dyabła z zacięciem rodzajowo-komiczném.

Do wytworzenia figury szatańskiéj w stylu monumentalnym, poważnym, nie było u nas, jak i w większości krajów katolickich, żadnych danych. Nie sprzyjał temu ani kierunek umysłów, nastrojony, po przełamaniu reformacyjnych zachcianek, zupełnie anty-dualistycznie, ani też, o czém wspominaliśmy wyżéj, ogólny charakter poezyi, w któréj uczucie i refleksya dominowały nad żywiołami epiczno-dramatycznemi.

Najpoważniéj przedstawia się „stary frant, albo czart (*malus demon*)“ w dramacie „*Castus Joseph*“ Szymonowicza [1]). Otwiera on sztukę długim monologiem, w którym objaśnia widzowi swoją i swoich towarzyszów naturę:

Idę ja z swych pałaców i cieniów zakrytych,
Gdzie mieszkamy w przepaściach ziemskich niedobytych,
Różni od wyższych bogów my niżsi bogowie,
Jeśli słusznie niższemi nas tu kto nazowie,
Gdyż przy nas moc zupełna, czcigodności wielkie...

Występuje on w charakterze boga pogańskiego i postanawia zemścić się na „kozowońskim narodzie żydowskim“, mającym wydać na świat „dziedzica nowego, co ma odnieść łupy z królestwa szatana i zdeptać jego głowę“. Gdzie więc tylko pojawia się płód „grzeczny“ pomiędzy żydami, czart postanawia go zabić, lub skrzywić. On to nasłał na Józefa złych braci; on go chce skusić pięknością Jempsary, żo-

---

[1]) Oryginał łaciński wyszedł w r. 1587. Przekład (wydany niedawno na nowo przez Akad. Krak.) 1597.

ny Faetifera (Putyfar). Oto wszystko, co o téj figurze powiedzieć można, poeta kreślił ją bardzo grubemi rysami, nie wdając się w szczegóły i subtelności psychologiczne.

Pozatém wprowadzano często dyabła na scenę w przedstawieniach dworskich; odgrywał on tam atoli, o ile się zdaje, raczéj rolę efektownéj dekoracyi, niżeli czynnika dramatycznego [1]).

Z czasem, pod wpływem filozofii i literatury francuskiéj, rozpoczęto u nas z dyabłem walkę na ostre. W r. 1773 ks. Jan Bohomolec, „Nauk wyzwolonych y Theologii Doktór, Proboszcz Skaryszewski i Praski", wydał pierwszy tom ciekawego dzieła p. t. „Dyabeł w swojéj postaci". W pracy téj, oczytany wielce, a co ważniejsza, „oświecony" kapłan stara się zniweczyć różne „niezgodne z rozumem" przesądy i sprowadza potęgę materyalną szatana do bardzo małych rozmiarów, zostawiając mu jedynie możność i prawo kuszenia przez wpływy psychiczne, jako to poddawanie grzesznych myśli, obrazów i t. p. Książka ta, ukończona w r. 1777, była w pewnym stopniu wyrazem opinii większości inteligentnego ogółu, gdyż w r. 1776 zabroniono dochodzenia czarów za pomocą tortur i zniesiono karę śmierci za ten występek. Fakt powyższy upamiętniony został wybiciem medalu. Rzecz prosta, że nastrój podobny nie mógł sprzyjać rozwojowi demonizmu w poezyi. To też, chociaż tłumacz Miltona, Dmochowski, sprzeniewierzywszy się w „Sztuce rymotwórczéj" swemu mistrzowi, Boileau'owi, zezwala na wprowadzanie złych duchów do poezyi, czyni jednak zastrzeżenie, żeby to nie były, broń Boże, istoty zbyt silne, gdyż jeżeli

...chytrością i siłą prawicy swéj wsparci
Na swą stronę wygranę przeważają czarci —

obraża to święty majestat niebios.

---

[1]) Samuel ze Skrzypny Twardowski podaje w swoim „Władysławie IV-ym" treść tragedyi o „świętéj Urszuli", gdzie:

Pluto zaperzony, nizli co uknuje,
Z swemi Demogorgony wielmożnie sejmuje.
Straszliwie tu majestat jego wyrażony,
Gdy stąd staną około wściekłe Tyzyfony,
Głównie kurząc smolane, stąd krwawe Megery,
Płaczorode Meduzy, trójszczękie Chimery...

Autor téj tragedyi musiał do swego malowniczego piekła czerpać także natchnienie z Tassa. Niemniéj efektownym zapewne był wcześniejszy dramat pastora Borawskiego „Teatrum diabolorum" (1621), gdzie w trzech bardzo długich aktach wystawiono „dyabłów szczęście, upadek i zasadzki na duszę, i piekło i wszystkie potępieńców męki; straszydła piekielne i całe królestwo piekielne", a wszystko to, jak zapewnia autor, zmierzało ku poprawie obyczajów. (Cf. Wojcicki „Teatr starożytny w Polsce").

Okres pseudoklasyczny zatém nie wydał u nas, jak i nigdzie zresztą, żadnych prawie utworów i typów demonicznych. Dopiéro w atmosferze romantyzmu odżył zgnębiony szatan na nowo i rozpoczął swobodnie dawne figle i harce.

Romantyzm nasz czerpał soki z dwóch źródeł: jedném były literatury Zachodu, drugiém zaś, ważniejszém—poezya ludowa. Otóż, na punkcie satanizmu wpływy obce wzięły górę nad tradycyami miejscowemi i wykrzywiły zupełnie najpiękniejsze i najoryginalniejsze charaktery rodziméj demonologii polskiéj [1]).

---

[1]) Berwiński zaprzecza „rodzimego" pochodzenia dyabłów polskich. A. Świętochowski zaś (O prześladowaniu dyabła w Polsce) mówi: „dyabła nie wprowadził do nas ani chrystyanizm, ani jakakolwiek religijna sekta, lecz pod inną postacią i imieniem istniał on już w pogaństwie, otrzymawszy tylko od nowéj wiary nowe, że tak powiemy, przebranie". Czy rzeczywiście pogaństwo nasze posiadało równoważnik dyabła—trudno powiedzieć stanowczo, chociaż nazwy Białego i Czarnego Boga zdają się za tém do pewnego stopnia przemawiać. Z drugiéj strony jednak, wiele motywów skłania do przypuszczenia, że wielobóstwo słowiańskie bliższe było religii Germanów, Greków i Indów, oraz innych politeistycznych wierzeń o panteistyczném podścielisku, niżeli jaskrawego dualizmu Persów. Ani jedno, ani drugie przypuszczenie atoli nie wyłącza „rodzimości" figur demonicznych, których podobieństwo do fantastycznych postaci innych ludów, da się po prostu objaśnić podobieństwem natury ich twórców. Po co przypuszczać z Berwińskim, że „inkuby" i „sukkuby", zwane u nas latawcami i przyłożnikami, przywędrowały z chrystyanizmem, kiedy, zarówno u naszego ludu, jak i gdzieindziéj, powstały one prawdopodobnie spontanicznie, jako uosobienia i obiektywizacye pewnych naturalnych procesów fizyologicznych. Uczeni antropologowie dawno już wzięli pod uwagę wpływ widzeń sennych na tworzenie się pojęć o świecie nadzmysłowym u ludów pierwotnych. Jeżeli do snów dołączymy halucynacye różnego rodzaju, daléj, zjawiska magnetyzmu zwierzęcego, sonnambulizmu, oraz wszystko, co z temi ciemnemi dotąd fenomenami stoi w pokrewieństwie i znané jest pod ogólną nazwą „medyumizmu", jeżeli uczynimy ten krok naprzód, mnóstwo postaci i wyobrażeń demonologii wszystkich ludów da się sprowadzić do naturalnych, ale opacznie tłómaczonych objawów, nie tylko przyrody w ogóle, lecz i organizmu ludzkiego w szczególności. Ta hypoteza wytłómaczy nam z łatwością, dla czego zarówno przedhistoryczny Akkadyjczyk, jak i chłop polski, wytwarzali sobie światy duchów, różniące się pomiędzy sobą o tyle tylko, o ile jedno plemię różniło się od drugiego. Wzrost cywilizacyi i ujednostajnienie się wiary wywierały tylko wpływ niwelacyjny na istniejące już przedtém wyobrażenia różnych narodów, nic więcéj. Kościół katolicki przeto mógł u nas, jak i wszędzie zresztą, nadać rodzimym demonom i zsatanizowanym bóstwom lekko kosmopolityczny koloryt, mógł je ułożyć w odmienny od pierwotnego systemat, obdarzyć nowemi imionami, cechami i atrybutami, mógł w ostateczności wprowadzić kilka, lub kilkanaście własnych postaci — główna masa atoli tych fantastycznych tworów zrodziła się i wyrosła na czysto miejscowym gruncie. — Że zjawiska psycho-fizyologi-

Widma, upiory, topielice, rusałki i inne fantastyczne postaci odtwarzano w ogóle daleko lepiéj i zgodniéj z naturą wierzeń ludowych, niżeli dyabłów, które w podaniach naszych niemałą przecież i dosyć oryginalną odgrywają rolę.

Dyabeł polski tylko w pieśniach kościelnych i dziadowskich występuje w charakterze krwiożerczego kata i surowego wykonawcy wyroków bożych: sadza on dzieciobójczynię „na murowanym stolcu i daje jéj smoły w półgarcu", lub téż obsypuje wrzodami „świętego Jopa" i t. p. [1]).

W podaniach, niemających związku z tradycyami Kościoła, szatan wygląda nieco inaczéj. Sprawia on tam wrażenie uosobionéj siły natury, siły wielkiéj, potężnéj, ale nie tyle złéj, ile bezmyślnéj i głupiéj, która tylko nieostrożnemu zaszkodzić może, pod kierunkiem rozumnego człowieka atoli przeradza się na pewien czas w czynnik pożyteczny i dobry. Bies to przecie, z rozkazu Twardowskiego, zniósł srebro z całego świata do kopalni olkuskiéj!

Prócz starego motywu o spółce chłopa z czartem, spotykamy u Kolberga i innych zbieraczy mnóstwo klechd i podań, w których chłopski spryt i babska przewrotność tryumfują nad szatańską naiwnością, przybierającą niekiedy nawet charakter poczciwości. W „Klechdach" Wojcickiego pojawia się dyablik, Iskrzycki, który długo wiernie służy ulubionym przez siebie ludziom. Piekło, według mniemania naszego ludu, ma swoją etykę. Dyabli dotrzymują święcie danego słowa i oburzają się na niesprawiedliwe postępki swoich towarzyszów. Bies, który głodnemu a biednemu chłopu zjadł ostatni kawałek chleba, musi, z rozkazu Lucypera, służyć u pokrzywdzonego przez trzy lata za darmo. (Cf. Bibl. Wisły VI, 100. Gliński, Bajarz III). Dyabli sądzą po raz wtóry sprawę pokrzywdzonéj wdowy. Wszystkie te przykłady, których, ze względu na specyalny charakter naszéj pracy, pomnażać i rozbierać nie będziemy—świadczą, że, jak słusznie powiedział dr. Jan Karłowicz, „pod czarną postacią naszego ludowego dyabła kryje się dawne, mniéj, lub więcéj, dobroczynne bóstwo pogańskie, z biegiem czasu dopiero strącone na poziom szatana".

---

czne, niedające się łatwo wytłomaczyć, stają się źródłem bardzo dziwacznych doktryn, dowodzą teorye Allana Kardeca i spirytystów anglo-amerykańskich, którzy w połowie XIX wieku zdołali wytworzyć cały systemat religijno-filozoficzny, oparty na angelo i demonologii *sui generis*.

[1]) Cf. Kolberg, Ser. IV, część II, Ser. XII, № 611. Wisła, Tom II, 587.— Ciekawą jest legenda, będąca modyfikacyą „wizyi" i opowiadająca o pielgrzymie, który zwiedził piekło za życia i odpokutował przez to za grzechy. (Bibl. Wisły tom VI. 128). Dyabeł w poezyi ludowéj zasługuje na specyalne studyum.

Otóż ta naiwna dobroduszność, połączona z pewną jowialną szorstkością, stanowi wybitną cechę charakterystyczną naszego rodzimego dyabła, cechę, o któréj zapomniała większość obrabiaczy podań ludowych.

Genialny utwór Goethego oślepił ich wszystkich swoim słonecznym blaskiem, wszystkich, z wyjątkiem Mickiewicza, który nietylko w „Pani Twardowskiéj“ zostawił najlepsze opracowanie tego popularnego podania, lecz, oświadczył Odyńcowi w Wejmarze—i to w parę godzin po powrocie z przedstawienia „Fausta“!—że, gdyby obrabiał Twardowskiego dramatycznie, nadałby jego piekielnemu pomocnikowi komiczno-rodzajowy charakter [1]). Wielka erudycya literacka nie zatarła w umyśle autora „Pana Tadeusza“ poczucia swojskości. Rozumiał on doskonale, że żywotność danego typu związana jest z naturą kraju, który go wydał. To téż dyablik „sztuczka kusa“ ze wspomnianéj ballady jest jedyną może postacią demoniczną naszéj literatury, zgodną z duchem tradycyi ludowych. Inni poeci, odziawszy wesołego i wichrowatego szlachcica, który się bawi z dyabłem i przez dyabła, w skórę zgorzkniałego filozofa i sceptyka, pragnęli również przerobić głupowatego niemczyka w pluderkach na genialnego krytyka niebios i ziemi.

Usiłowania stworzenia polskiego „Fausta“ spełzły, jak wiemy, na niczém. Najlepszym, bo najbliższym legendy, jest niewielki fragment Gustawa Zielińskiego (Czarnoksiężnik Twardowski). Zgodnie z tradycyą, czart przedstawiony tam został jako chytry i umęczony pachołek Mistrza, który „wiedzion chęcią dokuczenia wściekłą, we dnie i w nocy, i lądem i morzem, jakby na zaciąg pędzi całe piekło“. Korsak (Twardowski Czarnoksiężnik) zrobił z pełnego fantazyi szlachcica jakąś mdłą mięszaninę Manfreda i Fausta, niedał mu jednak ani energii pierwszego, ani rozumu drugiego z tych tytanów. Dyabeł Korsaka jest marną i bladą poczwarą, która nie bierze prawie udziału w akcyi, zszytéj także ze strzępów poezyi Goethego i Byrona. Więcéj mówi, ale nie wiele więcéj robi gadatliwy i nudny *Experiens* w „Twardowskim“ Grozy, będący tylko lichą kopią getowskiego ducha negacyi.

---

[1]) Listy I, 213—216. Twardowski w ogóle jest typem pośrednim niejako pomiędzy katolickim Teofilem i protestanckim Faustem. Jak Faust zajmuje on się alchemią i magią, używa pomocy dyabła do robienia czarów. Jak Teofil ucieka się w niebezpieczeństwie pod opiekę Matki Boskiéj, która ratuje go wprawdzie od potępienia wiecznego, nie wprowadza jednak do raju, lecz zawiesza w powietrzu pomiędzy niebem i ziemią. W ukształtowaniu się téj legendy brały widocznie udział i katolickie i protestanckie czynniki. Jest to bardzo prawdopodobne, pierwsze wzmianki bowiem o Twardowskim datują z XVI w. (Górnicki, Dworzanin).

U J. N. Kamińskiego, i Twardowski i dyabeł giną w tłumie innych postaci; nieszczególnie także udał się „Mistrz Twardowski“ Kraszewskiemu, oraz kilku podrzędniejszym autorom. Obok wzmiankowanéj wyżéj ballady Mickiewicza, można postawić jedynie poemat dramatyczny Szujskiego p. t. „Twardowski“.

Szujski nie probował wprawdzie faustyzować swego bohatera, nie trzymał się jednak ściśle tradycyi, lecz traktował przedmiot w sposób zupełnie swoisty. Twardowski jego jest wyobrazicielem szlachetczyzny ze wszystkiemi jéj zaletami i wadami. Pełen wiary w siebie i ideały swoje, wyzywa on dyabła, reprezentującego żywioły rozkładowe państwa, na pojedynek duchowy i, zwyciężywszy groźnego przeciwnika dwa razy z rzędu, popada wreszcie w szpony piekieł w chwili, gdy, upojony poczuciem swojéj „szlacheckiéj“ wyższości, odpycha z pogardą pijanego chłopa, który, padając na ziemię „dotknął głową szlacheckich kolan“. Zły duch uradowany woła: „Patrz, na zgrzebnéj bliźniego odzieży ślad pozostał szlacheckiego buta. Płonie, płonie, jak wielkie ognisko, skrzy i pryska—grzech przeciw miłości...“ Szatan występuje u Szujskiego w kilku metamorfozach; najwpierw jako zwyczajny, jowialny bies polski, potem jako przemądrzały presbyter aryański, sceptyczny dworzanin, a wreszcie butny magnat, wbijający na polu elekcyjném w głowy wyborców zgubną maksymę, że szlachcic winien „chłopa panem być, a króla mieć sługą“. To rozbicie jednéj osoby na cztery różne postaci rozszerzyło może i pogłębiło jéj znaczenie alegoryczne, zaszkodziło jednak niezmiernie wewnętrznéj koncentracyi typu i, zamiast skończonego indywiduum, dało nam symbol, wymowny wprawdzie, ale pozbawiony plastyki i życia.

Takie były dotychczasowe losy powieści o Twardowskim w literaturze naszéj. Podobieństwo tego podania do historyi niemieckiego Fausta, nietylko sprowadzało ciągle poetów z prostéj drogi, lecz odwróciło ich uwagę od innych, równie ciekawych legend i typów. Charakterystyczniejszym i bardziéj jeszcze zrośniętym z glebą polską, niżeli kusy dyablik niemiecki, jest przecie Boruta [1]), ten szlachcic w szatańskiéj skórze, rębacz i pijak, idący w zawody z łęczyckiemi „piskorzami“. Na nieszczęście nikt do téj pory tego typu umiejętnie nie wyzyskał i nie rozwinął. W wydanym w r. 1890 dramacie Br. Grabowskiego Boruta odgrywa rolę dosyć podrzędną; charakterowi jego brak pogłębienia; dobrze pomyślana scena rozmowy dyabłów różnej

---

[1]) Charakter mityczno-legendowy Boruty nie został dotychczas należycie wyświetlony. Zdaje się, że przodkiem jego był jakiś bożek „borów“. Tak przypuszcza znany badacz rzeczy ludowych p. Rafał Lubicz, który ogłosił w „Kaliszaninie“ (1889, № 89), prośbę o nadsyłanie mu podań o Borucie.

narodowości ginie jako drobny epizodzik wśród ciągłéj pijatyki i rąbaniny szlacheckiéj. Słowem, Hiszpanie mają swego dyabła-mnicha, my zaś na naszego dyabła-szlachcica musimy jeszcze poczekać!

Pomijając drobniejsze utwory, oparte na podaniach miejscowych, („Chłop i dyabeł“, „Góra Poznańska“ Morawskiego i t. p.), przejdziemy do poematów, w których występują dyabły o charakterze kosmopolitycznym. Najczęstszym gościem był u naszych poetów Mefistofeles Goethego, rzadszym o wiele bajronowski Lucyfer, którego bluźnierstwa brzmiały zbyt poważnie i surowo dla uszu prawowiernych synów kościoła katolickiego. Szyderstwa i dowcipy Mefistofela łatwiéj się dawały sprowadzić *ad absurdum*, był to więc typ mniéj groźny, a w dodatku o wiele elastyczniejszy i podatniejszy, jako materyał poetyczny. Mefistofeles więc pojawia się jako Czarny Myśliwy w I części „Dziadów“ [1]), jako Nieznajomy w „Wacławie“, Doktor u Słowackiego, Fotofero w „Dyable“ i Lucyfer baron von Teufel w „Tomku Prawdzicu“ Kraszewskiego, pod właściwem imieniem w „Nieboskiéj“ Krasińskiego. Ciężką i niezgrabną odmianę getowskiego typu stworzył Antoni Sowa (Edward Żeligowski) w złym duchu z „Jordana“ (1847).

Autor, zdający się skłaniać do panteistycznego poglądu na świat, nie umiał—jak i większość naszych demonografów poetycznych—wyznaczyć w swoim systemacie szatanowi wyraźnéj roli, oraz określić jasno jego stosunku do reszty stworzenia i stwórcy. Zły duch Sowy występuje jako podżegacz do czynów egoistycznych, do połowiczności w życiu i myślach. Lubi on „liche półcnoty, co się nie zdadzą ni światu, ni Bogu“, oraz „liche pół-miłości, oprawę egoizmu sztucznie pozłacaną, pod którym duszę widzimy miedzianą“. Bies ten ma, jak widzimy, upodobania zupełnie odmienne od gustu słynnego ibsenowskiego „odlewacza guzików“, który niezabiera połowicznéj duszy Peer Gynta do piekieł, lecz chce ją roztopić w ogólnym kotle i przelać na

[1]) Inne komiczne i trywialne, a zarazem krwiożercze, okrutne i głupie, nakształt demonów średniowiecznych, biesy w tym poemacie, należą do najświetniejszych figur w podobnym stylu i są bezporównania lepsze od analogicznych postaci u Słowackiego. George Sand w „*Autour de la Table*“ doskonale zrozumiała ich charakter i wykazała przyczyny, które na jego powstanie wpłynęły.—Autor „Lirenki“ probował także w „Zachwyceniu“ stworzyć piekło, ale—odwrotnie jak u Dantego—ten który tak cudnie odmalował niebo chłopskie, nie miał dosyć surowéj i ponuréj wyobraźni do skreślenia obrazu otchłani. Szatan jego jest raczéj bladą alegoryą, niżeli postacią, zgodną z pojęciem ludu: „Jak téż wygląda szatan przeklęty?—Czasem, jak szatan, czasem, jak święty.—Raz obrzydliwy lot nietoperza,—Jak sieć pajęczą na świat rozszerza,—To znowu, jakby okryty zorzą,—Udaje mądrość i piękność bożą“.

nowe indywiduum. „Zły duch“ pragnie szlachetnemu Jordanowi wydrzeć z serca „zapomnienie siebie” i obudzić samolubną miłość ziemską, bohater jednak opiera się tym pokusom i szatan zostaje zwyciężony. Potężniéj, ale za to bardzo mglisto, wygląda szatan u Zmorskiego („Lesław“—napisany około 1845, wydany 1847). Jak Lucyfer Byrona, lituje on się nad światem, oddanym na pastwę nienawiści i niedoli. Nie szydzi on, lecz oburza się na istniejący porządek rzeczy. Żyłem—powiada—szczęśliwy na łonie rozkoszy niebieskich.

Przecież gdym ujrzał nowo wstały świat
I wyrok srogi niewinnie nań dany,
Bluźnierczy krzyk mój przedarł się przez dźwięk
Pień uwielbienia, wśród głosów miljona,
I—dziewięć chorów wnet, najszlachetniejszych
Duchów, zagrzmiało tym samym okrzykiem...
I—wszystkiéj ziemi świadomy los nasz...
Inne pośledne chóry pozostały.
Myśmy upadli w mrocznych piekieł żar...
Wieki cierpiałem—wieczność cierpieć będę,
Przecież straconych niebios mi nie żal!

Zmorski poszedł daléj jeszcze, niżeli Byron i, przytłumiwszy w swym czarcie wszystkie egoistyczne nuty, jako to: pychę, ambicyę i t. p. uczynił zeń uosobienie czystego altruizmu. Na ziemi panuje wieczna nienawiść, piekło jedynie zna głęboką, prawdziwą i bezinteresowną miłość, za którą trzeba znosić męki. Gdyby wykonanie dorównywało oryginalności założenia, poemat Zmorskiego zająłby poczesne miejsce w szeregu arcydzieł literatury, „Lesław“ atoli nie może się nawet w przybliżeniu równać z Kainem“. Młody, dwudziestodwuletni poeta nie umiał się jeszcze skupić, nie potrafił, jak Byron, zogniskować uczuć i myśli swoich, lecz puścił je samopas; napisał więc kilka pięknych scen i monologów, ale nie zrobił ani z Lesława, ani z szatana wybitnych i plastycznych figur.

Dyabeł Zmorskiego jest jednym z nielicznych w poezyi naszéj typów szatana w stylu byronowsko-miltonowskim. Obok niego stanąć może tylko czarny duch z „Rapsodu“ Kraszewskiego [1]), oraz

---

[1]) Kraszewski wprowadził jeszcze dyabła do apokryficznéj legendy „Jako Sathan kusił pustelnika na puszcze“ i do fantazyi dramatycznéj w XI nocach p. t. „Szatan i kobieta“. Dyabeł tam jest istotą bardzo mizerną; pragnąc uwieść kobietę używa pośrednictwa czarownicy, filozofa, rajfurki i t. p., sam działa nie wiele i nie odznacza się niczém. Na uwagę zasługuje próba zużytkowania motywów zaczerpniętych ze starych „Dyalogów“.—Henryk Rzewuski wprowadza całą ćmę dyabłów do swego nudnego misteryum satyrycznego p. t. „Zawód sprawiedliwego, czyli łaska, pokusa, upadek, żal i śmierć“. Wszystko to są blade alegorye, nie indywidua.

„Anioł upadły“ Romanowskiego. Pierwsza z tych postaci woła dumnie, jak szatan z „Raju Utraconego“:

Głowę uchylić, drżyć, ja, nieśmiertelny,
Ja pan ziemi, ja niezgięty,
Ja, przed którym się chyli cały świat piekielny,
Ja—ja—niezwyciężony...

Szatan Romanowskiego, równie dumny i nieugięty, ma jednak chwile żalu i smutku. Wylatuje wtedy z głębin otchłani ku słońcom i patrzy „tam, gdzie w czystym świetlanym lazurze, w kształt jaskółek, co muszki łowią ponad tonie, krążyli aniołowie i chwytali w dłonie westchnienia...“ Anioł upadły pochylił oblicze; ból i tęsknota ścisnęły mu serce i—westchnął:

Lecz, jak od gromu stado pierzchliwych gołębi
Ucieka w znanéj strzechy otwór nie zamknięty,
Tak pierzchli aniołowie przed oném westchnieniem,
Z którém o szczęściu chwilkę pomarzył wyklęty,
I nieba zatrzasnęli za sobą chmur cieniem.
A westchnienie się długo pod chmurami chwiało,
Potém w tę pierś, skąd wyszło, runęło piorunem...

Ocknął się anioł, i

Ha, nieprzebaczający!—zawołał na skale,
Znam cię, ale z miłością nie będę wspominać.
. . . .
W drodze stanę, ilekroć zechcesz, co poczynać...
Na nieskończoność nasze roztoczą się boje:
Ty będziesz światy tworzyć, ja—truć światy twoje!

Jak świadczą przytoczone wyżéj cytaty, efektowną fantazyę Romanowskiego zaliczyć trzeba do najpiękniejszych utworów poezyi demonicznéj u nas. Jakkolwiek sam typ upadłego anioła nie należy do oryginalnych, sytuacya atoli, oraz jéj rozwiązanie, są niezaprzeczonym i, dodać należy, bardzo szczęśliwym pomysłem poety.

Pozostaje nam jeszcze do rozpatrzenia trzecia kategorya figur demonicznych, a mianowicie: dyabły nie związane ściśle i wyraźnie nicią tradycyi, ani z wierzeniami ludowemi, ani téż z literaturą Zachodu. Na ich czele należy postawić Massynissę z „Irydiona“ Krasińskiego. Sam poeta w jednym z listów do Gaszyńskiego (30 kwietnia 1837 r.), tak określa naturę swojéj kreacyi: „Massynisa jest to pierwiastek wszech złego, który ciągle przemienia się koniecznością samego stworzenia na dobre; są to ciemności na dzisiaj, które przestaną być ciemnościami jutro; jest to to nic, to zero niepojęte, okropne, straszne, szatańskie dopóki go nie znamy, dopóki ono nas otacza tajemnicą nie-

skończoności, a które co chwila przetwarza się na coś: jak tylko coś powstaje, robi się światło, dźwięk, harmonia. Jest to, słowem, szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity, w mgłę się rozchodzący, mający jednak chwile swoje piekielne, zbrodnicze, złośliwe“.

Gdyby autor wlał rzeczywiście w piersi Massynisy wszystko to, o czém tutaj wspomina, stworzyłby bezwątpienia typ wspaniały i godny ze wszechmiar uwagi, niestety jednak, szatan z poematu niedorasta do ramion szatana z listu. Autokrytyka Krasińskiego napisaną została pod wrażeniem ostréj recenzyi Ulrycha, który zakwestyonował w ogóle racyę bytu Massynisy w dramacie. Podrażniony poeta widział w swoim tworze, nie to, co w niego faktycznie włożył, lecz to, co włożyć pragnął. Massynisa, wyjąwszy scenę epilogową w Kolizeum, sprawia raczéj wrażenie śmiertelnego, ograniczonego w środkach czarodzieja, niżeli potężnego ducha ciemności. Bezpośrednio bierze on bardzo słaby udział w akcyi, poprzestając na dawaniu Irydionowi zwyczajnych, czysto ludzkich rad i poleceń. Słusznie téż powiedział o nim Br. Chlebowski [1]), że „jako szatan wszystkich wieków i społeczeństw grzeszy Massynisa zbytkiem człowieczeństwa, a brakiem koniecznych rysów, jakich wyobraźnia nasza wymaga od przedstawiciela a nawet władcy świata piekielnego”. Jest to więc charakter nie jednolity, za słaby w ogóle na demona, zbyt wielki chwilami—na człowieka, słowem, kreacya oryginalna może w pomyśle, ale chybiona w wykonaniu.

O wiele lepiéj udał się Słowackiemu Pamfilus, występujący w wydanych pośmiertnie fragmentach dramatu „Beniowski“. Jestto szkic tylko, ale szkic tak wyrazisty, że pod względem psychologicznym można go uważać za skończony obraz. Bodziec do stworzenia téj ciekawéj figury, otrzymał Słowacki, jak zwykle, z zewnątrz. Rolę inspiratora odegrał tym razem getowski Mefistofeles, od którego jednak Pamfilus różni się tak, jak twórca „Anhelego“ i „Króla-Ducha“ różnił się od autora „Fausta“ i „Wilhelma Meistera”. Mefistofelesa przypomina Pamfilus skłonnością do szyderstw i krytyki, dowcip jego atoli nie popada nigdy w cyniczną trywialność. Piekielny towarzysz Fausta wyraża się dosadnie i jędrnie, nie troszcząc się zbytecznie o czułe uszy słuchaczów, Pamfilus dba o formy światowe i najostrzejsze nawet uwagi i prawdy odziewa w barwną sukienkę porównań, metafor i innych poetycznych obsłonek. Zdobiąc strzały dowcipu w tęczowe girlandy i wstęgi, nie stępia mimo to Pamfil ostrza swoich po-

---

[1]) Nieboska i Irydion.

cisków: potrafi on także ośmieszyć rzeczy, uważane za święte. „Małżeństwo“—mówi w jedném miejscu—

Jest jako czereśnie:
Wprzódy je wróble oskubią złodzieje,
A potém człowiek zjada nadgryzione.

Treści tego aforyzmu nie powstydziłby się i cyniczny Mefistofel!

Wyrazów pospolitych używa Pamfilus tylko wtedy, kiedy idzie o rzeczy i sytuacye tak nieprawdopodobne, że po za ich dziwacznością niknie wszelka brutalność stylu. Opowiadając Beniowskiemu o słońcu, które, zamiast z mogiły szlachetnego Temistokla, weszło z miejsca, gdzie stał tron Kserksesa, dodaje z ironią: „Słońce? trudno przewidzieć, gdzie wejdzie—dziwne ma gusta. Raz ledwom mu w złotą nie zamalował papę. Patrzysz zdziwiony — czy myślisz, że słońcu nie można dać w pysk. Panteistycznie biorąc, będzie to *sacrilegium*—ale jest rzecz podobna.“

Prócz tego różni on się, zarówno od Mefista, jak i od wielu innych obcych i naszych dyabłów, jakąś niezwykłą powiewnością i eterycznością: lubi bujać śród wichru i błyskawic ponad szczytami Tatr, śpiewając:

Na szczycie gór,
Gdzie światła brzeg,
Gdzie orłów chór,
Piorunów ścieg —
Gdzie Morskie oko
Pod lodów tarczą
Jęczy głęboko,
Gdy chmury zawarczą.

. . . .

Tu w bieli, w śnieżycach,
Przy chmurnych straszydłach,
Jak duch w błyskawicach,
W piorunach — na skrzydłach,
Na was wichry moje,
Znów jestem i stoję . . .

Faust nadaje swemu złośliwemu słudze epitet „bękarta zrodzonego z błota i płomieni“, Pamfilusa możnaby nazwać raczéj synem powietrza i ognia. Jestto duch niezmiernie subtelny, bliższy szekspirowskich Arielów i Puków, oraz kalderonowskich demonów, niżeli poczwarnych biesów legendowych, umazanych smołą i cuchnących siarką. Godném uwagi jest jednak, że słowa, włożone w usta Beniowskiego, nie pozwalają ani na chwilę wątpić, iż poeta pragnął uczynić Pamfilusa takim a nie innym i wskutek tego obdarzył go świadomie rysami, jakich nie spotkaliśmy dotąd u żadnego z czartów:

W słońcu utonął — w powietrze się odział,
Jest w zamku tym echem — powietrzem i głosem —
Ciemnością i ciszą — i mgłą i płomieniem,
Jest wszędzie i nigdzie go nie ma.

W ten sposób panteiści indyjscy zwykli określać powszechną duszę świata...

Wszystko to, niestety, są tylko prześliczne okruchy, których widok budzi w sercu czytelnika prawdziwy żal, że pozostały one i muszą pozostać nadal — okruchami...

Ponieważ, wskutek różnolitości wpływów, rządzących wzrostem i rozwojem poezyi demonicznéj u nas, trudno było wśród wytworzonych przez nią typów zaprowadzać jakiś organiczny ład i porządek, musieliśmy przeto z konieczności zastosować w niniejszym rozdziale klasyfikacyę sztuczną, opartą nie na pokrewieństwie genetycznem, lecz na czysto zewnętrznych analogiach i podobieństwach.

Idąc daléj tą samą drogą, dołączamy do trzech omówionych już klas demonów, czwartą i ostatnią, w któréj pomieścimy dyabłów, używanych jako symbole.

Nie było to u nas, jak wiemy, rzeczą nową. Już Rej w „Wizerunku", oraz autorowie „komedyi" i dyalogów w ten sposób przeważnie traktowali postaci szatańskie w swoich utworach. Cała różnica dawnych i nowych symbolów polega na tém, że, pomijając już większą subtelność i artyzm wykonania, starożytni rymotwórcy robili z dyabłów alegorye pewnych występków i zbrodni, romantycy zaś i ich epigonowie czynią te figury symbolami pewnych abstrakcyjnych pojęć, idei, lub kierunków społecznych: starzy mieli na względzie cele moralno-dydaktyczne, młodsi — starali się rozwiązywać problematy natury filozoficznéj.

Pomiędzy licznemi tworami tego rodzaju zasługuje na specyalną uwagę szatan u Krasińskiego. W chórze głosów, jęczących nad nieszczęściem bytu, poeta pozwala się także odezwać na chwilę głosowi ducha fałszu, ubranego w pozory prawdy:

Ja jestem R o z u m, ja jestem k o n i e c z n o ś ć!
Nie czas mi bratem — ale siostrą wieczność.
A choć mnie ludzie nazwali s z a t a n e m,
Mój duch świat stworzył — i ja ziemi panem!

. . . .

Śmiercią trza umrzéć, śmierć jest poświęceniem —
Gdy niepojęta — tylko wtedy karą,
A gdy ją pojmiesz, Rozumu ofiarą.
Przez zgubę cząstek całości zbawieniem.
Tém bieży potok, że fale mijają,

Têm ogół stoi, że szczególni płyną,
Têm Ludzkość żyje, że narody giną
I trwa têm Wszechświat, że światy konają!
. . . .

I tak dalêj, w tym samym duchu, wieści on światu ponurą doktrynę bezwzględnéj rezygnacyi i kwietyzmu, doktrynę korzystną może dla wybranych i uzdolnionych specyalnie do tego jednostek, zgubną atoli dla mas, mających i tak aż zanadto wiele skłonności do biernego poddawania się losowi.

Autor „Irydiona“ wziął tutaj dyabła jako symbol negacyjnego, rozkładowego działania rozumu, w przeciwstawieniu do pozytywnéj, twórczéj siły uczucia; Antoni Czaykowski przenosi nas z dziedziny historyczno-społecznéj w sferę, że tak powiemy, kosmiczną i przedstawia nam szatana, jako niezbędny we wszechświecie pierwiastek ruchu, jako *principium individuationis,* bez którego wszystko, co jest, pozostałoby monotonną, jednostajną harmonią, pozbawioną dysonansowych efektów. Szatan Czaykowskiego [1]) uważa się za prawego właściciela tego, co się wyróżnia z masy, co jest wyosobnionêm, indywidualnêm. W imię téj zasady domaga on się ciała Mojżesza, którego mu Michał św. odmawia:

I dwaj byli — ten wielki cieniem, a tamten brzaskiem:
Ten ciemnościami jaśniał, a tamten mroczył blaskiem.
. . . .
I wył Szatan swe prawa, aż zatrzęsła się próżnia:
Do mnie ciało, co ducha z zgody światów wyróżnia,
W pośród chórów Jehowy, moją zabrzmiewa chwałą
I, zamiast Pana wielbić, kto on jest? pyta śmiało.
. . . .
On przeszedł przez me prawo, umarł, więc moje ciało.
On wielki, bo mu z Panem rozmawiać się udało.
A jam większy, bo Pan sam poszedł po moim szlaku,
Gdy twarzą w gorejącym wyosobił się krzaku.
Ty sam w chóry wieczyste, jednotonne zaplatan,
Jesteś czêmściś przezemnie, boś aniołem, żem Szatan.
Zamiast być jedną nutą chóralną, nikłolotą,
Przezemnie ty jaśniejesz i światłością i cnotą.
. . . .
Ciało jest moją siecią, nad duszą kładę dłonie,
Póki jest samodzielną, nim ją ogół pochłonie.

Szatan więc pojęty został w tym drobnym, ale pięknym i głęboko pomyślanym poemaciku, jako to, czêm miał być, ale nie jest Massynisa:

[1]) Poezye Ant. Czaykowskiego. Warszawa, 1845. „Walka Michała z szatanem“, str. 2—4.

jako siła brutalna, zmuszająca niebyt do stawania się bytem, jako przyczyna życia i motor ewolucyi. To téż gdy święty Michał „mglisto się rozchodzi i w ogół się rozléwa“, szatan „tak jest kształtny, jak skały, albo drzewa.“

Oryginalném w utworze tym jest tylko opracowanie, samo bowiem pojęcie szatana, jako żywiołu osobowości i formy, spotkać można u wszystkich prawie filozofów panteistyczno-mistycznych, dla których upadek jest rozbiciem się jedności na wielość, odkupienie zaś — powrotem do pierwotnego stanu.

Na tém kończymy przegląd postaci demonicznych w literaturze polskiéj, zaznaczając z żalem, że poeci nasi, mając pod stopami prawdziwe skarby, zagrzebane w podaniach ludowych, nie chcieli, lub nie umieli sięgnąć po nie, lecz popadłszy w sferę przyciągania jednego z najpotężniejszych geniuszów Zachodu, zbaczali ciągle z normalnéj orbity i, nawet w okresie najwspanialszego rozkwitu naszéj poezyi, nie stworzyli ani jednego zupełnie oryginalnego, a zarazem wybitnego typu dyabła.

Ignacy Matuszewski.





ŻYCZENIE.

NOWELLA*).

Smutne dni nadeszły. Marta kręciła się podobna do cienia. Ojciec jak szalony jeździł po lasach i polach, nie przychodził do stołu i nie dawał nikomu dobrego słowa. Poczciwa, otyła mama siedziała z szydełkiem w swoim kąciku i obcierała łzy ukradkiem, przyczém lękliwie oglądała się wkoło, czy tego kto nie zauważył.

Oh! były to smutne czasy!

Dwa naglące listy przyszły od Roberta. Bardzo niespokojny prosił o rychłą wiadomość.

Nic o tém nie powiedziałam Marcie, ale dotrzymałam przyrzeczenia. Ośm dni przeszło, kiedy zauważyłam, że rodzice naradzają się nad odpowiedzią, jaką mają dać ciotce. Ojciec miał zamiar, żeby wszelkie podejrzenie odsunąć, związać się przyrzeczeniem raz na zawsze. Mama odrazu na to się zgodziła, tak jak na wszystko zawsze się zgadzała, gdy tylko nie chodziło o konfitury albo cukierki.

Tego dnia Marta nie była w stanie podnieść się z łóżka. Nic ją nie bolało, ale nogi nie chciały ją wcale nosić.

Widziałam coraz wyraźniéj nadciągające straszne nieszczęście. Nie powinnam się dłużéj wahać.

*) Zob. „Ateneum,“ zeszyt majowy r. b., str. 311.

— Przybywaj, dotrzymaj słowa, zanim będzie za późno!

Te słowa mu napisałam i żeby być zupełnie pewną, pobiegłam sama do miasta i powierzyłam list pocztylionowi, który się właśnie szykował do odjazdu.

W chwili, gdy list wysunął się z moich rąk, poczułam ukłucie w sercu, jakbym duszę własną obcym siłom oddała.

Trzy razy chciałam się wrócić, listu napowrót zażądać, ale, kiedy się zdecydowałam, pocztylion był już daleko.

Wracając do domu przez zarosłe wzgórze, ukryłam się w gęstwinie i gorzko płakałam.

Odtąd opanował mnie niepokój, jakiegom jeszcze nigdy w życiu nie czuła. Zdawało mi się, że mnie ogień pali w kościach. Bez odpoczynku całemi nocami biegałam po moim pokoju, całemi dniami wpatrywałam się w bramę, a każdy nadjeżdżający powóz spędzał wszystką krew do mego serca.

Marcie dawałam wykrętne odpowiedzi, a dziewczyny w kuchni zaczęły podejrzliwie kręcić głowami. Narzeczona, wyczekująca narzeczonego, nie może się niedorzeczniéj zachować.

Takie życie trwało cztery długie dni, szczęściem, każdy był zajęty sobą, bo inaczéj nie uniknęłabym podejrzeń i wypytywań.

Tym razem nie wyszłam na jego spotkanie. Kiedy czterokonny powóz, obryzgany błotem, zaturkotał w bramie podwórza i zobaczyłam wysoką postać Roberta, uciekłam do komórki pod strychem i schowałam się w najdalszy kącik.

Twarz miałam w ogniu, drżałam jak w febrze, a przed oczami tańcowały mi czerwone obłoczki.

Słyszałam otwierające się i zamykające drzwi na dole, słyszałam pośpieszne kroki na schodach, słyszałam głosy dziewcząt wołające mnie po imieniu, nie ruszyłam się.

Kiedy się uciszyło, wymknęłam się przez ciemne tylne schody do parku, gdzie schowałam się w najdzikszych zaroślach.

Dziwne uczucie wstydu i goryczy ogarniało mnie. Chciałabym była uciekać, aby jeno nie spotkać spojrzenia tych oczu, na które przecie z taką tęsknotą czekałam.

I wyobrażałam sobie, co w téj chwili tam w domu się dzieje. Ojciec nieco bezradny, na pierwszy widok Roberta (bo niegodziwy list ciotki leży mu jeszcze na sercu), chce pewnie z początku zimnego udawać i odmowną dać odpowiedź, ale — oto ukazuje się Marta! Jakże prędko do sił powróciła, biedna chora, która jeszcze przed kilkoma minutami leżała śmiertelnie znużona na sofie! jak prędko za-

pomniała o wszystkiém, co lata zmartwień i smutków jéj przyniosły! teraz upadli sobie w objęcia... a o mnie nie pomyślą wcale.

Wtedy nagle zbuntowało się coś we mnie.

— Dlaczego ukrywasz się?—wołał jakiś głos.—Czyż nie spełniłaś swojéj powinności, czyż to wszystko nie twoje dzieło?

Szybkim ruchem podniosłam się, odgarnęłam z czoła potargane włosy i pewnym krokiem, z zaciśniętemi ustami, poszłam do domu.

Żaden dźwięk wesoły nie wybiegał ku mnie. Wszędzie było cicho, jakby wszystko wymarło.

W jadalnym pokoju zastałam mamę samą. Z założonemi rękami wzdychała ciężko, a grube łzy spływały na jéj pulchny, biały podbródek.

— Gdzieżeś ty się podziewała, Olgo?—zapytała, powoli ocierając oczy — każ zarznąć kilka kurcząt na kolacyę i przynieś lepsze reńskie... Robert przyjechał.

— A gdzież on jest?—zapytałam niedbale.

— Rozmawia z ojcem.

— A gdzie jest Marta?—uśmiechnęłam się.

Mama skarciła moją niewczesną ciekawość surowém spojrzeniem i odparła:

— I ona tam jest.

— No, to mogę zaraz pójść powinszować—roześmiałam się.

— Wścibska jesteś—rzekła mama.

Ale zanim zdążyłam spełnić mój zamiar, otworzyły się drzwi od pokoju obok i Robert wszedł powoli, tak powoli i smutnie, jakby od trumny odchodził. Blady był bardzo, a jasne krople potu perliły mu się na czole. Poczułam, jak na jego widok i mnie krew z twarzy odbiegła. Przeczuwałam nieszczęście.

— Gdzie Marta?—zawołałam, śpiesząc ku niemu.

— Nie wiem — odpowiedział tak cicho, jakby go własne słowo dławiło. Nawet mi ręki nie podał.

Teraz wszedł i ojciec. Mama wstała i wszystko troje ściskało sobie w milczeniu ręce, zupełnie jak na pogrzebie.

— Gdzie Marta?—zawołałam raz jeszcze.

— Idź ją poszukać—rzekł ojciec—pewnie cię potrzebuje.

Wypadłam na korytarz i pędem biegłam po schodach do jéj pokoju.

Był zamknięty.

— Marto, otwórz—to ja!

Nic się nie poruszyło, — prosiłam, błagałam, przyrzekałam

wszystko naprawić, zasypywałam ją pieszczotliwemi nazwy, daremnie, nic nie pomogło.

Ogarnął mnie żal i gniéw. A więc, wszędzie mnie odpychano?

— Jestem tylko na to, żeby się jedzeniem zająć!

Roześmiałam się, zbiegłam do dziewcząt, kazałam pół tuzina kurcząt zarznąć i patrzyłam na to spokojnie, jak krew biednych, małych stworzeń wytryskiwała z poderzniętych gardziołek. Jedno biło skrzydłami aż litość brała patrzéć i piało w śmiertelnéj trwodze, broniąc się przytém co sił wątłemi jeszcze pazurami.

— Nawe takie biédne, słabe stworzenie broni się, kiedy je chcą zamordować—pomyślałam — a moja panna siostra całuje z pokorą rękę, która ją chłoszcze.

Śmierć tych niewinnych stworzeń można było nazwać omal wesołém widowiskiem, w porównaniu z ucztą, gwoli któréj one zostały zabite. Chyba biesiada skazańców nie mogłaby być smutniejszą. Co pięć minut jedno z nas zaczynało mówić i mówiło przez chwilę tak, jakby za to było zapłacone. Drudzy przytakiwali, ale dobrze widziałam, że — kto słuchał — nie wiedział, czego słucha, a kto mówił, nie wiedział co mówi. Marta się nie ukazała.

Kiedyśmy się mieli rozstać i każdy miał odejść do swego pokoju, pochwycił Robert obie moje ręce i zaciągnął mnie do kąta.

— Dziękuję ci, Olgo — rzekł, a wargi mu drżały — żeś mi tyle wiernéj przyjaźni okazała. Ale teraz... musisz nasze listy wymazać z pamięci.

— Na miłość Boską, Robercie!—wyjąkałam—co się stało?

Wzruszył ramionami.

— Pewnie za długo dałem na siebie czekać—powiedział—zmęczyłem ją, nie...

Chciałam krzyknąć: „To nie prawda! to nie prawda!“ Ale za nami stanął ojciec i oznajmił, że stosownie do życzenia Roberta, konie skoro świt będą gotowe.

— Więc ja cię już nie zobaczę?—zawołałam przestraszona.

Potrząsnął głową.

— Żegnam cię—powiedział i uścisnął moją rękę.

Nie — on tak rozstać się ze mną nie może, nie powinien, muszę z nim mówić za jakąbądź cenę, muszę! Ale dzielnie pokryłam, co mi mózg i serce wierciło. Podaliśmy sobie jeszcze raz ręce — i rozeszliśmy się w milczeniu.

Kiedy, przed pójściem na spoczynek, wydawałam kawę i odmierzałam mąkę i słoninę na ranną zupę, dźwięczało mi bezustannie w uszach: musisz z nim mówić!

Idąc ze świécą w ręku do mego pokoju, zboczyłam około jego drzwi; miałam nadzieję, że spotkam go na korytarzu, ale korytarz był pusty, a drzwi były zamknięte. Tylko z za nich rozlegały się jego ciężkie kroki.

W pokoju Marty było cicho, jak w grobie. Przyłożyłam ucho do dziurki od klucza — nie było nic słychać. Jakby uciekła, albo umarła. Strach mnie ogarnął, uklękłam przy progu. prosiłam znów i błagałam, groziłam wreszcie, że zawołam rodziców, jeżeli nie da znaku życia.

Wtedy zdecydowała się odpowiedzieć mi:

— Zostaw mnie, Olgo, tylko dziś, nie męcz mnie, zlituj się! — a głos jéj brzmiał tak zmieniony, żem go ledwie poznać mogła.

Poszłam więc do siebie, ale we mnie wzmagała się trwoga, że on mógłby odjechać z gniewem i rozczarowaniem w sercu, bez słowa porozumienia, bez domysłu nawet, jak wielką była miłość Marty.

Prawdziwa gorączka ogarnęła mnie, każde uderzenie pulsu w moich żyłach wołało we mnie: musisz z nim mówić! musisz z nim mówić!

Rozebrałam się nawpół i rzuciłam się na kanapę. Zégar wybił jedenastą, wybił w pół do dwunastéj. Kroki Roberta rozlegały się jeszcze po domu, ale im stawało się późniéj, tém więcéj wzrastała niemożliwość spełnienia mego zamiaru.

Gdyby mnie tak jedna z dziewcząt podpatrzyła i widziała wchodzącą do pokoju gościa! Na tę myśl krew zastygła mi w żyłach.

Zégar wybił dwunastą. Otworzyłam okno i wyjrzałam na podwórze. Wszystko zdawało się być w śnie pogrążone. W oknie pokoju Roberta i pokoju Marty nie migotał ani promyk światła. Oboje zagrzebali w ciemnościach ból swój i mękę serdeczną.

Z podmuchem wiatru, który w oko uderzył, zaświstało mi do ucha: musisz z nim mówić! musisz z nim mówić! — a przytém słodka, cicha melodya nęciła mnie:

— Zobaczysz go jeszcze raz, uściśniesz jego rękę, usłyszysz głos jego, może nawet i śmiéch, boć ty mu przecie szczęście niesiesz, szczęście całego życia!

Z nagłém postanowieniem zamknęłam okno, zarzuciłam szlafrok, wzięłam pantofle w rękę i wykmnęłam się na ciemny korytarz.

I oto stałam już przed jego drzwiami. Jeszcze ciągle słychać było jego kroki.

Ręka moja ujęła za klamkę. Zachwiałam się.

Jak ja drzwi otworzyłam, nie wiem, zdawało mi się, że to ktoś inny za mnie uczynił.

Przedemną zarysy jego potężnéj postaci... stłumiony okrzyk z jego ust... i poczułam uwięzione obie ręce, poczułam gorący oddech na mojém czole.

W pierwszéj chwili szalona myśl pewnie przyszła mu do głowy, że to Marta—w tak nieopatrzny sposób przypomina mu swoją dawną miłość, ale wnet poznał mnie.

— Na miłość Boga, dziecko! — zawołał — co ci do głowy strzeliło? co cię do mnie przypędziło? Czy cię aby kto nie widział? powiédz, czy cię kto nie widział?

Potrząsnęłam głową.

— On mnie ma jeszcze za bardzo głupią — pomyślałam — i nie wiem dlaczego ulgę mi to sprawiło.

Puścił mnie i pośpieszył zapalić świécę. Poszukałam tymczasem kanapy i usiadłam.

Światło raziło mnie. Odwróciłam się do ściany i zakryłam twarz.

Owładnęło mnie uczucie jakiéjś niemocy, połączone z pragnieniem przytulenia się do jego piersi. Byłam u niego i czułam się tak szczęśliwa, żem o wszystkiém inném zapomniała.

— Olgo, moje drogie, dobre dziecko — pytał — mówże, czego chcesz odemnie?

Spojrzałam na niego i nie mogłam oczu oderwać od jego poważnego, ogorzałego oblicza, na którém zmartwienia głębokie wyryły bruzdy.

— Czego chcesz, czy przynosisz mi wiadomość od Marty?

— Ach, tak, Marta! — zerwałam się. Precz ze słabością! czułam znów powracającą moją zwykłą siłę, z któréj zawsze byłam tak dumną.

— Posłuchaj mnie, Robercie — przemówiłam — ty ze świtem nie odjedziesz.

— Dlaczego? — zapytał.

— Ja nie chcę!

— Szanuję twoją wolę, drogie dziecko — uśmiechnął się — ale tym razem nie zmieni ona mego postanowienia.

— Więc chcesz Martę na zawsze utracić?

Byłam znów uszczęśliwiona moją opiekuńczą rolą. Podjęłabym była walkę z całym światem, aby tylko połączyć tych dwoje.

Ach, ja głupie, ślepe stworzenie!

— Czyżem jéj już nie utracił?—odparł i zwiesił głowę.

— Co ci ona dziś powiedziała?

— Pocóż to powtarzać? mówiła tak mądrze i spokojnie, tak spokojnie, jak tylko wtedy mówić można, gdy się już przestało kochać.

— I ty temu wierzysz?—zapytałam.

— Czyż mogę nie wierzyć? i cóż stąd, jeżeli mi nawet do dzisiaj zachowała jeszcze jakąś resztkę przywiązania, — dobrze uczyniła, że je teraz do gruntu wymazała... lepiéj tak... tak dla niéj... jak i dla mnie. Ja nie mam nic dla niéj... ni szczęścia, ni wesela i radości, nawet najmarniejszéj, najzwyklejszéj przyjemności nie mógłbym jéj dostarczyć... tylko pracę — i nędzę — i troski... I do tego nieprzyjazną teściową, która gorzko dałaby jéj uczuć, że z próżnemi rękami przychodzi.

Czułam, jak mi krew uderzyła do twarzy. Wstydziłam się, ale nie za Martę, ani za siebie; wstydziłam się za niego, że on tak o własnéj matce mówić musiał.

— A teraz, powiédzże sama, dziewczyno! — ciągnął daléj — czyż ona w takich warunkach nie lepiéj czyni, pozostając w rodzicielskiém gniazdku i pozwalając mi odejść, skoro tylko nieszczęście mógłbym jéj przynieść?

Targał sobie włosy i biegał po pokoju, jak szalony.

— Robercie—rzekłam—ty sam siebie oszukujesz.

Przystanął, spojrzał na mnie i roześmiał się:

— Czego ty właściwie chcesz? Czy mam czekać, aż mi odmowę czarno na białém wypiszą, lub téż po prostu drzwi mi pokażą?

— Robercie — zapytałam, nie zrażając się wcale — powiédz mi szczerze, czy ty ją kochasz?

— Dziecko — odpowiedział — gdybym jéj nie kochał, czyż byłbym tutaj?

Stał przedemą z wyciągniętemi olbrzymiemi ramionami, zdawało mi się, że mnie niemi zmiażdży. Zamroczyło mi się w oczach. Mocniéj wcisnęłam się w mój kącik.

I znów przyszło mi na myśl, com już przez lata całe wyobrażała sobie: jakto jabym go kochała, gdybym była Martą, i jakto pragnęłabym być wzajemnie kochaną!

— Widzisz, Robercie—zaczęłam — jestem jeszcze może głupia, ale miłość znam nietylko z książek, w sobie saméj czuję od bardzo, bardzo dawna...

— Czy ty kochasz kogo?—zapytał.

Zaczerwieniłam się i zaprzeczyłam ruchem głowy.

— Więc jakżeż możesz to rozumiéć?—zapytał.

— To mi z nieba spadło—odpowiedziałam, spuszczając oczy. —

Ale jabym inaczéj kochała, aniżeli wy oboje. Nie byłabym tak tchórzliwą, nie oszukiwałabym się wykrętami, jak ty, mówiąc: tak będzie lepiéj! Zmusiłabym ją żarem własnego serca, zdobyłabym ją siłą własnych ramion, przygarnęłabym ją do mojéj piersi, która byłaby jéj ochroną, porwałabym ją i uniosła—wszystko mi jedno gdzie! W noc, na puszczę, jeżeli słońce nie chciałoby nam świecić, a żaden dom schronienia dać nie chciał! Wprzód-bym z nią z głodu umarła przy drodze, zanim-bym dobre słowo dała temu światu, któryby mnie z nią chciał rozdzielić! Tak, Robercie, uczyniłabym, gdybym była tobą, a gdybym była nią—ze śmiechem szczęścia rzuciłabym ci się na szyję i powiedziałabym: chodź, pójdę za tobą wszędzie, będę dla ciebie żebrać, gdy ci chleba zabraknie, — na mojém łonie spoczniesz, gdy łoża miéć nie będziesz, — rany twoje obmyję memi łzami, tysiące śmierci zniosę dla ciebie—i Bogu podziękuję, że mi to wolno! Widzisz, Robercie, ja sobie taką wyobrażam miłość, ale nie taką, jak wasza, skleconą ze strachu przed teściową i myśli o niezapłaconych procentach!

Uniosłam się i mówiłam z wielkim zapałem, — aż nagle, wstyd mnie ogarnął wielki, żem tak moje najtajniejsze uczucia przed nim odkrywała. Przycisnęłam ręce do twarzy i walczyłam z płaczem.

Kiedy odważyłam się spojrzéć znów przed siebie, zobaczyłam go, jak błyszczącemi oczami wpatrywał się we mnie.

— Dziecko—odezwał się—skąd ci się to wzięło? ależ to brzmiało jak najszczytniejszy hymn miłości.

Zacisnęłam zęby i milczałam. Ja sama nie wiedziałam, skąd mi się to wzięło.

Usiadł przy mnie.

— Olgo! — zaczął — to, coś mówiła, nie było może bardzo praktycznie pomyślane, ale było prawdą, i pięknem, i przejęło mnie do głębi duszy. Zdawało mi się, że słyszę głos z innego świata, i omal się wstydzę, że byłem tak małego serca i tak tchórzliwy. Ale cóż, gdybym ja nawet myślał tak, jak ty... cóż mi to pomoże, kiedy ona mnie już kochać przestała...

— Ona ciebie kochać przestała!—wykrzyknęłam — ona umrze, jeżeli ją opuścisz!

— Olgo!

Widziałam, jak radosne zdziwienie twarz jego opromieniło i — ścisnęło mi się serce; zapanowałam jednak nad tém uczuciem i z mocą ciągnęłam daléj:

— Wiem, Robercie, że będziesz mną pogardzać, gdy się dowiész, co ci teraz powiem. Ale trudno, tak być musi... musisz sam

poznać, że odjechać nie powinieneś. Ja cię oszukałam, Robercie, ja twoje zaufanie zdradziłam...

I z zapartym oddechem, ledwie głosu z gardła dobywając, opowiedziałam mu słowo po słowie, co ja z jego listami zrobiłam.

Jeszcze daleko byłam od końca mego opowiadania, kiedy mnie porwał w ramiona i do siebie przyciągnął.

— Olgo, czy to prawda?—wołał, nie posiadając się z radości. — Czy możesz mi przysiądz, że to prawda?

Skinęłam tylko potakująco głową, mówić nie mogłam, jakiś lęk rozkoszny odjął mi mowę.

— Niech ci to Bóg wynagrodzi! Moje dobre, dzielne, mądre dziecko! — wołał i przyciskał mnie do swojéj piersi, że aż mi tchu zabrakło.

Opuściłam głowę na jego ramię i zamknęłam oczy. Wtém poczułam na moich jego usta. Zdawało mi się, że mnie płomień dotknął.

A on całował mnie raz po raz, zupełnie nieprzytomy był w uniesieniu swojéj radości.

— O, gdybyż ta chwila nie miała końca! — pomyślałam. — Dreszcz przebiegł moje ciało, bezwładna zwisłam mu w ramionach. Raz tylko mignęła mi myśl: A ja — czy także mogę go całować? i nie śmiałam.

Jak długo mnie tak trzymał, nie wiem, poczułam tylko nagle jak moja głowa ciężko uderzyła o poręcz kanapy. Zbudziłam się jakby z głębokiego snu.

Leżałam bez ruchu i oddychałam z trudem.

Spostrzegł to i zawołał przestraszony:

— Jakaś ty blada Olgo! czyś się uderzyła?

Zaledwie mogłam wyjąknąć:

— To nic, to zaraz przejdzie...

Oj, wiedziałam ja dobrze, że to nie przejdzie, że się to wyryje ognistemi zgłoskami w moich myślach i mojém sercu, — że żar téj chwili ogrzeje mnie w niejedną długą, zimową noc, ten żar, który był przecież tylko odblaskiem miłości dla innéj.

Wiedziałam to wszystko i ciężar téj świadomości przygniatał mnie, ale porwałam się szybko — o, nauczyłam się już była panować nad sobą — i rzekłam:

— Robercie, dam ci jeszcze dobrą radę i odejdę... bo jestem bardzo strudzona.

— Mów, mów! — zawołał — ślepo wykonam co rozkażesz!

Patrząc na niego, czułam ból i szczęście razem, bo myślałam:

On ciebie trzymał w swoich ramionach. Najchętniéj byłabym z zamkniętemi oczami opuściła się na kanapę i jeszcze przez chwilę udawała zemdloną, ale zmusiłam się do spokoju.

— Sądzę — zaczęłam, — że Marta téj nocy nie zamknie oka, tylko będzie uważać kiedy konie zajadą. Będzie chciała wyjrzéć za tobą, ale że jéj pokój wychodzi na ogród, więc pewnie wejdzie do twojego, albo do tego obok. Jak już będziesz na dole, poczekaj chwilę, a potem udaj żeś czegoś zapomniał, a potem, — no a potem...

Nie mogłam mówić daléj. We mnie łkało coś i śmiało się przemocą:

— On ciebie trzymał w swoich ramionach, tulił do swojéj piersi!

Bałam się, że nie zdołam dłużéj pokryć mego wzruszenia. Odwróciłam się i bez słowa pożegnania chciałam uciekać.

Kiedy drzwi otworzyłam, ujrzałam przed sobą — Martę. Stała tam bosa, na wpół ubrana, śmiertelnie blada i drżąca. Nie mogła ruszyć się z miejsca, sił jéj zabrakło.

I w téj saméj chwili usłyszałam za sobą okrzyk radości, widziałam jak rzucił się, aby chwiejącą się w ramiona pochwycić.

— Bogu niech będą dzięki, a więc mam cię nareszcie! — usłyszałam jeszcze.

Uciekłam do mego pokoju, jakby mnie furye goniły, zamknęłam się na klucz i płakałam, ach, jak gorzko płakałam.

* *
*

Czasy, które późniéj nastąpiły, pełne druzgoczących, losowych niepowodzeń i klęsk przeróżnych szybko przebiegnę. Dojrzałam w nich i stałam się kobiétą. W ośm miesięcy po owéj nocy przyniesiono na tragach ojca do domu. Spadł z konia i poniósł ciężkie obrażenia. W trzy dni umarł. W rozpaczy jaka na dom spadła, ja jedna głowę umiałam zachować. Marta była bezsilna, a mama biédna, kochana mama! przez tyle lat siedziała sobie spokojnie i wygodnie w swoim kąciku przy piecu, robiąc pończochę i gryząc cukierki, że nie mogła pojąć, by inaczéj być mogło. Nie mówiła słowa — prawie nie płakała; ale wewnętrzna rana toczyła ją — i gdyby nawet nerwowa gorączka, jaka się w cztéry tygodnie potém rozwinęła, była ją oszczędziła, serce jéj i tak byłoby pękło ze zmartwienia.

Leżeli teraz oboje na cmentarzu — a my, dwie siostry, stałyśmy bez pomocy na pustém podwórzu i czekałyśmy, rychło nas stąd wygnają. Co mnie czeka, wiedziałam dobrze, wiedziałam, że przyszłość

nie przyniesie mi nic więcéj prócz twardego chleba obowiązku, nie lękałam się go i nie wyrzucałam nic losowi. Miałam dość siły i dumy, by i pomiędzy obcymi żyć dla siebie — ale o Martę, która bez podpory i serdecznego przywiązania mniéj mogła się obejść niż kiedykolwiek — o Martę drżałam.

Jéj zamążpójście było jeszcze bardzo dalekie, a Robert nie powinien teraz długo kazać jéj czekać, inaczéj zjadłby ją ten smutek i pewnego dnia zgasłaby cichutko jak lampka, w któréj oliwy zabrakło.

Nie zawiodłam się na nim. Na pogrzéb przybyć nie mógł — ale słowa pociechy nie opóźnił się przesłać i wzmacniał niém Martę w najcięższych godzinach. I dla mnie niekiedy spadała okruszyna — a ja zgłodniała, chciwie je chwytałam.

Pewnego dnia zjawił się sam.

— Po ciebie przychodzę! — zawołał do Marty.

Upadła mu na piersi i wypłakała się do syta. Szczęśliwa! —

Ja uciekłam do najciemniejszéj altany i myślałam: czy téż i dla mego serca znajdzie się kiedyś schronienie, gdzieby mu tak dobrze było w godzinach bólu i godzinach szczęścia! Czułam dobrze, że były to próżne marzenia — bo jedyne schronienie na świecie... dość... buntował się we mnie jakiś upór, żal, a tak wszechwładnie, tak przepełniał żółcią całą moją istotę, — żem szorstko i ponuro wymykała się z uścisku tych moich najbliższych — i w samotnym bólu poprostu kamieniałam.

Mogłam pójść z niemi, mogłam gniazdko szczęścia, które dla méj siostry miało być usłane, z niemi podzielić, przy ich ognisku znaleść opiekę i rodzinę, ale uparcie odrzucałam jego ofiarę.

Daremnie szukali oboje przyczyny zagadkowego mego zachowania się, a Marta, która się martwiła, że z jéj szczęścia mnie się nic nie dostanie, przychodziła często w nocy do mnie i płakała, objąwszy mnie za szyję. Wtedy wstydziłam się swego uporu, mówiłam do niéj pieszczotliwie jak do dziecka i nie prędzéj puszczałam ją od siebie, aż uśmiéch nadziei na jéj twarzyczce zaświecił.

Przez kilka dni pracował Robert ciężko w domu i za domem, aby mienie nasze uporządkować i pozbyć się ciężaru gospodarstwa. Nie wiele nam pozostało. Poczém cicho odbyły się zaślubiny.

Ja i stary rządca byliśmy jedynymi świadkami, a zamiast uczty weselnéj poszliśmy na cmentarz pożegnać się ze świéżemi mogiłami, których żółty piasek, bluszcz wątłemi gałązkami oplatać poczynał.

W ostatnich tygodniach starałam się pilnie o jakieś odpowiednie miejsce. Różne propozycye były mi czynione, wypadało tylko wybrać.

I kiedy Robert z głęboko zmarszczoném czołem stanął przedemną i zapytał poważnie:

— Dziecko, co z tobą będzie?

Z takim spokojnym uśmiéchem przedstawiłam mu swoje plany na przyszłość, że aż z podziwem uderzył w dłonie i zawołał:

— Doprawdy, zazdroszczę ci, że tak umiesz radzić sobie!

Marta też zazdrościła mi tego, widziałam to dobrze po smutném spojrzeniu, jakie na mnie i na Roberta rzuciła. Byłaby pragnęła miéć taką jak moja żywotną, młodzieńczą naturę, aby ją jemu złożyć w ofierze.

Ucałowałam ją i dodawałam jéj odwagi. Błagalne spojrzenie, jakiém na niego patrzyła, mówiło wyraźnie:

— Oddaję ci wszystko czém jestem — przebacz, że tak mało.

Następnego rana odjechaliśmy, młoda para do nowéj siedziby ja do obcéj.

O następnych trzech latach zupełnie zamilczę. Ileż ja przez ten czas umartwień i upokorzeń wycierpiałam, ileż z nich wżarło się w moją duszę niezatartemi rysami, przez nie serce moje skamieniało i stałam się zimna i nieprzyjazna dla wszystkich ludzi. Nauczyłam się pogardzać ich nienawiścią, a miłością ich jeszcze bardziéj. Nauczyłam się uśmiéchać, kiedy ból najsroższy targał moją duszę. Nauczyłam się wyniosłe nosić czoło, chociażbym je ze wstydu w prochu zagrzebać chciała.

Straszny ciężar samotnych, bez żadnego jaśniejszego promyka, dni i ciężar ciemnych nocy bezsennych i wstrętny, fałszywy ton pożądliwych pochlebstw, i bezgraniczną a tak uciskającą serce zawiść ludzką, wszystko, wszystko poznałam!

Doprawdy, był to twardy kawałek chleba, który na obczyźnie jadłam; dosyć też często zmiękczałam go memi łzami.

Jedyną pociechą, jedyną moją radością były listy Marty. Pisała do mnie często, niekiedy nawet codzień i nieraz bywał dopisek ręką Roberta skreślony. Jakież to szczęście dla mnie, jak pochłaniałam te słowa! Z daleka — przeżywałam z niemi każdą chwilę ich życia.

Wesołém ono nie było — o wcale nie! Ale było to jednak życie! Częste miéwali smutki i kłopoty, ale byli razem. Silny Robert i słaba Marta, a oboje niezaradni, czasem jak dzieci, że aż musiałam się mieszać do ich spraw i rad im udzielać i sił dodawać.

W końcu, byłam z ich całym domem tak obznajmiona, że prawie po głosie i wyglądzie mogłabym była poznać każdego z ich służby, przyjaciół i znajomych.

Ciotkę Hellinger nienawidziłam najgorętszą nienawiścią — starego lekarza kochałam najgorętszą miłością, małostkowych mieszczuchów, którzy tak złośliwie umieją wszędzie wglądać, że na palcach mogliby wyliczyć przyczyny złego stanu interesów Roberta, karałam lodowatą pogardą. O! gdybym była na jéj miejscu! — syknęłam nieraz przez zaciśnięte zęby, kiedy mi Marta opisywała drobne nieprzyjemności małomiasteczkowych stosunków. Jabym im pokazała właściwą drogę, tym głupim, pysznym kramarzom, jabym ich w proch starła, zgnębiła szyderstwem i pogardą! Najdrobniejsze radości siostry odczuwałam z nią także. Widziałam ją rządzącą jako panią, wedle własnéj woli w domu i za domem.

Widziałam w koło niéj garstkę przyjaznéj czeladzi i zdawało mi się, że umiałabym być jeszcze łagodniejszą, uczynniejszą od niéj, — aniołem w ludzkiéj postaci.

Widziałam ją na słonecznéj werendzie, pochyloną nad szyciem, widziałam ją odpoczywającą po obiedzie, pod rozłożystemi konarami lip w ogrodzie, widziałam ją rozmarzoną, wpatrzoną w kłęby pary, kiedy ze dworu rozlegał się jego grzmiący głos a przed nią maszynka do kawy szemrała przyjemnie, czekając na jego przyjście.

I tak czułam z niemi, gdy moje dni upływały jeden za drugim, samotne, jeden do drugiego podobny, jak żelazne ogniwa łańcucha bez końca.

W trzecim roku oznajmiła mi Marta, że najserdeczniejsze życzenie Roberta miało się spełnić, że cicha jéj modlitwa była wysłuchaną, że matką zostanie. Ale jednocześnie wzrastała w niéj obawa, czy jéj słaby organizm znajdzie dość siły wobec czekającego ją ciężkiego przejścia. Cieszyłam się i obawiałam z nią razem, może więcéj niż ona sama, bo i oddalenie i tęsknota wzmagały twory mojéj wyobraźni. Nieraz w nocy budziłam się we łzach skąpana, bo we śnie widziałam ją już umarłą przed sobą. Wspomnienie z moich lat dziewczęcych przypominało mi się; jak ją pewnego dnia znalazłam na kanapie, bladą i sztywną, do umarłéj podobną.

Obraz ten nie wychodził mi z pamięci. Im więcéj zbliżał się rozstrzygający termin, témbardziéj wzrastał mój niepokój. Zaczęłam przez to fizycznie cierpieć, a obcych ludzi, wpośród których żyłam (niechcę nazwać ich po imieniu, bo nie są warci — bym na tych kartkach imię ich wypisała), nienawidziłam coraz więcéj.

Ostatnie listy Marty brzmiały otuchą i nadzieją. Obawy jéj nikły, zatapiała się cała w rozkoszach, jakie jéj zbliżające się macierzyństwo obiecywało. Potém nastąpiły trzy dni bez żadnych wiadomości, trzy dni pełne mąk, niepokoju, aż w końcu przyszła depesza od szwagra:

„Marta szczęśliwie urodziła syna, przyzywa Cię, przybywaj!“

Z depeszą w ręku, pośpieszyłam do mojéj pani i prosiłam ją o urlop. Odmówiła mi.

W gwałtownym gniewie rzuciłam jéj w twarz podziękowanie za służbę i zażądałam natychmiastowéj swobody. Szukano wykrętów— a to nie mogą się teraz obejść bezemnie, a to muszę naprzód przynajmniéj zdać rachunki i gospodarstwo komu innemu; pod nędznemi, niegodziwemi pozorami zatrzymano mnie przez dwa dni, jakby chciano pokazać słudze, która się tak zawsze dumną okazywała, całą zależność jéj położenia.

Potém nastąpiła noc głuchego osłupienia w hałaśliwym wagonie kolei żelaznéj i czekanie pomiędzy kuframi i pudełkami od kapeluszy w pustéj sali, gdzie wstrętny zapach piwa bił mi do głowy. Potém sześć godzin przepędziłam na gorących poduszkach karetki pocztowéj, wciśnięta pomiędzy jakiegoś podróżnego kupca i żyda w chałacie, aż wreszcie wyłoniły się przed memi oczyma, w czerwoném świetle pogodnego, jesiennego wieczoru, wieżyczki mieściny, przy któréj usłali sobie gniazdeczko moi najdrożsi, moi jedynie ukochani na świecie całym. Kiedy wysiadłam z pocztowéj karetki, słońce chyliło się już ku zachodowi.

Z silnie bijącém sercem, obejrzałam się w około, myślałam, że zobaczę, śpieszącą ku mnie olbrzymią postać Roberta, ale tylko kilku obcych gapiów stało opodal i wytrzeszczało oczy na przybyłą. Zapytałam woźnicy o drogę, a wreszcie opisy Marty pamiętając, wiedziałam, że i sama trafię.

Przed nizkiemi drzwiami sklepików stały rozprawiając gromadki, — spacerujący wałęsali się tu i tam. Za mojém zbliżeniem zatrzymywali się, wpatrując się we mnie jak w cudo jakie, a gdy ich minęłam, dochodziły mnie ciche szepty i śmiechy. Zgroza mnie zdjęła wobec téj parafiańskiéj nędzoty.

Dopiéro gdy zobaczyłam przed sobą bramy z wystającemi wieżyczkami, jakoś mi się lżéj zrobiło na sercu. Znałam je doskonale. „Piekielne wrota“ — nazywała je Marta, bo przez nie przejść musiała, gdy ją zaproszenie teściowéj do miasteczka wzywało.

Kiedy weszłam pod ciemne sklepienie, ujrzałam nagle przed łukiem bramy, jakby w czarnych ramach, stare, tyle razy opisywane

mi przez Martę zamczysko. Zaledwie tysiąc kroków dzieliło mnie od niego. Białe mury, przeświecające przez pożółkłe gęstwiny, skąpane były w purpurowém świetle zachodzącego słońca. Cynkowy dach błyszczał, jakby oblany kaskadą płynącéj wody. Z okien zdawały się buchać płomienie, a niby czarny baldachim, osiadła ciemna chmura nad szczytem.

Przycisnęłam ręce do serca, bicie jego omal mi piersi nie rozsadzało, tak do głębi wzruszał mnie ten widok. Przez mgnienie oka, opanował mnie strach niepochamowany, chciałam na miejscu się wrócić, byłabym pędem ztąd uciekała i biegła tak bez odpoczynku, ażeby mnie oddalenie wzięło w obronę. Cały niepokój o Martę pochłonęła ta zagadkowa trwoga. Wyłajałam się za to głupie tchórzostwo i zbiérając wszystkie siły, szłam daléj po gościńcu, na którym w zagłębieniach od kół, błyszczały wysychające kałuże. Szum topoli towarzyszył mi do samėj bramy podwórza. W chwili, kiedy ją przestąpiłam, znikł ostatni promień słońca za murami, a cień potężnych lip przechylających się ku drodze, tak nagle mnie otoczył, żem myślała, iż noc już zapadła.

Rozsypane mury, porosłe nawpół zwiędłém zielskiem, stérczały na prawo i lewo pomiędzy poczerniałemi krzakami cierni — resztki starego zamczyska, na gruzach którego dzisiejszy dwór został wzniesiony. Jakby podmuch śmierci i zgnilizny ponad niemi się rostaczał.

Lękliwém spojrzeniem zmierzyłam rozległe podwórze, które mrok wieczorny niebieskawym poczynał okrywać cieniem. Drżałam przy każdym szeleście, zdało mi się co chwila, że potężny głos Roberta, witaj! zawoła.

Na podwórzu było cicho, snać, była to już godzina spoczynku. Z jednych tylko otwartych drzwi stajni, dochodził do mnie dźwięk ostrzonéj kosy. Zapach świéżego siana napełniał powietrze swą miłą, drażniącą wonią.

Powoli, lękliwie, jak intruz, szłam wzdłuż ogrodu i zbliżałam się do dworu, który ze swemi, granitowemi stopniami, szaremi od starości gankami i groźnemi szczytami ponuro spoglądał na mnie.

Tu i tam było coś odłamane, skruszone, a zczerniałe kamienie wyziérały z pod opadłego tynku. Czas jak długa choroba okrył to zestarzałe ciało ranami.

Wchodowe drzwi stały otworem. Weszłam do długiego, ciemnego przedsionka, gdzie uderzył mnie dziwny zapach świéżego wapna i wilgotnego grzyba. Przez pajęczyną zasnute, łuki kolorowych szyb,

wpadało przyćmione światło, zaledwie wystarczające, aby można było dostrzedz ogromne szafy, przy ścianie ustawione.

Jaśniejsza smuga padała na szerokie, wydeptane schody, których stopnie spoczywały na kamiennych pilastrach. Wysoko sklepione drzwi prowadziły do wnętrza pokojów, ale nie śmiałam zbliżyć się do żadnych.

Stałam tak, namyślając się co począć, kiedy otwarły się drzwi w głębi i wyskoczyły ku mnie dwa wielkie, żółto nakrapiane psy. Krzyknęłam. Psiska zaczęły skakać w koło mnie, obwąchały moją suknię i z głośném szczekaniem wypadły znów za drzwi.

— Kto tam? — zawołał głos, którego stłumiony teraz, a zwykle grzmiący dźwięk, słyszałam na jawie i we śnie. Jasna smuga znikła, przedemną stanął on.

Czerwona mgła zasłaniała mi oczy. Nogi wrosły mi w ziemię. Ciężko oddychając, oparłam się o filar schodowy.

— Któż tam, do dyabła? — zawołał raz jeszcze, daremnie usiłując przebić wzrokiem ciemności.

Zebrałam wszystkie siły. Spokojnie i zimno, jak przed laty, żegnając go, chciałam przed nim stanąć. Pocóż miał wiedzieć, ile przez ten czas wycierpiałam!

— Olgo! naprawdę — Olgo, to ty?

Radość, przebijająca się ze słów jego ogrzała mnie błogiém uczuciem. Już, już chciałam rzucić się mu na szyję, aby zapłakać serdecznie, ale duma powstrzymała mnie.

— Czyście mnie nie oczekiwali? — zapytałam, wyciągając mimowoli rękę do niego.

— A jakże, od dwóch dni czekamy cię każdéj godziny, to jest myśleliśmy już...

Ujął moją rękę w obie dłonie i usiłował w oczy mi spojrzéć. Dziwna mieszanina serdeczności i pomieszania, była w jego zachowaniu się. Snać, próżno starał się we mnie odnaleść swoją dawną zaufaną przyjaciółkę.

— Jak się miéwa Marta? — zapytałam.

— Zobaczysz sama — odpowiedział — ja się na tém nie znam. Mnie się ona wydaje taka słaba, taka biédna, że mówię sobie: byłoby cudem gdyby to przeniosła, ale doktór pociesza mnie, że jest dobrze, a ten musi przecie wiedziéć.

— A dziecko? — pytałam daléj.

Roześmiał się cicho.

— Dziecko, hm... dziecko... i zamiast dokończyć, kopnął nogą kundle, które pędem wybiegły na podwórze.

— Chodź — przemówił — zaprowadzę cię.

Weszliśmy na schody milcząc i nie patrząc na siebie.

— Obcą mu się stałam — myślałam w duchu i wezbrał we mnie żal, jakbym długo przechowywane szczęście utraciła.

— Poczekaj chwilkę — powiedział — wskazując mi jedne z najbliższych drzwi.

— Chcę ją przygotować, radość może jéj zaszkodzić.

Stałam znowu sama w ciemnym, wysoko sklepionym korytarzu, w końcu którego, promienie gasnącego dnia rzucały jakby długi promień, na gładkie tafle posadzki. Prąd powietrza przeciągający pod sklepieniem przynosił jakieś niewyraźne brzmienia. Naraz cichy okrzyk radości, doszedł moich uszu. Zerwałam się. Gorąca krew uderzyła mi do serca, myślałam, że mnie jéj fala zadusi. Drzwi się otworzyły i dłoń Roberta ujęła w ciemności moją rękę. Oszołomiona dałam się prowadzić i oprzytomniałam dopiéro klęcząc i szlochając przy łóżku Marty, z twarzą schowaną w poduszki, gdy rozpalona, wilgotna ręka, pieszczotliwie głaskała mnie po głowie.

Uczucie znalezienia się wreszcie w rodzinném gnieździe, miękkie, ciepłe uczucie jakiegom od lat nie zaznała, pieściło mnie i upajało. Bałam się oczu podnieść, bo myślałam, że to wszystko zniknie.

Jak błogosławieństwo Boga spoczywała jéj ręka na mojéj głowie.

Bezgraniczna wdzięczność przepełniała moje serce. Pochwyciłam jéj rękę i długo, serdecznie, przycisnęłam do niéj usta.

— Co robisz siostrzyczko, co robisz? usłyszałam jéj zmęczony, lekko przysłonięty głos.

Powstałam i spojrzałam na Martę. Leżała przedemną blada z wpadniętemi policzkami i okolonemi ciemnemi obwódkami oczyma, w których łzy błyszczały. Jak płateczek śniegu, leżała na pościeli, taka wątła i biała! niebieskawe, naprężone żyły ciągnęły się wzdłuż wychudłéj szyi, a na jasném czole błyszczały krople potu.

Postarzała się i zmieniła bardzo, odkąd jéj nie widziałam, zapewne nie tylko ostatnie to przejście, tak niszcząco na nią podziałało, tylko uśmiéch pozostał dawny — miły, słodki, pełen pociechy i błogosławieństwa, którym cieszyła innych, choć sama pociechy nie znała.

— Teraz już nie odejdziesz ztąd, prawda? — mówiła, wpatrując się we mnie, jakby moim widokiem nasycić się nie mogła. — Zostaniesz przy nas na zawsze — przyrzecz mi to, przyrzeknij, w téj chwili.

Milczałam, szczęście spadło na mnie jak ogień z nieba. Męczyło mnie, prawie bolało.

— Pomóż mi ją uprosić Robercie! — zaczęła znów.

Wstrząsnęłam się. Zupełnie zapomniałam o nim, i oto obecność jego podziałała na mnie jak zbudzony wyrzut.

— Zostaw mi czas do namysłu, do jutra — powiedziałam, podnosząc się. We mnie budziło się niewyraźnie przeczucie, że moja obecność w tych miejscach nie będzie długą. Byłoby to zbyt wiele dla mnie, nieszczęsnéj, którą los tak bezlitośnie rzucał na obczyznę.

Zrozumiałam po jéj spojrzeniu, że chciała zaoszczędzić mi wrażeń.

— A więc do jutra — rzekła cicho i uścisnęła mi rękę. — Jutro sama zobaczysz, jak bardzo nam jesteś potrzebną, że bylibyśmy poprostu niedorzeczni, gdybyśmy ciebie puścili. Nieprawdaż Robercie?

— Z pewnością, z pewnością — roześmiał się, ale jakimś dziwnie przymuszonym śmiechem.

Widocznie nie swój czuł się w obecności nas obudwóch. Wkrótce téż porwał za czapkę i zamierzał, nic nie mówiąc, odejść.

— Czy nie pokażesz jéj naszego dziecka? — szepnęła Marta, i uśmiéch niewypowiedzianéj szczęśliwości przebiegł po jéj wynędzniałéj twarzyczce.

— Chodź — zwrócił się do mnie — śpi w pokoju obok.

Poszedł przedemną. Z trudem przecisnął swoją niezgrabną postać przez na wpół odemknięte drzwi.

Czerwonawém światłem wieczora stała opromieniona kołyska. Z białych poduszek wyziérała miedzianego koloru główka, nie wiele większa od dużego jabłka, pomarszczone powieki były zamknięte, w buzi tkwiła jedna z dwóch, maleńkich piąstek z zaciśniętemi kurczowo paluszkami.

Ukradkiem przeniosłam wzrok z dziecka na ojca. Złożył ręce, jakby z nabożeństwem patrzył na maleńkiego człowieczka. Niewyraźny uśmiech, na wpół radości, na wpół pomieszania rozchylił jego usta.

Dopiéro teraz byłam w stanie spokojnie mu się przyjrzéć. Purpurowe światło oświecało jaskrawo jego oblicze, ostro występowały zmarszczki i bruzdy, jakie się przez te lata na niém wyryły. Cienie przeżytych trosk, leżały na jego czole, oczy straciły dawny blask, a w kącikach ust błąkał się rys, mówiący mi o głuchém poddaniu się i bezsilnym uporze.

Przejęła mnie bezgraniczna litość. Byłabym pragnęła za ręce go ująć i powiedziéć mu:

— Zaufaj mi, jam silna, podziel się ze mną swemi troskami.

Ale kiedy na mnie spojrzał, zlękłam się, że mógł spojrzenie moje zauważyć, uklękłam więc prędko przed kołyską i przycisnęłam usta do maleńkiéj twarzyczki, która pod tém dotknięciem ściągnęła się jakby z bólu.

Kiedy wstałam, Roberta nie było już w pokoju.

W pełném trwogi oczekiwaniu skierowane były na mnie oczy Marty. Chciała, by podziwiano, chwolono jéj dziecię.

— Prawda, jakie ładne? — szepnęła i wyciągnęła do mnie słabe ramiona.

Skoro już jéj macierzyńskie serce nasyciło się dumą, kazała mi usiąść przy sobie na poduszkach i przytuliła głowę do moich kolan, tak, że prawie na nich spoczywała.

— O, jak tak miło, chłodno! — szepnęła, zamknęła oczy i oddychała jak we śnie, głęboko i spokojnie.

Obciérałam jéj moją chustką pot z czoła.

Skinęła z wdzięcznością i rzekła:

— Jestem jeszcze bardzo osłabiona, jak zbita, ale mam nadzieję, że jutro wstanę i zajmę się gospodarstwem.

— Na miłość Boską! co ci do głowy przychodzi? — zawołałam przestraszona.

Westchnęła.

— Muszę, muszę, to mi spokoju nie daje.

— Co ci nie daje spokoju?

Nie odpowiedziała mi, ale naraz zaczęła gorzko płakać.

Uspakajałam ją, zcałowywałam jéj łzy z oczu i z twarzy, i błagałam, żeby mi swoje serce odkryła.

— Czy nie jesteś szczęśliwą? czy on nie jest dobry dla ciebie?

— Ach, on dobry jest dla mnie, jak sam pan Bóg, ale szczęśliwą nie jestem, biédnam ja, siostrzyczko — taka biédna, że ci tego nawet wypowiedziéć nie umiem.

— Ależ przez co, na Boga?

— Boję się!

— Czego?

— Że jego... że uszczęśliwić go nie umiem, żem ja nieodpowiednia dla niego.

Zimny dreszcz wstrząsnął mną, zdawało mi się, że on z jéj ciała we mnie przechodzi.

— Widzisz i ty to czujesz — szepnęła i patrzyła we mnie wielkiemi, wylękłemi oczyma.

— Głuptasek jesteś — odpowiedziałam, przymuszając się do uśmiechu, ale zimno nie ustępowało z moich członków.

Niewyraźne, niejasne poczucie mówiło mi, że Marta miała słuszność.

Ale trzeba było pocieszać ją!

— Jak możesz sama tak niedorzecznie siebie dręczyć? — zawołałam. — Czyż cię on nie przekonywa na każdym kroku, jak bardzo się mylisz!

— Już co wiem, to wiem — odparła cicho z owym uporem w cierpieniach, jaki broń słabych stanowi — a to, co ci mowię, to nie powstało dzisiaj w mojéj głowie... ta obawa tkwiła jeszcze w mojém sercu, zanim zostałam jego narzeczoną i wiedziałam dobrze co czynię, gdy mu wtedy odkosza dałam... właśnie z miłości!

— Marto! — zawołałam z wyrzutem — widzę, żeś nie była ze mną szczera.

— Przecież ja ci wtedy wszystko powiedziałam — odrzekła — nie chciałaś mi tylko wierzyć, chciałaś mnie gwałtem uszczęśliwić, a potém... pocóż miałam mówić? Na papierze wydaje się wszystko inaczéj, niż jest w rzeczywistości; w końcu wyczytałabyś jeszcze wyrzut dla siebie — lub dla niego, a do takiego nioporozumienia nie mogłam przecież dopuścić. Moje nieszczęście zaczęło się od pierwszego dnia naszego tu przybycia. Widziałam, jak się od swoich odsunął i powiedziałam sobie: „tyś temu winna!“ Widziałam, jak się stawał z każdym dniem smutniejszy i znów powtórzyłam sobie: „tyś temu winna!“ Nieraz w nocy nie mogąc zasnąć, dręczyłam się myślą: dlaczegom ja taka słaba i wiecznie cierpiąca, i umiem tylko z płaczem tulić się do niego i zamartwiać się, kiedy widzę, że on się martwi? Dlaczego nie nauczyłam się z wesołą piosenką rzucać mu się na szyję, kiedy do domu powraca i ze śmiechem zcałowywać zmarszczki z jego czoła? I więcéj, więcéj jeszcze! Dlaczego nie jestem dumną, silną, mądrą i nie mogę mu powiedzieć: oprzéj się na mnie, gdy w twojém sercu niepokój i trwoga, zaczerpnij przy mnie nowych sił do walki... Tak byłabyś ty mówiła, Olgo, o, nie przecz mi! Często wyobrażałam sobie, jakbyś ty obok niego stała, taka wysoka... jakbyś ty wyciągnęła do niego ramiona, a on znalazłby zawsze przy tobie przystań pewną, w którą żadna burza nie śmiałaby uderzać... Ale — spojrzyj na mnie... i rzuciła bolesne spojrzenie na swą wątłą, wynędzniałą postać, któréj kontury wyraźnie rysowały się przez kołdrę. Czyżby to nie śmiesznie brzmiało, gdybym to ja chciała powiedzieć?

ja, która omal gubię się w jego ramionach, taka mała i wątła jestem... ja tylko na to jestem, by sama obrony żądać. Obroną być dla kogoś, to nie moja rzecz... Widzisz, o tém myślałam podczas długich, bezsennych nocy, — myślałam, i coraz więcéj traciłam odwagę. Razu pewnego przymusiłam się do śmiechu i chciałam udawać wesołego, o nic nie troszczącego się ptaszka, bo ta rola najstosowniejszą jeszcze byłaby dla mnie; ale śmiéch i śpiéw zamarły mi w gardle, i on pewnie spostrzegł, bo z litością uśmiechnął się, — a ja... ja tylko wstydzić się musiałam.

Wyczerpana przerwała i ukryła oblicze w moją suknię. Po chwili znów zaczęła:

— Więc, że to mi się nie udawało, starałam się innym sposobem dopomagać mu. Wiész, że nigdy nie znałam próżniaczego życia, ale tak ciężko, jak w ostatnich trzech latach, nie pracowałam nigdy. A kiedy słabłam, kiedy kolana gięły się podemną, popychała mnie naprzód myśl: pokaż mu, że się na coś przydać możesz, nie daj mu nigdy poznać, jak niewiele w tobie posiada. Ale cóż mogły pomódz moje usiłowania! Wszystko się na nas wali...

Tak skarżyła się biédaczka, a mnie przejął lęk straszny i niepokój o nią.

— Słuchaj, mam do ciebie prośbę—i ujęła moje ręce — postaraj się go wybadać, czy on... czy on—ze mnie zadowolony... a potém, opowiész mi...

Przyciągnęłam ją do siebie, pieściłam i starałam się obawy i troski wybić jéj z głowy. Chciwie piła moje słowa, jéj gorączką błyszczące oczy zawisły na moich ustach, od czasu do czasu słabe westchnienie podnosiło jéj piersi.

— O, gdybym cię była miała zawsze przy sobie! — zawołała, głaszcząc moje ręce. Ale, jakaś myśl nowa znów ją zasępiła. Wybadywałam ją, nie chciała nic mówić, aż nareszcie wahając się wyjąkała:

— Ty wszystko tysiąc razy lepiéj zrobisz odemnie, ty mu pokażesz, coby miéć mógł, a co ma. Przy tobie dopiéro pozna, jakie ja jestem nędzne stworzenie.

Zlękłam się, spostrzegłam bowiem, że sen o rodzinném gniazdku już się skończył. Jakżeż mogłam tu pozostać, kiedy w mojéj rodzonéj siostrze zbudziła się zazdrość o mnie?

Uczuła dobrze, że mnie dotknęła boleśnie, wyciągnęła téż czémprędzéj wychudłe ręce i prosiła:

— Nie chciéj mnie źle rozumiéć, Olgo, — to co czuję, to nie jest wcale zazdrość; jestem tak mało zazdrosną, że nie mam goręt-

szego życzenia, jak żebyście wy oboje... po mojéj śmierci... połączyli się...

— Po twojéj śmierci! — przerwałam przerażona. — Marto, bredzisz!

Uśmiechnęła się z żałosną rezygnacyą.

— Wiem dobrze, co mówię. Moje siły żywotne są dawno wyczerpane. Myślałam wprawdzie, że przy urodzeniu dziecka wszystko się skończy, i dlatego tak bardzo pragnęłam zobaczyć ciebie... chciałam zdążyć niejedno wam wyjaśnić... Ale cokolwiekbądź przyjdzie... prędzéj czy późniéj trochę... chciałabym przedtém być pewną, że jego i dziecko zostawiam w dobrych rękach...

Drżałam całém ciałem, chciałam rzucić się przed łóżkiem na kolana i płakać, płakać, duszę z siebie wypłakać!

W tém, w pokoju obok, rozległ krzyk dziecka. Westchnęłam ciężko i powstałam.

— Słyszysz, Marto?—zawołałam — rozpaczasz, a ciebie los obdarzył najwyższém szczęściem, jakie kobiécie jest danėm! Odżyjesz w twojém dziecku, jego młode życie nowych sił tobie doda.

Oczy jéj zabłysły nadziemską radością, poczém opadła na poduszki i przymknęła powieki. Miłość macierzyńska była w niéj obecnie jedyném uczuciem, które mogło zbudzić w niéj nadzieję.

Jeszcze raz otworzyła usta i coś szepnęła. Pochyliłam się nad nią i spytałam:

— Czego chcesz, siostrzyczko?

— Chciałabym przydać się na coś na świecie... — westchnęła i z tą myślą zasnęła.

Było już zupełnie ciemno, kiedy Robert wszedł cicho do pokoju. Przestraszona, zerwałam się z miejsca. Przybliżył się do łóżka, przysłuchiwał się przez chwilę równemu oddechowi Marty i szepnął do mnie:

— Chodź, Olgo. Jesteś zmęczona, zjédz cośkolwiek i odpocznij.

Bałam się odejść, zostać z nim sama, ale, aby nie zbudzić śpiącéj siostry, poszłam za nim w milczeniu.

Stołowy pokój — była to obszerna wybielona izba, zapełniona staroświeckiemi sprzętami, które jak czarne, pochylone olbrzymy, stały na warcie przy ścianie. Pod wiszącą lampą, na ogromnym stole przyszykowane były dwa nakrycia.

— Kazałem wprzódy dać jeść ludziom — zwrócił się Robert do mnie—nie chciałem cię męczyć widokiem nieznajomych twarzy.

Usiadł przy stole i podparł brodę na ręku.

— Ale ty nic nie jész—odezwał się po chwili.

Potrząsnęłam głową. Nie byłam w stanie przełknąć jednego kęsa, choć głód dokuczał mi oddawna.

Znowu milczenie.

— Jakże ją znajdujesz?—przerwał je Robert.

— Sama nie wiem, czy się mam cieszyć, czy niepokoić?—odparłam, zmuszając się do mówienia.

— Dlaczego niepokoić?—zapytał prędko z widoczną obawą.

— Dręczy się sama.

Roześmiał się. Spojrzenie, jakie na mnie skierował, pytało wyraźnie:

— A więc wiész już o tém?

Podniósł się, wyprostował i westchnął. Gęste włosy opadły mu na czoło, głębiéj zarysowały się bruzdy w kącikach ust.

Przelękłam się. Czyż to, co wyrzekłam, nie brzmiało jak oskarżenie przeciw Marcie? czyż nie zmuszało i jego do skargi.

— Zanadto ciebie kocha—dodałam.

Wiedziałam, że go zranię, ale właśnie pragnęłam tego.

Zdumiał się, spojrzał na mnie wielkiemi oczami, potém kiwnął parę razy głową i powiedział:

— Słuszny wyrzut, za bardzo mnie kocha.

Byłabym teraz znowu chciała błagać go o przebaczenie. Doprawdy, on nie zasługiwał na moją złośliwość! Jego dusza była jasna i czysta, jak światło słońca, tylko w mojéj panowały ciemności.

Powstrzymywane łzy dławiły mnie. Czułam, że dłużéj nie zapanuję nad niemi.

— Dobra noc, Robercie — odezwałam się, podając mu rękę — jestem niewyspana, muszę się położyć. Zostań, służąca pokaże mi drogę. Zostań! — mówię.

Ostatnie słowa wymówiłam prawie gniewnie. Zmieszany, pozostał.

Chłód na wpół ciemnego korytarza uspokoił mnie. Przez chwilę chodziłam tam i napowrót, poczém przywołałam dziewczynę, która mnie miała zaprowadzić do przeznaczonego dla mnie pokoju.

— Pani sama tam wszystko ułożyła i zakazała cośkolwiek poruszyć. List do panienki jest tam także — opowiadała przez drogę dziewczyna.

Pozostawszy sama, obejrzałam się.

Droga, dobra siostro! Moje najdrobniejsze nawyknienia z dawnych czasów zachowała wiernie w pamięci i pomyślała o nich, aby mi

mój nowy dom uczynić jaknajmilszym. Nie brakowało nic z tego, co kiedyś lubiłam.

Ponad łóżkiem wisiała wzorzysta zasłona, zupełnie taka sama jak ta, pod fałdami któréj snułam moje sny dziewczęce, — na oknie stały ulubione moje geranie i fiołki alpejskie, — na ścianach wisiały te same obrazki, na których przy obudzeniu spoczywały moje oczy, — a na półeczkach stały téż same książki, z których moja dusza pierwszy pokarm czerpała.

Ifigenia, — w owych jasnych, dalekich dniach moja najmilsza książka, leżała otwarta na stoliku. Miły Boże! jak dawno już jéj nie czytałam! Przez długi czas nie śmiałam się jéj dotknąć, spokojna wyniosłość świętéj kapłanki raziła mnie boleśnie.

Pomiędzy kartkami książki tkwił list, o którym dziewczyna wspomniała. Wiedziałam, że znajdę w nim nowy dowód niezasłużonéj miłości.

Oto com wyczytała:

„Serdecznie ukochana siostro!

Kiedy przestąpisz próg tego pokoju, niestety, nie będę mogła w nim cię powitać. Leżę chora, a może nawet — na wieki zamkną się już moje usta.

Znajdziesz tu wszystko, do czegoś była w domu nawykła. Dawno było już dla ciebie przygotowane—czekało na ciebie.

Czy smutek, czy radość cię tu przyjmie, spocznij z têm przeświadczeniem, żeś do własnego domu weszła.

Postaraj się pokochać Roberta, tak jak on ciebie pokocha. Wtedy — czy mnie Bóg z wami pozostawi, czy téż do siebie powoła— wszystko będzie dobrze.

Twoja siostra *Marta.*“

Nie było to nic nowego, co ona tu pisała, a jednak ten prosty dowód jéj czułego przywiązania wzruszył mnie tak głęboko, że w pierwszéj chwili miałam tylko jedno pragnienie: rzucić się przed nią na kolana i wyznać, jak niegodną przytula ona do swego serca i komu daje schronienie w swoim domu.

Nie wątpiłam dłużéj; nieszczęsna namiętność, o któréj roiłam sobie, żem ją z korzeniem z duszy wyrwała, na nowo obficie się rozrosła. Rany oddawna zabliźnione otworzyły się, czułam, jak krew gorącym strumieniem z nich płynęła.

Nie mogłam się dłużéj oszukiwać.

Błoga nieświadomość budzących się uczuć, słodkie poddanie się

młodzieńczym upojeniom dawno minęły. Nagie, jasne, rażące światło dojrzałego zrozumienia, oznaczało mi granice surowéj uczciwości.

Tak, — kochałam go, kochałam tak gorąco i tak boleśnie, jak tylko serce zahartowane w ogniu cierpień kochać jest zdolne! I nie od dzisiaj — i nie od wczoraj. Z tą miłością wzrastałam, budziła ona pierwsze pragnienia dziewczęcego mego serca, z niéj piłam siłę, z nią wznosiłam się i upadałam, w niéj było moje życie i moja śmierć!

Czy on na to zasługiwał? czy on mnie rozumiał? — o to nie pytałam. On nigdy nie powinien mnie zrozumieć. Ja sama tylko miałam prawo do téj miłości, i wiedziałam dobrze, że jéj nigdy nie wyrwę z serca. Trzeba było poddać się jéj, jak się rzuconemu już losowi poddaje, ale występkiem nie powinna stać się nigdy! Czysta — niechaj mieszka w czystém sercu.

O, drodzy moi, nie na zgubę waszą weszłam do tego domu!

Wielkie, święte czekało mnie posłannictwo. Marta zaraz odczuje, jaki dobry duch przy niéj stoi. Odemnie nauczy się, miłość swą w czyn i pożytek dla ukochanego obrócić, — przy mnie odwaga jéj na nowo odżyje, a jéj duch nowych sił zaczerpnie. Jakżeż ja tych najdroższych mi wspierać i pocieszać będę w ciężkich godzinach, jak ich do uśmiechu zmuszę, gdy łzy w powietrzu zawisną, — jak żartem i piosenką zasępione czoła rozchmurzę i jak strzedz będę troskliwie, by zawsze promyczek wesela w tych murach gościł.

Bez pragnień dla siebie miało odtąd upływać moje własne życie.

Nie potrzebowałam już odsuwać od siebie Ifigenii, bo i mnie czekało wzniosłe posłannictwo kapłanki.

Przed temi pobożnemi myślami ustąpiło wzburzenie mego ducha, z niemi téż zasnęłam, — kiedy z pierwszym brzaskiem zbudziłam się, czułam się zadowolona, prawie szczęśliwa.

Taki niezamącony spokój zstąpił na mnie, jakiegom od niepamiętnych czasów nie zaznała.

Marta jeszcze spała. Zobaczyłam ją przez uchylone drzwi, leżącą z głową wysoko na poduszkach wzniesioną i dosłyszałam ciężki, krótki oddech.

Uspokojona odeszłam, żeby zająć się gospodarstwem.

— Nie będzie już zmuszona tak się zapracowywać — powiedziałam sobie z radością w sercu.

Z godzinę pewnie trwało, zanim ujęłam w rękę wszystkie działy gospodarstwa Marty. Stara szafarka okazała mi się odrazu

przychylną, a służba zachowywała się względem mnie z należytym szacunkiem.

Przy śniadaniu zeszłam się z Robertem. Lekkie bicie serca, jakie przy jego wejściu uczułam, znikło zaraz, gdy sobie wczorajsze postanowienie przypomniałam.

Spokojnie, patrząc mu prosto w oczy, zbliżyłam się do niego i podałam mu rękę.

— Czy Marta jeszcze śpi?—zapytałam.

Potrząsnął głową.

— Posłałem po doktora—odpowiedział — miała bardzo złą noc... może to wczorajsze wzruszenie zaszkodziło jéj.

— Czy zechcesz sobie sam usłużyć — zapytałam — chciałabym do niéj zajrzéć.

Znalazłam ją leżącą w téj saméj pozycyi, w któréj ją zrana widziałam, a gdy się do łóżka zbliżyłam, zobaczyłam, że szeroko otwartemi oczami patrzyła w górę.

Z przestrachem zawołałam ją po imieniu, — słaby uśmiéch przebiegł po jéj ustach, z trudnością obróciła się do mnie i spojrzała mi w oczy.

— Czy się niedobrze czujesz, Marto?

Zmęczona potrząsnęła głową i skurczyła palce. To miało znaczyć:

— Chodź, usiądź przy mnie!

A kiedy ją objęłam, przebiegł nagle dreszcz przez całe jéj ciało. Zęby szczękały jéj głośno.

— Daj mi ciepłą kołdrę—szepnęła—tak mi zimno...

Okryłam ją i znów usiadłam przy niéj. Objęła moje ręce, jakby się chciała przy nich ogrzać.

— Czy dobrze spałaś? —zapytała zmienionym, chrapliwym głosem, który był mi obcy. Skinęłam i poczułam w sercu uczucie wstydu. Czémże było moje wielkie postanowienie, w porównaniu z tą cichą, poświęcającą się naturą i wiecznem zaparciem się siebie? O, ja pyszna, zarozumiała egoistka!

— Jakżeż ci się spodobało urządzenie? — pytała daléj, a błysk leciuchnéj figlarności zaświecił w jéj słodkich, smutnych oczach.

Zamiast odpowiedzi wycisnęłam z wdzięcznością całusa na jéj ustach.

— Ach, całuj mnie, pocałuj raz jeszcze!—szepnęła — twoje usta takie miłe, gorące, rozgrzewają mi ciało i duszę!

I znów trzęsła się z zimna. W chwilę późniéj wszedł Robert.

— Przygotuj się moje dziecko — rzekł, głaszcząc Martę po twarzy—wuj doktór przyjechał.

Skinął na mnie i wyszłam za nim.

Przy kołysce mojego siostrzeńca zastałam starego człowieka, z ostrą siwą brodą, czerwonym, pałkowatym nosem i parą mądrych, przenikliwych oczu, wpatrujących się we mnie z po za błyszczących okularów.

— A więc, to jest Olga?—zapytał i podał mi rękę.

Serce silniéj mi zabiło. Odrazu spostrzegłam, że to był ktoś, przyjaźnie dla mnie usposobiony i z którym będę mogła otwarcie postępować.

— Daj Boże, abyś przybyła tu w dobrą godzinę — zwrócił się doktór do mnie. — Czy tak jest, zaraz się przekonamy. Zaprowadź mnie do Marty, Robercie.

Zostałam z mamką i dzieckiem, które niespokojnie rzucało piąstkami.

— Chciałabym i tobie szczęście zapewnić — pomyślałam i pogłaskałam okrągłą główkę, okrytą prawie niewidocznemi, jak jedwab miękkiemi włoskami. Wczoraj miałam dla maleństwa zaledwie spojrzenie, dziś na jego widok serce wzbierało mi bezgraniczną czułością.

Czyściejszą, lepszą, stałam się od wczoraj.

Długo, niepokojąco długo trwało badanie choréj; — nareszcie ukazał się lekarz, ale przychodził sam. Wyglądał zmartwiony, przybity,—poruszał ustami, jakby coś gryzł, lub mówił do siebie.

— Wysłałem Roberta — rzekł — chcę z tobą pomówić, moje dziecko.

Wziął mnie za rękę i zaprowadził do stołowego pokoju.

— Mam dla ciebie głęboki szacunek, Olgo—zaczął i obtarł krople potu z czoła — po tém, com o tobie słyszał, wiem, że jesteś dzielną kobiétą i umiész znosić silne ciosy...

— Bez wstępów, jeśli łaska, doktorze! — przerwałam, czując jak blednę.

— Dobrze! omówienia nie są wcale moją specyalnością. Marta...—i zająknął się.

— Marta!... jest... bardzo chora... czy tak, doktorze?

Chciałam okazać się silną, ale nogi chwiały się podemną, chwyciłam się za róg stołu, żeby nie upaść.

— Tak, moje dziecko, odwagi, odwagi — mruknął, kładąc rękę na mojém ramieniu. — Zły gość przyszedł, gorączka... i nie chce się dać wyprosić...

Zacisnęłam zęby. Nieraz już słyszałam o gorączce połogowéj, ale o całéj jéj grozie nie miałam wyobrażenia.

— Czy Robert wié? — Było to najpierwsze, o czém pomyślałam.

Wzruszył ramionami i podrapał się w głowę.

— Bałem się... zaledwie połowę prawdy mu powiedziałem...

— A co jest całą prawdą? — sztywno wyprostowana patrzyłam starcowi w oczy.

Milczał.

— Czy ona umrze?

Kiedy usłyszał jak sama odrazu o najgorsze pytam, odetchnął z ulgą. Ale odpowiedzi jego nie dosłyszałam, bo gdy, na pozór spokojna, wymawiałam okropne słowa, stanął mi nagle przed oczyma, ów obraz, widziany w moich snach dziewczęcych.

Widziałam znów ze straszną wyrazistością Martę, leżącą na kanapie... podobną do umarłéj. Zdawało mi się, że palce jakiéjś trupiéj ręki wpijają mi się w piersi, przed mojemi oczyma przesuwały krwawe smugi... krzyknęłam... potém, zdawało mi się jeszcze, że jakiś głos do mnie woła: ratuj! oddaj własne życie za nią!...

Po chwili stałam znów silna i spokojna.

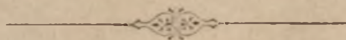
— Doktorze, wuju — mówię — z nią tracę wszystko... i zatracę siebie... Ale, dopókąd mnie potrzebować będziesz, bądź pewnym, że nie drgnę, nie osłabnę... Dlatego nie ukrywaj nic przedemną. Ja muszę miéć pewność...

— Pewność, drogie dziecko?—rzekł, ujmując moje ręce—pewności nie możemy miéć żadnéj... aż do wyzdrowienia, lub... do ostatniéj chwili. Nawet przy najgorszym stanie może jeszcze zajść zmiana, a tém więcéj, gdy choroba jest dopiéro w pierwszém stadyum. Prawda, że na siły żywotne nie można tu nic rachować, i to jest właśnie najsmutniejsze, ale może nam się téż uda opanować złe w zaczątku, a wtedy—wygrana!

— Czy ja mogę przydać się na co? — zawołałam i wyciągnęłam do niego złożone ręce. — Żądaj, doktorze, czego chcesz! Gdybym jéj życie własném okupiła, to jeszcze wiele, wiele byłabym jéj winną!

Zdumiony patrzył na mnie. Ale, bo czyż mógł mnie rozumiéć?

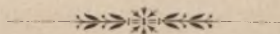
(*D. c. n.*) *Sudermann.*





BITWA POD WIEDNIEM

w roku 1683.



Najważniejszym wypadkiem z wojny 1683 roku, w któréj sławny król Jan III i wojsko narodu naszego, tak czynny udział przyjmowało, była bezwątpienia bitwa pod Wiedniem. Pomimo jednak swéj wielkiéj doniosłości i niezmiernego znaczenia dziejowego, nie doczekała się ona dotąd, chociażby już niezupełnie wiernego, to przynajmniéj zbliżonego do prawdy opisu.

Przyczyna tego, niepożądanego dla nas braku zawiéra się w ubóstwie pierwotnego materyału źródłowego, a mianowicie: dokładnych i szczegółowych relacyi osób, które, jeżeliby nie uczestniczyły, to byłyby przynajmniéj świadkami bitwy pod Wiedniem.

Gdyby wódz naczelny był poddanym, mielibyśmy prawdopodobnie sprawozdanie o bitwie, które powinien był złożyć swemu monarsze. Ale tu wojskiem kierował król, który o świetnêm swém zwycięstwie nie miał potrzeby zdawać sprawy nawet sejmowi, jak to niekiedy bywało, têm więcéj, że wielu członków tego ciała prawodawczego znajdowało się na wojnie. Posiadamy wprawdzie całą seryę listów Jana III z teatru wojny, do swéj ukochanéj Marysieńki, a w téj liczbie i listy z Kahlenbergu przed bitwą, oraz z namiotu w. wezyra, napisany dnia następnego po bitwie, atoli znajdujemy w nich o niéj ledwie kilka wzmianek ogólniejszego znaczenia. Szczegółową zaś relacyę o przebiegu bitwy miał odnieść królowéj inżynier Dupont. Podobnie postąpił i przełożony nad wojskiem rzeszy niemieckiéj ks. Lo-

taryński, który dla szczegółowéj opowieści, o bitwie pod Wiedniem swemu cesarzowi, wyprawił hrabiego Auersperga.

Nie mieliśmy także w owym czasie historyka, któryby jak: Długosz, Bielski lub Heidenstejn zajął się skrzętném zebraniem od świadków i uczestników bitwy, oraz ze źródeł urzędowych wiadomości i szczegółów i ułożył z tego porządny jéj opis. Pozostawił wprawdzie znany w naszéj historyografii Kochowski, który w bitwie pod Wiedniem osobisty udział przyjmował: „*Commentarius belli adversum Turcas ad Viennam*“ (1684). Ale w dziele tém, podawszy kilka faktów bardzo ważnego znaczenia, przysypanych zresztą zwykłą mu frazeologią retoryczną, o samym przebiegu bitwy pisze tylko w wyrażeniach ogólnych i niejasnych.

Takim sposobem pozostaliśmy na łasce tych kilku ludzi dobréj woli, którzy raczyli zapisać i podać potomności wiadomość o bitwie i wojnie, w ułożonych przez nich dyaryuszach i pamiętnikach i te pomniki historyczne służą nam dziś za jedyne źródło, z którego możemy sobie utworzyć jakie takie pojęcie o bitwie pod Wiedniem. Do pism tego rodzaju należą: 1) *Diarium Artilleriae praefecti*, 2) *Diarium principis Jacobi*, 3) *Mémoires pour serveir à l'histoire de la vie et des actions de Jean Sobieski III de nom, par Philippe Dupont*, 4) *Les anecdotes de Pologne (Daleyrac)*, 5) *Mémoires Badois*, 6) *Répons d'un officier de l'empereur à un général Espagnole, contenent le detail des actions de la campagne de 1683* i niektóre inne, mniéj ważne. Numera 1, 2 i 5, obok mnóstwa dokumentów, odnoszących się do téj wojny, wyjętych z różnych archiwów, zawiérają się w Aktach historycznych do dziejów króla Jana III. t. IV, zebranych przez p. Franciszka Kluczyckiego.

Na tych właśnie źródłach opiérają się wszystkie poprzednie opracowania, równie jak dwa najnowsze opisy bitwy pod Wiedniem, mianowicie: „*Das Kriegsjahr 1683,*“ wydany na pamiątkę dwuchsetletniéj rocznicy oswobodzenia Wiednia, przez sekcyą wojenno-historyczną austryackiego archiwum wojennego i „Odsiecz Wiednia,“ napisana przez p. Leona Chrzanowskiego i umieszczona w „Bibliotece Warszawskiéj“ z r. 1885, Tom 1, 2 i 3. Grzeszą jednak obie prace pod pewnemi względami.

„*Das Kriegsjahr*“ widocznie położył sobie za cel, utworzenie ze świetnego zwycięstwa pod Wiedniem sztucznéj tradycyi dla armii austryackiéj, która stosowniéj mogłaby się opiérać na wojnach ks. Eugeniusza Sabaudzkiego i Montecucullego, aniżeli na tryumfie wiedeńskim. Tendencya ta przeziéra wyraźnie w *Kriegsjahr*'ze, gdzie wojsko austryackie wystawia się jako główny czynnik zwycięstwa pod

Wiedniem, a wódz onego ks. Karol Lotaryński, jako: „*grosser Stratege und Taktiker.*“ Jednocześnie pomijają się prawie zupełnie czyny i zasługi wojska polskiego, nasz zaś sławny król i wódz całego wojska chrześciańskiego, ów prawdziwy wybawiciel Wiednia od niewoli pogańskiéj, zaszczycony jest tylko mianem: „*treuer Bundergenosse.*“ O talencie jego wojennym, żadnéj wzmianki nie ma, zkąd wnosić wypada, że go nie posiadał.

Cała ta jednak fantastyczna świątynia sławy wojska austryackiego, zbudowana na gruncie bitwy wiedeńskiéj, opiéra się na podstawach tak kruchych, nie wytrzymujących bowiem krytyki, ani ze stanowiska sztuki wojennéj, ani z punktu widzenia prawdy historycznéj, iż dziwić się należy, że taka poważna instytucya, jaką powinno być Archiwum wojenne, okryło swém imieniem pracę, która będzie służyć jéj za hańbę w potomne wieki. Bo cóż może być więcéj hańbiącego, jak tendencyjne fałszowanie prawdy. Jestto zbrodnia, popełniona z premedytacyą.

Ze swéj strony p. Leon Chrzanowski, broniąc sławy wielkiego króla i dzielnego wojska naszego od przewrotnych i kłamliwych twierdzeń i objaśnień ich czynów w czasie bitwy wiedeńskiéj, w swym szlachetnym zapale, pominął niepostrzeżenie dla siebie pewne wskazówki źródłowe, przez co uczynił wielką ujmę swéj szacownéj pracy, która wskutek tego wiele straciła na wartości historycznéj.

Zamiast tedy dążenia do sumiennego wykrycia prawdy i przedmiotowego przedstawienia rzeczy, wspomnieni autorowie, zakładając sobie uboczne cele, schodzą na manowce i wskutek tego, nietylko, że nam nie dają prawdziwego obrazu bitwy, ale zmieniają go i bałamucą.

Moim tedy zamiarem będzie, o ile się da, na zasadzie powołanych powyżéj źródeł, sprostować fakta, składające się na przebieg bitwy i podać jéj obraz, lubo w kształtach ogólnych, ale o ile można do prawdy zbliżonych. Wniosek zaś o tém, do kogo należy palma zwycięstwa pod Wiedniem, pozostawiam czytelnikowi wyciągnąć z wyłożonego poniżéj opisu.

Zaczniemy od położenia i stosunku, w których się znajdowały wojska stron wojujących, przed bitwą 12 września zrana, w roku 1683 pod Wiedniem.

Siły chrześcian składały się z wojska polskiego, austryackiego i kontyngensów rzeszy niemieckiéj.

Nie wdaję się tu w wyjaśnienie przyczyn, które sprowadziły bitwę pod Wiedniem, gdyż są to rzeczy powszechnie znane, ale uważam sobie za obowiązek dać czytelnikowi przynajmniéj ogólne pojęcie

o wojskach składających armię chrześciańską i ich stosunkowéj wartości, oraz o wojsku tureckiém. Zacznę zaś od wojska polskiego, którego obcy wcale nie znają, tak dalece, że „*Kriegsjahr*“ mówiąc o niém, tyle prawie popełnił błędów, ile wierszy napisał. A i u nas w tym przedmiocie panuje jeszcze mnóstwo błędnych wyobrażeń.

Jazda polska za czasów Sobieskiego dzieliła się na trzy rodzaje: usarzy, pancernych i lekkich. Usarze nosili na sobie zbroje czyli kirysy i mieli za broń zaczepną szable i kopię z wytokiem, w rodzaju dawnych rycerskich. Uzbrojenie ochronne pancernych składało się z pancerza czyli koszuli kolczatéj, co zaś do broni zaczepnéj, to ta była dwojaka, mianowicie: w jednych chorągwiach używano dzid z chorągiewką i szabli, w innych żołnierze opatrzeni byli we trzy strzelby, t. j. jedną dłuższą i dwie krótkie; ale w boju wręcz posługiwali się szablą krzywą. W lekkich chorągwiach żołnierze nosili na sobie odzież zwyczajną: kontusze i żupany i do boju używali także szabli krzywéj i dzidy.

Jednostką administracyjną, gospodarczą i taktyczną, we wszystkich trzech rodzajach jazdy była chorągiew, nieprzenosząca 200 koni i składająca się z towarzyszy i pachołków pocztowych. Na czele jéj stał rotmistrz, ale ten zwykle był tylko szefem i tytuł dla ozdoby nosił, komenderował zaś chorągwią jego porucznik. Drugim oficerem w chorągwi był chorąży. W jeździe jednak lekkiéj komenderowali chorągwiami najczęściéj sami rotmistrze.

Zaciąg chorągwi odbywał się za pomocą werbunku. Rotmistrz otrzymawszy list przypowiedni od króla, przyjmował na służbę towarzyszy, którzy zwykle byli szlachtą; ci zaś podprowadzali z sobą pod chorągiew po 2 lub 3 pachołków. Znajdowali się jednakże i tacy, którzy służyli na jednym koniu. Pachołkowie należeli do niższych stanów: chłopskiego, mieszczańskiego i szlachty drobnéj. Towarzysze w szyku chorągwi stawali w pierwszym szeregu, pachołkowie zaś za niemi i zależnie od stosunku jednych do drugich chorągiew formowała się we 2 lub 3 szeregi. Atak jazdy polskiéj polegał, na błyskawiczném uderzeniu w całym pędzie konia „*à toute bride*“, jak mówi Dupont. Chorągwie usarskie i pancerne łączyły się w pułki, na czele których stali panowie, ale ci i tu tytuł nosili tylko, komenderowali zaś pułkami porucznicy pułkowniczych chorągwi. Pułki lekkie składały straż przednią, która miała za komendanta strażnika wojskowego. W szyku bojowym jazda formowała się w jedną lub dwie linije bojowe z odwodem. Szyk ten dzielił na środek czyli korpus i skrzydła nazywane także rogami. Za skrzydłami stawały zwykle posiłki, przeznaczeniem których było osłaniać własne skrzydła i oskrzydlać nieprzyjaciela.

Sobieski szykował niekiedy usarzy i pancernych w ten sposób, że po obu stronach chorągwi usarskich stawiał chorągwie pancerne. Taki szyk chorągwi usarskich i pancernych można widziéć na planie oblężenia żurawińskiego. Podobnież byli uszykowani usarze i pancerni w bitwie pod Wiedniem [1]). Przytém konniejsze chorągwie usarzy dzieliły się czasem na połowy [2]).

„*Kriegsjahr*“ i p. Leon Chrzanowski szykują jazdę polską pod Wiedniem w szachownicę. Ale niechże mi pokażą choć jedną bitwę, w któréjby jazda polska była uszykowana w podobny sposób. Z pewnością szyku tego nigdy nie używała. Doradzał go wprawdzie taki doktryner jak Andrzéj Maksymilian Fredro, lecz rady jego nie znalazły u jazdy polskiéj przyjęcia.

Arkebuzerowie polscy odpowiadali rajtarom niemieckim i byli na ich wzór organizowani i uzbrojeni. Regimenta rajtarskie posiadały sztaby i dzieliły się na kompanie, których komplet wynosił około 70 koni. Uzbrojeni byli w karabiny, pistolety i pałasze proste.

Piechotę polską cudzoziemskiego autoramentu zaciągano także sposobem werbunku, z ludu polskiego, po miastach, tudzież w dobrach królewskich i duchownych. Organizowana była ta piechota na wzór niemiecki i dzieliła się na regimenta i frejkompanie, które zwykle przyłączały się do regimentów. Regimenta posiadały sztaby, złożone z pewnéj liczby wyższych oficerów i urzędników i dzieliły się na kompanie, których zarząd spoczywał na primaplanach (sztabach kompanicznych), a te składały się także z pewnéj liczby oficerów i szeregowców (gemeinów). Atoli ani dla organizacyi sztabów, ani dla liczby kompanii w regimentach, ani nareszcie dla liczby ludzi w tych ostatnich, żadnych jeszcze norm i etatów nie było. Spotykały się regimenta, z większą i mniejszą liczbą urzędników w sztabach, o 4, 6 i 8 kompaniach, zawierających w sobie po 30, 40 i 50 gemeinów.

Sobieski podczas wyprawy wiedeńskiéj przyjął, zdaje się, za normę dla regimentu około 500 ludzi i mniejsze regimenta łączył w większe, z tych zaś tworzył brygady, obejmujące po 2 lub więcéj regimentów.

Uzbrojona była piechota polska w muszkiety lontowe i berdysze, których mogła używać na przemian; szykowała się w 6 szeregów, mając gefreiterów w pierszym szeregu.

---

[1]) Dupont: „Les éscadrons de gendarmerie polonaise, qui sont composées de deux cents chevaux à deux de hauteur seulement, ont toujours dans les batailles deux éscadrons des pancernes, l'un à droite et l'autre à gauche“.

[2]) Kochowski, p. 23: „nempe ut hastatorum cohortes biforiam divisae geminis loricatorum signis stiparentur“.

Dragoni polscy za Sobieskiego byli piechotą jeżdżącą, t. j. używali koni tylko dla pochodu, bój zaś toczyli pieszo. Tym téż sposobem walczyli oni pod Chocimem i Żórawnem. Organizacyą i szyk mieli jednakowy z piechotą; lecz różnili się od niéj uzbrojeniem, pewna bowiem część żołnierzy opatrzona była w krótkie piki. Nadto przy szyku sześcioszeregowym, średnia część onego wysuwała się wschodem naprzód.

Artylerya polska, na czele któréj stał światły i czynny generał artyleryi Kącki, posiadała zarząd złożony z obersterow, oberstlejtenantów, majorów, kapitanów, niższe jednak stopnie, między któremi rozróżniano: edelmanów, feierwerkerów, puszkarzy z ich pomocnikami, tudzież rozmaitych rzemieślników, nie miały jeszcze organizacyi wojskowéj.

Pod zarządem generała artyleryi znajdowały się także: regiment artyleryi koronnéj, przeznaczony do strzeżenia dział i parków, oraz asekuracyi na polu bitwy, i dragonia artyleryi koronnéj, zadaniem któréj było konwojowanie taborów artyleryjskich. Dział polskich miało być pod Wiedniem 28. Z wyższego personalu przyjmowali udział w bitwie pod Wiedniem generał artyleryi Kącki, oberster Fink i major Rutkowski.

Piechota austryacka miała organizacyą lepiéj rozwiniętą i do pewnego stopnia już ustaloną. Ale austryackie regimenta zawierały w sobie po 10 kompanii, a każda z nich oprócz primaplany po 160 szeregowych. Było więc ich w regimencie 1600. Autorowie „*Kriegsjar*'u“ utrzymują, jakoby regimenta austryackie dzieliły się już na bataliony, ale nie wiedzą ile ich było w regimencie i ile w batalionach liczyło się kompanii. Prawdopodobnie bataliony jeszcze nie istniały i regimenta formowały się w jedną całość ociężałą i nieobrotną. Jeśli bowiem uszykujemy 1600 ludzi, w 6 szeregów, jak to podówczas było, lubo „*Kriegsjahr*“ nic o szyku piechoty austryackiéj nie mówi, to otrzymamy czoło, z 266 rzędów. Każdy łatwo zrozumié, jak trudno było utrzymać linię i zwartość szeregów, przy marszu frontem takiego regimentu. Dodać do tego należy, że w regimentach austryackich jeszcze około $1/3$ części żołnierzy uzbrojona było w piki. A więc w ogniu przyjmowało udział około 1000, a w ręcznym boju ledwie 600 żołnierzy. Z tego wszystkiego jasną jest wyższość piechoty polskiéj o regimentach, nieprzenoszących 500 ludzi i uzbrojonych w muszkiety i berdysze, których mogli używać naprzemian, według tego, czy bój toczyli zdaleka lub zbliska.

Jazda austryacka składała się: z kirysyerów, rajtarów, dragonów i kroatów, którzy stanowili lekką jazdę. Każdy z tych rodzajów

dzielił się na regimenta, obejmujące u kirysyerów, rajtarów i dragonów po 10 a u kroatów po 8 kompanii, w 70 koni każda.

Główną bronią kirysyerów były pałasze proste, w dodatku do których opatrzeni byli rajtarowie w karabiny, dragoni zaś w lekkie muszkiety.

W ile szeregów formowała się i jakiéj taktyki używała jazda austryacka „*Kriegsjahr*“ nie podaje. Sądząc jednak z opisania bitew, spotykała ona ataki nieprzyjaciela ogniem na miejscu, licząc na zwartość swych szeregów. W ruchach była niezmiernie ociężałą i nieobrotną, co przypisywano ciężkości koni. Wiadomo jednak, że konia za pomocą ostrogi można uczynić lekkim. Przyczyna więc ociężałości leżała prawdopodobnie w metodzie prowadzenia wojen i staczania bitew. Ceniono nadewszystko porządek i zwartość szeregów a nie umiano ich utrzymać przy ruchach szybszych.

O wyższości tedy jazdy polskiéj, która się szykowała we 2 — 3 szeregi, któréj chorągwie odpowiadały dzisiejszym szwadronom i która nareszcie wykonywała i spotykała ataki w pełnym pędzie konia, zbytecznêm byłoby rozprawiać.

Wyższość wojska polskiego nad austryackiém, przy wspólnéj walce pod Wiedniem polegała jeszcze i na têm, że wojsko polskie posiadało wielką wprawę bojową i doświadczenie, szczególnie w wojnie z Turkami, w skutek ciągłéj walki z nimi, zaczynając od r. 1672. Imiona: Lubomirskiego, Bidzińskiego, Zbrożka, Modrzewskiego, Rzewuskiego, Miączyńskiego, Prusinowskiego, oraz Grebena, Danemarka, Berensa, Łąckiego i innych znane są, jako imiona dzielnych pułkowników i regimentarzy z wojen poprzednich, w których też większa część oficerów, towarzyszy i prostych żołnierzy udział przyjmowała. O innych kontyngensach rzeszy niemieckiéj, nie ma co mówić, Byli to rekruci, którzy dotąd Turków na oczy nie widzieli.

Piechota turecka składała się ze znanych powszechnie janczarów, utrzymywanych na żołdzie sułtańskim, którzy się dzielili na kompanie „*ordu*“, ze 300, 400 i więcéj ludzi. Oprócz tego z piechoty paszałyków, utrzymywanéj przez wezyrów i baszów, z dochodów prowincyi, zwanéj „Azapami“ i nareszcie ze straży przybocznéj tychże wezyrów i baszów, składającéj się zwykle z Bośniaków i Albańczyków. Bronią téj piechoty była strzelba ręczna dłuższa i mniejszego kalibru aniżeli europejska, a że wyrobiona była z lepszego i hartowniejszego żelaza, mogła wytrzymywać większy nabój prochu i była w skutek tego nośniejszą. Strzelanie jednak z braku odpowiednich przyrządów, odbywało się powolniéj. Nadto opatrzeni byli janczarowie w szable krzywe i jatagany, które nosili za pasem.

Jazda składała się ze spahów cesarskich, z jazdy lekkéj: „Timariotów i Zajmisów“, tudzież z gwardyi przybocznéj wezyrów i baszów. Powiększali ją wolontaryusze „*akindży*“, tacyż rabusie jak Tatarzy, którzy zwykle szli dla łupu. Bronią jazdy tureckiéj były szable krzywe, a u niektórych i dzidy. Używali także strzelby ręcznéj i pistoletów, ale tylko w pojedyńczym boju.

Była to jazda niezmiernie ruchliwa i szybka, co zawdzięczała w części lekkości swych koni, a w części temperamentowi jeźdźców. Taktyka jéj zależała, na błyskawiczném i gwałtownem uderzeniu masą, w całym pędzie konia, za pomocą czego niejednokrotnie łamali szeregi swych wrogów.

Mieli jednak Turcy organizacyą i szyk wadliwy. Formowali się oni sandżakami w okrągłe kupy. A że te sandżaki nie łączyły się hierarchicznie w wyższe jednostki, trudno więc było niemi kierować, szczególnie gdy się pomieszały. Przy uderzeniach tłumami zwykle śmiali biegną naprzód, tchórze zaś zostają w tyle i do ucieczki drogę pokazują. Wojsko tedy europejskie, w swojéj porządnéj organizacyi i szyku szeregowym, miało nad Turkami niezaprzeczoną przewagę. Do tego łączyła się w bitwie pod Wiedniem wyższość w komendzie; gdy na czele armii chrześciańskiéj stał wódz tak doświadczony w wojnie z Turkami jak Jan III, ciągły ich pogromca, który jedném swém imieniem obudzał w ich sercach trwogę. Wódz ten posiadał nadto prawdziwy talent wojenny, posiadał wiarę w siebie i ufność swych żołnierzy. Tymczasem naczelny wódz turecki nietylko, że był pozbawiony wyższych zdolności wojennych, ale ufał zbytnio swéj potędze liczebnéj i lekceważył nieprzyjaciela.

Przechodząc do stosunku liczebnego wojsk stojących przeciwko sobie pod Wiedniem, musimy podać naprzód czytelnikowi kilka szczegółów, tyczących się utrzymania wojska polskiego. Jest to bowiem niezbędne, dla zrozumienia liczb podawanych na rejestrach jak np. ten, który mamy przed sobą, pod tytułem: „Likwidacya wojska JKr. Mci i Rptéj polskiego i cudzoziemskiego zaciągu, na trybunale skarbowym radomskim An. 1685, z repartycyi Sejmowéj An. 1683, w Radomiu odprawionéj“ [1]).

Płacono w tym roku: usarzom po 51 zł., pancernym po 42, lekkim po 32, pieszym po 46, dragonom po 56 i piechocie węgierskiéj po 36 zł. na kwartał. Z płacy jeździe potrącało się po 1 zł., na kuchenne dla rotmistrza. Oprócz tego rachowała się na regestrach pewna liczba koni, zwanych ślepemi, za które płacę rotmistrze czyli ich poru-

---

[1]) Zobacz Dodatek na końcu pracy niniejszéj, str. 592.

cznicy kładli sobie do kieszeni. Liczba tych koni jednak była niewielka. Rachowano na poczet rotmistrzowski, wynoszący 22 konie, tylko 3 konie ślepe, przy pocztach zaś mniejszych od 7 koni, wcale nie było wolno doliczać ślepych koni. Liczba więc koni podanych na regestrach likwidacyjnych dla jazdy niewiele się różniła od rzeczywistéj.

W wojsku atoli cudzoziemskiém panowały stosunki zupełnie odmienne. Tam przytoczona wyżéj płaca dla piechoty i dragonów nazywała się porcyą i w tych porcyach obliczano całe utrzymanie regimentów cudzoziemskich. Z nich opłacano sztaby i primaplany, na utrzymanie zaś gemeinów obracano taką tylko liczbę porcyi, jaka pozostawała, po potrąceniu żołdu dla oficerów sztabów i primaplan. Za Sobieskiego czasów, gdy sztaby były jeszcze bardzo słabo rozwinięte, można kłaść liczbę osób w stosunku do liczby porcyi, dla regimentów pieszych na 76 — 78%, a dla regimentów dragońskich na 74 — 76%. Takie stosunki panowały w roku 1679, w regimencie pieszym królewicza, gdzie na 309 porcyi liczyło się osób 245 i w regimencie dragonów gwardyi królewskiéj, w którym na 650 porcyi utrzymywano 480 osób.

Po takiém wyjaśnieniu, mogę już przytoczyć liczby, ze wspomnianéj likwidacyi, zaprzysiężone przez osoby, które regestra do trybunału podawały. Biorę tu przytém te liczby, które stały na regestrach na 1 sierpnia 1683 roku, t. j. prawie na półtora miesiąca przed bitwą pod Wiedniem; ztąd mogą być uważane za maksymalne. Innych, bliższych od téj daty być nie mogło, gdyż regestra wojskowe, dla trybunałów skarbowych, sporządzano co trzy miesiące, tak, że następne liczby moglibyśmy wziąć tylko z regestrów z 1-go listopada, a w tych liczba ludzi i koni byłaby jeszcze dalszą od rzeczywistéj.

Było tedy wojska polskiego pod Wiedniem:

Jazdy:	koni
Usarzy	3,247
Pancernych.	8,385
Lekkich	2,178
75% 591 porcyi arkebuzerów. . .	443
Suma . . .	14,253

Piechoty:	
75% 3,587 porcyi dragonów.	2,690
77% 12,169 porcyi piechoty cudzoziemskiéj . .	9,370
77% 320 porcyi piechoty węgierskiéj	246
Suma piechoty.	12,306
Suma ogólna wojska polskiego . .	26,559

Chorągwie usarskie i pancerne były prawdopodobnie połączone w pułki, jak to zwykle bywało. Skład jednak tych pułków, równie

jak nazwiska pułkowników nie są nam znane. Podobnież musiały być połączone w pułki chorągwie lekkie. „*Kriegsjahr*“ utrzymuje, że tych pułków było 4 i pułkownikami ich nazywa: Miszliniewskiego, Semena. Butynę i Iskrzyckiego, imion których nigdzie niespotykaliśmy w regestrach. Nie było téż w tych pułkach 4.000 koni, jak to rachuje „*Kriegsjahr*“, lecz tylko 2,178, z których można było uformować co najwięcéj 3 pułki. Z nich pierwszym mógł komenderować przełożony nad strażą przednią strażnik wojskowy Zbrożek, drugim może Miączyński, który w poprzednich wojnach zwykle dowodził chorągwiami wołoskiemi, trzecim zaś nie wiem już kto.

O organizacyi dragonów i piechoty pozostawił nam wiadomość Kochowski. Podług niego, Sobieski połączył dragonów pod ogólną komendą *conte* de Maligni w 6 pułków, z których pułkiem gwardyi dragonów króla miał dowodzić Gorzeński, pozostałemi zaś: Gałecki kuchmistrz koronny, Jerzy Taube, Fryderyk Strem, Jan Koskiel i Andrzéj Chełmski. Ponieważ wszystkich dragonów rachowało się 2,690, to pułki ich niedosięgały 500 ludzi.

Piechota została zorganizowaną w brygady, których utworzono 8, a z nich 4 prawo- i 4 lewoskrzydłowe.

Do brygad prawego skrzydła zaliczały się:

1-sza brygada królewska. Komenderował nią generał major Ernest Dönhof, pułkownik nad regimentem gwardyi pieszéj królewskiéj, składały zaś brygadę, ten regiment, którym dowodził oberster Berenfeger i regiment królewicza, znajdujący się pod komendą oberstera Seswegena.

2-ga brygada. Komenderował nią Stanisław Morsztyn, pułkownik nad regimentem królowéj, a składały brygadę, ten regiment, którym komenderował Gerhard Fitiezghof i regiment Szczuki, pod dowództwem oberstlejtenanta Weretyczo.

3-cia brygada. Komendant Eliasz Łącki z własnym regimentem, którym dowodził oberster Franciszek Lanckoroński i regiment Wacława Leszczyńskiego, pod komendą oberstera Knobelsdorfa.

4-ta brygada. Komendant Fryderyk Greben z własnym regimentem, którym dowodził oberster Gutri i regiment Krasińskiego, referendarza koronnego, pod komendą oberstera Tyburcego Żórawskiego.

Do brygad lewego skrzydła należały:

1-sza brygada. Komendant generał artyleryi Kącki z regimentem artyleryi koronnéj i regiment Butlera.

2-ga brygada. Komendant Danemark ze swym regimentem, którym komenderował oberst Sacken, regiment Potockiego kaszt. kra-

kowskiego, regiment Lubomirskiego marszałka koronnego i regiment *conte* de Maligni pod obersterem Kożuchowskim.

3-cia brygada. Komendant Tomasz Zamojski kaszt. halicki, z własnym regimentem, którym komenderował oberster Domaradzki, regiment Marcina Zamojskiego w-dy lubelskiego i regiment Jana Gnińskiego, pod obersterem Dobszycem.

4-ta brygada, na którą składały się regimenta: kanclerza koronnego Wielopolskiego, hetmana polnego koronnego Sieniawskiego i Dönhofa w-dy pomorskiego.

Po za tą organizacyą pozostawił Kochowski całych 11 regimentów pieszych, które zapewne były wcielone do brygad, ale niewiadomo do jakich.

Tą, tak regularną i piękną organizacyą dowiódł Sobieski, że nietylko umiał kierować wojskiem na wojnie w czasie bitwy, ale posiadał i talent organizatorski.

Wojska cesarskiego podług „*Kriegsjahr*'u“ znajdowało się:

44 kompanie piechoty . . . . 8,100 ludzi

Dragonów, kroatów i najemnéj jazdy polskiéj pod Lubomirskim, składającéj się z 2 regimentów rajtarów, 1 regimentu dragonów i 400 pancernych, razem około 3,000 . . . . 12,900 koni

A wszystkiego 21,000 i 70 dział.

Sasów:

Piechoty 7,000
Jazdy 2,000
Razem 9,000 i 16 dział.

Bawarów:

Piechoty 7,500
Jazdy 3.000
Razem 10,500 i 12 dział.

Frankonów i Szwabów:

Piechoty 7,000
Jazdy 2,500
Razem 9.500 i 12 dział.

Zebrawszy poszczególne liczby kontyngensów armii chrześciańskiéj otrzymamy:

Piechoty 41,906
Jazdy 36.653
Suma. . . 76,559
i 138 dział.

Widzimy stąd, że wojsko polskie stanowiło więcéj aniżeli ⅓ część wojska chrześciańskiego. Liczba zaś jazdy znacznie przenosiła trzecią część jazdy chrześciańskiéj, t. j. broni najpotrzebniejszéj w wojnie z Turkami.

Armia turecka Kara Mustafy, podług popisu 7 września liczyła 168,100 głów. Potrąciwszy jednak z téj liczby 15,000 Tökelego, 15,000 Turków, pozostawionych pomiędzy Wiedniem a Budą, dla zabezpieczenia tyłu, otrzymamy 138,000, z których 31,000 podczas bitwy pozostawało w przykopach pod murami Wiednia. Takim sposobem miał Kara Mustafa do boju z Sobieskim 107,000 ludzi. Był więc wódz turecki o ⅓ część liczniejszy liczbą od armii chrześciańskiéj.

Miejscowość, na któréj rozłożone było przed bitwą wojsko chrześciańskie, przedstawiała grzbiet pasma gór, wznoszącego się pomiędzy Weidlingbachem, dopływem Dunaju a równiną, na któréj Wiedeń stoi. Pasmo to ciągnęło się z południo-zachodu na północo-wschód i dźwigało na sobie kilka wystających mniéj lub więcéj po nad nim szczytów, jak zaczynając od południo-zachodu Rosskopf, Dreimarkstein, Hermanskogl, Vogelsang, Kahlenberg i nareszcie przyległy do Dunaju Leopoldsberg. Najwyższym z tych szczytów i najmniéj dostępnym to Hermanskogl, wznoszący się na 289 metrów, nad powierzchnią morza. Właściwy Kahlenberg jest o 42 metry niższy od niego. Stoki górskiego łańcucha, spadające ku Weidlingbachowi są dwa razy stromsze, aniżeli ku Wiedniowi obrócone. Pomimo jednak słabszéj pochyłości były one niezmiernie zorane mnóstwem wąwozów i jarów, wyżłobionych przez spadające z gór potoki, oraz wodę deszczową i śniegową. Niektóre z tych zagłębień, służąc za łożyska potokom górskim, jak Dornbach z dopływami, tudzież: Schreiberbach, Grimingbach i Krottenbach, przechodząc w kierunku ukośnym i nawet prostopadłym do spadku, tworzyły na stokach jakby osobne góry, znane pod nazwiskiem: Heubergu, Golizinbergu, Michelsbergu, Schafbergu i Nusbergu.

Grzbiet gór pokryty był gęstym lasem. Tam zaś, gdzie las się kończył, zaczynały się winnice, opasane albo parkanem, albo murem, albo nareszcie wałem i rowem. Rzecz oczywista, że teren tego rodzaju, przerznięty, chrapowaty i przeszkodny, musiał niezmiernie utrudniać ruchy wojska, a szczególnie jazdy, mając zaś na swéj powierzchni mnóstwo osłon, przedstawiał wielkie korzyści dla obrony, która mogła następującego nieprzyjaciela zatrzymywać na każdym kroku.

To téż Sobieski zapoznawszy się bliżéj z miejscowością wschodnich stoków gór, zajętych przez Turków, przyszedł do wniosku, że będzie musiał dwa lub trzy dni poświęcić na spędzenie z nich nieprzyjaciela, jeśli się będzie silnie bronił, w dolinę i dopiéro stoczyć z nim walną bitwę. Pisał téż w liście z Kahlenberga do żony, że będzie zmuszony „cały szyk i manierę wojny odmienić i zacząć z niemi (Tur-

kami) *à la manière* owych wielkich Maurycych, Spinolów i innych, którzy szli *à la sccura gagnant peu à peu le terrain*".

Od Dornbachu (wsi) i Gersthofu pochyłość staje się już bardzo słabą i oddziela się wązkiem błoniem, od niewielkiego wzniesienia, na którém stał jeden z obozów tureckich. Cała ta dolna miejscowość niestawiała już żadnych przeszkód ruchom i działaniom jazdy.

Na opisanym powyżéj grzbiecie pasma gór, rozłożyło się wojsko chrześciańskie w następujący sposób: Prawe skrzydło, pomiędzy górami Rosskopf i Hermanskogl zajęli Polacy, w przepisanym przez króla porządku, mianowicie: na prawém skrzydle, opierając się o górę Rosskopf, stanął hetman w. koronny Jabłonowski, z poddanemi pod jego komendę chorągwiami usarskiemi i pancernemi, któremi dowodził Michał Rzewuski; obok niego w lewo—środek, nad którym komendę król zostawił przy sobie, dowództwo zaś bezpośrednie polecił Prusinowskiemu [1]); dalej w lewo, lewe skrzydło hetmana polnego Sieniawskiego, którém dowodził Żaboklicki; posiłki za skrzydłami składały chorągwie, za lewém skrzydłem—Potockich, a za prawém—Leszczyńskiego [2]); na tym ostatnim, leżał obowiązek osłony tego skrzydła od Tatarów, ukazujących się w dolinie Mauerbachu, lubo na górach było ono dostatecznie zabezpieczone przez samą miejscowość, stromo spadającą ku Mauerbachowi, a więc dla jazdy nieprzyjacielskiéj mało dostępną; straż przednia pod komendą strażnika wojskowego Zbrożka, która poprzedzała wojsko podczas marszu [3]), musiała zająć miejsce na lewém skrzydle, w lewo od Sieniawskiego, gdyż dla ustanowienia styczności z wojskiem niemieckiém, które już zajęło stanowisko daléj wlewo, rozwijanie musiało się dziać od lewego skrzydła.

Podczas obozowania rozkładała się zwykle straż przednia, przed głównem wojskiem osobnym obozem, bliżéj lub daléj, zależnie od wielkości wojska i odległości od nieprzyjaciela. Ale na górach nie było do tego odpowiedniego miejsca, gdyż od grzbietu ku Wiedniowi,

---

[1]) Kochowski, p. 31: „Regia phalanx medium aciei corpus occupavit, regium vexillum ducebat Prusinowski... Regie phalangi adherebat Sieniavii campiducis legio, ducenti Nicolao Zaboklicki... Eodem cornu supremus regni dux Jablonovius legionem suam locaverat, cui praeerat Michael Rzewuski praefectus Chelmensis, incessitque diductu versus oppositos montes acies, quos vago discursu pervolantes Scythae occupaverunt.

[2]) Claudebant agminis latus Leszczyński vexillifer regni, ac Potociorum alae.

[3]) Antegressis levioris armaturae turmis, que excubiarum vacant. P. Chrzanowski przez dziwne roztargnienie nie wspomniał, ani o środku czyli korpusie wojska, ani o posiłkach, ani o straży przedniej, pomimo tak wyraźnego świadectwa o tych działach szyku.

stoki były zbyt pochyłe i niedogodne dla biwuaku jazdy. Było téż zapóźno, miejscowość nieznana i nieprzyjaciel zbyt blisko. Przypuszczam więc, że straż przednia rozłożyła się w linii z resztą wojska, na grzbiecie, od podnóży Hermanskoglu wprawo. Dla téjże przyczyny, z powodu bardzo stromych spadków ku Weidlingbachowi i posiłki Leszczyńskiego i Potockich musiały stanąć na jednéj linii z resztą jazdy, mianowicie: posiłek Leszczyńskiego wprawo od Jabłonowskiego, a posiłek Potockich, pomiędzy strażą przednią i Sieniawskim.

Cała jazda polska nie mogła się wśród lasu, inaczéj rozłożyć jak grupami, chorągiew około chorągwi, wzdłuż grzbietu, mającego około 100 kroków szerokości, w tym porządku, w jakim powinny były stanąć w szyku bojowym. Potwierdzają to i słowa Sobieskiego, w liście do żony z Kahlenbergu: „Wojsko nasze (polskie) stoi wszerz z wielkie pół mili (tyle téż mniéj więcéj było od Rosskopfa do Hermanskoglu) po górach, że miejsca ledwie jest przedrapać się od skrzydła do skrzydła [1]).

Piechota miała iść przodem i torować drogę dla wojska [2]). Nie było jednak na to czasu, gdyż trzeba było spieszyć z odsieczą srodze uciśnionemu Wiedniowi. Skończyło się więc na tém, że jazda wyprzedziła piechotę. Z téj ostatniéj, brygady lewoskrzydłowe porzuciwszy działa, które podług rozkazu króla powinny były ciągnąć z sobą, poszły za jazdą [3]) i nocowały z tyłu za nią [4]). Brygady zaś prawoskrzydłowe, zostawszy przy działach i doznając wielkich trudności w marszu z niemi, przez strome góry, nie mogły zdążyć na nocleg do wspólnego obozu i nocowały w dolinie Weidlingbachu, około spalonéj wioski tegoż nazwiska [5]).

---

[1]) P. Chrzanowski rozłożył wojsko polskie w trzech wielkich obozach na wierzchołkach gór Rosbachu, Dreimarksteinu i Hermanskoglu; ale jest rzeczą bardzo wątpliwą, ażeby jazda w ten sposób lokować się mogła, gdyż czuby gór są miejscami najniedogodniejszemi dla biwuaku, szczególnie kawaleryi.

[2]) List Sobieskiego do żony z d. 9 septembris: „Tak przeto stanęło między nami (zapewne na radzie wojennéj), że piechoty wszystkie naprzód *grimperont* na te góry i dla kawaleryi przeprawy robić będą".

[3]) Diarium Artil: „Lewe skrzydło infanteryi, nie czekając armaty i prawego skrzydła poszło za konnemi.

[4]) Ib. „W tenże tedy dzień (1 września) Król J. Mość wojsko konne i lewe skrzydło infanteryi stanęli na noc na górze".

[5]) Ib. „Prawe skrzydło infanteryi, mordując się cały dzień, ciągnąc armatę, przez góry, błota i nieprzebyte miejsca, ledwie samym już mrokiem stanęło pod Kalenbergiem (autor Kalenbergiem nazywa całe pasmo gór, do których i właściwy Kahlenberg należał) górą, na którą z armatą wnijść w nocy ciemnéj nie było podobieństwa, bo już z wieczora miesiąc nie świecił, a góra i lasy, które ją okryły,

Dragoni polscy, którzy z rozkazu króla mieli osłaniać podczas marszu prawe skrzydło wojska, zasiekłszy się na górach, towarzyszących drodze idącéj po dolinie Weidlingbachu [1]), maszerując po tym grzbiecie gór, zajęli na noc stanowisko około Roskopfu, zkąd mogli, za pomocą straży i posterunków ochraniać wojsko obozujące z prawéj strony.

Artyleryi jedna część, pod dowództwem oberstera Finka i majora Rutkowskiego, znajdowała się, jak już wiemy, przy prawoskrzydłowych brygadach piechoty; druga zaś pod kierownictwem samego Kąckiego, maszerując z jedną z kolumn niemieckich na Kirling, nocowała z Niemcami i dnia następnego współdziałała im podczas bitwy [2]).

Do piechoty polskiéj zostały, na żądanie króla, przykomenderowane 4 niemieckie regimenta piesze, przeznaczone dla zabezpieczenia prawego skrzydła polskiego [3]). W zamian zaś tego dodał Sobieski kilka chorągwi usarskich lewemu skrzydłu niemieckiemu [4]).

Wlewo od Polaków, pomiędzy Hermanskoglem a Dunajem, rozłożyło się wojsko niemieckie, mając na prawém skrzydle jazdę austyacką (8 regimentów rajtarów, 2 dragonów i 1 kroatów), oraz całą jazdę bawarską, szwabską i frankońską. Cała ta jazda miała za komendanta ks. Lawenburskiego. Daléj wlewo, piechota bawarska, szwabska i frankońska, pod komendą ks. Waldeck. Jeszcze daléj wlewo na Kahlenbergu piechota i jazda saska, pod zwierzchnią władzą kurfirsta saskiego Jana Jerzego III i pod bezpośrednią komendą generała Golca i na północno-wschodnim krańcu łańcucha gór, ku Leopoldsbergowi, piechota austryacka, którą komenderował Her-

---

pełne były wojsk różnych i wysokość nad insze wszystkie, przyszedł ordynans króla JMci, żeby zostać pod górą. Jeszcze *accessit* do nieszczęścia, żeśmy zabłądzili z armatą, w ciasne bardzo miasteczko spalone (zapewnie Weidlingbach), które było pod samą górą, tak, że tyłem, przez całą noc kłócąc, trzeba ciągnąć armatę i wozy z prochami, między piwnicami pełnemi win, z których wyganiać spracowanych żołdaków trudność była nie mała".

[1]) Ib. „Pod górą z téj strony wprawo nam jakośmy szli pas był prosty do Wiednia, doliną między górami dosyć przestronny, na którym król JMość zostawił wszystkie dragonie, kazawszy się im zasiec i jako módz zatrudnić przejście, żeby Turcy i Tatarowie, którzy od tamtéj strony stali, w tył nie uderzyli" (autor wyraża się niejasno, gdzie się mieli zasiec dragoni, ale najodpowiedniejsze do tego stanowisko było na sąsiednich górach).

[2]) Ib. „Z dział naszych, które na pierwszéj górze zostały pod Kalenbergiem bito ustawicznie".

[3]) List Sobieskiego z Kahlenbergu: „Przydali mi do wojska mego polskiego, na skrzydło prawe cztery wielkich regimentów piechoty".

[4]) List Sobieskiego z 13 septemb.: „do p. marszałka nadwornego przydałem był kilka usarskich chorągwi".

man ks. Badeński. Reszta jazdy austryackiéj, społem z korpusem Lubomirskiego, znajdowała się tuż obok na dole, na drodze, prowadzącéj po nad Dunajem przez Klosterneuburg do Wiednia, pod komendą hrabiego Kaprary.

Rozkładowi temu wojska chrześciańskiego na obozowisku, odpowiadał i szyk bojowy na górze, o ile w niém porządek, przy miejscowości tak nierównéj, wśród lasu mógł być zachowany.

Turcy wyciągnęli się przed swemi obozami od Dunaju do Ottakringu, skupiając głównie swe masy przeciwko prawemu skrzydłu wojska chrześciańskiego.

Szyk ten, mojém zdaniem, najlepiéj jest nakreślony na planie №3, załączonym do „*Kriegsjahr*'u“, gdzie jest przedstawiony w kształcie złożonego z oddzielnych kup pasma, cieńszego na prawém i głębszego na lewém skrzydle. Na planie p. Chrzanowskiego wygląda szyk Turków tak, jak gdyby byli uformowani w szeregi, których wcale nie używali. Z planu szyku wojska tureckiego pod Jawarynem (Raabem), po ustąpieniu z pod Wiednia, znajdującego się w dziele: „*L'etat militaire de l'empire Ottomane par M. le comte de Mursiglii*“, który jako oficer austyacki dostał się do niewoli tureckiéj i odbył z Turkami wyprawę pod Wiedeń, okazuje się, że stawali oni do boju w liniach jedna za drugą, złożonych z oddzielnych kup, ze znacznemi odstępami, tak między kupami, jak równie i między liniami i nie w szachownicę, lecz kupa za kupą, zapewnie dla tego, ażeby ułatwić ujście kupom po ataku wtył, gdzie się mogły reformować. Oddzielne kupy były zdaje się sandżakami, z powiewających zaś nad niemi dwóch znaczków, jeden mógł należéć do sandżaku, a drugi—do dowodzącego nim sandżakbega. Do ataku kupy rozsypywały się wachlarzem.

Co do planu bitwy, to lubo wiemy, że rady wojenne odbywały się wielokrotnie, o tém jednak, jakie na nich powzięto postanowienia względem wydania bitwy, żadnéj bliższéj wiadomości nie mamy. Posiadamy jednak pewne wskazówki w rozporządzeniach i działaniach wodzów, z których możemy wyprowadzać pewne wnioski o powziętych względem stoczenia bitwy zamiarach.

Zdaje się, że plan ks. Lotaryńskiego, dla którego, podług słów „*Kriegsjahr*'u“ potrafił uzyskać zgodę króla i obu kurfirstów z ich generałami [1]), zależał, na otwarciu najbliższą drogą po nad Dunajem komunikacyi z Wiedniem i wprowadzeniu doń posiłków. Widoczne to

---

[1]) Kriegsjahr. p. 323: „Nach dem Eintreffen des Entsatzheeres verstand es Lothringen den König von Polen, die beiden Kurfürsten, und ihre Generale für seine Anschauungen zu gewinnen“.

jest z opowiadania w „*Kriegsjahr*'ze“, o tém, jak ks. Lotaryński, z jednéj z gór, leżących na drodze, jeszcze 11 września wskazywał Sobieskiemu na Kahlenberg [1]), przez który właśnie prowadziła najbliższa i najdostępniejsza droga do Wiednia, i tém zniewolił króla pierwéj, nim ten się mógł zoryentować w sytuacyi, do posłania tam części swéj przybocznéj straży, którą ks. Lotaryński wzmocnił w nocy na 12 września naprzód saskiemi batalionami piechoty, a potém oddziałem Heislera. Na też zamiary wskazuje, wyprawienie przeważnéj części artyleryi polskiéj, prawdopodobnie z polowych 6 i 12 funt. dział złożonéj, z generałem artyleryi Kąckim ku Kahlenbergowi.

Nie był to jednak pomysł tak mądry, za jaki go wydają autorowie „*Kriegsjahr*'u“. Wprowadzenie posiłków do Wiednia wzmocniłoby nieco załogę, ale zarazem powiększyłoby liczbę żołądków, których żywienie przy oblężeniu, od dwóch miesięcy trwającém, byłoby rzeczą niełatwą. Można więc było tym sposobem przedłużyć utrzymanie miasta na czas bardzo niedługi, a i to kosztem wielkiego ryzyka, wystawiając się na niebezpieczeństwo być wepchniętym podczas marszu nad Dunajem do téj rzeki.

Kara Mustafa odgadł ten zamiar chrześcian i posłał ku Kahlenbergowi znaczne siły janczarów. Dla Turków było oczywiście bardzo niedogodne wszelkie wzmocnienie załogi, któreby jéj opór powiększyć i poddanie się Wiednia na dłuższy czas odwlec mogło. Zdaje się, że jednocześnie zajęli Turcy spady gór po obu stronach Dornbachu, gdzie miejscowość bardzo się nadawała do obrony. Środek zaś, czyli całą przestrzeń pomiędzy Nussbergiem i Schafbergiem, pozostawili niezajętą przez piechotę, prawdopodobnie dlatego, że mieli jéj za mało i że ta miejscowość nie przedstawiała tam takich korzyści dla obrony, jak przeciwko skrzydłom armii chrześciańskiéj.

Ale gdy ks. Lotaryński pozostawał i w ciągu 12 września, jak to ze sposobu jego działania jest widoczne, przy swoim planie, to Sobieski radykalnie zmienił decyzyą.

Wojsko polskie z królem na czele przybyło 11 września na nocleg już przed wieczorem [2]) i Sobieski nie miał możności tegoż dnia zoryentować się w położeniu rzeczy. Skąd jeszcze przededniem 12 września, gdyż o téj porze pisał list z Kahlenberga do żony [3]), znajdował się pod wpływem planu spłodzonego przez ks. Lotaryńskiego.

---

[1]) Tamże, p. 245.

[2]) List Sobieskiego 12 Septemb.: „oznajmuję, żeśmy już tu za łaską Bożą stanęli nad obozem tureckim wczoraj przed wieczorem.“

[3]) List z Kahlenbergu datowany 12 Septembris o trzeciéj przededniem.

Widoczne to jest z następnych słów wspomnianego listu: „Turcy zaś nic dotąd nie uczynili. Tylko na skrzydło lewe tam, gdzie ks. Lotaryński z saskim stoją pod murami klasztoru de la Cameldolie (i te mury nasi opanowali), wyprawił kilkadziesiąt chorągwi z kilka tysięcy janczarów, broniąc niby pasu tamtędy nad Dunajem. Jadę tam zaraz i dlatego kończyć muszę (list), jeżeli tamtéj nocy nie zrobili jakiego *retranchement*; coby było bardzo na nas niedobrze, bo ja ich stamtąd atakować myślę.“ Przejechawszy jednak z prawego skrzydła na lewe i rozejrzawszy się w sytuacyi obu stron, stojących przeciwko sobie, zmienił natychmiast rezolucyę i wróciwszy do swoich, poprowadził atak na lewe skrzydło Turków. Widział bowiem, że w tém skrzydle, na którém skupiły się główne ich masy, leżał środek ciężkości całéj akcyi i że ze złamaniem tego skrzydła armia turecka ustąpić będzie musiała. W przeciwnym zaś razie, wojsko chrześciańskie mogło być odcięte od Tulna, dokąd Turcy mieli po dolinie Mauerbachu prostszą i lepszą drogę, aniżeli chrześcianie po górach i wąwozach. Niepodobna téż było ograniczyć się obserwacyą i trzymaniem Turków w szachu, pókiby ks. Lotaryński zabawiał się na lewém skrzydle, prowadzeniem posiłków ponad Dunajem, gdyż czas był drogi, żołnierze bowiem nie mogli wziąć z sobą więcéj, jak na kilka dni żywności z Tulna. Nie pozostawało więc w tém położeniu, w jakiém się znajdowała armia chrześciańska, nic innego, jak uderzyć na ich lewe skrzydło, złamać je i zwyciężyć, albo umrzéć.

Co do Turków, to z szyku ich można wyciągnąć ten tylko wniosek, że oceniali oni należycie znaczenie strategiczne swego lewego skrzydła i nieprzyjaciela, którego mieli przed niém. Łatwo bowiem mogli się dowiedziéć, że w tym kierunku maszerują Polacy [1]). Słusznie jednak posądza król Kara Mustafę o lekkomyślność za to, że nie przedsięwziął żadnych robót fortyfikacyjnych [2]). Gdyby bowiem umocnił szańcami obóz, stojący pomiędzy Währingen i Weinhausen, t. j. za ich lewém skrzydłem i osadziwszy go silnie janczarami i artyleryą, zajął stanowisko flankowe na przedłużeniu doliny Mauerbachu, czołem ku Dunajowi, to utrudniłby niezmiernie atak Polakom.

Z noclegu, który przepędził przy swéj piechocie [3]), udał się So-

---

[1]) List Sobieskiego 12 Septembris: „Ze wszystkich stron i z tyłu Tatarowie naglądać poczęli.

[2]) ib., „Mówiąc jednak *humainement*, a pokładając wszystkie nadzieje w Bogu naszym, miałby też nieprzyjaciel wielką odnieść konfuzyą, który się ani okopał, bo mu się też okopać niepodobna. (Dlaczego? — to brzmi trochę dziwnie), ani ścisnął *son camp* w kupę, ale tak stoi, jakobyśmy na sto mil od niego byli.“

[3]) ib., „Ja tu na samém nocowałem skrzydle prawém przy piechotach.“

bieski 12 września rano na lewe skrzydło armii chrześciańskiéj i gdy tam przybył, zastał już bój w całéj sile [1]). Ks. Lotaryński kazał jeszcze z wieczora 11-go września zbudować na bliższych spadach Kahlenbergu bateryą, ażeby sobie posuwanie się naprzód nazajutrz ułatwić. Turcy, postrzegłszy tę robotę 12-go zrana, rozpoczęli ogień przeciwko pracującym około bateryi i stąd wywiązała się bitwa na lewém skrzydle.

Cały przebieg téj bitwy „*Kriegsjahr*“ opisuje tak obszernie, szczegółowo i dokładnie, że zdaje ci się, jakbyś czytał opis jakiegoś ułożonego podług planu manewru, po kilku odbytych poprzednio repetycyach, gdzie oficerowie do tego przeznaczeni zapisywali każdy krok i każdy czyn stron, prowadzących sztuczną walkę, a potém sprowadziwszy w jedno swe notatki, podali dokładną o nim relacyę. Ta właśnie dokładność opisu obudza podejrzenie, a że brakuje cytat źródłowych i niewiadomo skąd to autorowie wzięli, cały ten dokładny i szczegółowy opis wydaje się być wątpliwym co do swéj prawdziwości. P. Chrzanowski powtarza go prawie dosłownie, nie podając także podstaw, na których opiéra swe opowiadanie.

Ciekawych tych pięknych i barwnych opisów odsyłam do dzieł odnośnych: „*Kriegsjahr*“, p. 251 i „Bibl. Warsz.“, p. 348. Ze swéj strony przytoczę tu tylko to, co wyczytałem u ks. Hermana Badeńskiego w jego „*Memoires Badois*“ i co mi się zdaje być najprawdopodobniejszém.

Podług tych pamiętników [2]), Turcy, osadziwszy w jakiéjś win-

---

[1]) Diarium principis: „Die Dominica mane, ivimus ad monasterium Camelduliensium in monte Calemberg situm... Cum tandem per avia ducti illuc provenissemus, ubi consilium fieri debebat et ecce nostros comperimus, aliquod jam cum Turcis certamen inchoasse ancipiti marte.

[2]) Memoires Badois: „On detacha plusieurs bataillons pour aller prendre poste au bus de la montagne et on fit avancer le canon, pour le planter avantageusement, afin de s'en servire le landemain. Le jour vient et les ennemis ne continuaient pas seulement à battre de leurs ouvrages la ville assiegée plus fortement que jamais; mais s'étant de plus rénforcés par devers nous et portés avec environ 1,200 janissaires derrière des planches, qui environnaient un vignoble au pied de la montagne, ils recommencèrent les premiers à tirer sur les notres, qui leurs respondirent d'abord diligemment à coup de canon et de mousquet. Le roi de Pologne, qui etait campé sur la droite, vint en ce temps dans notre camp, pour y observer et considerer le camp des ennemis... Cependent le combat des Turcs au pied de la montagne contre nos bataillons y postés sous le comendement du duc de Croy s'echauffa d'une telle manière, que le prince Louis de Baden, qui etait à la tete des dragons postés au penchent, voyant les ennemis renforcés à tout moment s'avanca pour soutenir le duc de Croy... Le princ Herman de Baden, qui etait avec le roi de Pologne et autres generaux en haut, voyant son neveu engagé dans

nicy otoczonéj parkanem, leżącéj na Nusbergu, 1,200 janczarów, i wziąwszy ją za punkt oparcia, poprowadzili jako śmielsi atak na Austryaków. Zawrzała walka, w któréj dowodzący Austryakami, ks. Croy, został ranny. Wreszcie Austryacy wzmocnieni przez dragonów ks. Ludwika Badeńskiego zaczęli odpiérać Turków. Ale położenie Austryaków stało się trudném, gdy Turcy otrzymali posiłki i zaczęli otaczać wojsko austryackie.

Widząc to, ks. Herman Badeński poprowadził do ataku resztę piechoty austryackiéj i wspólnie z Sasami, oraz przy pomocy Lesliego i Merc'ego, któremu stojącemu w odwodzie kazał Sobieski wesprzéć swoich [1]), rozwalili parkan i nietylko że wyparli janczarów z winnicy, ale i zupełnie spędzili Turków z Nusberga.

Potém musiała nastąpić pauza, gdyż piechota austryacka, saska oraz część dragonów, którzy przyjmowali udział w tém starciu, musieli się pomieszać. Pierwéj więc, nim dalsze działania rozpocząć, trzeba było przywrócić porządek w wojsku.

Rzeczą jest jasną, że utarczka ta, sprowadzona wskutek rozporządzeń ks. Lotaryńskiego i leżąca w jego planach, była zupełnie niepotrzebną i zbyteczną. Im daléj bowiem wysunęliby się Turcy w tym kierunku, tém większą gotowali sobie zgubę w razie przegranéj na swém lewém skrzydle. Ale ks. Lotaryński widocznie tego nie rozumiał. A gdy wódz mierny, jemu podobny, zabije sobie ćwieka w głowę, to już go wyjąć nie łatwo.

Król polski po skończonéj walce udał się na górę na nabożeństwo, ażeby podziękować Bogu za ten pierwszy sukces i uprosić o dalsze tego dnia zwycięstwo [2]). Potém posiliwszy się nieco, zszedł piechotą ze stroméj góry i siadłszy na koń pojechał do swego wojska [3]).

---

un combat dangereux par la force des ennemis qui courraient tous en cet endroit et dont quelques detachements se coulant le long des buissons avaient desseiu de l'enveloper, descendit à la tete du reste de l'infanterie, qu'il fit suivre en hate et y ayant trouvé le conte Leslie genéral de l'infanterie, on vit redoubler ce combat d'une grande furie en sorte que non obstant le feu des ennemis, qui etait assurement plus redoutable en cet endroit, apres avoir l'epée à la main fait enfoncer les planches, qui leurs servaient de retrenchements ou les obliga à reculer."

[1]) Diarium principis: „Cum nobis itaque faverat fortuna, visum est S-mo Regi, mittere D. Mercy, qui illis subsidio esset."

[2]) ib., „Rex victoria non esse hominibus ad scribendas, sed Deo exercitum, ideo ab ejus manu sibi largitum voluit victoriam, ad sacellum se contulit, Deum exoraturus, pro fausto rerum novandarum sucessu."

[3]) ib., „Sumpto prandio cum pulvere mixto, quem ventus per vim in fercula inferebat, pedes hanc arduam descendit montem, et cum ad ejus radicem, alias vere

Polacy nie mogli dość wcześnie rozpocząć bitwy, z powodu opóźnienia się prawoskrzydłowych brygad piechoty i artyleryi, która, jak już wiemy, nocowała na dolinie Weidlingbachu. Wwindowanie dział na wysoką i stromą górę zabrało większą dnia połowę, tak dalece, że ledwo około pierwszéj z południa brakująca piechota i artylerya stanęły na grzbiecie góry [1]). Nim potém prawoskrzydłowe brygady zajęły swoje miejsce przed prawem skrzydłem jazdy Jabłonowskiego, a artylerya pozycyę naprzeciw nieprzyjaciela [2]), czas mógł się przewlec do godziny drugiéj.

Gdy nareszcie odezwała się trąba wzywająca do boju, wojsko polskie ruszyło naprzód.

Stojące na lewém skrzydle polskiém i sięgające do podnóży Hermanskogla pułki straży przedniéj, nie spotykając nieprzyjaciela i mając przed sobą miejscowość łatwiejszą do przebycia, prędko się ukazały na otwartéj pochyłości gór. Oczekujący niecierpliwie na Polaków Niemcy, postrzegłszy chorągiewki polskie, wydali okrzyk radosny, który zagrzmiał jednozgodnie po wszystkich ich szeregach. Jednocześnie znaczna część jazdy tureckiéj, skupionéj przeciw lewemu skrzydłu chrześcian, rzuciła się na pomoc swemu lewemu skrzydłu. Musiały to być wyborowe chorągwie, może spahów cesarskich, gdyż chodziło tu nie o liczbę, która na lewém skrzydle Turków była aż nazbyt wystarczającą, ale chyba o jakość.

Rzeczą jest bardzo prawdopodobną, że czołowy pułk straży przedniéj stanął na dole w téj właśnie chwili, gdy jazda turecka, przebiegając z prawego skrzydła na lewe, znajdowała się gdzieś na przeciwko dystansu pomiędzy Pötzleindorfem i Siweringiem, i przedstawiała dla naszéj jazdy ponętną gratkę do ataku. Nie namyślając się tedy długo, skoczyli do tych Turków, bokiem do nich obróconych, i w mgnieniu oka złamali, ale ścigając wpadli na posiłki tureckie, wysłane od mas stojących przed obozem, które zmusiły Polaków do odwrotu. Ale i Turcy, pędząc za Polakami, natrafili na świeży pułk

---

apicem, sed minoris descendisset equum ascendit, ad suosque ordinandos se contulit."

[1]) Diar. artil.: „Die 12 Septembris w niedzielę przed świtaniem ruszyliśmy się z armatą i skrzydłem tém infanteryi na górę w Imię Pańskie... tak przykra góra była i tak ludźmi wszędzie napełniona, żeśmy się ledwie na wierzch wybili, około pierwszéj z południa."

[2]) ib., „Jak prędko się na górę skupiły regimenta, zaraz król JMość kazał się nam pomknąć na bliską górę dla wzięcia miejsca, bo już ta góra nad samym szykiem tureckim była."

straży przedniéj, stojący już w gotowości pod górą i musieli z kolei umykać. Gra ta powtórzyła się trzy razy.

Ks. Herman Badeński opisuje w „*Memoire Badois*“ [1]) to pierwsze starcie jazdy naszéj z Turkami w sposób bardzo do prawdy podobny, z tym jednak wyjątkiem, że miało ono nastąpić z rozkazu króla, czego być nie mogło, gdyż zbieg okoliczności, który sprowadził to pierwsze uderzenie Polaków wcale przewidzianym nie był i atak mógł nastąpić tylko wskutek chwilowego natchnienia najbliższego dowódcy. Może téż to służyć za dowód, że i podrzędni wodzowie jazdy polskiéj posiadali wielki dar i wielką moc inicyatywy, t. j. przymiotu najcenniejszego w przywódcach jazdy. Nie mógł także widziéć książę z Kahlenbergu dokładnie, czy ucierająca się z nieprzyjacielem jazda polska była usarzami, czy téż należała do lekkich chorągwi, tém

---

[1]) Memoire Badois: „Chacun ayant le visage tourné de ce coté (de coté de Polonais) et voyant tout à coup paraitre les petits entandarts, que la cavalerie polonaise porte attachés à leurs lances, on entendit un cri si formidable de nos troupes, que les Turcs postés, à notre face meme parurent en etre émus... ennemis s'étant aperçu de la marche de Polonais, faisaient marcher une partie des troupes opposées à notre gauche contre eux. Au devant dequel le Roy envoya à la faillie de son canon une partie de ses hussaires, qui courant avec les lances baissées sur eux à bride abbatue les repousserent du premiere abord, mais ayant été renforcés par les troups, qui sortaient du camp, les Polonais tournèrent face et s'enfuiaient à plain course vers les leurs poursuivis des ennemis le sabre à la main avec des bruits et hurlements epouventables. Les Polonais ayant joint le renfort que le Roy leur envoyait s'arreterent et poursuivirent les Turcs, qui derechef se sauverent devant eux avec precipitation, si bien que ce manége ayant continué jusqu'à la troisième fois au grand contentement des spectateurs, les Polonais outrés de tant d'amusements forcéaint à la fin les ennemis à leur ceder cet montagne, sur lequelle le roi pris poste tout aussitot, y faisaient monter son canon et son infanterie.“

To pierwsze starcie jazdy polskiéj z Turkami, o którém tak dobitnie świadczy przytoczony wyżéj ustęp z „Memoire Badois“, *Kriegsjahr* równie jak p. Chrzanowski pomijają milczeniem. Ale jeżeli *Kriegsjahr*, jak to już poraz drugi widzimy, nie uwzględnia własnych źródeł, to zapoznanie się ze źródłami pierwotnemi polskiemi uważa za zupełnie zbyteczne. Wiadomości zaś swe o działaniach wojska polskiego w bitwie pod Wiedniem czerpie z rozprawy p. Dolleczek pod tytułem: „Die Entsatzschlacht vor Vien von Anton Dolleczek“, umieszczonéj w „Organ der Militärwissenschaftlichen Verein“, B. XXVII, na téj zasadzie, że jego zdaniem jestto: „Eine auf genaues Studium der Quellen namentlich polnischer Provenienz gegründete Darstellung.“

P. Chrzanowski opuścił ten szczegół dla innéj przyczyny. Był to kamień dla jego mozajki, jak nazywa swą pracę, za ciężki. Obracał go tedy na wszystkie strony i nic znalazłszy odpowiedniego miejsca odrzucił. Ażeby ułożyć porządną mozajkę, nie dość jest rozróżniać kolory, ale trzeba znać zasady rysunku i historyę malarstwa, inaczéj szkoda zachodu.

więcéj, że zamało znał jednych i drugich; jak równie i tego, co się działo u gór podnóża i czy zajął zaraz król jaką górę, którą zdobyła jazda polska, przez piechotę i artyleryą. Właśnie w téj chwili, kiedy to się działo na dole, piechota i artylerya polska rozpoczynały bój na górze i zeszły na dół daleko późniéj, a jeszcze późniéj za nimi usarze, tymczasem gdy opisane wyżéj starcie nastąpiło zaraz za pierwszém ukazaniem się na górze chorągiewek polskich.

Turcy zajmowali prawdopodobnie stanowisko obronne po obu stronach Dornbachu, na górach Heubergu i Michaelsbergu. Z téj pierwszéj pozycyi łatwo ich wyrugowali Polacy i utwierdziwszy się na niéj, ostrzeliwali z dział nieprzyjaciela ustępującego w dolinę [1]). Trzymali się jednak uparcie w téjże dolinie, w wiosce spalonéj i kościołku (zapewne w Pötzleinsdorfie), gdzie, walcząc z niemi regiment niemiecki Schultza stracił niemało oficerów i ludzi. Była już godzina trzecia. Król przytomny téj walce posłał do polskich regimentów pieszych, aby szły wprost na Turków; i zaraz dwie brygady piesze poszły w lewo, wyparły Turków ze wsi i z doliny i jednym zawodem wdrapały się za niemi na górę, t. j. zepewnie na Schafberg. Tamże przeniosła się zaraz reszta piechoty, a z nią artylerya [2]).

---

[1]) Diar. artil.: „Opanowaliśmy tę pierwszą górę z niewielką pracą i lokowaliśmy się na niéj. Był tedy między nami i Turkami rów, albo dolina bardzo głęboka, w którą spuszczali się Turcy i Tatarowie z prawego skrzydła, my zaś na nich z działek strzelaliśmy.“

[2]) ib., „*In circa* około trzeciéj, zaczęła się mocna igraszka na lewém skrzydle, gdzie i sam był król JMość.“

„Tam się strzelali janczarowie z generała Szulca regimentem, opanowawszy dolinę, w któréj wioska spalona i kościołek. Zginęło niemało Niemców i oficerów i żołdaków.“

„Król JMość posłał do naszych regimentów, żebyśmy szli prosto na Turków.“

„Tak tedy Pan Bóg pomógł, że dwie brygady, które poszły w lewo, zaraz ich wypędziły z téj doliny poszły w górę, z któréj Turcy ustąpili, a myśmy na samym wierzchu góry, przy rowie jednym, albo przy murku wzięli pocztę.“

„Poszły inne regimenta nasze z prawego skrzydła, tak że już mielismy tyle placu, że się konne wojsko przez dolinę przeprawiło.“

P. Chrzanowski zapewne posiadał jakieś inne jeszcze źródła, których jednak nie cytuje, gdyż ustęp, oparty na tylko co przytoczonym tekście z „diarium artilleriae praefecti“, brzmi u niego, jak następuje:

„Król Jan, który właśnie naówczas przyjechał od Neustiftu (skąd to wiadomo, że od Neustiftu?), daje rozkaz dwóm brygadom (w tekście powiedziano, że posłał do naszych regimentów), zwrócić się w bok w lewo i wyrzucić janczarów z wąwozów Krottenbachu (Krottenbach od miejsca akcyi około Pötzleinu zadaleko). Ochoczo ruszyły cztery pułki (nie cztery pułki, lecz dwie brygady) i szybko wypierają i t. d.

Jazda posuwała się zwolna za piechotą w miarę, jak ta ostatnia czyniła postępy. Spuszczały się zaś z gór chorągwie jedne za drugiemi marszem skrzydłowym dwójkami lub trójkami, zależnie od tego, czy się formowały we dwa czy we trzy szeregi. Przytém prawe skrzydło szło z prawéj, lewe z lewéj strony Dornbachu, środek zaś samą doliną tego potoku. W tym téż porządku, t. j. w trzech głębokich kolumnach przedstawioną jest spuszczająca się z gór jazda polska, na planie N. 5, załączonym do *Kriegsjahr*'u i sporządzonym przez Jakóba Hoffmana [1]).

Takim sposobem, odbierając Turkom jeden punkt oparcia za drugim i pędząc ich przez góry i doły, doszły piechota i artylerya do gór podnóży, mniéj więcéj na wysokość wsi Dornbachu. Nie obeszło się to bez znacznych strat w ludziach, co jednak „ochoty żołdaków, którzy oślep szli jak do tańca“, nie pohamowało [2]).

Prawe skrzydło posuwało się także naprzód, „coraz pagórki i rowy osadzając piechotą“ [3]).

Była godzina czwarta [4]), gdy piechota polska stanęła u stóp gór niedostępnych dla działań jazdy. Daléj odkrywało się jéj pole dla akcyi, lecz ona odrazu stanąć w szyku nie była w stanie, a idąc marszem skrzydłowym, mogła rozwijać się stopniowo chorągiew za chorągwią. Tymczasem jazda turecka, zająwszy stanowisko już na równinie, w pewném oddaleniu pomiędzy winnicami, osadzonemi przez janczarów, mogła napadać częściowo na te stopniowo, stające w szyku chorągwie i paraliżować rozwijanie całéj jazdy polskiéj. Z tego powodu idące na czele chorągwie rozwinąwszy się zajęły miejsce w prze-

---

Równocześnie trzecia lewoskrzydłowa brygada piechoty polskiéj, a zapewnie idący wraz z nią batalion piechoty frankońskiéj (skąd się wziął ten batalion) idzie naprzód z wyżyny przed Pötzlein do téj wsi i wypędza z niéj piechotę turecką (kto tu wypędza Turków: brygada polska, czy batalion frankoński?), wdziera się do winnic na pagórki (na górę), po wschodnio-południowéj stronie (należy rozumiéć po zachodnio-północnéj) doliny i wraz z innemi dwoma brygadami rozwija się za rowami i t. d.

Po téj swobodzie, jakiéj dozwala sobie p. Chrzanowski, w wyzyskaniu źródeł, można sądzić, co się dzieje tam, gdzie ich brakuje. Tam autor tworzy, czyli układa, jak sam powiada, mozajkę z tych urywków i okruchów. Szkoda tylko, że w mozajce téj więcéj dba o barwność i cieniowanie, aniżeli o prawdziwość kształtów.

[1]) Pan Chrzanowski, rozmieściwszy wojsko na czubach gór, sprowadza je ciągnieniem przez góry i doły na Schafberg (p. 242 i 353), gdzie rzecz wątpliwa, czy w jakim takim porządku pomieścić się mogło.

[2]) Diar. artil.

[3]) ib.

[4]) Dupont.

działach pomiędzy brygadami piechoty [1]), a gdy się ich zebrała dostateczna ilość, kazał król atakować tych bliskich Turków. Atak wypadł pomyślnie, a lubo nie bez strat od janczarów, zajmujących winnice, ale za to jazda uzyskała możność swobodnego rozwijania się przed piechotą. Tymczasem i piechota turecka, upatrując niebezpieczeństwo dla siebie, w tak bliskiém sąsiedztwie z całém wojskiem polskim, opuściła winnice [2]).

Lewe skrzydło ks. Lotaryńskiego stanęło już dawniéj u gór podnóża. Po zepchnięciu Turków z Nusberga, musiało ono przywrócić porządek w szeregach, co zabrało niemało czasu. Potém ks. Lotaryński, uszykowawszy swoje wojsko i postawiwszy przed niém artyleryą, poprowadził do ataku następującéj góry, na któréj stały znaczne masy Turków. Była nią bezwątpienia góra, znajdująca się pomiędzy Heiligenstadtem i Döblingem. Nieprzyjaciel zamierzał, zdało się, z początku stawić czoło. Ale widząc wojsko chrześcian następujące z zapałem ustąpił w dolinę [3]). Wszedłszy na górę, lewe

---

[1]) ib., „Quoi qu'il en soit cette premiere ligne de cavalerie ayant pris ses postes dans les intervalles des bataillons, le combat devient encore plus feurrieux."

[2]) Cały ten ustęp opiéra się na następującym tekście „Diarium artileriae praefecti":

„Kiedyśmy już tak gotowi byli, naszego wojska większa część nie mogła się tak prędko eksplikować."

„Zaczęła się mocna igraszka z lewego skrzydła naszego. Skoczyło kilka chorągwi pancernych i usarskich i daleko popędzili Turków, ale dla rowów i przymurków, znowu od janczarów odpędzeni. Coraz jednak nam posiłków przybywało."

Źródło wyraża się tu krótko i niejasno. Musiałem je tedy dopełnić własnym domysłem, stwarzając sytuacyą, jaka mi się najprawdopodobniejszą zdała.

„*Kriegsjahr*" utrzymuje, że bez współdziałania przydzielonych do wojska polskiego regimentów niemieckich, jazda polska nie byłaby w stanie rozwinąć się w szyk bojowy. „Die heldenmüthige Ausdauer dieser Batalione machte es Sobieski möglich, das Gros seiner Reiterei, deren Spitze eben erst bei Dornbach eingetroffen war, vor dem Defile zum Angriff zu formiren."

Ten „*heldenmüthige Ausdauer*" mógł się zasadzać tylko na strzelaniu i tym ogniem z Galicynberga, gdzie umieszcza „*Kriegsjahr*" regimenty niemieckie, nie sięgającym i 300 kroków, mieli Niemcy protegować, rozwijaniu się jazdy polskiéj w szyk bojowy przed Dornbachem. Dość jest spojrzeć na plan, ażeby ocenić całą niedorzeczność tego twierdzenia. Ale jestto niepodobieństwem i z tego względu, że jazda musiała się rozwijać przed piechotą, a więc ta ostatnia dopomódz jéj w podobnéj operacyi nie mogła. — Autor „*Kriegsjahr*'u" daje na każdym kroku dowody, że, pracując w archiwum, zapomniał o elementarnych regułach strategii i taktyki, a powinien był odświeżyć je sobie w pamięci, zabierając się do takiéj pracy jak „Bitwa pod Wiedniem."

[3]) Memoires Badois.

skrzydło zatrzymało się, w oczekiwaniu dopóki reszta armii chrześciańskiéj nie sformuje się na dole.

Środek Bawarzy, Szwabi i Frankoni, nie mając przed sobą nieprzyjaciela, zeszli z gór bez przeszkody i takim sposobem cała armia chrześciańska rozwinęła się u stóp gór w jedno nieprzerwane i imponujące pasmo, w którém oddzielne kontyngensa i ich części stały w tymże porządku, co i na górze. Tylko u Polaków za prawém skrzydłem znajdowały się w posiłku chorągwie Leszczyńskiego, za niemi regimenta niemieckie i może dragoni polscy, których Sobieski często używał dla zabezpieczenia skrzydeł. Posiłek, złożony z chorągwi Potockiego, wszedł prawdopodobnie w linią, gdyż przy ciągłości szyku stał się on teraz zbytecznym. Na lewém krańcu szyku polskiego stała straż przednia ze Zbrożkiem na czele. Druga linia składała się z chorągwi pomieszanych z jazdą niemiecką [1]).

Gdy wojsko chrześciańskie w porządnym szyku u podnóży gór stanęło, mogła już być godzina 5-ta. Zostawało jeszcze dość czasu do nocy, ażeby los bitwy, którą Sobieski zamierzał wydać nazajutrz, mógł być rozstrzygnięty jeszcze dzisiaj; tém więcéj, jak można było przypuszczać, że o ile dotychczasowe powodzenie napełniło serca chrześcian nadzieją zwycięstwa, o tyleż musiało ono nadwątlić ducha muzułmanów. U Sobieskiego zamierzenie i wykonanie szybko następowały po sobie. Kazał tedy lewemu skrzydłu Sieniawskiego, które „gwałtem darło się ku obozowi tureckiemu", rozpocząć atak [2]).

Zdaje się, że z nim poszły także posiłkowe chorągwie Potockich, a może i straż przednia ze Zbrożkiem na czele. Nie mogła jednak ta wszystka jazda przełamać gęstych mas Turków, którzy nietylko, że to uderzenie zwycięsko odparli; ale w ściganiu zadali niemałe straty Polakom. Padło tu bowiem kilku wyższych oficerów, a i poruczników, towarzyszy i pachołków niemało [3]).

---

[1]) Diar. art.: „W rezerwach mieliśmy Niemców między sobą.—„*Kriegsjahr*" a za nim i p. Chrzanowski formują jazdę polską w szachownicę, któréj pierwsza linia miała się składać z usarzy, a druga z pancernych. Po obu zaś bokach tego korpusu tworzą schodami w tył skrzydła obronne *defensiv flanken*, za prawém skrzydłem z dragonów, a za lewém z jazdy niemieckiéj. Tymczasem, gdy z powyższego wykładu wiemy już, że usarze i pancerni szykowali się wcale inaczéj, że szachownicy jazda polska nigdy nie używała, że dragoni byli piechotą i że jazda niemiecka znajdowała się w drugiéj linii.

[2]) Diar. art.

[3]) ib., „Tam starosta halicki i podskarbi nadworny i siła bardzo grzecznych padło *praetium* wygranéj.

Kochowski: „Idem fatum subiit Andreas Modrzewski (podskarbi nadworny), Tatomir Rzeczycii optio, cumulantibus stragem commilitonibus, quorum e sole

Tém powodzeniem ośmieleni, Turcy przeszli do zaczepki i wykonali kilka wściekłych ataków [1]). Najstraszliwsze jednak było ich uderzenie na prawe skrzydło polskie, które także pomyślnie odparte zostało [2]).

Po tych zawiedzionych nadziejach złamania męstwa Polaków drgnęło serce w Muzułmanach—zachwiali się. Nie uszło to bystrego oka Sobieskiego, który stanąwszy na czele wojska poprowadził atak całym szykiem. Ale tego już nie wytrzymali Turcy i po słabym oporze rzucili się do ucieczki. Polacy dobiegłszy do obozu tureckiego, zatrzymali się na tém miejscu, gdzie stali Turcy [3]).

Jednocześnie zatrzymało się przed obozem tureckim i lewe skrzydło ks. Lotaryńskiego, oraz na téjże linii i środek wojska chrześciańskiego.

Była godzina 6-ta [4]), król rozesłał ordynanse po całéj armii, ażeby nikt nie wchodził do obozu nieprzyjacielskiego i nie opuszczał szeregów, zapowiadając, że łup dostanie się każdemu dnia następnego. Wojsko całą noc stało pod bronią. Uczynił to Sobieski z obawy, że gdyby wojsko na łup padło, nieprzyjaciel mógł wrócić i napaść na rozproszonych, jak to nieraz czynił; a tym sposobem zadałby klęskę większą, aniżeli podczas bitwy [5]).

Ostatni akt tego wspaniałego dramatu opisuje królewicz Jakób w ten sposób [6]). Gdy już Polacy stanęli na tém miejscu, które zaj-

---

Potocii cohorte septemdecim rothmagistro suo mortis socii concubuere. Etiam Zbąski Lublinensi succamerario per tibium pedis glande trajecto."

[1]) Kochowski: „Quippe Vesirus etsi—jam re inclinata ferocissimos suorum, ubi maximum hasta nocumentum dabant submittebat; qui velut aestro perciti adeo in adversa tela incurrebant pervicaces, ut observatum fuerit, ex illis non neminem, hostili medio pectore transverberatum, in eum qui impegerat telum illatae mortis ultorem, concitato equo ferroque incurrisse."

[2]) Diar. art.: „Obróciła się potém z wezyrem wszystka prawie siła na prawe skrzydło, ale i tam zastali tęż rezolucyę i wielki porządek i tam ich tedy sparto aż ku lasowi (?) (może obozowi) piękną sprawą i posiłkami, prosto na obóz, gdzie ich też już i lewe skrzydło wparowało i już wszędzie wszystko porzuciwszy uciekał nieprzyjaciel."

[3]) Diarium principis: „Postquam Turcas non valentes nostrum sustinere impetum successisent et ad Vesirium se contulissent, nos eorum implevimus locum."

[4]) Diar. art.: „Około szóstéj wpadli nasi w obóz."

[5]) Dupont i Sobieski w liście z dnia 7 października: „Pod gardłem zaś zakazano zsiadać z koni, ani pieszym odbiegać od regimentów: bośmy się cale spodziewali, że się obróci na nas nieprzyjaciel, skoro obóz rabować zaczną i na łupy padną."

[6]) Diarium principis: „Illuc advenit princeps Waldek, qui complexus cum fletu miscens S-mo Regi futuram jam gratulabatur victoriam. Postea nos conjun-

mowali Turcy i gdy ks. Waldek, a potém i kurfirst bawarski, przyprowadziwszy swą piechotę, winszowali królowi zwycięstwa, postrzegł on, że w prawo u namiotu wezyra, stoi jeszcze znaczny zastęp Turków. Mogli to być albo desperaci, którzy się chcieli bronić do ostatka, albo aryergarda pozostawiona dla osłony odwrotu. Sobieski, wziąwszy z sobą piechotę niemiecką, tudzież kilka chorągwi usarskich i pancernych, ruszył z niemi w prawo przeciwko Turkom. Podczas marszu inni Turcy wieszali się nad wojskiem. A gdy król, minąwszy jakiś spalony pałac, podszedł na bliższą odległość, spotkali go Turcy u namiotu stojący ogniem z dział, które mieli przed sobą. Nie myśląc długo, posłał Sobieski przeciwko nim chorągiew usarską królewicza Aleksandra z Zygmuntem Zbierzchowskim na czele, który poniósłszy niemałe straty przełamał Turków i do ucieczki zmusił.

Taki był epilog téj sławnéj bitwy pod Wiedniem, zakończony dzielnością i męstwem Polaków, z którego Dyakowski utworzył znaną baśń, powtórzoną z niewielkiemi zmianami i przez p. Chrzanowskiego. Tymczasem gdy, jak widzimy, rzecz się miała prosto i naturalnie.

Oto jest obraz bitwy pod Wiedniem, nakreślony wprawdzie w zarysach ogólnych, ale ściśle na źródłach oparty. Znajdzie w nim czytelnik kilka rysów domyślnych, atoli ugruntowanych na przypuszczeniach prawdopodobnych i na logice wojennéj, wskazującéj co możebne, a co niepodobne. Z obrazu tego tryska jasna, jak słońce, prawda, kto był pogromcą Turków, oswobodzicielem Wiednia i komu się należy palma sławnego po wszystkie wieki zwycięstwa.

---

ximus cum Bavaro peditatu, salutatoque illorum duce, Sr datum sibi a Bavaro et Valeck peditatum, longe antecedebat dextrum petens latus, ubi vesirius latebat (Do namiotu wezyra było około 2 kilometrów drogi). Habens ergo a dextris aliquot leves cataphractas legiones et hussarios precipue mei fratris, nam mea et Sr regis retro jussa remanserat. Hoc ordine jam busta signa quondam palatii transibamus, et radicem attingendo montis, ubi vesirius erat. Rari nantes videamus Turcarum hastas, ulterius praecedebamus, et illi cursitationibus nos lacessebant, quos vesirius animabat tormentis, quae in nos expladebat inaniter et se illis tutabatur, posuerat enim ante suum tentorium. Cum hoc rex videret, jussit hussarium mei fratris assalire montem, ubi magnus latebat Vesirius. Hi licet multi periere, tamen Turcarum perfragere impetum, Vesirum que in fugam vertere.“

Potwierdza to i list króla do żony z dnia 13 września, w którym pisze: „Mionek ma się z czego cieszyć, bo jego chorągiew wezyra złamała i sławę największą u wszystkiego utrzymała wojska.“

Król, jak widać, podobnie jak i królewicz, byli tego zdania, że wśród zastępu Turków stojącego około namiotu znajdował się sam wezyr w., Kara Mustafa, gdy dziś wiadomo, że był on już wtenczas daleko od pola bitwy.

Austryacy z ks. Lotaryńskim tyle tylko dokazali, że zrzucili Turków z Nusbergu, co było jak już widzieliśmy rzeczą nietylko zbyteczną, ale ze stanowiska taktyki nawet błędną. Daléj, aż do obozu tureckiego posuwali się oni, nie spotykając żadnego oporu. Bawarzy, Szwabi i Frankoni przespacerowali się tylko z góry na dół, nie zamachnąwszy się nawet na nieprzyjaciela. Jedni Polacy toczyli walkę ciągłą, od pierwszego kroku z gór ku dołowi i na dolinie. Oni prowadzili i odbijali ataki, przyczém straty niemałe ponieśli i niemało krwi przeleli, a w końcu ostatecznie przełamali Turków i do ucieczki ich zmusili.

Toż samo potwierdza i król Jan w liście do żony, z namiotu wezyra wielkiego, pisząc: „Bóg i Pan nasz, na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu“, — i daléj: „wojska wszystkie, które dobrze bardzo swoją czyniły powinność, przyznały Panu Bogu a nam tę wygraną potrzebę. Kiedy już nieprzyjaciel począł uchodzić i dał się przełamać, bo mnie się przyszło z wezyrem łamać, który wszystkie a wszystkie wojska na moje skrzydło prawe sprowadził, tak, że już nasz środek albo korpus i lewe skrzydło nie miały nic do czynienia i dlatego wszystkie swoje posiłki do mnie obracały.“ W liście zaś z 7 października powiada: „Nie mają oni (Niemcy) ani więźniów, ani chorągwi, ani żadnych zwycięstwa znaków i żaden z ich kawaleryi w potrzebie nie strzelił.”

Niechże czytelnik przeczyta w „*Kriegsjahr*'ze“ rozdział pod tytułem: „*Die Entscheidung*“, p. 257, a zobaczy, jak to autorowie téj książki, nakręcając fakta, a fałszując prawdę, potrafili rzecz przedstawić w takiém świetle, że właściwie oni za pomocą swych mądrych manewrów przygotowali zwycięstwo, które jako owoc dojrzały wpadło samochcąc w ręce Polakom [1]).

---

[1]) Ażeby przekonać czytelnika o prawdzie słów moich, muszę tu przytoczyć nieco przydługi, ale bardzo ciekawy i charakterystyczny ustęp z „Kriegsjahr'u“, p. 258:

„Der rechte Flügel der Türken schien nur die Höhen am Crottenbach. die wie eine Schanzenlinie ihre Front deckten, hartnäckig vertheidigen zu wollen. Sie hielten aber doch nicht lange Stand. Als die kaiserliche Infanterie bei Döbling sich bis auf Musketenschussweite jenem Bache genähert hatte, verliessen die Türken ihre Aufstellungen hinter demselben, so dass die kaiserlichen ohne Schwirigkeiten über das Hinderniss fortkommen und jenseits in das Türkische Lager eindringen konnten. Es war etwa 5 Uhr abends“...

„Da gab der Herzog, um den errungenen Vortheil auszunutzen dém linken Flügel den Befehl eine allgemeine Rechtsschwenkung auszufüren, das heist, sich gegen die rechte Flanke der Türken zu wenden. Der Angriff führte nur quer

Okazuje się ztąd, że ks. Lotaryński, postępując ciągle naprzód, w czém jak widzieliśmy, żadnéj nie napotykał przeszkody, bo mu Turcy bez boju z drogi ustępowali, znalazł się nareszcie na ich prawém skrzydle i przez to postawił ich w tak krytyczne położenie, że nic im nie pozostawało jak się usunąć. Polacy kołatali wprawdzie do lewego skrzydła Turków, nicby jednak nie zrobili, gdyby ks. Lotaryński nie zagroził tak poważnie ich prawemu skrzydłu.

Zdaje się, że nie byłoby jeszcze wielką zasługą zajęcie bez boju tak niebezpiecznego dla Turków stanowiska; parcie zaś nieprzyjaciela w kierunku jego drogi odwrotu, gdy Polacy dążyli, do odcięcia go od niéj, mogłoby być uważane za błąd strategiczny. Ale niezapominajmy, że główna zasługa ks. Lotaryńskiego polegała na owém „*Rechtsschwenkung quer durch das türkische Lager*,“ które go zaprowadziło na ważny punkt taktyczny i rozstrzygnęło los bitwy pod Wiedniem.

Otóż naprzód jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy książę, który był jeszcze więcéj żołnierzem, aniżeli wodzem, poważyłby się przestąpić zakaz Sobieskiego, o niewstępowaniu do tureckiego obozu, zakazu, o którym Dupont wyraźnie wspomina. A powtóre nietylko *Rechtsschwenkung*, ale samo przemaszerowanie, w jakimkolwiekbądź kierunku, przez obóz turecki, w ściśnionych szeregach „*im Reih und Glied*,“ było zupełném niepodobieństwem.

Podług opisu, zawiérającego się w przytoczoném powyżéj dziele ks. de Marsiglii, w obozie tureckim znajdowała się nieco obszerniejsza i otwartsza przestrzeń, tylko około namiotu wezyrowego, do którego prowadziła szeroka ulica. Dokoła zaś, namioty wojska były rozrzucone w poetycznym nieładzie. Przy namiotach jazdy trzymano konie, a dla zadawania im furażu urządzano przegrody z desek. Tuż były jamy latrynowe i do gotowania jadła. Obok zaś tego wszystkiego, mnóstwo kołków i sznurów namiotowych. Słowem obóz turecki był prawdziwym labiryntem, w którym tylko Turek mógł się oryentować i ztąd służył on jednokrotnie za pułapkę dla chrześcian. Turcy zwabiali tych ostatnich, udając ucieczkę, gdy zaś żołnierze chrześciań-

---

durch das türkische Lager gegen Währing, kein Soldat verliess trozdem, um zu plündern Reih und Glied...“

„Die Rechtsschwenkung des linken Flügels, der Flenkenangriff der das türkische Heer, von rechten Flügel her aufrollen drohte, brachte nicht nur diesen Flügel zum Weichen, sondern entschied auch den Rückzug des linken Flügels, der bis dahin den Polen noch immer hartnäckig Stand gehalten hatte.“

I jeszcze raz niżéj z naciskiem: „Auf dem linken Flügel ergriffen die Türken erst dann die Flucht, als sie die Auflösung ihres rechten Flügels und das unaufhaltsame Vorrücken der Deutschen gegen ihre Flanke bemerkten.“

scy na łup padli, oni zawracali i wybijali co do nogi. Dlatego też Sobieski zatrzymał całą armię chrześciańską przed obozem tureckim. Ażeby ks. Lotaryński, który przecież musiał znać Turków i ich stratagemy, o tém nie wiedział, jest także rzeczą wątpliwą. W każdym zaś razie, przejście przez obóz, urządzony w ten sposób w szeregach ściśnionych *„im Reih und Glied,“* było rzeczą zupełnie niemożebną.

A więc owe *„Rechtsschwenkung quer durch das türkische Lager“* jest albo kolosalnym bąkiem, albo wędką na prostaków i nieświadomych, a w każdym razie podstawą zupełnie fikcyjną dla roli, jaką przypisuje *„Kriegsjahr“* lewemu skrzydłu i wodzowi jego w bitwie wiedeńskiéj.

Ale na tém nie koniec. Autorowie *Kriegsjahr*'u posuwają się do tego, że nazywając naszego wielkiego króla tylko *„treuer Bundesgenosse,“* odmawiają mu talentu wojennego; tymczasem gdy ks. Lotaryńskiego obdarzają tytułem: *„grosse Stratege und Taktiker“* i wystawiają go za duchowego kierownika całéj operacyi pod Wiedniem: *„Durch das Eindruck seiner Person, durch die Autorität die er seinen früheren Leistungen verdankte, gewann der Herzog die geistige Führung des ganzen.“*

Cóż to były za czyny — owe *Leistungen*, które tak dalece podniosły autorytet ks. Lotaryńskiego? Niewiadomo. Ale mogły niemi być dwa zwycięstwa przez niego odniesione: pod Presburgiem 28 lipca i 24 sierpnia pod Bizambergiem. Muszę tedy dać o nich przynajmniéj krótką relacye.

Bitwa pod Presburgiem była wynikiem sprzecznych dążności z jednéj strony Tökelego, który miał na celu, wspólnie z przydanemi mu Turkami, pobudowawszy most na Dunaju, wejść w komunikacyę z Kara-Mustafą, znajdującym się pod Wiedniem, a z drugiéj strony ks. Lotaryńskiego, zamierzającego przeszkodzić téj operacyi i zniszczyć wszelkie materyały do zbudowania mostu potrzebne. Ks. Lotaryński miał pod sobą 8,000 jazdy austryackiéj i 2,000 Polaków pod Lubomirskim. Nieprzyjaciel jego liczył w szeregach 14,000 Węgrów i 6,000 Turków, pod baszami: waradyńskim i egrskim. Tökeli i połączeni z nim Turcy obozowali w nocy z 27-go na 28-my lipca, na wschód i niedaleko od Presburga, nad północném korytem Dunaju, pod Czekleszem. Ks. Lotaryński, dowiedziawszy się o zamiarach nieprzyjaciela, wyruszył ze stanowiska, które zajmował naprzeciw Wiednia, po lewéj stronie Dunaju i przeprawiwszy się przez Morawę, nocował w cieśninie pomiędzy Blumenau i Presburgiem, niedaleko od tego miasta.

Zrana 28 lipca, po długiéj naradzie z generałami, postanowił książe stoczyć bitwę z nieprzyjacielem, który się posunął na strzał działowy ku Presburgowi. Zająwszy tedy winnice, znajdujące się przy wyjściu z cieśniny, dragonami, rozwinął pod ich osłoną wojsko w szyk bojowy. Rajtarowie skupieni w dwie wielkie masy, z których jedna obejmowała 50, a druga 55 kompanii, około 70 koni w każdéj, utworzyli środek i lewe skrzydło; prawe zaś zajęli Polacy „w swoim szyku“ t. j. zapewne w jedną linię z posiłkami, mając dragonów Szulca w odwodzie.

Bitwę rozpoczął nieprzyjaciel harcownikiem, który podbiegał aż pod szeregi Austryaków i Polaków. Polacy odpędzili go fortrupami. Gdy zagrały trąby, wzywające wojsko austryackie do boju, harcownicy oczyścili pole i nieprzyjaciel zaczął ustępować odwodem. I ustąpiłby cało i zdrowo, bez wszelkiéj szkody, gdyby nie Polacy z Lubomirskim. Ten uprosił księcia, aby mu pozwolił rozprawić się z nieprzyjacielem i otrzymawszy pozwolenie, kilku śmiałemi uderzeniami swych chorągwii, rozprzągł Węgrów od Turków i tak jednych jak drugich do ucieczki zmusił. W pogoń za Węgrami posłał swych rajtarów i dragonów, a dla ścigania Turków chorągwie polskie. Węgrzy uchodzili na Tyrnau, Turcy zaś ponad Dunajem. W tym pościgu zadali Polacy jednym i drugim znaczne straty. Turcy, uchodząc, zatrzymali się trochę koło swego obozu; lecz widząc pogoń za plecami pędzili daléj. Takim sposobem cały obóz turecki dostał się w ręce Polakom, który znaleźli w nim znaczną zdobycz w pieniądzach, szatach i sprzętach; woły zaś zaprzężone do wozów i kilka tysięcy owiec ustąpili Niemcom. W tym czasie gdy Polacy ścigali Turków i gospodarowali w ich obozie, wojsko austryackie z ks. Lotaryńskim stało o pół mili w odwodzie, tylko dwa regimenta dragońskie wysunęły się o ćwierć mili naprzód. Z tego powodu, opisujący tę bitwę, czyni uwagę: „z których dalekich (Austryaków) strzeż Boże poparcia wojska polskiego, nierychły byłby ratunek.“

Bitwa, jak widzimy, została wygraną i zwycięstwo było świetne, nieprzyjaciel rozproszony i w znacznéj części zniszczony. Ale kto był zwycięzcą? Oczywiście Polacy z Lubomirskim. Przyznaje to i sam ks. Lotaryński w rapocie do cesarza, a i cesarz w liście dziękczynnym do Lubomirskiego. On istotnie był inicyatorem i wykonawcą w całéj téj akcyi,

Cóż uczynił ks. Lotaryński? Uformował wojsko swoje w szyk bojowy, pod osłoną dragonów, a potem stał w odwodzie o pół mili za Polakami, którzy mogli być rozbici pierwéj nimby im Austryacy przytruchtali na pomoc. Można tedy w działaniach ks. Lotaryńskiego

upatrywać szkołę, metodę, rutynę, ale z *„grosse Stratege und Taktiker“* ani śladu. Brakuje mu nawet inicyatywy, którą obejmuje kto inny.

Podobnie się rzeczy działy i pod Bizambergiem. Szkoda tylko, że nie mamy o téj bitwie relacyi polskiéj. *„Kriegsjahr“* zaś tutaj, jak w opisaniu bitwy pod Wiedniem, zdradza na każdym kroku tendencyę, ku umniejszeniu zasług Polaków i podnoszeniu czynów swego wojska i swego wodza.

Turcy, przeprawiwszy się przez Dunaj, w połączeniu z Tatarami, mieli rozkaz Kara-Mustafy napaść na Austryaków i pobić, zanim nadciągną im posiłki. Dowiedziawszy się o têm ks. Lotaryński, który był na drodze do Kremsu, zawrócił i zająwszy stanowisko pod Bizambergiem, ze wschodniéj jego strony, uszykował wojsko w ten sposób: prawe skrzydło oparłszy o Dunaj, osadził w krzakach na jego brzegach dragonów z kilku działami, obok nich postawił Polaków, a daléj w lewo swoją jazdę. Wojsko było uformowane w dwie linie z odwodem.

Turcy zajęli pozycyę pod Bizambergiem, opiérając się lewém skrzydłem o Dunaj. Nie długo myśląc, uderzyli oni na prawe skrzydło Austryaków, z takim impetem i gwałtownością, że obalili dwie chorągwie polskie i pomimo ognia z dział i ręcznéj strzelby, ze strony nieatakowanych kompanii austryackich, które zaszedłszy lewém skrzydłem, obróciły się czołem do nich, przełamali w szalonym zapędzie i drugą linią i ledwie oparli się o odwód. Ale nazad mało ich uszło.

Po têm odparciu pierwszego ataku, pomknął się ks. Lotaryński całym szykiem naprzód. Ale Turcy nie czekając starcia, zaczęli uciekać, a gdy ich pogoń naścigła, dopadłszy do starego mostu, rzucili się do rzeki, która wielu z nich pochłonęła.

I w téj bitwie nie dostrzegamy wielkiego stratega i taktyka. Zwycięstwo zostało odniesione, jakby mimowolnie. Uszykował on tylko wojsko do boju, popełniwszy ten błąd, że zamiast postawić Polaków na lewém skrzydle, zkądby mogli działać samodzielnie, na swój sposób, wetknął ich pomiędzy swoich Austryaków, gdzie stojąc w linii, musieli spotykać, podobnie jak oni, atak nieprzyjaciela nieruchomie, wskutek czego obaleni zostali. Mamy tu także próbkę taktyki austryackiéj, odpiérającéj nieprzyjaciela strzałami. Co zaś do pogoni, która zadała Turkom największą klęskę, to nie wiadomo, kto ją uczynił. *Kriegsjahr* tak majaczy pod tym względem, przypisując pościg częścią Polakom, częścią zaś jeździe i piechocie austryackiéj, która jakoś się znalazła około starego mostu, że trudno dociec pra-

wdy. W istocie zaś musiało być tak, że Polacy ścigali nieprzyjaciela, a Austryacy stali za niemi w odwodzie, jak to było pod Presburgiem i Parkanami [1]).

Tam Sobieski, gdy Turcy za trzeciém starciem okrążyli jego prawe skrzydło z czoła, z boku i z tyłu, nie myślał wcale o odstrzeliwaniu, jak to czynili Austryacy pod Bizambergiem, lecz stanąwszy na czele usarzy, ruszył przeciwko tym, co skrzydło wojewody ruskiego otoczyli i jak powiada, sparłby przy łasce Bożéj tych Turków: „Ale skoro tylko ruszył i obrócił frontem do nieprzyjaciela, aliści środek i lewe skrzydło, razem skoczywszy poczęli uciekać.“ Cóż czynili podówczas Austryacy z ks. Lotaryńskim? Stali jak pod Presburgiem, ale już nie o pół, lecz o całą milę w odwodzie. A gdy Sobieski, pomimo wielkiéj fatygi i utrudzenia proponował ks. Lotaryńskiemu: „żeby pójść na Turków na odwrót, to ten nie chciał, wymawiając się, że jeszcze drugie nie przyszło skrzydło, lubo miało dość miejsca i czasu w kupie iść, bo pola było aż nazbyt.“ Ale widocznie niż działać, wolał ks. Lotaryński stać bezczynnie w odwodzie i to w takiéj odległości, że mógł narazić sprzymierzeńca i siebie na oddzielne rozbicie. Rzeczą jest widoczną, że ów „*Grosse Stratege und Taktiker*“ nawet tak prostych rzeczy nie rozumiał. Już to jedno powinno go pozbawić tytułu „*grosse.*“ Jeśli zaś dodamy do tego brak inicyatywy, któryśmy dostrzegli w bitwie pod Presburgiem i ciasnotę pomysłów strategicznych, którąśmy wskazali, mówiąc o bitwie pod Wiedniem, to będziemy mieli przed sobą wodza bardzo pospolitego i miernego.

I ten wódz zdolności tak miernych i pospolitych miał kierować Sobieskim w bitwie pod Wiedniem. Sobieskim, który odznaczał się samodzielnością poglądów na sztukę wojenną i miewał własne pomysły, jak tego dowiódł uzbrojeniem piechoty polskiéj w berdysze i organizacyą jéj w brygady, nieznane przedtem ani u Polaków, ani u Austryaków; który dał dowody inicyatywy, przedsiębierczości i ruchliwości nadzwyczajnéj, podczas pogoni za Turkami w r. 1672, który odniósł tak sławne zwycięstwo, jak pod Chocimem, mogące się zaliczać do najświetniejszych w historyi wojennéj. Który się nie uląkł, ani nie stracił serca, będąc otoczony pod Żórawnem ze wszystkich stron od niezliczonego nieprzyjaciela; ale i ogólnie na wojnie i w bitwie odznaczał się zadziwiającym spokojem i nieustraszoną mo-

---

[1]) Ks. Lotaryński i za tę bitwę oddaje pochwały Polakom, pisząc w liście z dnia 25 sierpnia do Sieniawskiego: „Et comme je fuis tout le fond, que je dois, sur la bravoure des troupes polonaises, dont elle me donne vent encore hïer de nouvelles marques.“

cą charakteru, wśród niebezpieczeństw walki, wśród wrażeń i wpływów moralnych, miotających duszą, przyśpieszających bicie pulsu, naprężających nerwy. A to są przymioty właściwe charakterom i umysłom wyższym i talentom wojennym. Gdyż tylko wódz, będący w stanie zachować w tak krytycznéj chwili spokój duszy, przytomność i trzeźwość umysłu, zimną głowę i niezamącone oko jest w stanie wiernie ocenić sytuacyę, wydawać stosowne rozporządzenia, znaleźć się w każdém położeniu, zręcznie odbijać razy i trafnie obiérać czas i miejsce do stanowczego uderzenia.

Ale i tu w bitwie pod Wiedniem mamy dowód talentu wojennego Sobieskiego, w dwukrotnéj zmianie rezolucyi, stosownie do wymagań sytuacyi na polu bitwy, raz gdy zamiast atakować prawe skrzydło Turków, jak to poprzednio zamierzał, prowadzi atak na lewe, a drugi gdy zamiast odkładać bitwę do jutra, kończy ją dnia dzisiejszego. Bystrości zaś oka dał dowód w ostateczném uderzeniu na Turków, którego wytrzymać nie mogli. A przecież ani co do czasu stoczenia bitwy, ani co do wyboru chwili do ostatecznego ataku nie mógł na Sobieskiego wpływać ks. Lotaryński, który się znajdował o kilka wiorst od niego.

Lecz nietylko ks. Lotaryński nie mógł sprostać tak trudnemu zadaniu, jakie miał Sobieski pod Wiedniem; ale i wojsko austryackie nie byłoby w stanie wydołać w walce z Turkami. Z tego, co już wiemy o taktyce austryackiéj, jest rzeczą widoczną, że daléj jak do podnóża gór wojsko austryackie posunąćby się nie mogło. Na równinie ani piechota, ani jazda austryacka, przyjmująca ataki, stojąc na miejscu, nie byłaby w stanie wytrzymać gwałtownych i rażących jak piorun, uderzeń jazdy tureckiéj, od któréj, jak to widzieliśmy pod Bizambergiem odstrzelać się nie można było. Wywróciłaby ona jak uragan i zmiotłaby to niedołężne wojsko, tak że śladówby po niém nie zostało.

O ile więc opis bitwy pod Wiedniem daje nam jasny jak słońce dowód, kto był oswobodzicielem tego miasta od niewoli pogańskiéj i komu się należy palma sławnego po wszystkie wieki zwycięstwa, o tyle stan owoczesny wojska austryackiego, jego taktyka, oraz mierne zdolności jego wodza, stwierdzają toż samo przez antytezę.

DODATEK.

(do str. 564).

Chorągwie usarskie.

1.	Króla JM-ci pod podskarbim nadwornym	159
2.	Królewicza Jakuba pod cześnikiem poznańskim . .	184
3.	Królewicza Aleksandra pod Zygm. Zbierzchowskim .	149
4.	Wielopolskiego kanclerza koronnego	131
5.	Stanisława Lubomirskiego, marszałka w. kor. . . .	120
6.	Jana Krasińskiego, referendarza kor.	128
7.	Michała Warszyckiego, miecznika kor.	135
8.	Józefa Lubomirskiego, koniuszego kor.	124
9.	Andrzeja Potockiego, kasztelana krakowskiego . .	121
10.	Szczęsnego Potockiego, wojewody krakowskiego . .	120
11.	Stanisł. Jabłonowskiego, w-dy ruskiego, hetm. w. k.	200
12.	Mikołaja Sieniawskiego, w-dy wołyńsk. hetm. p. k. .	200
13.	Rafała Leszczyńskiego, w-dy kaliskiego	133
14.	Wacława Leszczyńskiego, w-dy podlaskiego . . .	91
15.	Samuela Prażmowskiego, w-dy płockiego	108
16.	Stanisława Dąbskiego, biskupa płockiego	97
17.	Stanisława Branickiego, stolnika koronnego . . .	144
18.	Dönhofa, w-dy pomorskiego	?
19.	Jana Gnińskiego, podkanclerzego koron.	118
20.	Jana Małachowskiego, biskupa krakowskiego . . .	118
21.	Marcina Zamojskiego, podskarbiego koron.	150
22.	Franciszka Bielińskiego, w-dy malborskiego . . .	118
23.	Wojciecha Urbańskiego, k-na Rozpierskiego . . .	112
24.	Margrabi Myszkowskiego	96
25.	Cińskiego, chorążego sieradzkiego	91
26.	Aleks. Cetnera, s-ty szczurowieckiego	100
	Suma	3,247

Pancerne.

1.	Króla JM-ci pod Wronowskim	190
2.	Konst. Wiśniowieckiego, w-dy bełzkiego	145
3.	Mikołaja Sapiehy, w-dy bracławskiego	92
4.	Hieronima Lubomirskiego, marszałka nadw. kor. . .	123
5.	Franciszka Lubomirskiego, s-ty olsztyńskiego . . .	60
6.	Michała Warszyckiego, miecznika kor.	112
7.	Ścibora Chełmskiego, oboźnego koron.	90
8.	Józefa Słuszki, marszałka nadwornego litewskiego .	98
9.	Mikoł. Daniłowicza, krajczego koron.	118
10.	Stefana Potockiego, w-dy bracławskiego	?
11.	Józefa Lubomirskiego, koniuszego koron.	140
12.	Stanisł. Potockiego, s-ty halickiego	86

13. Władysława Morsztyna, s-ty kowalskiego 81
14. Franciszka Makowieckiego, s-ty trembowelskiego . 100
15. Krzysztofa Modrzewskiego, wojskiego halickiego . . 74
16. Jana Koniecpolskiego w-dzica bełzkiego 107
17. Bogusława Potockiego, podkomorzego halickiego . 84
18. Andrzeja Dymideckiego 81
19. Stanisława Jabłonowskiego, hetmana w. kor. . . . 192
20. Franciszka Dzieduszyckiego, k-na kijowskiego . . 90
21. Modrzewskiego, podskarbiego nadwornego 119
22. Łąckiego, podkomorzego wschowskiego 119
23. Aleksandra Chodorowskiego, podkom. lwoskiego . . 95
24. Michała Rzewuskiego, podskarbiego nadw. kor. . . 119
25. Stanisława Potockiego, k-na kamienieckiego . . . 92
26. Jakuba Czarnowskiego, podczaszego dobrzyńskiego . 120
27. Sieniawskiego, hetm. poln. kor. 200
28. Andrzeja Potockiego, k-na krakowskiego . . . 120
29. Szczęsnego Potockiego, w-dy krakowskiego . . . 107
30. Ks. Michała Czartoryskiego, w-dy sandomierskiego . 121
31. Stefana Grudzińskiego, podstolego kor. 60
32. Bidzińskiego, k-na sandomierskiego 134
33. Sieniawskiego, s-ty rohatyńskiego 134
34. Nikodema Zaboklickiego, chorążego bracławskiego . 111
35. Stanisława Opalińskiego, s-ty nowowiejskiego . . 108
36. Remigiusza Strzałkowskiego, s-ty lityńskiego . . 104
37. Tarła, k-na zawichostskiego 96
38. Stanisława Witwickiego, biskupa łuckiego 90
39. Melchiora Grudzińskiego, k-na sieradzkiego . . . 118
40. Kazimierza Grudzińskiego, w-dzica rawskiego . . 101
41. Łaszcza, s-ty grabowieckiego 95
42. Saryusza Łozińskiego, skarbnika halickiego . . . 91
43. Mikołaja Szczawińskiego, s-ty łęczyckiego 90
44. Wojciecha Łubińskiego, sędziego w-skiego . . . 100
45. Wiktoryna Bykowskiego, cześn. nowogrodz . . . 81
46. Wasiłowskiego, cześnika podolskiego 92
47. Jerzego Skorupińskiego, podstolego podolskiego . . 100
48. Teodora Tyszkiewicza, w-dy czernichowskiego . . 87
49. Wojciecha Stempowskiego 84
50. Hieronima Siemaszka 83
51. Tomasza Korczewskiego, chorążego lwowskiego . . 114
52. Michała Zbrożka, chorążego żydaczowskiego . . . 128
53. Jakuba Rokitnickiego, chorąż. i s-ty dobrzyńskiego . 65
54. Draszkiewicza, k-na chełmskiego 105
55. Rzeczyckiego, s-ty rzecyckiego 105
56. Marcina Ubysza 99
57. Jana Stadnickiego, k-na przemyskiego 104
58. Mniszcha, wojewody wołyńskiego 117
59. Stefana Czarneckiego, pisarza polnego 121
60. Wielhorskiego, kasztelana wołyńskiego 150
61. Zahorowskiego, s-ty włodzimierskiego 109

62.	Cetnera, chorążego czernihowskiego	81
63.	Marcina Bogusza, podstolego nowogrodzkiego	117
64.	Adama Radlińskiego, łowczego lwowskiego	73
65.	Leduchowskiego, k-na wołyńskiego	91
66.	Aleksandra Bogusza	88
67.	Zabokrzyckiego, podczaszego wilkomierskiego	100
68.	Jałowickiego	97
69.	Aleksandra Drzewickiego, podkomorzego lubelskiego	92
70.	Piotra Daniłowicza, s-ty lubelskiego	147
71.	Kazimierza Dumaszewskiego, s-ty łukowskiego	100
72.	Głuskiego	96
73.	Marcina Zamojskiego, podskarbiego w. kor.	120
74.	Hieronima Lanckorońskiego, podkom. podolskiego	99
75.	Sierakowskiego, podkom. bełzkiego	118
76.	Atanazego Miączyńskiego, łowczego kor.	136
77.	Andrzeja Miączyńskiego, cześnika mielnickiego	78
78.	Stanisława Miączyńskiego	72
79.	Wojciecha Prażmowskiego, chorążego nadw. kor.	90
80.	Jana Giżyckiego, chorążego owruckiego	100
81.	Feliksa Białogłowskiego	98
82.	Aleksandra Przyłuskiego, chorążego latyczowskiego	100
83.	Karola Łuzeckiego	131
	Suma	8,385

Lekkie chorągwie.

1.	Andrzeja Potockiego, k-na krakowskiego	70
2.	Hieronima Lubomirskiego, pod Spasowskim	?
3.	Balcera Wilgi	48
4.	Stanisława Jabłonowskiego, hetm. w. kor.	146
5.	Ruszczyca	66
6.	Stanisława Lubomirskiego, pod Górskim	63
7.	Stefana Bidzińskiego, k-na sandomirskiego	92
8.	Aleksandra Zaborowskiego	67
9.	Dobraczyńskiego	69
10.	Jerzego Frąckiewicza	80
11.	Janakiego	79
12.	Szczęsnego Potockiego, pod Gostomskim	69
13.	Kasztelana kijowskiego, pod Kobielskim	69
14.	Bogusza, podskarbiego nowogrodzkiego	90
15.	Parata Drozdowskiego	98
16.	Modzelewskiego	77
17.	Michała Zbrożka, chorąż. żydaczowskiego	146
18.	Sieniawskiego, hetm. poln. pod Rykaczowskim	100
19.	Karczewskiego, chorążego lwowskiego	68
20.	Stefana Nickiego	100
21.	Armasza Hizdewa	70
22.	Andrzeja Sierakowskiego, stolnika bełzkiego	69
23.	Koryckiego	59

24. Komara	67
25 Gdeszyńskiego	60
26. Szymona Zawiszy	100
27. Samuela Krzeczowskiego	59
28. Jeżowskiego	97
Suma	2,178

Arkebuzerya.

Króla JM-ci pod Gurzyńskim	294
Stanisława Jabłonowskiego, hetmana w. kor.	100
Sieniawskiego, hetmana poln. kor.	197
Suma	591

Dragonia.

Króla JM-ci	955
Andrzeja Potockiego, k-na krakowskiego	395
Stefana Bidzińskiego, k-na sandomirskiego	600
Marcina Chełmskiego, oboźnego kor.	302
Wojciecha Urbańskiego, pod Modrzewskim	100
Mikołaja Sieniawskiego, hetmana polnego	200
Modrzewskiego, podskarbiego nadwornego	100
Stefana Czarneckiego, pisarza polnego	185
Atanazego Miączyńskiego	92
Stanisława Jabłonowskiego, hetm. w. kor.	568
Dragonia artyleryi koronnéj	90
Suma	3,587

Piechota.

Najjaśn. królowéj JM-ci, pod chorążym zatorskim	380
Gwardya królewska, pod Dönhofem	596
Króla JM-ci, pod Conte de Maligni	355
Królewicza Jakuba, pod Seswegenem	352
Andrzeja Potockiego, k-na krakowskiego	380
Hieronima Lubomirskiego, marszałka nadw. kor.	826
Wielopolskiego, kanclerza koronnego	390
Starosty halickiego	100
Michała Warszyckiego, miecznika kor.	175
Stanisława Jabłonowskiego, hetmana w. kor.	580
Wacława Leszczyńskiego, w-dy podlaskiego	305
Rafała Leszczyńskiego, w-dy kaliskiego	202
Konstantego Wiśniowieckiego, w-dy bełzkiego	267
Ernesta Roppa	380
Jana Gnińskiego, podkanclerza kor.	301
Freikompania podk. wschowskiego, r-gtu królews.	93
Dominika Potockiego, podczaszego halickiego	100
Kacpra Berenfejera	180

Berensa	180
Wacława Szczuki	222
Jana Danemarka	335
Cetnera, starosty szczurowieckiego	194
Sieniawskiego, hetm. poln. kor.	653
Wacława Dukszyca	346
Marcina Zamojskiego, podskarbiego kor.	340
Wielhorskiego, k-na wołyńskiego	180
Szczęsnego Potockiego, w-dy krakowskiego	374
Eliasza Łąckiego	290
Jana Krasińskiego, referen. kor.	300
Marcina Kątskiego	591
Jana Butlera, s-ty nowskiego	179
Karola Łużeckiego, w-dy podolskiego	155
Conte de Maligni	321
Dönhofa, w-dy pomorskiego	399
Fryderyka Grebena	380
Lubomirskiego, marszałka w. kor	280
Kazimierza Zamojskiego, k-na halickiego	254
Lubomirskiego, koniuszego kor.	280
Freikompanii Fran. Dönhofa. k-na wiślickiego	100
Suma	12,169

Piechoty węgierskiéj.

Stanisława Jabłonowskiego, hetm. w. kor.	200
Sieniawskiego, hetm. pol. kor.	120
Suma	320

K. G.





Syndykaty przemysłowe.

W dniu 28 kwietnia (v. s.) 1886 roku 168 cukrowni w państwie russkiém zawarło przed notaryuszem Scordelli w Kijowie umowę, obowiązującą je do wywiezienia w ciągu roku za granicę państwa 25%, cukru wyprodukowanego w kampanii 1886/7 r. i ograniczenia produkcyi 2-ch następnych kampanii do ilości określonych przez wspólnie wybrany komitet, a obliczonych w ten sposób, aby roczna produkcya cukru we wszystkich cukrowniach państwa nie przenosiła 21,242,000 pudów.

W kwietniu 1888 r. umowa ta została przedłużoną na dalsze dwie kampanie, a w maju 1890 r. na następne cztery.

Wywołana umową zwyżka cen cukru zwróciła uwagę ogółu i prasy, a gdy ceny cukru w zimie r. 1892/3 wzrosły do 5 rs. 50 kop. w Kijowie, a 6 rs. 50 kop. w Petersburgu; gdy rząd, dla zapobieżenia dalszéj zwyżce, zarządził sprzedaż cukru na swój rachunek po cenie rs. 5 kop. 60 w Kijowie; gdy jednocześnie pisma peryodyczne doniosły o silnéj agitacyi w sferze przemysłu naftowego, mającéj na celu zawiązanie syndykatu i gdy przy różnych submisyach rządowych zdradzono „sekret poliszynella“, że i naszemu przemysłowi żelaznemu pomysły syndykalne nie są obce; wtedy po raz piérwszy w szerszych kołach naszego społeczeństwa stanęło na porządku dziennym pytanie: czém są syndykaty przemysłowe? jakie są przyczyny ich powstawania, cele, środki działania i skutki?

Wychodząc z zasady: „nic nowego pod słońcem“, probowano dowieść, że syndykaty sięgają starożytności, że Thales, jeden z siedmiu mędrców Grecyi, robił na syndykatach interesy [1]). Inni w syndykatach widzą zmartwychwstające cechy.

Ze stanowiska jednak ściśle naukowego przyznać należy, że syndykaty przemysłowe (nie handlowe—spekulacyjne) są zjawiskiem ekonomicznem najnowszéj doby. W kraju naszym są one organizacyami znanemi dotąd raczéj z teoryi, niż z praktyki: na całéj przestrzeni państwa istnieje ich kilka, i dla tego, jeśli chcemy badać syndykaty, a badanie to na żywych faktach opierać, nie możemy poprzestać na obserwowaniu tych kilku syndykatów, jakie u nas istnieją, tém więcéj, że ledwie jeden z nich, syndykat fabryk cukru, żyje i działa jawnie, a inne, kryjąc się pod skrzydła „tajemnicy handlowéj“, jaknajstaranniéj unikają światła dziennego; ale musimy udać się po materyał faktyczny, przedewszystkiem do Stanów Zjednoczonych Ameryki i do Niemiec, gdzie syndykaty, mimo zupełnie różnego stanowiska ich w obec prawa i rządów, rozszerzyły się najwięcéj i wytworzyły dwa zupełnie różne typy organizacyi: „*Trust*“ i „*Verband*“. Dopiéro po zbadaniu Verband'ów i Trustów, możemy przystąpić do skreślenia dotychczasowéj działalności syndykatów u nas w kraju, i rozwiązania pytania: o pożyteczności i uprawnieniu ich istnienia.

Bliższe zbadanie syndykatów przemysłowych uważamy za potrzebne z tego względu, że coraz silniejsze w sferach przemysłowych dążenie do ich zawiązywania i u nas co raz wyraźniéj się przejawia, że kwestya syndykatów jest kwestyą bieżącą, jeśli nie dnia dzisiejszego, to jutra, że zatém nie będzie bez pożytku już dziś zapoznać się z dobremi i złemi stronami tego nowego zjawiska życia, i nakoniec dla tego, że z kwestyą tą wiąże się kwestya ogólna ekonomiczna, bardzo poważnego charakteru: czy i w jaki sposób można zaradzić złym skutkom „anarchicznéj produkcyi“?

I.

„Anarchia produkcyi“ jest ulubioném wyrażeniem, szkół ekonomicznych „*fin de siècle*“, mającém charakteryzować organizacyę produkcyi, opartą na swobodnéj konkurencyi, i stwierdzającém, że swoboda ta prowadzi koniecznie do nadmiernéj produkcyi, do obniżenia cen niżéj kosztów, do przemysłowych przesileń, do stałego odnawiania

---

[1]) Claudio Jannet Le Capital, les finances et la speculation au XIX siècle. Paris Hachette (1892). str. 288.

się proletaryatu fabrycznego z rezerwowéj armii robotniczéj, która będąc zawsze zmuszona grozą śmierci głodowéj do zdobycia pracy, po jakiéj kolwiek cenie, stawia tamę podniesieniu się zarobków nawet w tych rzadkich okresach czasu, kiedy dzięki opanowaniu przesilenia, dzięki chwilowemu ożywieniu się stosunków w handlu i w przemyśle, wzrastające zapotrzebowanie na pracę mogłoby wpłynąć na podniesienie zarobków.

Zasada swobody konkurencyi, to jest swobody pracy, ma bezwątpienia strony ujemne; zniesienie jéj jednak całkowite wywołałoby skutki gorsze od złego, które chcielibyśmy usunąć. W sporze zaś teoretycznym o złe i dobre skutki swobody konkurencyi, to jest swobody pracy, syndykaty przemysłowe grają têm ważniejszą rolę, że obiecują przez swobodę stowarzyszania się producentów ograniczyć ową „anarchię produkcyi“ usunąć, a przynajmniéj ograniczyć co do ilości i zakresu przesilenia przemysłowe, a co najważniéjsza, wytworzyć w klasach kapitalistów - przemysłowców i robotników pewne poczucie wspólności interesów, na którém optymiści dzisiejszéj socyologii budują już w teoryi cały gmach społecznego pokoju.

Syndykatem przemysłowym nazywamy związek kilku, lub wielu zakładów przemysłowych, produkujących jeden i ten sam towar, związek, zawarty celem zapobieżenia spadaniu cen tego produktu niżéj kosztów produkcyi, a jak mówił ś. p. A. Smith niżéj „ceny naturalnéj“, (licząc w to pewien normalny w kraju zarobek przedsiębiercy), związek dążący do tego celu, czy to przez umowę o niesprzedawaniu produktu niżéj pewnéj oznaczonéj wspólnie ceny, czy to przez ograniczenie produkcyi do pewnych dla każdéj fabryki oddzielnie oznaczonych norm, czy to przez powierzenie sprzedaży całéj produkcyi wszystkich fabryk jednemu kantorowi, domowi, towarzystwu, czy téż nakoniec przez oddanie administracyi wszystkich należących do syndykatu fabryk w ręce wspólnie obranego komitetu syndykalnego.

Charakterystyczną cechą, różniącą syndykaty przemysłowe od handlowych, jest to, że członkami syndykatów przemysłowych są wytwórcy, producenci towaru, (właściciele fabryk, rzemieślnicy), członkami zaś syndykatów handlowych, są handlujący towarem a najczęściéj spekulanci giełdowi, którzy nietylko, że towaru nie produkują, ale go najczęściéj nawet nie posiadają. Ze stanowiska konsumentów towaru w obu razach skutek bezpośredni, podniesienie cen towaru zsyndykowanego, jest ten sam; ze stanowiska producenta w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu obejmującém zarówno właściciela fabryki, jak i robotnika, różnica jest bardzo wyraźna: zyski syndykatów handlowych, realizują spekulanci, zyski syndykatów przemysłowych

idą do kieszeni właścicieli fabryk, a tem samém mogą — i tu leży najciekawsza strona kwestyi — mogą dostać się do kieszeni robotników. Z próżnego i Salomon nie naleje: dla robotnika więc, lepiéj jest, kiedy fabrykant zarabia a nie traci, a w wypadkach rzadkich (ale tem nie mniéj rzeczywistych), gdzie istnieje (jak w niektórych kopalniach węgla w Angli) ruchoma skala zarobków, od cen towaru zależna, albo gdzie istnieje dopuszczenie robotników do udziału w zyskach fabrycznych, tam podniesienie ceny produktu i zyski fabrykanta, nie tylko mogą pośrednio dostać się robotnikowi, ale wprost bezpośrednio w części mniejszéj lub większéj idą do kieszeni robotników.

Z tego krótkiego teoretycznego zarysu kwestyi, już zaraz widzimy, jak ważne i jak sprzeczne interesy wchodzą w grę, w kwestyi syndykatów przemysłowych; i nie możemy się dziwić, że kwestya ta, odbiła się w teoretycznych poglądach prawie wszystkich szkół ekonomicznych. Szkoła absolutnych zwolenników wolnego handlu znalazła się w trudnéj pozycyi oponowania przeciw wolności zmów producentów, a więc żądania ograniczenia swobody umów, w imię interesów konsumenta, w imię dążenia do ciągłego obniżania cen towarów. Szkoła protekcyonistów zmuszona była postawić sobie pytanie: jaką realną wartość dla przemysłu krajowego będą miéć cła ochronne, jaki wpływ będzie miało ich zniżenie, powiększenie lub zniesienie, jeśli syndykaty przemysłowe krajowe i międzynarodowe obejmą cały przemysł? Szkoła blado różowego, najumiarkowańszego, socyalizmu państwowego widzi w syndykatach punkt ciążenia, w którym spotykają się i mogą dojść do harmonii interesa fabrykanta i robotników; szkoła zaś ekonomiczno-socyalna dążąca do upaństwowienia całéj produkcyi, widzi w syndykatach przemysłowych, zarodek nowéj epoki, cudowne dziecko XIX wieku, proroka torującego ścieżki wielkiéj reformie społecznéj wieku XX. Ta ostatnia szkoła zdążyła nawet wytworzyć zasługującą na uwagę specyalną, ewolucyjną teoryę syndykatów przemysłowych.

Według téj teoryi, kolebką niemieckich syndykatów noszących pospolicie nazwę kartel lub związek (*Kartel*, *Verband*), jest okres czasu bezpośrednio po wielkim krachu giełdowym 1873 r.

Wstrząśnienie ekonomiczne wywołane tym krachem, spadek cen spowodowany bezmierną konkurencyą zakładów przemysłowych, ufundowanych w epoce napływu francuzkich miliardów, przesilenie grożące niezawodną ruiną całym gałęziom przemysłu, dało pobudkę do porozumienia się fabrykantów pewnych gałęzi przemysłu, celem: usunięcia zgubnych skutków téj konkurencyi, ograniczenia produkcyi i podniesienia cen, jednem słowem celem otamowania skutków „anarchicznéj produkcyi“. Anarchia dzisiejszéj produkcyi, jest więc *„raison*

d'etre“ syndykatów przemysłowych. Powstają one na gruncie stanowiącym charakterystyczną cechę dzisiejszych stosunków kapitalistycznéj produkcyi, i jako takie, są w opinii téj szkoły naturalnym wynikiem chwili obecnéj, jéj reakcyą przeciw nadużyciom kapitału w sferze wolnéj konkurencyi, jéj jakby to powiedział patryarcha Marx „przeciwieństwem“, „zaprzeczeniem“: antytezą anarchicznéj tezy.

Związki przemysłowe, mówi daléj teorya, zrazu słabe i nie pewne, ograniczają się początkowo do usiłowań utrzymania pewnéj ceny rynkowéj produktu i zobowiązują pod pewnemi karami członków związku do ustępowania handlującym tylko pewnego rabatu, lub niesprzedawania produktu niżéj pewnéj, wspólnie oznaczonéj ceny; po pewnym przeciągu czasu okazuje się jednak, że związek taki nie jest w stanie zaradzić złemu, wynikającemu z anarchicznéj produkcyi, że dla osiągnięcia celu konieczném jest unormować samą produkcyę, ograniczyć ilość jéj i jakość. Od chwili zawarcia dobrowolnéj umowy co do ograniczenia produkcyi, od chwili wypowiedzenia wyraźnie walki „anarchicznéj produkcyi“ związek zaczyna istniéć rzeczywiście i, w obec wynikającéj z obowiązku normowania produkcyi konieczności kontrolowania się wzajemnego członków związku, w obec co raz wyraźniéj występujących korzyści, jakie prowadzi za sobą solidarne działanie dotychczasowych konkurentów, członkowie związku co raz więcéj okazują skłonności do zrzekania się praw swych samowładnego zarządzania przedsiębiorstwami na rzecz ogółu zsyndykowanych: zgadzają się więc na założenie wspólnego sklepu, lub kantoru sprzedaży, na urządzenie wspólnego bióra technicznego, kierującego techniczną stroną fabrykacyi; zachowują oni tylko swobodę zerwania związku, nie przedłużania go po za termin umową zastrzeżony, i ta terminowość, ta niedługotrwałość związków stanowi główną wadę tego gatunku syndykatów.

Ostatnim nakoniec szczeblem téj ewolucyi jest zrzeczenie się praw własności do fabryki przez każdego z osobna przedsiębiorcę na rzecz nowéj organizacyi ekonomicznéj, na rzecz ogółu to jest syndykatu, w zamian za pewną część udziałów, czy téż akcyi syndykalnych; zlanie się wszystkich zakładów przemysłowych danéj gałęzi produkcyi, w jedno wielkie towarzystwo udziałowe, czy téż akcyjne, uorganizowanie produkcyi pewnéj gałęzi w obrębie całego państwa, wyłączenie stanowcze wszelkiéj konkurencyi, ścisłe zastosowanie produkcyi do istotnéj konsumcyi narodu, z zapewnieniem pewnego stałego dochodu kapitalistom i pewnego połączonego z udziałem w zyskach zarobku robotnikom.

Ten czteroaktowy dramat rozwoju, ma jeszcze swój akt piąty, finał: ekspropriacyę przedsiębiorców na korzyść społeczeństwa v. rządu za właściwem wynagrodzeniem, lub bez niego (o taki drobiazg nie warto się spierać) i najpoważniejszą zasługą syndykatów ma być właśnie ta okoliczność, że są one przygotowaniem do aktu piątego, ułatwiającém niesłychanie sam fakt wywłaszczenia, będący jak wiadomo celem marzeń téj szkoły [1]).

Aby zdać sobie sprawę z istotnego znaczenia i wpływu syndykatów, musimy zapoznać się z rzeczywistością, z syndykatami takiemi, jakie wytworzyło życie. Musimy przypatrzyć się kartelom niemieckim i trustom amerykańskim, przebiedz historyą syndykatu cukrowniczego u nas, i dopiéro wtedy będziemy mogli orzec: czego się od rozwoju syndykatów spodziewać można?

II.

Syndykaty przemysłowe w Niemczech mają za sobą opiekę prawa i opinię publiczną, a właściwie opinię teoretycznie socyalizujących ekonomistów. Kodeks handlowy państwa niemieckiego w art. 266 — 270 daje prawną organizacyę czasowym związkom handlowym i podaje pewne normy podziału zysków. Prawo kryminalne nie zawiera żadnych orzeczeń przeciw kartelom i syndykatom, które moralne poparcie znajdują i w tém, że zakłady rządowe górnicze i metalurgiczne do karteli należą.

Od maja 1887 r. w Monachium (pod redakcyą D-ra A. Steinmann-Bücher'a) wychodzi pismo tygodniowe *„die Industrie"*, poświęcone przeważnie sprawom syndykatów przemysłowych. W miesięcznikach ekonomicznych syndykaty są dość często przedmiotem specyalnych artykułów, przeważnie w tonie przychylnym dla nich pisanych. Nie ulega wątpliwości, że ton ten podsyca przekonanie, iż część zysków syndykalnych klasie robotniczéj przypadnie.

Najlepsze dane o ilości i czasie powstania niemieckich karteli (oparte przeważnie na wiadomościach podanych przez cytowany tygodnik *„die Industrie"*), podał Fr. Grossmann w artykule *„Ueber industrielle Kartelle"* [2]). Podług tych danych, istniało w Niemczech w sferze produkcyi:

---

[1]) Schönlank Bruno: Die Kartelle. Beitrag zu einer Morphologie der Unternehmererbände. Archiv für Socialegesetzgebung und Statistit. t. III. 1890. Str. 489 i nast.

[1]) Schmollera „Jahrbücher für Gesetzgebung, Verwaltung und Volkswirthschaft". 1891. str. 237

	w roku 1887	1888	1889	1890	1891
Węgla kamiennego syndykatów.	3	4	5	5	9
Żelaza	9	21	18	30	30
Innych metali (z wyjątkiem żelaza)	2	4	5	4	4
Przetworów chemicznych	13	22	21	28	32
Kopalni kamienia i ziem	12	14	18	27	29
Tkanin	2	3	5	13	16
Papieru i skór.	1	2	5	5	13
Wyrobów drzewnych	—	—	—	5	4
Razem. . .	42	70	77	117	137

Z téj ogólnéj ilości 95 karteli zawiązano po 1887 r., a tylko 42 w latach poprzednich. Z dat jakie Grossmann przytacza, przekonać się można, że w latach 1880—1887 powstało 29 syndykatów (żelazo 4, metali 2, przetwory chemiczne 13, kamienie i ziemie 9, tkactwo 1), że zatém z ogólnéj liczby syndykatów istniejących w Niemczech w 1891 r. powstało:

przed 1880	tylko	13
w 1880—1886		29
w 1887—1891		95

Najliczniéj zsyndykowanemi są: produkcya przetworów chemicznych, przemysł żelazny i przemysł obrabiający kamienie i ziemie.

Najprostszą formą kartelu jaką spotykamy w Niemczech, jest umowa pomiędzy producentami nie co do ceny, ale co do warunków sprzedaży: rabatów, kredytów, wynagrodzenia agentów, komisantów i t. d., zachodząca w tych niewielu gałęziach przemysłu, w których sama cena nie ulega częstym zmianom, jak np. w przemyśle nakładowo-księgarskim. Znaczniejsi nakładcy w Niemczech zawarli między sobą tego rodzaju kartel i gdy wielu z nich jest jednocześnie właścicielami drukarni, kartel ten ma duży wpływ na przemysł drukarski i zarobki zecerów. Przemysł chemiczny w Niemczech jest prawie cały zsyndykowany: po zniesieniu monopolu solnego, ceny soli zwyczajnéj i soli stassfurtskiéj spadły, a gdy kopalnie soli zawiązały syndykat, wywołało to syndykaty w sferze fabryk przerabiających sole, a potém w sferze fabryk przetworów chemicznych wogóle. Zwykłym typem syndykatu w téj gałęzi przemysłu, jest umowa o cenę, niżéj któréj fabrykantowi nie wolno jest pod karą pieniężną swego produktu sprzedawać; i czasami, ale nie zawsze, o ograniczenie produkcyi do normy przez syndykat ustanowionéj dla każdéj z fabryk oddzielnie.

Najobszerniejszym i najgłośniejszym (ze względu na interesa rolnictwa, z którémi stanął w sprzeczności), jest kartel fabrykantów sztucznych nawozów. Silna konkurencya między fabrykantami niemieckimi i wwóz sztucznych nawozów z Anglii obniżyły w 1886 r.

cenę nawozów sztucznych do tego stopnia, że zyski przedsiębiorców zniknęły, a właściciele akcyi fabryk nawozów sztucznych przestali otrzymywać dywidendę. Gdy syndykaty prowincyonalne nie wielkie dały rezultaty, zjawiła się w r. 1888 dążność do związania ośmiu syndykatów prowincyonalnych w jeden ogólny kartel, który zawarto 22 września 1888 r. w Hanowerze. Umowa syndykalna określiła: koszta produkcyi, to jest cenę towaru bez procentów od kapitału i zysków, cenę syndykalną wyższą od poprzedniéj o normalne procenty z zyskami i nakoniec normalną ilość produkcyi dla każdéj fabryki oznaczoną na zasadzie istotnéj jéj produkcyi za 2—3 lat ostatnich. Umowa zobowiązywała każdego fabrykanta do komunikowania zarządowi syndykalnemu co miesiąc o wszystkich dokonanych sprzedażach (pod karą 100 marek od każdego zatajonego cetnara) i wnoszenia do kasy syndykalnéj od każdego cetnara sprzedanego towaru całéj różnicy między kosztami produkcyi a ceną syndykalną, o ile sprzedaż nastąpiła w granicach normalnéj produkcyi i téjże saméj różnicy z dodatkiem 10 pf. o ile by sprzedaż wychodziła po za normę przez syndykat ustanowioną. Jednocześnie uchwalono: płacić 10 pf. od cetnara fabrykom, które w ciągu roku nie sprzedały normalnéj ilości produkcyi i bonifikować należącemu do syndykatu fabrykantowi całą różnicę między ceną syndykalną a rzeczywistą ceną sprzedaży, we wszystkich wypadkach, w których, dla powstrzymania konkurencyi z fabryką do kartelu nie należacą, fabrykant za wiedzą i zezwoleniem syndykatu sprzedał swój towar niżéj ceny syndykalnéj. Sumę stanowiącą zyski syndykalne uchwalono dzielić nie proporcyonalnie do sprzedaży rzeczywistéj, ale proporcyonalnie do norm produkcyi przez syndykat określonych, po potrąceniu z niéj uprzednio 10% na kapitał zapasowy syndykatu i pokrycie kosztów administracyjnych kartelu. Obrano komitet złożony z prezesa i czterech członków, postanowiono: zwoływać co roku, dwa walne posiedzenia uczęstników syndykatu, celem ustanowienia cen syndykalnych, kosztów produkcyi i załatwiania innych spraw bieżących; wejść w porozumienie z angielskiemi firmami importującemi nawozy sztuczne do Niemiec i dołożyć wszelkich starań, aby wciągnąć do kartelu jak największą ilość fabryk. Umowę zawarto na lat 5, a o ileby przed tym terminem ³/₄ uczestników nie zażądało jéj rozwiązania, na lat 15. Przystąpienie do syndykatu otwartém zostało wszystkim fabrykantom nawozów sztucznych, ale, chociaż groźba konkurencyi niżéj ceny własnéj na koszt wspólny była przez syndykat nieraz wykonywaną, syndykat nie zdołał objąć wszystkich fabryk niemieckich, i dla tego téż, dalsza historya jego jest opowieścią o staraniach, celem opanowania rynku sztucznych nawozów, czy to

drogą szkodzenia fabrykom pozasyndykalnym przez sprzedaż towaru niżéj kosztów własnych, czy to przez usunięcie konkurencyi angielskiéj, czy téż przez wciągnięcie do umowy handlujących sztucznemi nawozami w Niemczech, zapewniając im specyalnie wysokie rabaty. Piérwszy zaraz zjazd walny w Hamburgu na jesieni 1888 r. podniósł ceny nawozów sztucznych na sezon wiosenny r. 1889, określił rabaty jakie fabrykant mógł dać handlującym, i zabronił sprzedaży terminowéj na przyszłe sezony. Na wiosnę r. 1889 dla usunięcia konkurencyi angielskiéj zakupiono w Anglii 1,500 tonn nawozów, a straty z tego zakupu wynikłe rozłożono na fabryki zsyndykowane, ceny zaś na sezony następne jeszcze podniesiono; na jesieni zaś tegoż roku zawarto umowę ze związkiem hurtownych handlarzy sztucznemi nawozami, który zobowiązał się nie sprzedawać produktów syndykalnych po cenie niższéj od ceny wspólnie z syndykatem nawozów sztucznych ustanowionéj, wzamian za co syndykat przemysłowców obiecał nie sprzedawać nawozów sztucznych konsumentom po cenie niższéj jak zawarowana w umowie. Ustanowiono dwie normy rabatu dla kupców, wyższą dla tych, którzy zobowiązali się nie prowadzić handlu innemi nawozami, jak tylko produkowanemi przez syndykat, i niższą dla tych, którzy zastrzegli sobie prawo prowadzenia handlu nawozami po za syndykatem wyrobionemi. Prócz tego kartel nawozów sztucznych zawarł specyalną umowę z Berlińskiém towarzystwem rolniczém, odstępując mu rabat jak handlującemu, od téj ilości nawozów jaką członkowie towarzystwa wezmą od fabryk zsyndykowanych, pod warunkiem, że z rabatu tego tylko 1% odstąpione zostanie konsumentom i że o tym tylko 1% będzie wzmianka w sprawozdaniach towarzystwa. Tymczasem w miarę zwyżki cen, konsumcya sztucznych nawozów, zmniejszać się zaczęła, tak, że na zjeździe kwietniowym 1890 r. zaszła konieczność obniżenia cen, a jednocześnie, w obec niewypełnienia warunków przez syndykat handlujących sztucznymi nawozami, zerwania z nim umowy i ogłoszenia skali rabatowéj proporcyonalnéj do ilości sprzedanych nawozów, jednakowéj dla wszystkich handlujących nawozami sztucznemi. Zjazd październikowy tegoż roku odbył się w jeszcze cięższych okolicznościach: konsumcya sztucznych nawozów zmniejszyła się znowu, ceny znów trzeba było obniżyć. Na żądanie właścicieli małych fabryk powiększono im normy produkcyi, przy dobrowolném zmniejszeniu ich dla kilku większych fabryk, a umowę z Towarzystwem rolniczém zerwano także, gdyż towarzystwo nie mogło i nie chciało odstępować swym członkom tylko część rabatu danego przez kartel, lecz musiało im odstąpić cały rabat i o tém odstąpieniu w sprawozdaniach nadmienić.

Ostatni zjazd, o którym mamy wiadomości, odbyty w kwietniu 1891 r., smutne wzbudzał przeczucia co do przyszłości całego kartelu. Musiano ograniczyć prawo do bonifikacyi za straty poniesione przy konkurencyi z fabrykami pozasyndykalnemi, a oprócz skarg zwykłych na konkurencyę fabryk saskich i jednéj wielkiéj fabryki zachodnio-niemieckiéj, (które do syndykatu nie weszły), oraz fabryk angielskich, dołączyły się skargi na konkurencyę wzajemną fabryk zsyndykowanych między sobą, na obniżanie wartości chemicznéj produktu, i w ogóle na to, że z pomiędzy należących do kartelu fabryk, zarabiają fabryki mniéj sumienne, a tracą fabryki sumiennie dotrzymujące umowy [1]).

W syndykacie zjawiło się przekonanie, że dalsze istnienie kartelu możliwém jest tylko przy oddaniu produkcyi wszystkich fabryk w ręce jednego biura centralnego bez prawa sprzedawania po za tém biurem.

Nie możemy tu wyliczać wszystkich istniejących w Niemczech karteli w sferze przetworów chemicznych, tém więcéj nie możemy choćby najtreściwiéj przedstawiać historyi najważniejszych z tych karteli; przechodzimy zatém do sfery przemysłu węglowego, w którym spotykamy inną, bardziéj wyrobioną formę organizacyi.

Kartele węglowe datują się od r. 1887, to jest od epoki największego spadku cen węgla kamiennego. Na Szląsku, gdzie znaczna część kopalni pozostaje w rękach rządu, kartel mógł się zawiązać tylko przez wciągnięcie do umowy i kopalni i handlujących *en gros* węglem, co temu kartelowi odbiera cechy czysto przemysłowego syndykatu. W okręgu węglowym nadreńskim istnieje kilka karteli z centrami: w Essen, Bochum, Gelsenkirchen i Dortmund, a w r. 1891 traktowano o połączenie wszystkich tych związków jednym wspólnym kartelem. Najlepiéj uorganizowanym jest związek kopalni w dolinie rzeki Ruhr z siedliskiem w Dortmund. Istnieje on na następujących warunkach. W dniu 9 sierpnia 1890 r. kopalnie węgla okręgu dortmundzkiego założyły towarzystwo akcyjne pod firmą: „*Dortmunder Kohlen-Verkaufstelle*“ Dortmundzki związek sprzedaży węgla (z kapitałem 80,000 marek), którego akcye, po 200 marek każda, są imienne i niezbywalne bez zezwolenia rady zarządzającéj. To towarzystwo akcyjne zawarło kontrakty z należącemi do związku kopalniami na zakup całéj ich produkcyi a kopalnie zrzekły się prawa swobodnéj sprzedaży węgla w inne ręce. Biuro sprzedaży przyjmuje obstalun-

---

[1]) Br. Schönlank „Ein Kapitel aus der urkundlichen Geschichte der Kartelle—Archiv für Soziale Gesetzgebung und Statistik, t. V, r. 1892, str. 403.

ki, podejmuje się dostaw i rozdziela ilości sprzedane między pojedyncze kopalnie.

Ogólne zebranie akcyonaryuszów, w którém nikt więcéj jak 50 akcyi (to jest 50 głosów) miéć nie może, wybiera radę zarządzającą i ustanawia ceny minimalne, na jakich fabryki rachują się z towarzystwem. Zysk, wynikły ze sprzedaży ponad te ceny, idzie na korzyść syndykatu, który z niego pokrywa koszta administracyi i odkłada 5% na kapitał rezerwowy, a resztą dzieli się po połowie z kopalniami. W ten sposób całość zysków biorą kopalnie, ale połową, dzielą się proporcyonalnie do posiadanych akcyi, a drugą połową proporcyonalnie do ilości wyprodukowanego węgla. Ścisłego wykonania umowy przestrzega rada nadzorcza towarzystwa, która nakłada kary od 500—1,000 marek od każdego podwójnego wagonu za sprzedaż węgla wbrew umowie w inne ręce, kopalnie zaś, każda z osobna, mają prawo przez swych delegatów rewidować księgi towarzystwa akcyjnego. Towarzystwo ma prawo zawierać kartele z innemi kopalniami i związkami kopalń i co miesiąc składa kopalniom sprawozdania o obrotach swoich, ma prawo ograniczyć produkcyę kopalń proporcyonalnie do ustanowionych norm, i nakoniec ma prawo, w razach wyjątkowych, dla usunięcia konkurencyi, sprzedać węgiel po cenie niższéj od ceny syndykalnéj. Rachunki z kopalniami regulują się co miesiąc. Umowy na odstąpienie produkcyi zawarto na lat 5, to jest do 30 września 1895 r. Organizacya ta działa, jak dotąd bez zarzutu.

W taki sam sposób uorganizowany jest „Westfalski kartel koksowy w Bochum“, — a w podobny: kartel węgla kostkowego (brykiet) w Essen. Ten ostatni ma wspólne biuro sprzedaży, ale biuro to nie stanowi osobnego towarzystwa i działa na mocy specyalnych upoważnień i kontraktów zabezpieczonych wysokiemi karami, a działanie jego jest tak skuteczne, że cena brykiet za tonnę z 40 marek w r. 1887 podniosła się w r. 1888 do 52 m., w r. 1889 do 65 m., a w r. 1890 do 123 m.

Przedstawiliśmy nieco obszerniéj organizacyę karteli sztucznych nawozów i węgla kamiennego, jako dwóch typowych form związków niemieckich. Nim jednak opuścimy Niemcy, musimy zrobić krótki ogólny przegląd kartelów przemysłu żelaznego, aby pokazać, jak w danéj sferze przemysłu zsyndykowanie jednéj gałęzi prowadzi do zsyndykowania drugiéj, a z czasem do zsyndykowania całéj sfery przemysłu.

Przemysł żelazny liczy związków nie mało. Spadek cen koło r. 1880 silnie się do tego przyczynił, a koncentracya przemysłu żelaznego w niewielu fabrykach towarzystw akcyjnych, ułatwiająca

kontrolę nad produkcyą, cenami i zyskami, poparła znakomicie stworzenie syndykatów.

Pod naciskiem najsilniejszego spadku cen, w r. 1887 utworzył się Westfalsko-nadreński związek surowcowy, który przez zmniejszenie produkcyi o 10%, spadek cen powstrzymał. Zawarty na 3 lata (1886, 1887, 1888) przedłużony został potém do końca 1889 r., a następnie do końca 1891 r. — i powoli przeszedł od stałego oznaczenia produkcyi i cen do innych zarządzeń. Zwyżka cen surowca musiała wywołać utworzenie się związków wśród fabryk przerabiających surowiec. W r. 1887 zawiązały syndykat walcownie żelaza szląskie i westfalsko-nadreńskie fabryki blachy; w r. 1888 zsyndykowano fabryki blachy górno-szląskie, które ze związkiem nadreńskim założyły w r. 1890 wspólne biuro sprzedaży blachy w Berlinie. Związki fabrykantów blachy białéj datują się od r. 1862-go. Zamierzony w r. 1890 ogólny niemiecki związek fabryk wszelkiéj blachy do skutku nie doszedł.

Pomiedzy fabrykami drutu pierwszy związek powstał w 1885 r., rozwiązany i odnowiony w r. 1886 urządził wspólne biuro sprzedaży drutu; wskutek tego zsyndykowali się zaraz fabrykanci gwoździ drutowych, ale oba związki w następnym roku upadły; związki fabryk wagonów i lokomotyw datują od r. 1877. Szyny kolejowe są zsyndykowane od r. 1871, a po upadku w r. 1886 syndykatu międzynarodowego, do którego należały prawie wszystkie fabryki szyn w Europie, zawiązano w Niemczech w r. 1891 kartel szynowy wewnętrzny niemiecki i niemiecko-austryacki w przedmiocie dostawy szyn dla kolei państw półwyspu Bałkańskiego. Po roku 1887 zapał do zawiązywania syndykatów ogarnął już wszystkich: zawiązano kartele odlewni żelaza, rur żelaznych wogóle i rur gazowych, odlewni liter, fabryk holzszrub, chłopców do butów, zamków, kłódek, młynków do kawy, wózków dziecinnych, etc. W początkach kartele te zdołały podnieść ceny swoich wyrobów, ale tém samém wywołały założenie nowych fabryk, nową konkurencyę i nowy spadek cen, kończący się zwykle zerwaniem kartelu. Z zawiązanych w drobnym przemyśle żelaznym w r. 1887 karteli, istniały do r. 1891 tylko kartele fabrykantów łopat, szpadli, łyżek kuchennych i lemieszów, a to dzięki umiarkowaniu ich kierowników w wywoływaniu zwyżki cen na towary.

Na szczególną uwagę zasługuje jeszcze związek prochowo-dynamitowy, jako organizacya przejściowa między kartelami niemieckiemi i trustami amerykańskiemi.

Starania o skartelowanie fabryk prochu, wywołane nadprodukcyą, zaczęły się już w r. 1881. Fabryki niemieckie zachodnie już

w tym roku zawarły między sobą konwencyę. Po nich skartelowały się fabryki nadreńskie, a w r. 1889 r. oba te związki połączyły się i wciągnęły do ligi trzy największe fabryki niemieckie. Oznaczono ceny, ograniczono produkcyę i ustanowiono podział wspólnych zysków. W r. 1890 fabryki nadreńskie i jedna z owych 3-ch wielkich fabryk (hamburska) zlały się w jedno towarzystwo akcyjne z kapitałem 16,500,000 marek, które w ten sposób otrzymało głos stanowczy w sprawach niemieckiego przemysłu prochowego.

W r. 1886 utworzono w Anglii i Ameryce syndykat fabryk dynamitu z kapitałem 40,000,000 marek. Weszło do niego 8 największych fabryk Anglii i Niemiec. W r. 1889-ym „Dynamit Trust C-y“ weszła w porozumienie z największemi amerykańskiemi fabrykami materyałów wybuchowych i w tymże roku zawarła umowę z kartelem niemieckim. Fabryki prochu stanowią w tym truście osobną „Unię“. Zyski trustu w jeden gromadzą się fundusz, i dzielą się w ten sposób, że 40% biorą fabryki prochu, a 60% fabryki dynamitu. Kary umówione dochodzą do 1,500,000 marek. Umowa miała działać do końca r. 1895. W roku 1890 odnowiono ją: zasada podziału zysków pozostała ta sama, ale niemieckie fabryki prochu zobowiązały się włożyć 1,000,000 marek na techniczne ulepszenia produkcyi [1]) i cały kontrakt odnowiono na lat 35, to jest do 31 grudnia 1925 r.

Kończymy te kilka charakterystyk karteli niemieckich uwagą: że w literaturze niemieckiéj spotkaliśmy wiele cyfr, dotyczących zysków syndykalnych, ruchu cen przez zawiązanie i rozwiązanie karteli wywołanego, wzrostu i zmniejszenia produkcyi, etc., ale nie spotkaliśmy się nigdzie z próbą faktycznego stwierdzenia wpływu syndykatów na zarobki, z usiłowaniem dowiedzenia cyframi i faktami, że kartele na los klasy robotniczéj wpływają dodatnio. Od r. 1886 kurs akcyi kopalni węgla kamiennego w Westfalii i na Szląsku podniósł się na 60—70%. Płace robotników w obu tych okręgach pozostawały długo na tym samym poziomie: przy dążeniu syndykatów do ograniczenia produkcyi rocznéj, inaczéj nawet być nie mogło. Dopiéro gdy w ostatnich czasach konsumcya węgla kamiennego wzrosła,

---

[1]) Obok trustu dynamitowego angielsko-niemiecko-amerykańskiego, istniał oddzielnie inny syndykat dynamitowy: francusko-włosko-hiszpański, którego prezesem był senator francuski Le Guay, a sekretarzem sławny panamczyk Arton. Proces kryminalny o sprzeniewierzenie w tym syndykacie 4,000,000 franków sądzony był 14 lutego r. b. w Paryżu.

wskutek dwóch zmów robotników górniczych w r. 1890 i 1891, zarobki podniosły się na 30% [1]).

IV.

„Syndykat, to nie kwestya sentymentu — twierdzi najpoważniejszy dziennik handlowy new-yorski (*Daily Commercial Bulletin of New-York*) — to najgroźniejsze niebezpieczeństwo ekonomiczne dni naszych, to wykwit brutalnéj chciwości przemysłowców, rozpasanéj cłami protekcyjnemi, wylęgłéj w gorszących świat cały stosunkach kolejowych, która pod pozorem usunięcia zgubnych skutków konkurencyi zaostrza ją i przenosi na inne pole."

„Syndykaty — woła inna gazeta amerykańska tegoż obozu — to zbrodnia XIX-go wieku, równie niebezpieczna dla społeczeństwa jak inkwizycya, bardziéj rozkładowa niż anarchizm, ohydniejsza niż ubóstwienie pieniędzy, wstrętniejsza od łotrowstwa osadzonego w więzieniu, bo natrząsa się bezustannie z narodu, pytając go: „i cóż mi zrobisz?"

Już sam ton tych głosów dowodzi, że syndykaty amerykańskie mają charakter całkiem różny od niemieckich *Verbandów* i karteli; że nawet po zapisaniu znacznéj części tego uniesienia na rachunek amerykańskiéj przesady gazeciarskiéj i wolno-handlowych interesów, syndykaty amerykańskie są machinami wojennemi wielkiego kalibru i wielkiéj doniosłości. Czy są one następczém, ewolucyjném stadyum karteli niemieckich, wolno nam (mimo zapewnień Schönlanka) wątpić, tém więcéj, że i Steimann-Bücher, autor najlepiéj poinformowany i patrzący na syndykaty bez teoretycznych uprzedzeń, nazywa amekańskie trusty „nieprawidłowościami, potworami", zrodzonemi na gruncie syndykatów.

Specyficzny charakter syndykatów amerykańskich wypływa ze specyalnego charakteru kraju, w którym one wyrosły, a więc z charakteru północnego amerykanina, pochopnego do każdéj nowości, ze specyalnych form prawnych w Stanach zjednoczonych Ameryki północnéj istniejących, z zaciekłego protekcyonizmu panującego dotąd w sferach prawodawczych unii, i nakoniec ze znanéj światu korupcyi władz unii, w któréj nietylko syndykaty, ale wogóle wszelkie wielkie interesy prywatne (np. interesa właścicieli kopalni srebra) z łatwo-

---

[1]) H. Babled, „Les syndicats de producteurs et detenteurs de marchandises." Paris, 1893, str. 40.

ścią znajdują furtki do wprowadzenia swych wpływów na sale kongresu i senatu. Przy poziomie etycznym sfer rządzących unią, istnienie syndykatów samo w sobie jest niebezpiecznêm politycznie. Skoncentrowanie interesów danéj gałęzi przemysłu w jednych ręku, daje tym interesom większą siłę wobec prawa, sądu i państwa, niż ta, któréj tamte oprzéć się potrafią i tworzy rodzaj rządu w rządzie, z którym rząd unii liczyć się musi. Zapewne, wobec sprawiedliwych sądów i nieposzlakowanych prawodawców—niebezpieczeństwo takie nie istnieje, — ale wobec osłabienia publicznéj i politycznéj etyki XIX-go wieku, Panama w Paryżu i Sugar-Trust C-y w New-Yorku są zawsze możliwém źródłem kolosalnéj korupcyi.

„Trust“ jest specyalną formą syndykatu przemysłowego w Ameryce. Prawnie, wywodzi on swe pochodzenie od instytucyi syndyków „opiekunów“, których prawo naznacza nad majątkiem nieletnich i kobiét. Syndycy stanowią osobę prawną, zarządzającą majątkiem małoletniego lub kobiéty; osobę zawierającą umowy, stającą w sądach; są to plenipotenci nieodwołalni małoletniego lub kobiéty. Przypatrując się związkom przemysłowców niemieckich, widzieliśmy, jak trudnêm jest utrzymanie raz zawiązanego kartelu, jak często kartele rozsypują się przy pierwszéj zmianie konjunktur handlowych, przez proste wycofanie się fabrykanta ze związku; umowy o utrzymanie pewnych cen zawiązują się rzadko dłużéj, jak na rok 1; o unormowanie produkcyi nie na dłużéj, jak na lat 3 — 5; i dopiéro organizacya wspólnych biur sprzedaży, wywołuje umowy 5 do 10-cioletnie. Istotnie trwałemi są tylko „fuzye“, to jest zlanie się w jedno towarzystwo kilku fabryk, a tę formę syndykatu spotykamy w Niemczech niesłychanie rzadko.

W Ameryce „trust“ wypełnia przerwę między syndykatem a fuzyą. Jest on fuzyą czasową, na pewną ilość lat lub do pewnego oznaczonego terminu.

Przystępując do trustu, właściciel fabryki przestaje być czasowo jéj właścicielem, a zostaje za to *pro rata parte* współwłaścicielem wszystkich fabryk w związku zostających. Należący do trustu fabrykanci wybierają syndyków, którzy są samowładnymi panami całego przedsiębiorstwa. W ręce syndykatu właściciele składają nieodwołalne na pewien czas plenipotencye do działania i dowody prawne własności fabryki, a jeżeli fabryka jest towarzystwem akcyjném deponują akcye. Aby wprowadzić do trustu jakie towarzystwo akcyjne, dość jest, aby zdeponowaną została w syndykacie absolutna większość jego akcyi, taka ilość, która zapewnia syndykatowi stanowczą przewagę na ogólnych zgromadzeniach towarzystwa. Syndykat pozostawia zewnętrzną formę towarzystwa akcyjnego bez zmiany: rady

zarządzające i nadzorcze są wybierane co roku, ale faktyczny zarząd interesami towarzystwa jest w ręku syndykatu, który całe zyski (lub część ich proporcyonalną do deponowanych w syndykacie akcyi) włącza do ogólnych zysków syndykatu i rozdziela między jego członków.

W zamian za złożone plenipotencye dowody własności i akcyi, syndykat wydaje własne certyfikaty, udziały syndykalne „*shares*“ i tu ma miejsce pewna czysto amerykańska operacya, zwana „rozwodnieniem“ kapitału („*watering*“). Po dobrowolném ustanowieniu istotnéj wartości włączonych do syndykatu zakładów przemysłowych, ich właściciele otrzymują „udziały“ na 1½, 2 do 3-ch razy większą sumę nominalną. Procedura ta ma cel dwojaki: najprzód jeśli syndykat osiąga na przykład 15% zysku na istotny kapitał zakładowy, to stanowi tylko 5% na kapitał nominalny, zatém zmniejsza pozornie zyski syndykatu, co wobec opinii publicznéj ma duże zalety; powtóre, powiększając dwa lub trzy razy ogólną sumę, będących w obiegu certyfikatów trustu, ułatwia grę giełdową temi certyfikatami. Papiér przemysłowy o tyle tylko może się stać odpowiednim materyałem dla spekulacyi giełdowéj, o ile istnieje na rynku w wielkiéj ilości. Tylko akcye wielkich przedsiębiorstw: dróg żelaznych, kanałów (Suez, Panama) są przedmiotem spekulacyi giełdowych. Akcye wielkiéj nawet fabryki żelaza, cukru, mogą być przedmiotem spekulacyi, między nie wielką liczbą osób znających osobiście interes, ale nigdy nie staną się przedmiotom umów terminowych, na których zasadza się spekulacya giełdowa. Inna rzecz z udziałami syndykalnemi, np. syndykatu cukrowego, w którym indywidualność fabryk ginie, których zyski zależą od ogólnego stanu plantacyi buraków, od ceł, stanu rynku międzynarodowego na cukier, ilości fabryk pozostałych po za syndykatem, możliwości i prawdopodobieństwa ich przystąpienia do związku i t. d. Na giełdach amerykańskich wszystkie udziały wielkich syndykatów są przedmiotem zaciekłéj gry, w któréj rozumié się najczynniejszy udział biorą kierownicy trustów, tak, że zachodzi poważne pytanie: czy utworzenie trustu zrodziło spekulacyę? czy téż chęć stworzenia nowego obiektu spekulacyi zrodziła trust?

Pierwsze próby zmonopolizowania przemysłu na korzyść osób prywatnych powstały w Ameryce w sferze przemysłu transportowego, w sferze dróg żelaznych. Po ukończeniu wojny domowéj rozpoczęło się szalone budowanie kolei, popierane przez rząd Stanów Zjednoczonych przyznaniem zupełnéj swobody w zakładaniu nowych towarzystw i oddaniem im na własność w terytoryach, dotąd nie zajętych, obszernych posiadłości ziemskich po obu stronach toru kolejo-

wego. Towarzystwa dróg żelaznych były więc towarzystwami transportowo-kolonizacyjnemi, spekulującemi na cenie frachtu i na cenie ziemi. Nieograniczona swoboda budowania, wywołała ogromną ilość dróg konkurencyjnych, które, z chwilą ukończenia spekulacyi kolonizacyjnéj, nie były w stanie pokrywać wydatków eksploatacyjnych, i bankrutowały jedne po drugich. Śród niezwykłego zamieszania na rynku wartości kolejowych, jakie wówczas zapanowało w Ameryce, kilku odważnych kapitalistów skupiło w swych rękach kolosalne ilości tych chwilowo nie dających żadnego dochodu papierów, a uporządkowawszy stosunki, zmonopolizowawszy środki transportowe, podniosło ich dochody i podniosło wartość akcyi. Ograniczywszy konkurencyę, stali się oni właścicielami kolosalnych fortun, dyktatorami stosunków transportowych na najważniejszych liniach amerykańskich. Aby choć w przybliżeniu dać pojęcie o tém, co się wówczas działo w Stanach Zjednoczonych na rynku wartości kolejowych, trzeba pamiętać, iż ilość towarzystw kolejowych amerykańskich, które po swém zawiązaniu, bądź nie rozpoczęły budowy, bądź zbankrutowały, bądź też skupione zostały przez inne towarzystwa kolejowe, jedném słowem, ilość „niedonoszonych dzieci“ i „trupów kolejowych“ według podręcznika kolejowego Poorsa, wynosi przeszło 2,300 (dwa tysiącetrzysta), ilość zaś istniejących towarzystw wynosi prawie 3,000. Te trzy tysiące towarzystw posiadają około 200,000 mil angielskich dróg żelaznych, a około $^3/_4$ téj długości jest własnością 16-tu osób i syndykatów. Vanderbilt posiada 30,748 mil; Jay-Gould 12,267; 6 syndykatów po 6 do 9,000 mil, 8 osób i syndykatów trzyma w swych rękach resztę.

Zmonopolizowane w ręku kilku potężnych syndykatów i osób, drogi żelazne stały się środkiem eksploatowania kieszeni producentów, rolników i przemysłowców w sposób amerykański. Podwyższenie, lub obniżenie taryf na danéj linii stało się zależném od osobistego porozumienia się przemysłowca z radą zarządzającą drogi żelaznéj; stawki transportowe z jednéj miejscowości do tych samych stacyi, dla tych samych towarów stały się różne, dla różnych fabrykantów: droga żelazna miewała zawsze wolne wagony dla zboża jednego farmera, a nie miała ich nigdy dla zboża jego sąsiada. Właściciele fabryk poczęli składać radom zarządzającym drogami żelaznemi swoje bilanse dla przekonania ich, że przy danych stawkach taryfowych, muszą zamknąć fabryki i bardzo często odstępując członkom tych rad udział w zyskach fabryki, otrzymywali stawki, dające im możność zgniecenia konkurentów odwrotném ustosunkowaniem stawek.

Wydane 4 lutego 1887 r. prawo o uregulowaniu taryf kolejo-

wych „*Interstates Commerce law*“ zabroniło towarzystwom dr. ż. tak zwanych „pulek“ (*pools*) zmów, przepisało ogólne zasady ustanowienia taryf kolejowych i wyznaczyło osobną komisyę dla dopilnowania wykonania prawa. Początkowo sądzono, iż prawem têm nadużycia kolejowe pohamowane istotnie zostały. Ostatni jednak raport komisyi, złożony senatowi złudzenie to rozprasza [1]). Okazuje się, że taryfy są tylko publicznie jednakowe dla wszystkich — w istocie waga ładowanego towaru liczy się często niższa i fałszywie oblicza na korzyść wysyłającego, a gdy od r. 1889 na ten rodzaj obniżek i rabatów naznaczono karę (do 5,000 dolarów i 2 lata więzienia), drogi i wysyłający towar wynaleźli sposoby obejścia prawa. Między administracyą drogi a wysyłającym zjawia się agent, któremu droga odstępuje komisowe; kto sprawdzi: ile z tego komisowego bierze wysyłający? Tam zaś, gdzie niema agenta, droga płaci, dajmy na to, sekretarzowi wysyłającego domu pensyę, proporcyonalną do ilości wysłanego towaru. Komisya doszła obecnie do przekonania, że rabaty i obniżki istnieją nie publicznie, ale tajemnie, że zapobiedz takim obniżkom nie ma środka, bo przed sądem, wobec konstytucyi amerykańskiéj, nikt nie może być zmuszony do składania świadectwa, które go na karę sądową narazić może i dlatego sądowne stwierdzenie naruszenia prawa jest niemożliwém. W przekonaniu publiki amerykańskiéj, droga żelazna nie różni się niczém od innych przedsiębiorstw handlowych i w stosunkach z nią, jak w stosunkach z innym kupcem, każdy ma prawo dążyć do otrzymania warunków i cen najlepszych, jakie może otrzymać. Zaczyna się więc zjawiać przekonanie, że upilnować drogi mogą tylko drogi same; że tylko przez zniesienie zakazu „pulek“ (zmów) da się osiągnąć istotna jawność taryf, bez której wszelka interwencya komisyi będzie bezpłodną, że po zawarciu karteli, drogi konkurencyjne, których interesa przez tajemne rabaty, będą również narażone, będą same starać się o dowody i o złożenie ich w sądach.

Opinia publiczna w Ameryce domagała się oddawna prawa, ograniczającego wolność syndykatów przemysłowych. Pod jéj naciskiem w 1888 roku, aż trzy ciała prawodawcze: senat stanu New-York, kongres Stanów zjednoczonych i parlament kanadyjski, zarządziły ankiety dla wyjaśnienia stanu rzeczy. Parlament kanadyjski zaraz w 1889 r. wydał prawo, nakładające kary na zmowy, mające na celu wygórowane podniesienie cen i usuwanie konkurencyi środkami gwałtownemi prawu przeciwne.

---

[1]) J. A. Hill „Das Interstates Commerce Law“ w Conrada Jahrbücher za 1893 r., marzec. str. 363.

W Stanach Zjednoczonych 2 lipca 1890 roku kongres uznał za nieprawne i ulegające karze wszelkie umowy i syndykaty, mające na celu ograniczenie lub zmonopolizowanie handlu i przemysłu, polecił prokuratorom unii sądowe ściganie ich, a każdemu przez nich pokrzywdzonemu przyznał prawo domagania się na drodze sądowéj odpowiedniego wynagrodzenia. Prócz tego wiele stanów oddzielnych wydało w latach 1888 i 1889 postanowienia, zabraniające syndykowania się w celu zmonopolizowania handlu i przemysłu. Nakoniec praktyka sądów amerykańskich ustaliła zasadę, że towarzystwa akcyjne nie mają prawa być akcyonaryuszami nowych towarzystw, ani członkami syndykatów — a przystępując do nich, tracą charakter osoby prawnéj, nadany im przez ustawę. Wszystkie te prawa, postanowienia i zasady nie zniosły istniejących trustów i nie bardzo nawet ograniczyły ich działalność. *Attorney general* nie kwapi się z pociąganiem do sądu członków trustów; dla prywatnych dowodzenie sądowe pokrzywdzenia, zmonopolizowania, wygórowania cen, jest prawie niemożliwém. Co zaś do przepisów, dotyczących regestrowania nowych trustów i towarzystw akcyjnych, to niektóre pojedyncze stany, mające prawo przepisy te ustanawiać, nie wydają praw, ograniczających trusty i stają się przez to prawdziwą ich tarczą. Inne znów posuwają się w nienawiści swéj dla trustów tak daleko, iż wydają prawa, które sąd najwyższy unii, jako z konstytucyą niezgodne, znosi. Stan Texas — przeważnie rolniczy — wydał prawo w 1889 r., uznając trust za spisek (*conspiracy*), nakładające na biorących udział w truście, kary, od 50 do 5,000 dolarów i od 1 do 10 lat więzienia. Towarzystwa akcyjne, któreby w truście udział wzięły, tracą swe prawa, — wszystkie umowy i kontrakty przez trust zawarte, są nieważne, — a dla stwierdzenia istoty czynu karygodnego, wystarcza tylko opinia publiczna, że trust był zawarty. Nakoniec art. 13 prawa stanowi, że nie stosuje się ono do zmów fermerów co do zboża i bydła. Stan Missouri, który w tymże roku podobne prawo wydał, zażądał od wszystkich towarzystw akcyjnych, w stanie tym siedlisko mających, deklaracyi (*affidavit* — pod gotowością przysięgi), że do trustów nie należą i zapowiedział zniesienie towarzystw, któreby takich deklaracyi nie złożyły. 700 towarzyst akcyjnych odmówiło złożenia deklaracyi. Sekretarz stanu Texas rozwiązał je — ale sąd okręgowy w St. Louis i rozporządzenie to i samo prawo zniósł. Od r. 1890 obowiązuje prawo ogólne, przez kongres wydane, jest ono jednak słabo wykonywane, a przy zapewnionéj konstytucyą swobodzie stowarzyszania się, ograniczenie w drodze prawodawczéj trustów jest bardzo trudne i prawie niemożliwe.

Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, obejmując w roku bieżącym swój urząd, obiecał zająć się sprawą syndykatów. Nieodpowiednie postanowienia prawa mogą jednak mieć ten skutek co w sferze taryf kolejowych, że syndykaty staną się tajnemi sprzysiężeniami, z któremi walka będzie jeszcze trudniejszą.

Związek genetyczny pomiędzy trustami, a zmonopolizowaniem dróg żelaznych, najwyraźniéj występuje w historyi najsławniejszego i w Ameryce i na całym świecie syndykatu, syndykatu naftowego, noszącego urzędową nazwę: „*Standard Oil Trust Company.*“ Od niego zaczynamy téż galeryę amerykańskich trustów.

Ześrodkowanie znanych dotychczas źródeł nafty w kilku miejscowościach globu — ułatwia znakomicie wszelki monopol w sferze przemysłu naftowego. Najobfitsza okolica naftodajna amerykańska leży w dwóch stanach: Pensylwanii i Ohio. Eksploatacya źródeł naftowych téj okolicy, sięga roku 1857. W miarę wzrastania produkcyi, zawiązywały się coraz to potężniejsze towarzystwa akcyjne do wiercenia studzien, zakładania rafineryi i budowania rezerwoarów. Transport nafty surowéj i rafinowanéj uskuteczniano początkowo w beczkach drewnianych, potém wagonami-cysternami a w końcu rurami naftociągowemi, mającemi setki mil długości. Wydobywanie surowéj nafty, rafinowanie i dostarczanie nafty surowéj do rafineryi, a rafinowanéj na brzeg morza i do główniejszych miast kraju, stanowią trzy główne działy tego przemysłu.

W r. 1872 nie najbogatszy z przemysłowców naftowych, John D. Rockfeller zorganizował pierwszy syndykat naftowy, pod firmą: „*the South Improvement C-y,*“ mający na celu uregulowanie transportów nafty, wysyłanéj na brzeg Atlantyku, a wciągnąwszy do téj umowy założone przez niego także, towarzystwo „*Standard Oil C-y of Ohio,*“ kilka najpotężniejszych rafineryi naftowych i paru kapitalistów, zgłosił się do trzech towarzystw kolejowych, wożących głównie naftę („*Pensylwania,*“ „*Erie*“ i „*New-York Central. rr*“), nakłonił je do zawarcia umowy (*pool*) z „*South Improvement C-y*“ o uregulowanie przewozu nafty na tych kolejach żelaznych, t. j. o równomierny rozkład transportów między drogami. Jako wyrówniacz, *evener* transportów, „*South-Improvement C-y*“ miała otrzymać rabat od beczki od 70 ct. do 3 dol. stosownie do odległości, od wszystkich transportów, zarówno od wysłanych przez „*South Improvement C-y*“ jak też i od wysłanych przez innych konkurentów. Historya nie wspomina jakie motywy kierowały członkami rad zarządzających kolejowych, przy zatwierdzaniu téj umowy; o wiarogodności tego nieprawdopodobnego kontraktu wątpić trudno: treść jego główną, podają zarówno „*Daily Commer-*

cial Bulletin of New-York," jak i S. W. Jenks w „*Conrada Jahrbücher.*"

Podobno drogi żelazne zastrzegły sobie prawo udzielania takiego rabatu każdéj innéj firmie, któraby oddała do przewiezienia w ciągu roku równie wielką ilość nafty co „*South Improvement C-y,*" ale ten wypadek faktycznie był niemożliwy. Przy takim kontrakcie obniżyć cenę nafty i zgnieść konkurentów, zmusić ich czy to do zamknięcia fabryk, czy do wejścia do syndykatu, czy téż do sprzedania fabryki, było już rzeczą nie trudną. Między r. 1872 a 1882 „*South Improvement C-y*" oczyściła grunt z nieprzyjaciół, a na ankiecie parlamentarnéj kongresu Stanów Zjednoczonych w r. 1888 złożono listę 74 zrujnowanych właścicieli rafineryi naftowych, z których najszczęśliwsi sprzedali syndykatowi swe zakłady, za połowę ich wartości. „Nie siłą kapitału — powiada Ashroth [1]) — pozbawieni zostali właściciele rafineryi niezależności (dodajmy i majątku), ale przez stanowisko poważne jakie mister Rockfoller zdobył sobie w téj gałęzi przemysłu, dzięki jego osobistéj energii." Walka ta nie obeszła się bez bitew: był czas, że wobec nacisku opinii publicznéj, umowa z kolejami musiała być zerwana: odnowiono ją znowu w r. 1874 z rabatami mniejszemi. Nie należące do związku rafinerye probowały się ratować, zakładając wspólnemi siłami połączenia rurowe od źródeł nafty do rafineryi, — ale koléj Pensylwańska nie zgodziła się na przeprowadzenie rur ani pod torem ani nad torem i zmusiła ich do założenia basenów, po obu stronach toru i przewożenia ropy naftowéj z jednego basenu do drugiego w beczkach końmi. Koło r. 1877 najpoważniejsi konkurenci już byli usunięci. W r. 1879 — 1880 syndykat powołał do życia parę nowych towarzystw akcyjnych, które wybudowały połączenia rurowe od okolic naftowych do brzegów morza i do znaczniejszych miast unii, a 2 stycznia 1882 r. uorganizowano ostatecznie syndykat naftowy pod firmą „*Standard Oil Trust C-y.*" Weszło do niego około 40 towarzystw akcyjnych i kilku kapitalistów. Właściciele prywatnych zakładów przemysłowych, do trustu wchodzących, zobowiązali się zorganizować je w towarzystwa akcyjne i akcye zdeponować syndykatowi. Według umowy, do trustu dopuszczono nie towarzystwa akcyjne jako takie, ale ich akcyonaryuszów, o ile ci składali w akcyach większą połowę kapitału towarzystwa. Jaka była wartość rzeczywista oddanego w ręce trustu majątku towarzystw i osób zsyndykowanych, orzec trudno. Początkowo emitowano certyfikatów

---

[1]) Die americanischen Trusts als Weiterbildung der Unternehmer Verbände. Archiv für Soziale Gesetzgebung und Statistik, t. II, 1889 r., str. 391.

syndykalnych na 70,000,000 dol.; z biegiem czasu kapitał powiększono do 90 m. a według zapewnień mister Rockfellera wartość majątku syndykatu w r. 1890 wynosiła 148,000,000 mil. dol. Kurs 100 dolarowego certyfikatu w latach 1890—1—2 był 165—225—169 dol. Umowa z r. 1882 w niczém nie zmieniła organizacyi pojedynczych do syndykatu przystępujących przedsiębierstw. Oddzielne towarzystwa akcyjne odbywają swe posiedzenia, obiérają rady zarządzające, mianują dyrektorów, kasyerów, buchalterów — ale wszystko to dzieje się zgodnie z wolą syndykatu, który składa się z dziewięciu członków, wybranych na ogólnych zebraniach właścicieli udziałów syndykalnych. Syndykat inkasuje wszystkie zyski i dzieli je pomiędzy właścicieli udziałów. Każdy z dziewięciu członków syndykatu pobiéra 25,000 dol. pensyi rocznéj, prezes, pan Rockfeller 30,000. Jestto więc jedno wielkie przedsiębiorstwo, kierowane zbiorową wolą dziewięciu członków. Od woli syndykatu zależy pojedyńczą rafineryę, lub kopalnię, nafty rozszerzyć, lub zamknąć. Jeżeli pozostali po za syndykatem akcyonaryusze źle na tém wychodzą, tém gorzéj dla nich, że się do syndykatu nie przyłączyli. Termin trwania umowy oznaczono na 21 lat od śmierci ostatniego członka syndykatu, który umowę tę podpisał. Z powodu sporu, jaki w r. 1887 wynikł co do kontraktu, zawartego o ograniczenie produkcyi surowéj nafty, mamy niejakie wskazówki o tém, jak syndykat zapobiega spadkowi cen nafty.

W listopadzie, 1887 „*Standard Oil C-y of New-York*,“ należąca do „*Standard Oil Trust*,“ zawarła z nienależącymi do syndykatu producentami surowéj nafty (*Producers protecting association of the oil fields*) umowę, mocą któréj ci ostatni zobowiązali się na rok ograniczyć produkcyę do 17,500 beczek dziennie (4,950,000 rocznie), za co „*Standard Oil C-y of New-York*“ obiecała im oddać różnicę ceny na 5,000,000 beczek oczyszczonéj nafty pomiędzy 62 cts. a ceną średnią w ciągu roku otrzymaną. Aby wykonać tę umowę „*Protecting association*“ weszła znów w umowę ze związkiem robotników w kopalniach nafty „*Dwell-Driller Union*,“ którym za zmniejszenie płacy roboczéj proporcyonalnie do zmniejszonéj długości pracy dano różnicę ceny na 2,000,000 beczek oczyszczonéj nafty od 65 cts. do téj saméj ceny średniéj w ciągu roku otrzymanéj (Ashroth *l. c.* str. 394).

„*Standard Oil Trust*,“ obecnie już nie istnieje. Chorował on oddawna na legalność i filantropię, dowodząc, że chce zawsze być z prawem w zgodzie i obniżać cenę nafty. Od r. 1890 przygotowywano się pod naciskiem prawa o trustach do likwidacyi a gdy 1 marca 1892 r. sąd stanu Ohio wyrzekł unieważnienie umowy syndykalnéj,

ogólne zgromadzenie właścicieli udziałów postanowiło interesa trustu zlikwidować. Zamiast trustu, utworzono 5 wielkich towarzystw akcyjnych (majątek trustu położony był w pięciu stanach unii), p. Rockfeller objął kierownictwo główne wszystkich pięciu towarzystw i... monopol nafty amerykańskiéj istnieje jak istniał. Obrońcy tego trustu dowodzą, że obniżył on ceny nafty — do kwestyi téj powrócimy późniéj.

Drugim z kolei, co do znaczenia i wielkości, ale pierwszym co do nienawiści, jaką wywołał wśród obywateli Stanów Zjednoczonych jest tak zwany "*Big-Trust*," wielki syndykat cukrowy „*Sugar-Trust.*" Założony on został 16 sierpnia 1887 r. na zasadzie umowy między pojedyńczemi rafineryami akcyjnemi, które do umowy przystąpiły, jako towarzystwa akcyjne i kilku rafineryami prywatnemi, które zobowiązały się wkrótce zmienić na towarzystwa akcyjne. Akcye towarzystw zostały zdeponowane w całości w syndykacie, składającym się z jedenastu osób. Umowa, któréj osnowę w całości podał Aschrott [1]), zawiéra wyraźnie wypowiedziane cele związku: 1-o ułatwienie zaprowadzenia oszczędności w administracyi i technicznych procesach, a to dla utrzymania cen cukru na możliwie najniższéj stopie z umiarkowanym zyskiem; 2-o dostarczenie każdéj rafineryi środków zaprowadzenia najlepszych i najtańszych sposobów i urządzeń znanych; 3-o zabezpieczenie zsyndykowanych fabryk od przeciwnych prawu zmów robotników; 4-o niedopuszczenie pogorszenia gatunku cukru; 5-o wogóle popiéranie interesów członków syndykatu w sposób właściwy i z prawem zgodny (*with lawful and suitable ways*).

Administracya pojedyńczych rafineryi pozostała pozornie w ręku dawnych zarządów, ogólne zebrania zwoływały się w dalszym ciągu, w rzeczywistości jednak zarząd przeszedł w ręce jedenastu wybranych *trustees* syndyków, którzy decydują kogo zgromadzenie ma wybrać i jakie postanowienie ma uchwalić.

Ogólną wartość rafineryi, które początkowo przyjęły udział w syndykacie, obliczono na 15,000,000 dol., z czasem wartość ich powiększyła się do 35,000,000 dol., nominalny zaś kapitał składał się w styczniu 1892 r. z 25,000,000 dol. 7% obligacyi i 25,000,000 udziałów (*shares* — akcyi) a na zakup nowych w r. 1892 postanowiono emitować 25,000,000 nowych papierów w połowie obligacyi, w połowie udziałów. Prócz tego, emitowano na kapitał obrotowy 10,000,000 dol. obligacyi 6%, co razem stanowi 85,000,000 dol. nominalnego

[1]) Aschrott, l. c., str. 413.

kapitału przy 35,000,000 istotnéj wartości. Pół centa cła od zagranicznéj rafinady broni rafinerye amerykańskie od konkurencyi zagranicznéj, do tego należy dodać $^1/_8$ centa naturalnéj protekcyi (to jest ceny transportu) tak, że istotna różnica ceny na korzyść rafinera amerykańskiego, wynosi $^5/_8$ centa na każdym funcie cukru.

Ostatniemi konkurentami trustu były rafinerye philadelfijskie i kalifornijskie Claus Spreckelsa. W czasie układów o ustanowienie cła na cukier, mister Spreckels usilnie domagał się utrzymania cła na $^1/_2$ cts. z funta, twierdząc, że dla wytrzymania konkurencyi z „*Sugar-Trustem*“ cło tak wysokie jest koniecznie potrzebne. Jak tylko jednak to cło zatwierdzoném zostało, mister Spreckels, sprzedał swoje rafinerye filadelfijskie syndykatowi, który natychmiast cenę cukru podniósł. W początkach r. 1892, panowanie syndykatu cukrowego w Stanach Zjednoczonych było zapewnione. Przyjmowało w nim udział 18 rafineryi z przerobem dziennym 44,800 beczek dziennie. „*New-York Daily Commercial bulletin*“ z 8 kwietnia 1892 r. oblicza, że syndykat cukrowy pobiéra z ludności Stanów Zjednoczonych co roku 15,356,000 dol. podatku. Zamiast bowiem zysku słusznego $^1/_4$ cts. na funcie, to jest 81 $^1/_4$ cts. na beczce rafinady przy cenie 3 $^1/_8$ cts. za funt surowego i 4 cts. za funt rafinady — bierze on 4$^3/_8$ cts. za funt, to jest $^3/_8$ cts. po nad $^5/_8$ kosztów rafinowania i $^1/_4$ zarobku. Te $^3/_8$ cts z funta, stanowią 121$^5/_8$ ctc. na beczce a na 12,600,000 beczek wyżéj rzeczone 15,356,000 dol. Przy $^1/_4$ ctn. zysku na funcie, syndykat zarabiałby 10,237,500 dol. rocznie, co po opłaceniu 6% od 10,000,000 obligacyi i 7% od 37,000,000 obligacyi, dawałoby jeszcze 18,7% dywidendy. Obecnie zaś 10,237,500 + 15,356,000 daje 25,593,500 dol. rocznie, co po opłaceniu procentów od obligacyi, daje 59,65% na udział.

Nie obojętną może dla naszych czytelników będzie wiadomość, że w napaściach na syndykat cukrowy, prasa amerykańska przytaczała i tę okoliczność, iż robotnicy w jego rafineryach płatni są o 15% niżéj od robotników innych fabryk i składają się przeważnie z Węgrów i Polaków. Pod naciskiem praw nowych i wyroków sądowych, unieważniających ustawy akcyjne towarzystw należących do trustu, syndykat cukrowy sprzedał symulacyjnie swój cały majątek syndykom, którzy ufundowali jedno towarzystwo akcyjne i akcye jego rozdali dawnym posiadaczom udziałów trustu. Stan finansowy jednak tego towarzystwa nie jest najświetniejszy. Akcye trustu emitowane po 75 dol., które kiedyś miały kurs 126, spadły na 67, a nawet na 49 dol.

Nie można w galeryi syndykatów amerykańskich nie wspomnieć o syndykacie wódczanym „*Whiskey-Trust*“. Powstanie swe zawdzięcza on niefortunnemu ustawodawstwu akcyznemu, które w r. 1866 nałożywszy akcyzę na spirytus, podnosiło ją kilka razy, a zawsze z bardzo odległym terminem wprowadzenia w wykonanie. Te długie terminy zachęcały spekulacyę do śpiesznego zakładania co raz to nowych małych gorzelni i powiększania starych w celu wyzyskiwania sytuacyi. Stale przez rząd podsycana spekulacya, wywołała w krótkim czasie taką nadprodukcyę spirytusu, iż większość gorzelni (wyjątek stanowiły tylko największe i najlepiéj technicznie urządzone), produkowała spirytus ze stratą. To téż bardzo wcześnie pomiędzy gorzéj położonemi i gorzéj urządzonemi gorzelniami zjawiło się silne dążenie do utworzenia syndykatu a w r. 1881 zawiązano piérwszą umowę (*pool*-pulkę), co do wywozu nadprodukcyi za granicę. Po wielu przejściach ostatecznie w r. 1887 zawiązano syndykat p. n. „*the Distillers and Catlle Feeders C.*“, zwany pospolicie *Whiskey-Trust*, w którym przyjęło udział 81 dystylarni. Największe i najlepsze do syndykatu nie przystąpiły. Do trudności, jakie wynikły z niezupełnego opanowania rynku, przyczyniło się jeszcze prawo, wydane o syndykatach przez stan Illinois, w którym się znaczna część gorzelni znajdowała. Zreformowano więc syndykat na towarzystwo akcyjne z kapitałem 31,021,600 dol. w czém dużo „wody“. Wojna z pozostałemi gorzelniami była tak zażarta, że wypadki pękania kotłów parowych w gorzelniach do syndykatu nie należących na jego karb kładziono. Wreszcie w r. 1891 syndykat kupił dwie największe w Stanach Zjednoczonych gorzelnie, i powiększył kapitał do 35,000,000 dol. Według niektórych ocen, wartość istotna fabryk zsyndykowanych dochodzi ledwie do 4,000,000 dol. Dla wciągnięcia jak największéj ilości fabryk, trust zawierał wiele kontraktów na wypłatę dożywotnich pensyi dawnym właścicielom i o najem dystylarni, czém obciążył dochody trustu na 500,000 dol. rocznie i ponosi do 100,000 dol. kosztów rocznych administracyi. Z 90 gorzelni należących dziś do związku, tylko 11 jest w biegu, 79 stoi zamkniętych, nie wielka ilość zamkniętych fabryk wynajęta jest na inny użytek. W r. 1889 średnia cena spirytusu w Peorii (główny rynek wewnętrzny w stanie Illinois) była 1 d. 5 ct. za gallon, w r. 1890 1 d. 17 ct., w r. 1891 1 d. 20 ct. Ten wzrost cen wywołał założenie kilku nowych dystylarni, tak, że produkcya syndykatu zamiast 90% ogólnéj produkcyi stanowiła w 1892 r. tylko do 70%, a cena obniżyła się znów do 1 d. 1 ct. za gallon, jednocześnie zaś rabat dla detalistów biorących spirytus trustu, musiano podwyższyć do 7 ct. na gallonie. W r. 1891 syndykat wydał dwie kwartalne

dywidendy po $1\frac{1}{2}\%$, to jest w stosunku 6% rocznie, co stanowi około 20 ct. zysku na przerobie gallonu. Dla opanowania rynku *Whiskey-Trust* musi kupić nowo założone gorzelnie, a jeśli opanowawszy rynek będzie znów odbijał się na wysokich cenach, to nowe fabryki znów zostaną założone i operacya ta może się powtarzać dopóty, dopóki właściciele udziałów syndykatu nie zrujnują się ostatecznie.

W skutek wiadomości o okradzeniu kasy trustu na 70,000 dol. przez jednego z dyrektorów i o zakładaniu nowych gorzelni, udziały „*Whiskey Trustu*" spadły w styczniu 1892 r. z $67\frac{1}{2}$ za 100 na 46 dol. W marcu 1892 r. dyrektorom tego trustu wytoczono w Bostonie proces o zmonopolizowanie handlu spirytusem i sztuczną zwyżkę jego ceny. Rezultat procesu nie jest nam wiadomy.

„*National Linsed Oil Trust*" zawiązał się między 50 producentami oleju lnianego w 1887 r., wartość fabryk wynosiła do 6,000,000 d., udziałów wypuszczono na 18,000,000 d. nominalnéj wartości. Najlepsze fabryki i tu zostały po za trustem. Trust opanował 60—70% produkcyi Stanów Zjednoczonych. Po wydaniu w stanie Illinois prawa o syndykatach, trust zamienił się w towarzystwo akcyjne. Starania syndykatu w epoce bilu M'Kinleya wywołały podniesienie cła od siemienia lnianego z 20 — 30 ct. na buszlu i zniesienie zwrotu cła od makuch, przez co dowóz morzem siemienia lnianego wynoszący około 700,000 buszli rocznie ustał, a wschodnie fabryki leżące blisko oceanu Atlantyckiego straciły główne źródło surowego materyału. Średnie ceny roczne, za gallon oleju lnianego wynosiły w New-Yorku w r. 1886—$41\frac{1}{4}$ ct., w 1887—$44\frac{5}{6}$ ct., w 1888—$55\frac{3}{4}$ ct., w 1889—$59\frac{1}{4}$, w 1890—$61\frac{1}{2}$, a w 1891—48 ct. Mimo nieurodzaju lnu w latach 1888 i 1889 zwyżka cen oleju była o wiele wyższą od zwyżki cen siemienia lnianego; pierwsza stanowiła 33% ceny 1886 r., druga 49%. Dla tego téż w sprawozdaniu za r. 1891 syndykat oświadczył, że nie udziela członkom szczegółowych danych o stanie finansowym towarzystwa, bo te mogłyby być użyte na niekorzyść syndykatu przez konkurentów. Kampania w r. 1889/90 dała 1,201,405 dol. zysku na kapitał 18,000,000 dol. Wydano 6,67% dywidendy na kapitał nominalny, które na 6,000,000 dol. istotnego kapitału stanowi przeszło 20%. Założenie nowych fabryk w r. 1891 zmieniło postać rzeczy. Trust poniósł 20,462 dol. strat, a chociaż komitet zapewnia, że straty te są chwilowe, musi dla dalszego powodzenia znów skupić nowe fabryki. W styczniu 1891 r. konferowano z temi nowemi fabrykami w Buffalo o unormowanie cen, ale umowa do skutku nie doszła, ceny oleju lnianego jeszcze spadły, a ruina posiadaczy udziałów trustu zdaje się być nie daleką. Obe-

cnie syndykat ten za przykładem „*Sugar Trustu*“ zamienił się w towarzystwo akcyjne.

W podobnéj, finansowo niepewnéj sytuacyi znajduje się i syndykat fabrykantów lin okrętowych i sznurów „*the Cordage Trust*“, zawiązany w r. 1891 po kilkokrotnym upadku konwencyi o ceny. Do trustu bezpośrednio należy 19 fabryk; 4 fabryki same oddały się pod kontrolę trustu, tylko 7 stoi po za nim. Kontrola syndykatu rozciąga się i na 11 fabryk w Kanadzie. Syndykat ogarnia w ten sposób 90% produkcyi lin i sznurów w Ameryce północnéj, ale koszta wynajmu i skupu fabryk, które z wejściem do syndykatu nie śpieszyły, przechodzą podwójną ich wartość. Trust zmuszony jest zatém ceny lin i sznurów ciągle pchać ku zwyżce, co wywołuje zakładanie nowych fabryk, przez spekulantów, mających na celu jedynie sprzedaż nowo założonéj fabryki za wysoką cenę trustowi.

Produkcya szyn nie pozostała téż i w Stanach Zjednoczonych bez zmowy. Zmowa ta jest może najsilniéj zorganizowana ze wszystkich syndykatów amerykańskich, chociaż właściwie trustu nie ma, gdyż fabryki prócz szyn mają inne jeszcze przedmioty produkcyi, umową nie objęte. Należy do niéj 6 fabryk z produkcyą roczną 3,145,000 tonn. W r. 1880 istniało 11 fabryk produkujących relsy stalowe; w latach 1880—86 przybyło jeszcze 4, a po 1886 także 2 fabryki, razem 17. Między 1886 a 1887 pięć fabryk zamknięto. „*The Illinois Steel C-y*“ pochłonęła trzy inne w Illinois istniejące; „*Carneggie C-o*“ skupiła dwie fabryki, a „*Duquesne Steel Works*“ skupiły jedną. Z 17 pozostały więc wzmiankowane 6, po za któremi istnieje jeszcze „*Colorado Coal et Iron C-o*“ z produkcyą 100,000 tonn. Czasowe konwencye zawiązywano w r. 1880 i w 1886/7, ale za każdą zwyżką cen, wywołaną nowemi zapotrzebowaniami, zakładano nowe fabryki, których konkurencya zrywała umowy. Skupy i fuzye r. 1890 wykończyły organizacyę.

Ceny w Pittsburgu wynosiły r.	1885	1886	1887	1888	1889	1890	1891
za tonnę surowca dol.	17,61 ct.	18,96	21,37	17,38	18,—	18,85	15,95
„ stalowych relsów dol.	28,50 ct.	34,50	37,08	29,83	29,75	31,75	29,92
Różnica t. j. zarobek fabryki dol.	10,89 ct.	15,54	15,71	12,45	11,25	12,90	13,97

Od r. 1891 ani jedna tonna relsów nie została sprzedaną niżéj 30 dol. *loco* fabryka, a z „*Illinois Steel C-y*“ (na zachodzie niżéj) 31 dol. 50 ct.

Mr. Wright „*the Comissioneer of Labour*“, dyrektor amerykańskiego statystycznego bióra pracy w sprawozdaniu swém twierdzi, że tonna relsów kosztuje fabrykę bez mała 22 dol. i to po cenach r. 1889 i 1890. Od tego czasu surowy materyał i zarobki obniżyły się o 10—15% i cena kosztu wynosi około 20 d.

Syndykat stalowy jest w oczach publiki amerykańskiéj monopolem najgorszego gatunku. Konkurencya zagraniczna powstrzymywana jest cłem 13 d. 44 ct. z tonny. W styczniu 1891 r. uczestnicy konwencyi odbyli posiedzenie w Filadelfii, podzielili się dostawami i oznaczyli cenę tonny na 30 d. dla wschodnich, a 31 d. 50 ct. dla zachodnich fabryk (*loco* fabryka). W r. 1891 syndykat wyprodukował 1,366,259 tonn relsów, to jest ⅓ swéj możliwéj produkcyi. Drogi żelazne starają się złamać syndykat ograniczając swe zapotrzebowania; ma to zły bardzo wpływ na bezpieczeństwo publiczne. Jeżeli zaś prokurator generalny stanów dotąd nie wniósł skargi przeciw fabrykom o naruszenia *Anti-Trust Law*, to, jak sądzą, tylko z racyi osobistych i politycznych związków, jakie utrzymują się pomiędzy kierownikami syndykatu stalowego i najwyższymi kierownikami rządu Stanów Zjednoczonych („*Dally Commerce Bulletin*“, kwiecień 1892 r.).

Dla dopełnienia téj galeryi amerykańskich trustów przytoczymy jeszcze parę.

„*Michigan Salt Association*“ wyrosła z innéj słabszéj organizacyi i w r. 1876 ogarnęła 85% produkcyi soli z jeziora Michiganu. Umowa zawarta była na lat 4, ale odnawia się zawsze po upływie terminu. Do związku należy każdy producent soli z tyloma udziałami, ile beczek soli dziennie produkuje. Zarząd składa 19 członków po jednym od każdéj firmy. Każdy członek robi kontrakt ze spółką, że całą produkcyę jéj odda do sprzedaży, że będzie robił sól dobrą, ale produkcya nie jest ograniczona: za sprzedaż na bok ustanowiona kara 10 ct. na baryłce. Nie sprzedaną w ciągu roku sól bierze syndykat w zastaw i daje zaliczenie. Za zamknięte zakłady towarzystwo żadnych bonifikacyi nie udziela. Wiadomości o sprzedażach są komunikowane członkom co miesiąc. Od r. 1876 do sierpnia 1887 ceny soli spadały z 72 ct. za baryłkę do 50 ct. W tym czasie większość producentów przystąpiła do umowy i ceny wzrosły do 57, 58, 60 ct. i 62 ct.

„*Standard Envelope C-y*“ syndykat fabryk kopert do listów istnieje w stanie Massachuset z kapitałem 5,100 dol. Celem jego jest regulowanie cen na koperty; połowę kopert zużywanych w Stanach Zjednoczonych produkuje syndykat. Należące do niego fabryki odnawiają co roku umowę, obowiązują się co miesiąc składać rzetelne sprawozdania o ilości sprzedanych kopert, i opłacać składkę proporcyonalną do ilości sprzedanych. Syndykat zawarł kontrakt z fabrykantami maszyn do robienia kopert na dostawę 24 maszyn co roku z warunkiem, że fabrykanci maszyn dla nikogo innego tych maszyn dostarczać nie będą.

Wyliczać wszystkich istniejących w Ameryce syndykatów nie-

podobna: obejmują one produkcyę ceraty i osełek, oleju z nasienia bawełnianego i fabryki gazu, rzeźników i handlujących mlékiem, telegrafy etc. etc. etc. W Kanadzie istnieje koalicya fabrykantów trumien z zakładami pogrzebowemi.

Lig farmerów amerykańskich do téj pory do syndykatów przemysłowych zaliczać nie możemy, nie mają one na celu ani podniesienia cen zboża ani ograniczenia jego produkcyi, walczą o wpływ na sprawy polityczne, a w sferze interesów ekonomicznych dążą do utworzenia instytucyi zmniejszających koszta produkcyi i transportu zboża; dla tego téż dążą wytrwale do zniesienia taryf protekcyjnych, zmów kolejowych, syndykatów przemysłowych i do ułatwień w sferze kredytu [1]).

Wpływ trustów na zarobki w Ameryce wyraził się ich obniżeniem. „*Whiskey Trust*“ z 90 fabryk zamknął około 60, „*Oil Standard C-y*“ zamknęła $^3/_4$ rafineryi nafty. Zmowa kopalni węgla w Pensylwanii zmniejszyła płace dzienne robotników (a pracuje ich tam 100,000) do $^3/_4$. „*Sugar Trust*“, który w umowie swéj wyraźnie wypowiedział wojnę koalicyom robotników, uwolnił w ciągu 24 godzin 20,000 robotników, a pozostałym 20,000 zmniejszył zarobki. W Ameryce istnieje przekonanie, że trusty są dla klasy robotniczéj instytucyami wrogiemi i w najwyższym stopniu niebezpiecznemi [2]).

---

[1]) Bliższe szczegóły o ligach farmerów znajdzie czytelnik w „Ateneum“ za rok 1892. t. I. str. 504.

[2]) Henry Babled „Les Syndicats“ etc., str. 97 i 98.



LISTY CZESKIE.

XXIII.

„Wpływ Czechów w Wiedniu chyli się do upadku."

Słowa te, charakteryzujące w bardzo wyraźny i znamienny sposób obecną sytuacyę polityczną narodu czeskiego, wyrzekł niedawno hr. Hohenwarth, mąż, który nigdy nie występował wrogo przeciwko narodowym dążeniom Czechów, i którego znane stanowisko w Wiedniu nadaje tym słowom znaczenie poważne. Jestto ten sam hr. Hohenwarth, który w r. 1871-ym, jako prezes ministrów, podpisał następujące orędzie królewskie do krajowego sejmu czeskiego:

„Sejmowi naszego królestwa Czech!

„Kiedy naszym patentem z 30 lipca 1870 r. zwołaliśmy sejmy naszych królestw i krajów do oznaczonych prawnie miejsc ich zgromadzenia, skłaniały nas głównie do tego owe wielce ważne wypadki, których widownią stała się Europa, i ku których zakończeniu i doniosłym następstwom zwrócona była cała nasza przezorność.—Pod opieką Boga powiodło nam się wobec tych burzliwych wypadków utrzymać dla naszego państwa dobroczynny spokój, i teraz możemy całkiem bezpiecznie poświęcić się nanowo pracom, które są zdolne wzmocnić nasze państwo nawewnątrz. — Jest naszém życzeniem, ażeby związek naszego królestwa Czech z całém państwem, którego rewizyę przyrzekliśmy w naszym reskrypcie z 25 sierpnia 1870 roku, został nareszcie uregulowany w sposób pod każdym względem spra-

wiedliwy i zadawalający. — Pomni na stanowisko prawno-państwowe Korony czeskiéj i świadomi sławy oraz potęgi, któréj Korona ta użyczyła nam i naszym przodkom, a nadto pamiętając niezłomną wierność, z jaką ludność kraju podtrzymywała zawsze nasz tron, uznajemy chętnie prawa tego królestwa i jesteśmy gotowi wypowiedziéć nanowo to uznanie przez naszą przysięgę koronacyjną. — Ale z drugiéj strony nie możemy się uwolnić od zobowiązań, któreśmy przyjęli na siebie przez nasz dyplom z d. 20 października 1860 r., przez zasadnicze ustawy państwowe z 26 lutego 1861 r. i 21 grudnia 1867 r., oraz przez naszą przysięgę koronacyjną, złożoną królestwu węgierskiemu. — Przyjmujemy przeto z otuchą do wiadomości skłonność, jaką sejm naszego królestwa czeskiego wyraził w swoich adresach z 14 września i 5 października 1870 r., ażeby prawa, dotyczące kraju czeskiego, pogodzić z wymaganiami potęgi całego państwa i z prawami innych królestw i krajów. — Wzywamy tedy sejm, ażeby w myśli téj rozpoczął swoją pracę i w duchu pokojowym i pojednawczym naradził się, jakim sposobem stosunki prawno-państwowe naszego królestwa czeskiego mogłyby być uregulowane zgodnie z wymaganiami czasu, i żeby w działalności swéj zmierzał do tego, iżby bez naruszenia praw innych naszych królestw i krajów została załagodzoną walka konstytucyjna, która, gdyby miała potrwać jeszcze dłużéj, musiałaby pomyślność naszych wiernych ludów wystawić na niemałe niebezpieczeństwa. — Dawszy naszemu rządowi dalsze polecenie, ażeby przedłożył sejmowi nową ordynacyę wyborczą, o któréj była już wzmianka w naszym reskrypcie z d. 26 września 1870 r., tudzież prawo, dotyczące obrony obu narodowości kraju, ślemy sejmowi nasze łaskawe cesarskie i królewskie pozdrowienie.—Dan w Wiedniu 12 września 1871 r.

Hohenwarth. *Franciszek Józef.*"

Przytoczyłem ten dokument historyczny w całéj rozciągłości, ponieważ właśnie w czasie obecnym nabiera on dla naszych stosunków narodowościowych osobliwego znaczenia. Wobec teraźniejszych rozpasanych krzyków ze strony młodoczechów, że partya staroczeska pod przewodnictwem d-ra Riegera nigdy nic w Wiedniu nie osiągnęła, dokument ten daje niezbity dowód, że staroczesi już w roku 1870 dla uznania praw politycznych narodu czeskiego sprawili i osiągnęli wszystko to, czego młodoczesi nigdy nie osiągną. Jeżeli wówczas obietnice i ustępstwa, dane Czechom, nie zostały spełnione

i urzeczywistnione, jeżeli przychylne dla Słowian ministeryum Hohenwartha już w październiku 1871 r. zniewolone było ustąpić ministeryum niemiecko-centralistycznemu, to nie jestto winą partyi staroczeskiéj, wiadomo bowiem już powszechnie, że wówczas Niemcy, zagrożeni w swéj hegemonii narodowéj, zwrócili się o pomoc do Berlina, i że stamtąd zostało dokonane obalenie ministeryum Hohenwartha, a przez to udaremnienie pragnień i usiłowań narodu czeskiego. Owe czasy należą już do historyi, więc dziś można to wypowiedziéć zupełnie otwarcie, że już w r. 1870, kiedy nie ulegało żadnéj wątpliwości, jakie skutki pociągną za sobą zwycięstwa Niemców nad Francuzami pod względem ukształtowania środkowo-europejskich stosunków państwowych, kiedy się stało już rzeczą jawną, że związek niemiecki przestał istniéć, i że należy się spodziéwać ogłoszenia cesarstwa niemieckiego z dynastyą Hohenzollerów, że przeto Austrya zostanie wykluczona z dawniejszego związku z krajami, które wejdą w skład wznawianego cesarstwa, — że więc przy takich stosunkach i widokach już wtenczas w austryackich kołach państwowych musiała powstać i stać się dobrze obmyślonym programem państwowym myśl, ażeby to państwo narodów na podstawie jego całkiem odrębnego składu postawić na jego własnych austryackich nogach, zważając przytém bacznie, żeby te własne nogi nie były znowu samemi tylko nogami niemieckiemi. W r. 1866 po zwycięstwie Prus nad Austryą został związek niemiecki zburzony, a utworzony związek północno-niemiecki pod przewodnictwem Prus. Austrya miała jeszcze wtedy nadzieję naprzeciwko temu związkowi północno-niemieckiemu zatrzymać hegemonię w innym, aczkolwiek nie ogłoszonym urzędownie — związku południowo-niemieckim, obejmującym Bawaryę, Wirtembergię i Badenię, do którego na wszelki wypadek można było zaliczyć jeszcze królestwo Saskie; ze względu zaś na taką południowo-niemiecką hegemonię leżało oczywiście w interesie Austryi, ażeby jéj połowie zachodniéj, tak zwanéj Przedlitawii zachować, o ile tylko można, charakter niemiecki i wskutek tego Niemcom w téj połowie cesarstwa zapewnić, o ile można, stanowisko właściwéj partyi państwowéj. Po r. 1870 względy te musiały z konieczności zniknąć, a wskutek tego można było pomyśléć także o należytém uwzględnieniu dążeń politycznych ludów nie-niemieckich. Hr. Hohenwarth podjął się téj ważnéj, wybitnie austryackiéj misyi, a orędzie cesarskie do sejmu czeskiego z 12 września 1871 r. pokazuje nam, w jaki sposób chciał ją wykonać. Orędzie to wszakże pokazuje nam jeszcze coś, czemu dziś młodoczesi poprostu zaprzeczają, mianowicie: jak wielki i znaczny wpływ czeska partya narodowa, czyli owi dziś tak przez

młodoczechów wyklinani staroczesi pod wodzą d-ra Riegera uzyskali byli już wówczas w wiedeńskich kołach państwowych; to też jeżeli hr. Hohenwarth teraz, wiosną r. 1893, wypowiada zdanie, że wpływ Czechów w Wiedniu chyli się do upadku, to z wszelką pewnością ma on przytém na myśli rok 1871, a stąd, nie nadwerężając prawdy, możnaby zapewne słowa jego wytłómaczyć w ten całkiem nienaciągany sposób, że młodoczesi nigdy nie uzyskają w Wiedniu tego, co staroczesi w r. 1871 już rzeczywiście osiągnęli.

Ale oświadczenie hr. Hohenwartha ma swoje osobliwe znaczenie nietylko względem owych dawno minionych i prawie zapomnianych czasów z r. 1871, lecz może być także zastosowane w całéj pełni do lat ostatnich. Po upadku ministeryum Hohenwartha przyszły na naród czeski ciężkie czasy politycznego ucisku i prześladowania przez niemieckie, tak zwane mieszczańskie ministeryum Herbsta-Giskry, nastąpiła potém abstynencya polityczna Czechów, któréj skuteczność, mówiąc nawiasem, została ostatecznie zniweczoną przez agitacyę młodoczechów; nareszcie w r. 1879 przyszło ministeryum Taaffego i jego rokowania z Czechami, co do ich ponownego udziału w rozprawach parlamentu wiedeńskiego. Ponowne wstąpienie Czechów do parlamentu doszło rzeczywiście do skutku; utworzył się tam nanowo „Klub czeski“, składający się z czeskich posłów Czech i Morawy, oraz z członków prawno-państwowéj partyi szlacheckiéj obu tych krajów. Przy liczbie członków izby poselskiéj, wynoszącéj 354 osób, klub ten, liczący zaledwie 60 członków, nie mógł naturalnie zająć stanowiska dominującego i był skazany na szukanie związku z innemi stronnictwami, ażeby zapewnić sobie jakiś wpływ i zyskać jaknajwiększe powodzenie dla swych usiłowań. Nie można było zatém prowadzić w Wiedniu polityki przebijania muru głową, lecz trzeba było poprzestać na kompromisach od wypadku do wypadku, ażeby odnośnie do pragnień i dążeń narodu czeskiego osiągnąć to, co było możliwe. W związku z posłami galicyjskiemi i klubami Niemców zachowawczych, stojących pod wodzą hr. Hohenwartha, byli Czesi członkami większości, przeciw któréj wystąpiła wrogo zjednoczona lewica niemiecka, wykluczona przez hr. Taaffego od rządów. Chodziło tu raczéj o zapobieżenie złemu, aniżeli o stworzenie dobrego, i dla każdego przenikliwego znawcy danych stosunków musiało być rzeczą zupełnie jasną, że delegacya czeska w Wiedniu nie jest bynajmniéj w stanie śmiałém natarciem usunąć wszystkie przeszkody, stojące na zawadzie spełnieniu życzeń narodowych w Austryi, lecz że zadanie jéj polega na zdobywaniu według okoliczności tego, co możliwe. Zadaniu temu delegacya ta pod wodzą d-ra Riegera najzupeł-

niéj sprostała; a jeżeli dziś młodoczesi ciągle powtarzają, że staroczesi z d-rem Riegerem na czele nie osiągnęli w Wiedniu nic, to zapominają oni widocznie o czémś, co przecież nie może być traktowane jako drobnostka, mianowicie o założeniu czeskiego uniwersytetu w Pradze. Ażeby nie wspominać o innych rzeczach, panowie ci o bardzo krótkiéj pamięci zapominają jeszcze o jednéj ważnéj okoliczności, mianowicie: że staroczesi, dopóki pozostawali w Wiedniu, w związku z kołem galicyjskiém i konserwatywnymi Niemcami przeszkodzili panowaniu wrogiéj dla Słowian lewicy niemieckiéj, téj saméj lewicy, któréj zasiadający obecnie w parlamencie młodoczesi przez swą tak zwaną „przebiegłą politykę“ dopomogli w najnowszych czasach do zajęcia dominującego stanowiska.

Jeżeli do tego dodam, że staroczesi pod wodzą d-ra Riegera i w związku z czeską partyą szlachecką wstąpili do parlamentu z uroczystém oświadczeniem, że będą się zawsze trzymali państwowoprawnego programu narodu czeskiego, i że usiłowali oni bez przerwy zjednać dla tego programu wysokie i najwyższe koła rządzące, że następnie w r. 1890-ym delegacya młodoczeska udała się do Wiednia z okrzykiem bojowym, iż wywalczy tam wkrótce uznanie dla tegoż programu, a tymczasem teraz hr. Hohenwarth oświadcza, że „wpływ Czechów w Wiedniu chyli się do upadku“, — to tym sposobem odpowiem chyba na pytanie, czy istotnie naród czeski zyskał na tak szybko dokonanéj zmianie w swojéj delegacyi do rady państwa. Owszem, zdanie tak kompetentnego sędziego mówi nam, że Czesi dawniéj posiadali niejaki wpływ w Wiedniu, i że wskutek działalności młodoczechów, jakkolwiek bardzo hałaśliwéj, wpływ ten coraz bardziéj maleje.

Nie można się temu bynajmniéj dziwić, jeżeli się zważy, przy jakiéj sposobności i z jakiego powodu kierunek naszych spraw przeszedł z rąk staroczechów do rąk młodoczechów. Aby zupełnie wyjaśnić tę rzecz łaskawemu czytelnikowi, streszczę jaknajkrócéj to, o czém już mówiłem w swoich listach. Większość ludności naszego kraju jest wprawdzie słowiańską, wynosi bowiem w okrągłych sumach 3 miliony Czechów i 2 miliony Niemców; ale jeszcze przed 50 laty Czechy były tak zgermanizowane, że istnienie narodu czeskiego można było zupełnie ignorować. Jeszcze przed 50 laty całe życie publiczne w Czechach było zupełnie niemieckie; językiem urzędów i sądów, językiem wykładowym w szkołach, językiem w stosunkach handlowych była niemczyzna, wszystkie miasta w Czechach można było uważać za miasta niemieckie, ponieważ zarówno w nich, jak i w saméj Pradze w życiu publiczném posługiwano się językiem niemieckim;

co więcéj, można powiedzieć, że przed 50 laty, z nielicznemi wyjątkami, każdy człowiek ukształcony był w życiu publiczném Niemcem lub przynajmniéj występował wszędzie jako taki, rodzinną zaś mową czeską, któréj nie uczono po szkołach, władał bardzo niedostatecznie, nie używał jéj częstokroć nawet w swojéj rodzinie, a tylko w kołach prywatnych, — zazwyczaj tylko w stosunkach z osobami niższych stanów. Jeszcze przed 50 laty rodzice czescy, którzy w gronie rodzinném używali tylko języka czeskiego, nakazywali surowo swym dzieciom, ażeby na ulicy mówiły tylko po niemiecku, co dowodzi, że nawet w takich rodzinach znajomość języka niemieckiego była uważana za nieodbicie potrzebną. Jeszcze przed 30 laty Niemcy w naszym sejmie mogli wystąpić z żądaniem, żeby językiem obrad sejmowych był wyłącznie język niemiecki, oficerowie zaś armii austryackiéj w lokalach publicznych nie mogli sobie pozwalać na głośne rozmawianie po czesku. Jeszcze w r. 1869 pierwszy „List z Pragi“, który zamieściłem wówczas w redagowanéj przez Schuselkę wiedeńskiéj „Reformie“, miał nagłówek „Robiona czeszczyzna“, a tendencyą tego artykułu było udowodnić, że powtarzane ustawicznie twierdzenie Niemców, jakoby cały ruch narodowy pomiędzy Czechami był tylko robiony, i jakoby narodowość czeska już zupełnie nie istniała, — że twierdzenie to jest błędne i że w Austryi potrzeba się nareszcie liczyć z rzeczywistém istnieniem narodowości czeskiéj.

Jeżeli tedy, mając to wszystko na uwadze, przypomnimy sobie, że staroczeska partya narodowa, traktowana przez Niemców jeszcze w r. 1869 jako sztuczne mamidło, jako pewnego rodzaju humbug polityczny, mogła już w r. 1871 r. poszczycić się takiém powodzeniem politycznėm, jakie widzieliśmy w orędziu cesarskiém do sejmu, jeżeli daléj zważymy, w jak trudnych warunkach tak znaczne powodzenie zostało zdobyte, to doprawdy, wyrażając się łagodnie, można się conajmniéj zadziwić, jak osobliwie krótką pamięć mają młodoczesi, powtarzający bez ustanku, że staroczesi nie osiągnęli w Wiedniu nic dla swego narodu. Czemu się jednak przy jakiéj takiéj obiektywności nie można wcale dziwić,—a okoliczność ta ma tutaj rozstrzygające znaczenie,—to oporowi, z jakim Niemcy czescy i ich naturalni sprzymierzeńcy, Niemcy austryaccy, występowali zawsze i wszędzie przeciwko uroszczeniom narodowym Czechów. Widzieliśmy już, że przychylne nam ministeryum Hohenwartha, w którém znalazło miejsce dwóch Czechów, Jireček jako minister oświaty i dr. Habětínek jako minister sprawiedliwości, zostało obalone przez wpływy berlińskie, a wiadomo powszechnie, że Niemcy znajdowali się również w najzaciętszéj opozycyi względem ministeryum Taaffego, ponieważ ten nie

chciał rządzić w sposób wprost nieprzyjazny dla Czechów. W stosunkach dawniejszych Niemcy z konieczności musieli się czuć panami w kraju czeskim, boć przecie i dziś jeszcze nie opuściła ich chęć panowania w zachodniéj połowie Austryi. Do tego przyłącza się fatalna dla Czechów okoliczność, że w wielkiém już obecnie cesarstwie niemieckiém istnieje potężna partya, która radaby to wielkie cesarstwo mieć jeszcze większém i która nie zaniechała dotąd nadziei, że wszystkie kraje dawniejszego związku niemieckiego, a szczególniéj bogate, przez naturę hojnie wyposażone Czechy ujrzy kiedyś połączonemi z cesarstwem niemieckiém. Owe 2 miliony Niemców czeskich stanowią w północnéj i zachodniéj części kraju zbitą masę i są tym sposobem najbliższymi swych spółplemieńców w rzeszy sąsiadami. Czują się oni nietylko mocniejszą, ale także umysłowo wyższą rasą w Czechach, i nikt im nie wybije z głowy, że wszelka oświata, wszelka sztuka i nauka w Czechach jest pochodzenia niemieckiego, ponieważ na ich szczęście husyci w swym zaciekłym fanatyzmie religijnym zniszczyli doszczętnie wszelkie pomniki sztuki rodzimej, jakie znajdowały się w obfitości po kościołach katolickich. Nie można się przeto dziwić, że Niemcy w Czechach zachowują się wrogo wobec naszych pretensyi narodowych i że nie chcą nawet nam przyznać równych praw i równego stanowiska w państwie, a wskutek tego jest rzeczą zrozumiałą, że nieszczęsna waśń narodowa pomiędzy Czechami a Niemcami jeszcze pozostaje nieukończoną, albowiem obie strony obstają przy takich pretensyach, które nie łatwo dadzą się pogodzić. Aliści po za tą walką narodowościową kryje się ciągle groźne dla Austryi niebezpieczeństwo. Każdy nieuprzedzony sędzia stosunków tutejszych, jeżeli je tylko dokładnie zna, musi się zgodzić, że rząd austryacki ma przed sobą o wiele trudniejsze zadanie, aniżeli rząd jakiegokolwiek innego państwa. Dopóki trwała monarchia absolutna, dopóty było możebném utrzymywać w Austryi rząd niemiecko-centralistyczny, którego programem była i musiała być germanizacya ludów nie-niemieckich. W r. 1848 rząd absolutny upadł; Niemcy w dobrze zrozumianym własnym interesie narodowym powinni go byli utrzymać; wówczas jednak i wśród nich odurzenie swobodą polityczną, które na nas spadło tak nagle, wzięło górę nad wszelką polityczną przezornością, i wiadomo przecież, że w r. 1848 niemiecki Wiedeń stał się głównem ogniskiem austryackiéj partyi rewolucyjnéj. Nie-niemieckie ludy Austryi poszły za przykładem Wiednia, a ponieważ ludy te pod dawniejszemi rządami były pokrzywdzone w swych prawach nietylko politycznych, ale i narodowych, więc podniosły one swój głos przeciw absolutyzmowi, zarówno jak przeciw niemiecko-centralistycznej for-

mie rządu, to znaczy innemi słowy — przeciwko hegemonii Niemców w Austryi. Skoro minęło pierwsze powszechne odurzenie, a w spokojniejszéj rozwadze praktycznego rozumu rozwiało się marzenie o zbrataniu narodów, wtenczas wśród Niemców austryackich w sposób zupełnie zrozumiały zakorzeniło się, jako ich program polityczny, mniemanie, że oni są powołani do tego, ażeby w Austryi być narodem panującym, że jestto nietylko ich powołaniem, ale nawet prawem historycznem, i w tym celu wymyślili bajkę historyczną, jakoby Austryę założyli Niemcy, skąd oczywiście ma wynikać, że w domu austryackim Niemcy są właściwymi gospodarzami, inne zaś narody — tylko lokatorami, którym gospodarz może komorne podwyższać lub zniżać, albo w danym razie bodaj nawet mieszkania wypowiedzieć. Początkowo Niemcy, na podstawie swych praw historycznych, chcieli być i pozostać gospodarzami całego domu austryackiego, ale mądry i obliczający Bismarck, dla którego zjednoczona Austrya była mniéj przyjemną, niż podzielona na dwie połowy, poparł sam w r. 1866 Madziarów przeciwko Niemcom, i tym sposobem w r. 1867 przyszło do podziału domu austryackiego pomiędzy dwóch gospodarzy, Madziarów w połowie wschodniéj i Niemców w zachodniéj. Jak Madziarzy gospodarzą w swojéj połowie, jest dostatecznie wiadomo, wiadomo także, że w państwie węgierskiém w ciągu nie spełna 30 lat liczba Madziarów podniosła się z 3-ch na 6 milionów, tak iż poprzednia mniejszość narodowa stała się już prawnie panującą większością.

Nie jestto żadną tajemnicą, że Niemcy w zachodniéj połowie państwa i dziś nawet dążą do tego, ażeby odgrywać taką samą rolę rzeczywiście panującego narodu, jak Madziarzy w połowie wschodniéj. Nie tak jasną i widoczną jest rzeczą, czy Niemcy mają do spełnienia jeszcze inne zadanie, mianowicie, ażeby tak zwaną Austryę niemiecką utrzymać w takim stanie, iżby w danym wypadku ewentualne przyłączenie jéj do cesarstwa niemieckiego mogło być dokonane bez znacznych trudności. Wspomniałem już, że to przyłączenie zachodniéj połowy Austryi stanowi *credo* i punkt w programie nader licznéj partyi wielko-niemieckiéj, i mogę dodać jeszcze, że niemieccy wolnomularze, którzy, podobnie jak ich bracia we Francyi, zajmują się za naszych dni raczéj polityką, aniżeli uczynkami humanitarnéj dobroczynności i powszechnéj filantropii, myśl wielkoniemiecką i wszystko, cokolwiek ma z nią związek, wciągnęli do zakresu swéj tajemniczéj działalności a zatém w sposób wielce skuteczny popierają tendencyę polityczną Niemców austryackich. Nie jestto więc jakaś drobna potęga polityczna, którą w zachodniéj połowie Austryi reprezentują tak zwani liberalni, albo wierni konstytucyi Niemcy, a cele

ich są zupełnie jasne i oczywiste. Naprzeciwko nich stoi jedyny, można powiedzieć, przeciwnik — naród czeski (gdyż Słoweńcy nie sprawiają im wiele kłopotów), który tak pod względem liczebności, jak i pod względem geograficznym zajmuje położenie daleko mniéj korzystne, aniżeli Niemcy. Czesi stanowią dla Niemców jedyną przeszkodę na drodze ku osiągnięciu owych celów. Rząd wszakże austryacki pomiędzy temi walczącemi stronnictwami może zajmować tylko stanowisko pośrednika, gdy tymczasem każda z tych partyi żąda, ażeby rząd z nią się utożsamiał. Co może wyniknąć, jeżeli któryś rząd austryacki porwie się na partyę niemiecką, tego doświadczyliśmy w r. 1871 na upadku ministeryum Hohenwartha, a jeżeli zechcemy rozważyć całkiem obiektywnie stanowisko rządu, to musimy dojść do przekonania, że jest on zniewolony zachować wobec Niemców daleko większą ostrożność, ani wobec Czechów. Austrya ma już na południu „Italię nieoswobodzoną“ (*Italia irredenta*), i ta nie stanowi dla niéj osobliwéj przyjemności; lecz jakaś *Germania irredenta* na północy byłaby dla każdego rządu austryackiego poprostu niebezpieczeństwem, prawdziwym mieczem Damoklesa, pod którego ostrzem. ustawicznie grożącém, organizm państwowy musiałby być skazany na wielce niebezpieczne cherlanie. Rząd nie może tego dopuścić, dlatego téż nietylko rząd, ale zwłaszcza sam monarcha musiał zapragnąć, ażeby rozterkę narodowościową w naszym kraju, będącą główném źródłem przykrych stosunków w zachodniéj połowie państwa, załagodzić przy pomocy ugody pokojowéj między Czechami a Niemcami.

Jeżeli rząd musiał uznać załagodzenie sporu narodowości w Czechach za rzecz konieczną, któréj się domaga dobrze zrozumiany interes całego państwa, to z drugiéj strony i rozważni politycy czescy powinni byli we własnym interesie pragnąć szczerze zakończenia tego sporu, który już wytworzył tak nieznośne stosunki, i według możności przyczynić się do tego zakończenia bodajby z pewném zaparciem siebie. Jeżeli mianowicie chodzi o interes cesarstwa austryackiego, to Czesi mają tutaj całkiem inne obowiązki, aniżeli Niemcy, dla Czechów bowiem cesarstwo austryackie jest jedyném miejscem, w którém mogą sobie zapewnić utrzymanie i dalszy rozwój swéj narodowości, stąd téż dla każdego polityka czeskiego powinno być rzeczą zupełnie jasną, że po rozpadnięciu się tego cesarstwa narodowość czeska jako taka byłaby bezpowrotnie zgubioną. Daléj, dla każdego rozważnego polityka czeskiego musiało być rzeczą oczywistą, że Czesi sami przez się, przy otwartym oporze Niemców, nie mogą nigdy osiągnąć owego rozszerzenia autonomii krajowéj, która stanowi istotną część ich politycznego programu, i że koronacya cesarza jako

króla Czech, która byłaby uroczystém zatwierdzeniem owego rozszerzenia samorządu krajowego, nie może być wymuszoną bez przyzwolenia Niemców. Są to wszystko ważne powody, które w r. 1890 skłoniły i musiały skłonić przywódców partyi staroczeskiéj do ofiarowania swéj pomocy rządowi w celu zawarcia ugody z Niemcami.

Muszę tu wspomniéć o dwóch uczynionych ze strony czeskiéj propozycyach, ażeby pokazać, do jakiego stopnia stosunki są trudne i poplątane, i czego już nie projektowano, byle zapewnić bezpieczne stanowisko narodowości czeskiéj. W r. 1849, a więc w czasie, kiedy nie było jeszcze mowy o zjednoczoném cesarstwie niemieckiém, Palacky, którego patryotyzmu nikt chyba nie poda w wątpliwość, wystąpił z projektem administracyjnego podziału Austryi na podstawie narodowościowéj; według tego projektu niemiecka część Czech miała być przyłączona do Austryi Górnéj i posiadać siedzibę swéj reprezentacyi krajowéj w Linzu. Zatem według teraźniejszych poglądów młodoczeskich, Palacký byłby zdrajcą kraju. Takiém samém prawem obecny przywódca młodoczechów, dr Juliusz Grégr, powinienby również być nazwany zdrajcą kraju, gdyż w r. 1888 oświadczył się on z następującą propozycyą („*Národní listy*,“ 22 września 1888). „Jeżeliby przyszło do uregulowania nowych granic naszéj, starosławnéj ojczyzny, to z danego, historycznego królestwa Czech, prócz części, zagarniętych już dawno przez Niemcy, moglibyśmy chętnie odstąpić i te obwody niemieckie, które leżą z tamtéj strony gór i przez swe położenie wchodzą w skład płaszczyzny Rzeszy niemieckiéj. Moglibyśmy się zrzec większéj części kraju nad Egrem, powiatów Hainspach, Schlukenau, Katharinenberg, Duppau, Kratzau, Reichenberg, Pressnitz, Sebastiansberg, Rumburg, Görkau, Warnsdorf i Friedland z ludnością, wynoszącą 718,868 dusz“.

Rozumie się samo przez się, że według projektu Grégra pozostała część królestwa przypadłaby Czechom jako panom kraju, i że wskutek tego przeszło milion Niemców musiałoby być skazanych na czechizacyę. Projekt Palackiego nie miał żadnych następstw praktycznych, projekt zaś Grégra może ich się spodziewać jeszcze mniéj; oba jednak wnioski dowodzą niezbicie, że nie jest rzeczą tak łatwą sprawy te należycie rozstrzygnąć. W ugodzie, którą miano zawrzéć w r. 1890, przypuszczano z góry utrzymanie całego królestwa Czech i wspólną reprezentacyę krajową w Pradze.

Jeżeli zważyć, jak silne pobudki doprowadziły do rozpraw ugodowych, jeżeli się zastanowić, że większość owych 11-tu punktów ugodowych zawierała w sobie pomyślne dla Czechów ustępstwa, i jeżeli jeszcze nadmienię, że ostatni punkt, zapewniający Czechom stałą wię-

kszość w reprezentacyi krajowéj, już sam przez się równoważył dostatecznie wszelkie ustępstwa, zrobione na korzyść Niemców, to musi się dojść do przekonania, że zawarta przez politycznych przywódców czeskich ugoda wiedeńska nie tylko nie była żadną zdradą wobec naszych spraw narodowych, lecz że była zawarta w dobrze zrozumianym intesie narodu czeskiego. Nie osiągnięto wprawdzie wszystkiego, ale téż nie na tém miał być koniec całéj sprawy, ugoda zaś pomiędzy dwiema walczącemi partyami nigdy nie może być zawarta ku wyłącznéj korzyści jednéj tylko partyi. Z drugiéj strony wszakże Czesi spełnili życzenie cesarza, z całą ofiarnością uczynili oni zadość naglącéj potrzebie całego państwa, czeskiéj partyi narodowéj nadali oni, że tak powiem, charakter stronnictwa, podtrzymującego państwo, i tym sposobem zajęli stanowisko, które musiało być ze strony rządu ocenione i uszanowane. Aliści wszystkie te rachunki robiono bez młodoczechów, których staroczesi byliby chętnie zaprosili do rozpraw ugodowych, z którymi atoli rząd nie chciał się układać. Tymczasem młodoczesi już w r. 1890 stanowili znaczną partyę w kraju; długoletnie usiłowania d-ra Juliusza Grégra, ażeby polityczne kierownictwo staroczechów, a więc politykę, jakiéj się trzymał dr. Rieger, zdyskredytować i utworzyć nową partyę polityczną, na czele któréj musiałby stać sam Grégr, doczekały się już znacznego powodzenia; młodsze pokolenie wśród Czechów, które prawie nic wiedziało już nic o tém, z jak drobnych początków wynikło nasze podźwignięcie się narodowe, z jak wielkiego poniżenia staroczesi przez swoją ofiarną działalność wyratowali naród czeski, to tedy młodsze pokolenie, które stało już na pewnym, utrwalonym gruncie narodowym, dało z łatwością wpoić w siebie przekonanie, że właściwie staroczechom brakowało tylko odwagi i potrzebnéj energii, ażeby wywalczyć dla narodu swego wszystko to, czego on może sobie życzyć, że *tempo*, przestrzegane przez staroczechów w walce o prawa narodowe, jest nazbyt powolne, że ludzi tych, chodzących na palcach i wysługujących się rządowi, potrzeba nareszcie usunąć, i że na ich miejscu należy postawić ludzi energiczniejszych, którzy zdobędą szturmem wszystko, cokolwiek narodowi czeskiemu wydaje się pożądaném pod względem narodowościowym i politycznym. W oczach tedy młodszego pokolenia staroczesi byli właściwie zdyskredytowani już przez to, że w styczniu 1890 r. zawarli z Niemcami upragnioną przez rząd ugodę; to téż dla nowszéj generacyi było rzeczą bardzo łatwą i na pozór zupełnie słuszną napiętnować niedawno staroczechów zarzutem, że i przy téj sposobności działali oni nie w interesie narodu, lecz jako służki rządu. „Mybyśmy to byli zro-

bili zupełnie inaczéj“, mogli teraz powiedzieć młodoczesi, boć przecie ich przytém nie było.

Muszę tutaj zaznaczyć, że powaga d-ra Riegra, a wraz z nią i stanowisko polityczne partyi staroczeskiéj wśród narodu były już znacznie osłabione i zachwiane wtenczas, kiedy ze swoimi przyjaciołmi zawierał on ugodę z Niemcami. Nie trzeba zapominać, że d-rowi Grégrowi już w r. 1863 udało się przedstawić Palackiego i Riegra jako wrogów wolności i obrońców absolutyzmu i tym sposobem pozbawić ich sympatyi narodu; jakkolwiek zaś to pierwsze powodzenie Grégra nie pociągnęło za sobą trwałych skutków, to jednak już przed 30 laty zrobiono piérwszy krok do utworzenia wśród Czechów nowéj partyi politycznéj, do przywłaszczenia téj partyi miana „wolnomyślnéj“, do ogłoszenia „*Narodnich listów*“ za jéj organ polityczny i do zamianowania d-ra Grégra przywódcą wolnomyślnéj partyi narodowéj. Ponieważ „*Národní listy*“, założone przez Palackiego i Riegra, były pierwotnie organem publicystycznym czeskiéj partyi narodowéj, więc wpływ tego pisma na opinię publiczną wśród ludności czeskiéj był bardzo znaczny. W r. 1863, kiedy dr. Grégr politycznym przywódcom czeskim, Palackiemu i Riegrowi, wypowiedział okazywane dotychczas posłuszeństwo dziennikarskie, „*Národní listy*“ były ciągle jeszcze jedynym dziennikiem politycznym w języku czeskim. Jeżeli przedtém Palacky i Rieger stali najniewątpliwiéj na czele narodu i mogli uważać „*Národní listy*“ za swój organ, to teraz wskutek wrogiego wystąpienia d-ra Grégra stanowisko ich od jednego zamachu zupełnie się zmieniło. Naród rozszczepił się na dwie partye polityczne, które od samego początku oznaczano mianem staroczeskiéj i młodoczeskiéj; otóż stanowisko partyi staroczeskiéj było od samego początku stosunkowo niekorzystniejsze, gdyż nie posiadała ona organu publicznego, za którego pomocą mogłaby wobec narodu bronić swych poglądów i zasad i odpierać skierowane przeciwko niéj napaści; była ona wystawiona, że tak powiem, bezbronnie na razy przeciwnika, a nie trzeba zapominać, że razy te były zadawane przez d-ra Grégra w „*Narodnich listach*“, na które naród czeski zapatrywał się w r. 1863 i zapatruje się poniekąd i dzisiaj jako na jedyną prawdziwą ewangelię czeskiéj polityki narodowéj. Jeżeli się to wszystko spokojnie rozważy i jeżeli się wie, że dr. Grégr w swojéj gazecie od r. 1863, a więc w ciągu całych 30 lat nic więcéj nie robił, tylko d-ra Riegra i partyę staroczeską przy każdéj sposobności zaczepiał, posądzał, w najhaniebniejszy sposób lżył i wystawiał zawsze jako istną zawadę dla postępowowego rozwoju Czechów w życiu narodowém i polityczném, to doprawdy trzeba się zdziwić, że partya staroczeska

aż do r. 1890 potrafiła utrzymać swą przewagę w narodzie, i że nawet dziś, jakkolwiek osłabiona i rozluźniona, nie utraciła przecież swego bytu; jakaż jest tego przyczyna? oto że polityka staroczechów nie była zapewne tak bezwzględnie złą, jak to „*Narodnim listom*“ od lat 30-stu podobało się twierdzić. Lecz podobnie jak przysłowie łacińskie mówi: *Gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo*, tak samo bezustanne napaści i obelgi „*Narodnich listów*“ zachwiały wziętość i stanowisko Riegra i partyi staroczeskiéj, i to nie tyle wskutek potęgi przytaczanych argumentów, ile wskutek ich ustawicznego powtarzania.

Dr. Rieger nie oddawał się żadnym złudzeniom, kiedy w grudniu r. 1889 został przez rząd powołany do Wiednia dla uczestniczenia w rozprawach ugodowych: powiedział on hr. Taaffemu otwarcie, że rząd powinien do tych obrad zaprosić także przedstawicieli partyi młodoczeskiéj, jeżeli chce zapewnić ugodzie rzeczywiste powodzenie. Lecz w sprawach ludzkich rozstrzyga, jak wiadomo, raczéj sympatya lub antypatya, aniżeli trzeźwy rozsądek, a ponieważ już wówczas w wiedeńskich kołach rządowych młodoczesi nie cieszyli się sympatyą, więc życzliwéj rady d-ra Riegra nie uwzględniono, tak, iż cały ciężar dzieła ugodowego i odpowiedzialność za nie zwalono na opierające się bezskutecznie barki staroczechów.

Trzéj przedstawiciele partyi staroczeskiéj, Rieger, Mattuš i Zeithammer, którzy byli czynni przy obradach ugodowych, spełnili swe zadanie jaknajsumienniéj, osiągnęli oni dla swego narodu więcéj, aniżeliśmy się spodziewali, i wobec wielkiéj ważności celu, oraz trudności istniejących stosunków naród czeski mógłby był zupełnie być zadowolony z rezultatów dzieła ugodowego, gdyby mu było dozwoloném poddać te rezultaty spokojnéj rozwadze, nie zakłóconéj żadnemi agitacyami stronniczemi. Wówczas jednak nie mogło przyjść do tego.

Otóż tedy staroczesi, licząc się z istniejącemi stosunkami, zawarli z Niemcami ugodę, przy któréj oczywiście nie wszystkie pretensye i żądania narodu czeskiego mogły być zaspokojone. Wskutek tego dla kierowników partyi młodoczeskiéj było rzeczą nie trudną powiedzieć swym zwolennikom, że staroczesi porzucają interesa narodu, i że polityczne jego kierownictwo trzeba wydrzeć z rąk tego stronnictwa. Jak to się zwykle zdarza za naszych czasów w walkach stronniczych (a chodziło tu przedewszystkiém o interes czysto partyjny), natarcie na staroczechów dokonywane było przy pomocy najostrzejszéj broni i najcięższych dział. Toć chodziło tu przedewszystkiém o to, ażeby dr. Riegra a z nim i partyę staroczeską uśmiercić nareszcie pod względem politycznym. I oto ugodę z Niemcami ogłaszano

ako zgubę i całkowitą zagładę narodowości czeskiéj. Podobnie jak w czasie wielkiéj rewolucyi francuskiéj radykalna partya „górali“ paryskich, przeciwko bardziéj umiarkowanym żyrondystom, posługiwała się pewném hasłem, ażeby módz potępić ich bez długich dowodów, podobnie jak wówczas federalizm nazywano poprostu największą zbrodnią państwową, a tak zwanych federalistów wystawiono jako zdrajców narodu, przyczém liczono zupełnie słusznie na to, że podniecone masy mało się będą troszczyć o właściwe znaczenie tych nazw, — tak samo w r. 1890 ze strony młodoczeskiéj wymyślono dwa słówka, ażeby wystawić staroczechów jako zdrajców. „Punktacye‘ stały się przestępstwem narodowém, a „punktatorowie“ przestępcami, i po stronie młodoczeskiéj liczono zupełnie słusznie na to, że nikt nie będzie się troszczył o to, aby się dowiedziéć szczegółowiéj, co téż zawiérają właściwie owe „puktacye,“ i jakiego to właściwie przestępstwa dopuścili się ci potępieni „punktatorowie.“

Gwałtowna napaść Grégra uwieńczona zosłała najzupełniejszém powodzeniem; większość narodu odwróciła się od d-ra Riegra i pozbawiła go swego zaufania; partya staroczeska, acz nie zupełnie zgubiona, jest jednak do tego stopnia rozprzężona i osłabiona, że nie można jéj uważać za stronnictwo, przewodniczące w życiu polityczném; w parlamencie wiedeńskim, jako przedstawicielka polityczna narodu czeskiego, zasiada delegacya wyłącznie młodoczeska, w krajowym zaś sejmie partya narodowa dzieli się na dwa kluby, niemal równe sobie pod względem liczby członków.

Jestto całkiem naturalne, że partya młodoczeska, która skazała staroczechów na proskrypcyę, jako zbyt ostrożne i zbyt powolne służki rządu, musiała wystąpić zupełnie inaczéj, ażeby dowieść, że nie składa się ona z tego rodzaju ludzi jak staroczesi. Musiano tu przedewszystkiém wydać hasło: Staroczesi nie osiągnęli nic dla narodu; my zaś wszystko, czego sobie tylko naród życzy wkrótce zdobędziemy szturmem. To téż młodoczescy kandydaci do parlamentu nie skąpili bynajmniéj najświetniejszych obietnic. Głosili oni: my w Wiedniu będziemy mówić tylko z królem, my bez długich zachodów wymusimy czeskie prawo państwowe i czeską koronacyę królewską; a ponieważ rzeczy te nie przedstawiają dla ludu namacalnych korzyści materyalnych, więc nie zapomniano także dodać, że dla ludu tego zbuduje się wkrótce „pałac dobrobytu.“

Delegacya młodoczeska udała się do Wiednia z zapewnieniem, że nie będzie ona jak staroczesi stanowić uległego i giętkiego członka większości rządowéj, albowiem popierwsze hasłem jéj jest opozycya przeciwko rządowi, powtóre zaś nie będzie ona potrzebowała szukać,

w parlamencie sprzymierzeńców, gdyż będzie tam stanowiła „języczek u wagi“ i wskutek tego wszystkie partye będą właśnie jéj poszukiwały i starały się o jéj względy, tak, iż bez żadnych zachodów stanie się ona panią sytuacyi. Otóż ta delegacya młodoczeska znajduje się już całe trzy lata w parlamencie wiedeńskim, ale z królem jakoś jeszcze dotychczas nie mówiła i zdaje się, że rzeczy w Wiedniu mają się wcale inaczéj, aniżeli sobie wyobrażali młodoczesi. O zdobyciu czeskiego prawa państwowego, o koronacyi królewskiéj w Pradze, jakoś nic jeszcze nie słychać i zapewne długo nie będzie słychać, a i lud w Czechach jakoś wciąż jeszcze wyczekuje przyobiecanego pałacu dobrobytu, o którego budowie także nic już nie słychać, tak, iż zdaje się, że młodoczesi zupełnie zapomnieli o położeniu doń kamienia węgielnego. Jednak każą oni o sobie mówić; wprawdzie są oni w parlamencie wiedeńskim całkiem odosobnieni, a więc zupełnie bezsilni, ale jednego ministra postawili już w stanie oskarżenia, choć coprawda jest rzeczą najpewniejszą, że ten krok ostateczny do niczego zgoła nie doprowadzi; w tym roku właśnie głosowali wraz z lewicą niemiecką, przeciwko funduszowi dyspozycyjnemu i tym sposobem najwyraźniejszemu wrogowi swego narodu dopomogli do wzmocnienia jego stanowiska politycznego, nie osiągnąwszy przez to dla siebie samych najmniejszéj nawet korzyści, w ostatnich czasach wnieśli oni do parlamentu projekt zmiany ordynacyi wyborczéj i wprowadzenia p r a w a p o w s z e c h n e g o g ł o s o w a n i a; wniosek ten, postawiony ze strony czeskiéj i prowadzący z konieczności do wzmocnienia powagi parlamentu wiedeńskiego, można sobie chyba tem objaśnić, że młodoczesi, którzy jako przedstawiciele samorządu Czech i przeciwnicy centralizmu wiedeńskiego, muszą z zasady zwalczać parlament, tymczasem chcą go po rycersku jeszcze cokolwiek wzmocnić, ażeby następnie przez jego ostateczne pokonanie wykazać przed całym światem jeszcze lepiéj swe bohaterstwo. Gdybyśmy nie chcieli przypuścić takiego objaśnienia, to cały ten wniosek wypadłoby nazwać poprostu nonsensem politycznym. A delegacya młodoczeska ma rzeczywiście w sobie coś średniowieczno-rycerskiego, gdyż jéj hasło bojowe jest to samo co i niemieckiego cesarza-bohatera: „*Viel Feind*, *viel Ehr*'“ (dużo wrogów, dużo sławy)! A jak tam naród czeski na tem wyjdzie, o to rycerscy i bitni młodoczesi widocznie mało się troszczą.

Jeżeli się tak przypatrzéć trwającemu wciąż zadowoleniu większości narodu czeskiego z wielkich czynów politycznych, dokonanych przez delegacyę młodoczeską, to mimowoli przypomina się również zupełnie zadowolony chłop niemiecki, który, wracając ze zgromadzenia ludowego, swoją pochwałę głównego mówcy zawarł w tych

krótkich słowach: „A to im dopiéro powiedział!“ na pytanie zaś: „Cóż im takiego powiedział?“ odrzekł tylko: „No, co im powiedział, tego nie wiem; ale że im powiedział to powiedział!“ Kompetentni politycy sądzą oczywiście inaczéj, to téż książe Karol Schwarzenberg (młodszy) wyrzekł do młodoczechów w parlamencie wiedeńskim te godne zastanowienia słowa: „Panowie, przeceniacie siły narodu,“ hrabia zaś Hohenwarth mówi: „Wpływ Czechów w Wiedniu chyli się do upadku.“

Natomiast sami posłowie młodoczescy wobec swych wiernych wyborców chełpią się, że ich wziętość i wpływ w Wiedniu ustawicznie wzrasta, a jeżeli dotychczas nie osiągnęli nic godnego uwagi, to czas nie jest bynajmniéj zmarnowany, lecz zużytkowany jaknajlepiéj na to, ażeby zapewnić ostateczne powodzenie i zwycięstwo. Dr. Herold, najzręczniejszy mówca między młodoczechami i wskutek tego występujący najczęściéj w charakterze apologety delegacyi młodoczeskiéj, jest, że tak powiem, teoretykiem młodoczeskiéj taktyki politycznéj. Według orzeczenia d-ra Herolda, „skromność w życiu polityczném jest początkiem upadku, natomiast stanowczość, natarczywość i silna wola, a częstokroć raczéj silna wola, aniżeli rzeczywista siła, stanowią podstawę do zwycięstwa politycznego.“ Słuchaczom swoim mówca ten daje także praktyczne wskazówki i mówi im w sposób popularny i powszechnie zrozumiały: „Jeżeli chcecie coś miéć, to nie powinniście o to prosić, lecz musicie dobrze kląć (*zasakrovati musíte*), a wtedy wszystko osiągniecie.“ Dr. Herold zatém, jakkolwiek widoczne niepowodzenie polityki młodoczeskiéj w Wiedniu powinnoby już dawno wywieść go z błędu, głosi wciąż teoryę, którą możnaby nazwać polityką przebijania muru głową, ja zaś, gotówbym prawie twierdzić, że właściwie on sam nie jest zupełnie przekonany o słuszności takiéj polityki. Nie chcę tu roztrząsać kwestyi czysto psychologicznéj, czy silna wola jest możebna bez świadomości własnéj siły, pozwolę sobie jednak zrobić uwagę, że słowa nie są czynami, i że działalność polityczna delegacyi młodoczeskiéj dotychczas ograniczała się do kilku mów piorunujących.

W sejmie krajowym, młodoczesi nie zajmują również dominującego stanowiska. Posłowie czescy stanowią tu tylko dobrą trzecią część ogólnéj liczby i dzielą się na dwa kluby, staroczeski i młodoczeski, a jakkolwiek ostatni jest liczniejszy, to jednak młodoczesi stanowią w naszym sejmie krajowym tylko nieznaczną, mniejszość; ponieważ zaś ich główny organ „*Národní listy*“ od r. 1890 nie przestaje staroczechów w najhaniebniejszy sposób lżyć, szlachty przy

każdéj sposobności znieważać i przedstawiać jako wroga narodowości czeskiéj, wreszcie zajmować wobec Niemców stanowiska nieprzejednanego, więc i tutaj młodoczesi są pozbawieni sprzymierzeńców i bezsilni. Chcieć panować nad innymi, a nie módz — jestto sytuacya niepewna, w któréj pozostać nie można i z któréj należy się starać wydostać. Opinia publiczna dopomogła młodoczechom do wybrnięcia z ich odosobnienia. Sprowadzone przez d-ra Grégra rozpierzchnięcie się sił politycznych naszego narodu i spowodowana przez to bezowocność polityki czeskiéj były tak namacalne, że już w roku 1892 odezwały się wśród ludu głosy, domagające się ponownego zjednoczenia rozpierzchnionych sił narodu. Tym sposobem został oczywiście wygłoszony potępiający wyrok przeciwko destrukcyjnéj działalności d-ra Grégra i również wyraźny nieprzychylny wyrok przeciw działalności politycznéj młodoczechów. Dr. J. Grégr uległ tylko z oporem żądaniom woli narodowéj, i 1 listopada 1892 r. odbyło się w Pradze zgromadzenie, na które wysłali swych przedstawicieli młodoczesi, staroczesi, czeska szlachta historyczna i słowiańscy deputowani Morawy. Przebieg obrad był uderzająco spokojny i pełen godności. Uchwał, zapadłych jednozgodnie, nie będę przytaczał w całéj rozciągłości; zauważę tylko pokrótce, że zgodzono się, ażeby we wszystkich kwestyach, które dotyczą praw i pretensyi narodowych czeskiego narodu, oraz prawnopaństwowego stanowiska królestwa, postępować wspólnie.

Przez obesłanie tego wiecu, przez udział w jego obradach i uchwałach młodoczesi oczywiście przyznali, że sami jedni nie są w stanie osiągnąć dla narodu tego wszystkiego, co właśnie powinnoby być osiągnięte dopiéro połączonemi siłami całego narodu, i tutaj to leży przyczyna oporu d-ra Grégra przeciwko obesłaniu tego zgromadzenia. Wiec ten jednak ma jeszcze inne, nie pozbawione interesu znaczenie. Mianowicie, od r. 1890, „*Národní listy*“ nie robiły nic innego, tylko jednego dnia uśmiercały partyę staroczeską moralnie, drugiego dnia nazywały ją martwą i całkiem zużytą partyą, na trzeci dzień dawały jéj nazwę już rozkładającego się trupa, ażeby czwartego dnia rozpocząć to samo *da capo*. Otóż przez swój udział w rokowaniach ze staroczechami, dr. Grégr musiał dać temu trupowi uroczyste świadectwo, że właściwie jest on jeszcze przy życiu, co oczywiście przywódcy młodoczechów musiało być nie bardzo przyjemnie. Co się tyczy trzeciego uczestnika w wiecu listopadowym, to sprawa przedstawiała się dla młodoczechów nie lepiéj. Jak twierdziły „*Národní listy*“, szlachta czeska była właściwie wrogiem naszego narodu, czynnikiem, który należy wyłączyć z życia narodowego, koteryą, od któréj

nie należy się spodziéwać niczego dla obrony czeskich pretensyi narodowych, i oto została ona znowu ogłoszona i przyjęta jako wierny sprzymierzeniec w celu zdobycia upragnionéj powagi dla owych narodowych pretensyi.

Oczywiście, tylko jedno z dwojga może być prawdziwém: albo partya staroczeska jest martwa, albo żywa; albo szlachta czeska jest za czeskim narodem, albo przeciwko niemu. Wierni czytelnicy „*Narodnich listów*“ muszą jednak co do tych rzeczy znajdować się w osobliwéj niepewności.

Wogóle partya młodoczeska jest obecnie uważana w Czechach za taką partyę polityczną, która wśród ludu liczy najwięcéj zwolenników. Jeżeli się jednak przypatrzéć rzeczy bliżéj, to się przyjdzie do przekonania, że ta tak zwana partya polityczna jest czémś zgoła osobliwém. Posiada ona widocznie bardziéj negacyjny, aniżeli pozytywny program, a dotychczasowa jéj działalność była prawie wyłącznie negacyjną. Zniweczenie partyi staroczeskiéj, opozycya przeciw rządowi,—wszystko to ma tylko charakter ujemny. Czeskie prawo państwowe na podstawie historycznéj i nowoczesny radykalizm polityczny, obrona samorządu Czech i skonsolidowanie wiedeńskiego, z konieczności centralistycznego parlamentu przez poprawę jego ordynacyi wyborczéj, — wszystko to jakoś się ze sobą nie godzi. Partya, która rości sobie prawo do miana stronnictwa politycznego, musi posiadać jasno określony program, musi przedewszystkiém wiedziéć, czego chce, i musi także miéć jasne pojęcie o środkach i drogach, którémi zamiary swoje może osiągnąć. Gdzie tego wszystkiego nie ma, tam jest się w niebezpieczeństwie, że się nie będzie uważanym na seryo za partyę polityczną, i mnie się wydaje, że takie właśnie niebezpieczeństwo mocno zagraża młodoczechom w Wiedniu. W pewném piśmie młodoczeskiém, mianowicie w wychodzącéj w Kolinie „Gwiaździe“ (*Hvězda*) czytam właśnie list jakiegoś „wybitnego stronnika“ młodoczechów, który działalność polityczną swojéj partyi sądzi albo raczéj potępia w sposób bardzo nieprzychylny, mówiąc: „Od r. 1889 sprawa czeska nie zyskała nic a nic.“ Dla delegacyi młodoczeskiéj ma on porównanie, które mogę przytoczyć dosłownie, ponieważ jest właśnie użyte przez młodoczecha. „Na delegacyę naszą—powiada—zapatrują się w radzie narodów jako na wołu, który wprawdzie ryczy, ale idzie sobie daléj spokojnie, który rogami swemi nie bodzie, a tylko je pokazuje.“ Nie chcę przeczyć temu mężowi; owszem, przytoczę jeszcze jedno z jego orzeczeń, ponieważ jest ono właśnie stwierdzeniem ze strony młodoczeskiéj tego, co chcę powiedziéć o téj tak zwanéj partyi politycznéj. „Podczas wyborów do parlamentu w r. 1891—

tak mówi mój świadek—młodoczesi formalnie utonęli w steku najrozmaitszych żywiołów politycznych, które chciały poprzéć tylko swe własne interesy, i które mandatem poselskim posługiwały się tylko jako legitymacyą dla swych dążeń osobistych.“ Jeżeli tak sądzi młodoczech, to ja mogę chyba słusznie powiedziéć, że tak zwana obecnie partya młodoczeska składa się właściwie z bardzo różnorodnych żywiołów, które nie stanowią bynajmniéj jednolitéj całości, ponieważ dr. J. Grégr, podejmując niszczącą walkę przeciw staroczechom, zebrał do kupy wszystko, co tylko przeciwko nim dało się zwerbować. I tym oto sposobem przyszło do tego, że już dziś w tak zwanéj partyi młodoczeskiéj można rozróżnić cztery odrębne frakcye. Gdyby kto chciał twierdzić, że ich jest więcéj, to się z nim sprzeczać nie będę. „*Národní listy*“ od r. 1890 tak rozniecały szowinizm narodowy, tak podtrzymywały i popierały najbezwzględniejsze przecenianie sił i stanowiska narodu czeskiego, że godne pożałowania wybryki były nieuniknione. Jeżeli, nie uwzględniając zgoła danych warunków i zapominając całkowicie o ogromnych, poprostu zdumiewających postępach, jakie naród nasz pod względem rozwoju narodowego i politycznego znaczenia uczynił w ciągu 40 lat, ciągle się tylko głosi, że Czesi nie osiągnęli jeszcze nic, że ich dotychczasowi przedstawiciele polityczni nie występowali dosyć śmiało, że byli oni zbyt skorzy do wszelkiego rodzaju ustępstw, że potrzeba tylko wystąpić śmieléj i energiczniéj, ażeby przeprowadzić wszystko, czego tylko naród może zapragnąć,— jeżeli następnie ktoś sam był czynny w ciągu całych trzech lat, i oto doczekał się tego, że mu własny stronnik powie, iż przez te trzy lata nie zrobił dla sprawy czeskiéj nic a nic, i że jest właściwie podobny do wołu, który tylko ryczy, ale nie bodzie: to wtenczas jest zupełnie naturalném, że między tłumami, podżeganemi do szowinizmu, znajdą się ludzie, którzy rzekną: I wy nie jesteście dosyć energiczni! i że wśród partyi radykalnéj utworzy się jeszcze radykalniejsza, która zechce wystąpić przeciw rządowi z gwałtowniejszą jeszcze opozycyą, która zechce udać się innemi drogami, ażeby prędzéj dość do celu. Czy cel ten postawiony jest jasno i wyraźnie, tego nie mogę powiedzieć; jest atoli rzeczą pewną, że mamy już polityczną partyę „nowego kierunku“ (*Nové směry*), że partya ta posiada już swój organ publicystyczny, noszący nazwę „*Neodvíslost*“ i stojący w opozycyi przeciwko urzędowemu organowi młodoczechów—„*Národní listy.*“ A więc rokosz w obozie młodoczeskim, rokosz przeciwko politycznemu przywódcy téj partyi, d-rowi Grégrowi, któremu zwolennicy téj partyi (mieli to być studenci czescy) niedawno, bo w kwietniu, i do tego wieczorem w jego urodziny, powybijali szyby w oknach.

Drugim odłamem młodoczechów, występującym nie tak hałaśliwie, ale mającym za to przed oczyma jaśniéj określony cel, jest partya tak zwanych realistów, na czele których stoi prof. uniwersytetu, Masaryk. Należy on do tych, którzy w r. 1891 z polecenia Grégra zostali głosami młodoczeskiemi wybrani na posłów do parlamentu. Masaryk zatém i jego zwolennicy Kaizl i Kovář zawdzięczają Grégrowi teraźniejsze swe stanowisko publiczne, lecz idą oni swemi własnemi drogami, i korespondent kolińskiéj „Gwiazdy“ ma właśnie ich na myśli, kiedy mówi, że z mandatów poselskich korzysta się tylko jako z legitymacyi do popierania dążeń osobistych. Masaryk, który jako profesor filozofii w uniwersytecie czeskim wykłada także socyologię, w ostatnich czasach ukazywał się jako mówca na zebraniach robotniczych i chciałby widocznie stać się przywódcą socyalistów. Wnosząc do parlamentu projekt prawa powszechnego głosowania, młodoczesi mieli najniezawodniéj zamiar zjednania dla siebie partyi robotniczéj i poddania ich pod swą komendę polityczną. Lecz robotnicy postępują swemi własnemi drogami i zdają się nie zupełnie dowierzać nawet młodoczechom. 1-go maja w Pradze jakaś robotnica zarzucała młodoczechom, że w swym wniosku prawa powszechnego głosowania zapomnieli najzupełniéj o kobiétach, kiedy zaś w Pilznie prof. Masaryk mówił tegoż dnia o korzyściach prawa powszechnego głosowania, przywódcy socyalistów skierowali do niego żądanie, żeby młodoczesi naprzód kilka mandatów poselskich ustąpili robotnikom socyalistycznym, jeżeli pragną, aby ci nabrali przekonania o szczerości sympatyi młodoczeskich dla robotników.

Za frakcyę młodoczechów można uważać słusznie także partyę chłopską, która odgrywa dość pokaźną rolę w naszém życiu publiczném. Partya ta posiada swój własny organ p. n. „*Selské noviny.*“ Redaktorem téj gazety jest chłop, nazwiskiem Alfons Šťastný, człowiek, który odbywał studya, i który nietylko o stosunkach chłopskich, ale i o kwestyach politycznych umié pisać również dobrze, jeżeli nie lepiéj, jak zawodowi dziennikarze „*Narodnich listów.*“ Al. Šťastný znajduje się już od pewnego czasu w otwartéj opozycyi z głównym chórem młodoczechów i w swoich „Listach sielskich“ polemizuje czasami bardzo szczęśliwie z pismem młodoczeskiém, które przez swoje niekonsekwencye i sprzeczności nastręcza mu do tego dosyć okazyi. A. Šťastný jest młodoczeskim malkontentem; nie jest on zadowolony z politycznego kierownictwa partyi. Wniosek młodoczeski, dotyczący prawa powszechnego głosowania, potępia on zupełnie stanowczo jako swawolne pokrzywdzenie jego stanu. „Parlament wiedeński—powiada on—jest dla nas Czechów, według naszego

prawa państwowego, również obcy jak i parlament węgierski. Stosunek państwa czeskiego do krajów węgierskich jest zupełnie taki sam, jak stosunek tego państwa do nie-czeskich krajów austryackich. Coby ktoś na to powiedział, gdyby delegacya czeska nagle uchwaliła: skład parlamentu węgierskiego nie jest właściwy, my musimy go naprawić. Zapewne cały świat zaśmiałby jéj się w oczy i zapytałby jéj, czy czasem nie zgłupiała.“ — „Większéj niedorzeczności jeszcześmy nie popełnili, i ledwie można sobie większą wyobrazić. Najprostszy nie-polityk traci tu rozum i nie może wcale pojąć, jak coś podobnego mogło powstać w głowie rozsądnego człowieka, i przechodzi to wszystkie jego pojęcia, jakim sposobem politycy, doktorzy, profesorowie i inni uczeni mężowie mogą coś podobnego czynić. Co sobie pomyślą o nas nasi wrogowie polityczni, jeżeli deputowani nasi wyprawiają takie koziołki? Toć to znaczy płynąć pełnemi żaglami do cyslejtanizmu.“ — „Jakież będzie konieczne następstwo? Tylko to, że klasa chłopów, osiadłych na roli, i klasa przemysłowców po miastach będzie przegłosowana przez klasę wiejskich i miejskich robotników. Ci będą nam rozkazywać, a my będziemy słuchać i płacić.“ — „Do całéj nędzy, która nas i tak już dziś przygniata, brakuje nam właśnie jeszcze tylko tego, żebyśmy wszyscy zostali wciągnięci do obozu demokratów socyalnych, którzy nam jeszcze nie powiedzieli, jak to jest możebném urządzić państwo tak, iżby wszyscy mieli się dobrze, chociaż nikt nie potrzebuje się bardzo wysilać. Zagadka ta nie jest jeszcze rozwiązana i prawo powszechnego głosowania także jéj nie rozwiąże.“

„Jestto rzecz niebywała, ażeby całe klasy obywateli państwowych, i to klasy najprzedniejsze i najpotężniejsze, zrzekały się dobrowolnie swego stanowiska po to, aby się dać opanować klasom niższym i słabszym; to téż jeżeli nasi panowie profesorowie chcą być *tak* „wolnomyślni“, żeby aż panującą obecnie klasę zamienić na poddaną, to niechże zrobią początek od samych siebie, niech się wyrzekną naprzód swéj dotychczasowéj żądzy panowania, wskutek któréj chcą rozkazywać całemu narodowi i być opiekunami stanu chłopskiego i rzemieślniczego. My chłopi nie posiadamy jeszcze nawet prawa głosowania bezpośredniego, a nasi przedstawiciele polityczni przychodzą już z projektem, mającym nas pozbawić wogóle tego prawa. Jeszcze chyba nigdy z żadném prawem nie postępowano tak lekkomyślnie, tak powierzchownie, jak się to dzieje teraz ze strony wnioskodawców z naszém prawem głosowania.“ Tak mówi Alfons Šťastný, chłop, o wniosku młodoczeskim, tyczącym się wprowadzenia powszechnego głosowania do parlamentu wiedeńskiego.

Po tém wszystkiém mogę powiedziéć, że jużciż d-rowi Grégrowi udało się zburzyć doszczętnie poprzednią organizacyę polityczną naszego narodu, że jednak nie powiodło mu się postawić na jéj miejscu lepszéj, albo chociażby tylko innéj; albowiem sama jedynie dezorganizacya nie jest bynajmniéj organizacyą. Cała jego działalność, całe jego dzieło nie miało żadnéj podstawy moralnéj, żadnego rzeczywistego uprawnienia, żadnego wyższego celu, zmierzającego do posunięcia naprzód spraw narodowych; chodziło mu tylko o zaspokojenie ciasnego egoizmu. W tym celu zwolnił on i wyhodował namiętności polityczne, nad któremi teraz nie umié zapanować, sprowadził w życiu politycznêm narodu czeskiego zamieszanie, które naprzód jemu samemu wyrosło już ponad głowę, i które następnie wszelką zbiorową akcyę polityczną narodu czyni zgoła niemożliwą. Czego się dopuścił względem d-ra Riegera, do jak niegodnéj postawy wobec tego wysoce zasłużonego męża przywiódł on formalnie znaczną część narodu, wszystko to można nazwać nietylko niewdzięcznością; tutaj trzebaby dla trafnego odmalowania rzeczy użyć wyrażenia, któreby redakcya prawdopodobnie przekreśliła. Dr. Grégr zabił Riegera orężem, który dr. Rieger jako własność osobistą sam mu nierozważnie oddał do rąk w r. 1862-im, ponieważ wówczas, jako szczery patryota czeski, dr. Rieger był tego zdania, że Czech jedynego organu publicystycznego zwartéj wówczas partyi narodowéj nie może nigdy użyć i nie użyje do czegoś innego, tylko do wspólnéj obrony czeskich praw narodowych. Dr. Grégr jednak nietylko zabił d-ra Riegera, lecz zgubił on wraz z nim uosobioną w tym mężu i nieodbicie konieczną w tak małym narodzie jedność polityczną, a wskutek tego stworzył on dla tego narodu sytuacyę, którą trzeba nazwać beznadziejną.

Sejm czeski zebrał się właśnie w Pradze 6-go kwietnia i zasiadać ma tylko do Zielonych Świątek. Rezultat jego pracy, oprócz uchwalenia budżetu krajowego i załatwienia całkiem podrzędnych spraw bieżących, będzie pod względem politycznym prawie żaden [1]). Ponieważ wyklęta ugoda wiedeńska zawiera w sobie wszystkie życzenia polityczne narodu czeskiego, i ponieważ teraz, według nakazu młodoczeskiego, należy ze strachem odżegnywać się od wszystkiego, co choćby w najdrobniejszéj mierze przypomina „punktacye“, więc rząd nie może przedstawić sejmowi czeskiemu żadnego, choćby nie wiem jak ułożonego wniosku, dotyczącego spraw krajowych, ażeby

---

[1]) Wskutek niezgody pomiędzy marszałkiem krajowym a posłami młodoczeskimi i wynikłych stąd zaburzeń sejm czeski został 18 maja przez rząd zamknięty. Przyp. red.

młodoczesi nie podnieśli natychmiast wielkiego wrzasku punktacyjnego. Wszystko jest teraz „punktacyą“, a więc rzeczą niemożebną, począwszy od zmiany niesprawiedliwéj ordynacyi wyborczéj aż do najprostszego uregulowania jakiegoś okręgu sądowego lub administracyjnego. Młodoczesi wygłaszają piorunujące mowy, ażeby i tak już omamionemu ludowi jeszcze bardziéj zamydlić oczy, znieważają oni wszystkie inne stronnictwa, grożą rządowi rewolucyą i napadają także na Madziarów, jakby nie mieli jeszcze dosyć wrogów i przeciwników w Przedlitawii. Jak się powinien skończyć i jak się skończy w Czechach ten zamęt polityczny, który możnaby nazwać „wojną wszystkich przeciwko wszystkim“, — niepodobna przewidzieć. Tymczasem mówi nam hr. Hohenwarth, że wpływ Czechów w Wiedniu chyli się do upadku.

Nie wielkie daje nam wynagrodzenie pod tym względem świetny stan naszego teatru narodowego i naszych kompozytorów w Wiedniu, gdzie obecenie opery czeskie przyjmowane są z wielkim poklaskiem; dla myślącego polityka przy istniejącéj teraz politycznéj nędzocie jest to, rozumie się, tylko mała pociecha.

Dr. Gabler.

Praga, w początku maja 1893 r.





J. ADDINGTON SYMONDS.

Podczas świetnych a hałaśliwych uroczystości srebrnego wesela królewskiego stadła w Rzymie, niepostrzeżenie i bez żadnego wyjątkowego rozgłosu, zmarł tam jeden z najcelniejszych pisarzy angielskich — John Addington Symonds. Nawet opinia publiczna w jego własnéj ojczyźnie, tak dumna zazwyczaj ze swych piśmienniczych protagonistów, nie spaliła przy jego śmiertelnych szczątkach spodziewanego kadzidła. Prawdopodobnie nie zdała sobie jeszcze sprawy z doniosłości poniesionéj straty, a czytając w kilku miesięcznikach świéże jego studya, widząc zapowiadanych kilka nowych tomów tego niestrudzonego pióra, nie pojmowała, że tyle życia, tyle entuzyazmu, tyle wiedzy naraz istniéć przestało. Ponieważ było regułą jego nigdy na pierwszy plan się nie wysuwać i samemu swéj wielkości nie głosić, a że osobiste okoliczności wymagały pobytu za krajem, a zatem nie należenia do żadnéj koteryi, więc wzięto jego przesadzoną skromność dosłownie i nie rozstąpiono się aby mu dać miejsce, do którego miał prawo. Przyczyniło się zapewne i to do półcienia, w którym zostawiono jego zasługi, iż nie zamykał się w żadnéj ciasnéj specyalności i że się piśmiennicza jego twórczość rozstrzeliwała w wielu promieniach. Wśród jakich trzydziestu tomów jego pióra, nie ma żadnego bez znaczenia, ale nie można powiedziéć czém autor był właściwie—czy poetą czy krytykiem, czy historykiem, czy essayistą, czy podróżopisarzem, czy biografem. Ci, którzy czują nieprzezwyciężony popęd do zamknięcia raz na zawsze, każdego twórczego umysłu w pewnéj kategoryi, nie wiedzieli jak sobie z takim polihistorem poradzić. Jesteśmy przeświadczeni, że nie długo czekać mu

przyjdzie na sprawiedliwy wyrok potomności. Nie windykujemy dla niego aureoli geniuszu, ale nie wielu pisarzy oddało więcéj przysług społeczności, rozprzestrzeniając światło, krzewiąc postęp w szerszych kręgach, zbliżając do siebie narody przez porównawcze studya. Nieraz już powiedziano, że najdzielniejszymi rozsadnikami cywilizacyi są krytycy: jak pszczoły znoszą oni różnorodne twórcze czynniki do wspólnego ula. W syntetycznym przeglądzie piśmiennictwa angielskiego wiktoryańskiego półwieku, nie będzie zaprawdę matadorów brakować, ale gdy zapragniemy znaleźć przeciętną opinii, idei i całego cywilizacyjnego poziomu, to prawdopodobnie najlepiéj znaleść je nam przyjdzie u takich pisarzy jak John Morley, Matthew Arnold, Walter Pater, Leslie Stephen, i t. d.

Do tego grona zaliczony być musi J. Addington Symonds. Pozostanie on raz na zawsze doskonałym, skończonym typem literata. Nie był i nie pragnął on być niczém innėm, niczém więcéj jak *a man of letters*. Lubił przytaczać wiersz Goethego:

„Im Ganzen, Guten, Schönen,
Resolut zu leben.“

i nie tylko obrał go sobie za godło życia, ale urzeczywistnił je i pozostał mu wiernym aż do ostatniego tchnienia. Trudno o większą jedność działalności i środowiska. Nie ma żadnych dramatycznych wypadków w całém pasmie jego życia. Należał do zamożnéj i arystokratycznie skoligaconéj rodziny Symonds'ów, od kilku wieków osiadłéj w Shnebshire. Ojciec jego był znakomitym lekarzem w Bristolu, człowiekiem wysoce wykształconym, pisarzem, znanym nie tylko w medycynie ale w różnych gałęziach literatury. W domowém ognisku, sprzyjającém pracy naukowéj, w szkole Harrow, a następnie w uniwersytecie Oksfordzkim, gdzie wcześnie zbiérał laury, młody Symonds rzuca się z zapałem do studyów filozoficznych, estetycznych i filologicznych. Od dzieciństwa miał organizm wątły; podkopał go jeszcze nadmiar pracy i doktorzy skazują go na zimowania na południu. Stąd jego pociąg do Włoch i wczesne przyswojenie sobie kwintesencyi ich ducha. W 1864 r., licząc lat 24, poślubia pannę North, siostrę owéj Maryanny North, słynnéj ze swych podróży, botanicznych odkryć i obrazów. Polepszające się wówczas zdrowie pozwoliło mu profesorować w Clifton College, gdzie przedmiotem jego wykładów był Dante i poeci starożytnéj Grecyi; ale niebawem wszelkie obowiązkowe zajęcie stało się mu niedostępném. W r. 1869 lekarze uważając go za nieuleczalnego, radzą mu spróbować zimowéj kuracyi w Davos, w wyższéj Engadinie. Na téj płaszczyźnie wyniesio-

néj na 5,200 stóp ponad poziom morza, wśród surowéj zimy siedmiomiesięcznéj spędził lat kilkanaście. Odzyskał zdrowie i siły fizyczne, i stale osiedlił się w téj odludnéj mieścinie szwajcarskiéj, do któréj sławy się przyczynił więcéj niż kiedykolwiek. Gdy się czyta pełne entuzyazmu opisy téj miejscowości w jego *Our life in Swiss Highlands*, można podziwiać wytrwałość i sprężystość nie tylko fizycznego jego organizmu ale i umysłowego, który potrafił zwalczyć niepomierne trudności, nie przestawał pisać i pracować bez wielu niezbędnych środków pomocniczych. Latem przebywał we Włoszech, Francyi, Niemczech i Anglii, zespalając się chwilowo z naukowym ruchem europejskim i śpieszył też potém powracać do swéj górskiéj samotni, aby przeżuć karm' i w mistrzowskiéj, przejrzystéj wyłonić ją formie. Takiém było jego życie, aż do 19 kwietnia r. b. gdy je zakończył, licząc zaledwie lat 53. Piśmienniczy talent zdaje się przekazał swéj córce, która wraz z nieodstępną życia jego towarzyszką, żoną, pracowały jako pomocnicze duchy pod jego kierunkiem.

Ażeby ocenić jak należy działalność literacką, J. A. Symondsa i nakreślić jego umysłową sylwetkę, nie podobna trzymać się chronologicznego porządku jego prac, gdyż były pewne kwestye, pewne przedmioty, do których raz po raz powracał, od których wzroku swego oderwać nie potrafił i które coraz z innego opracowywał stanowiska, znosząc cegiełkę po cegiełce do budowy wymarzonéj. Najlepiéj będzie podzielić jego utwory na główne kategorye, na jakie się z natury swéj rozpadają.

Nie widzimy potrzeby rozszerzać się nad poezyami Symonds'a. Przywiązywał on sam do nich wielkie znaczenie i była to rana nigdy w sercu jego niezabliźniona, że społeczność okazywala pewną obojętność dla jego muzy. Nie można zaprzeczyć, że słuszność leżała po stronie publiczności. Uchowaj Boże, ażebyśmy jego poetyczne utwory chcieli lekceważyć. Nietylko, że posiadał niezaprzeczony zmysł poetyczny, żywą i wrażliwą imaginacyę, ale przez długoletnie i ścisłe obcowanie wśród poetów najprzedniejszych ludzkości, przesiąknął, że się tak wyrazić poważemy, ich duchową atmosferą. Z drugiéj strony, forma jego wiersza jest wysoce kunsztowna, nieposzlakowana. Jak doskonale nim władał, najlepiéj pokazuje tłómaczenie sonetów Michała Anioła Buonarotti i Tomaso Campanelli. Przekład tego arcydzieła nigdy przedtém nie był dokonany na język angielski. Trzeba było tak gruntownie jak on posiadać znajomość obu języków i narodowych geniuszów, aby módz przetłómaczyć a nawet przelać raz na zawsze z jednego na drugi te słynne sonety. Ale w żadnym z trzech jego własnych zbiorów lirycznych, *Many Moods*, *Vagabunduli libellus*

i *Animi figura* nie ma tego wielkiego tchnienia, téj skry zapalnéj, któraby porwała czytelnika w zaświaty i wewnętrznym przejęła dreszczem. Nie napróżno był przyjacielem i poufałym Roberta Browninga, który w wysokiéj czci jego talent trzymał: trzeba nieraz i do jego poezyi komentarzy! On tak kryształowo jasny w prozie, błyszczący taką klasyczną prostotą, jest za mętny w poezyi, zbyt filozoficzny, zbyt wyrafinowany. Te lub owe jego sonety albo liryki są już i będą z wielkiemi pochwałami cytowane w antologiach, ale do duszy narodowéj nie przejdą i masa nie pochwyci ich nigdy jako wierny oddźwięk swych instynktownych porywów. Są niektóre psychiczne obrazy w *Animi figura*, tym zbiorze, który on sam uważał za najdoskonalszy kwiat swéj twórczości, istotnie przedziwne w swéj misternej delikatności analizy; są w innych jego zbiorach prześliczne krajobrazy jak np. *Stella maris*, wspomnienia ukochanéj przezeń Wenecyi, ale, powtarzamy, nie wystarcza to w epoce naszéj do pozyskania ostatecznego święcenia na poetę. Na parnasie angielskim jest tylu już nieśmiertelnych wieszczów, że dziwić się nie można, iż ci, co do ich rangi nie pretendują są — jakby nie byli.

Od poezyi tłómaczonych i oryginalnych jest przejście naturalne do studyów nad poetami obcymi i swojskimi. Pierwsze z nich poświęcił Dante'mu. Nosi on tytuł *Introduction to the study of Dante.* Autor przedsięwziął je, mając zaledwie lat 32 życia a wiedząc podług słynnego orzeczenia najznakomitszego z Dantologów, że trzeba conajmniéj wkopywać się w Danta przez pół wieku, aby z a c z ą ć go pojmować, nie można się od młodego erudyta spodziewać wyczerpującego utworu ani zdumiewającego głębokością. Ale z drugiéj strony, jeżeli prawdziwém jest zeznanie doświadczonego pedagoga, który twierdzi, że nie ma lepszego sposobu uczenia innych jak uczyć się wraz z nimi, nie będąc do przedmiotu wykładanego uprzednią pracą przygotowanym, to Symonds znajdował się właśnie w tém wyjątkowém położeniu. Postawiwszy sobie wcześnie za zadanie życia zbadanie epoki odrodzenia w Europie, ale przedewszystkiém we Włoszech, nie mógł znaleść lepszego do tego wstępu jak studyowanie Danta. Systematycznie zakreślił sobie plan i idziemy razem z nim naprzód za obrazem polityczno-państwowego rozczłonkowania Włoch, i rozumiemy, że wszystkie wyższe umysły, które nie zatraciły pojęcia o historycznéj ich roli, spragnione były Mesyasza, oswobodziciela, restauratora włoskiéj potęgi. Następnie autor wykazuje dlaczego Dante, po złożeniu wszelkich swych patryotycznych nadziei w cesarzu Henryku Luksemburczyku i po ich rozproszeniu się chroni się zrozpaczony w mury opactwa i pisze tam ową wzniosłą trylogię, którą zachwycony

świat nazwał w swéj wdzięczności Boską. Postawiony w historyczném środowisku i oświecony psychologicznym wizerunkiem poety, utwór średniowiecznego entuzyasty nabiéra odrazu przejrzystości i realizmu. Symonds pisze się na zdanie swego ziomka Shelley'a, że ludzkość europejska — bo o indyjskich epopeach zapominać się nie ma prawa — miała dotąd jedynie trzy epopee: epopeę przedhistorycznéj Hellady Homera, epopeę średniowiecznego chrześciaństwa, Dantego i epopę zreformowanego, nowego—Miltona. Jedynie wielkie, a równie doniosłe przewroty wśród ludzkości byłyby w stanie stworzyć nowego epika.

Daléj i głębiéj sięgnął autor w dzieje rozwoju historycznego poezyi, poświęcając dwa grube tomy „Studyom nad poetami Grecyi.“ Nie jestto systematyczna, chronologicznie napisana historya poezyi u Greków starożytnych, ale wszystkie jéj epoki i wszystkie wydatne, przewodniczące osobistości twórcze w téj dziedzinie weszły w skład jego badań. Dzieło to jest uznane od lat kilkunastu za klasyczne w Anglii i na reputacyę swoją zasłużyło całkowicie. Chociaż, dzięki metodzie wykładów w wyższych szkołach i uniwersytetach angielskich, gruntowna znajomość literatury greckiéj jest tam daleko częstszą, niż na stałym lądzie, i chociaż, dzięki przywiązaniu społeczeństwa angielskiego do tradycyi, ten stan rzeczy utrzyma się tam dłużéj, to mimo tego zaprzeczyć się nie da, że i tam już są widoczne oznaki słabnącego interesu dla starogreckiéj muzy. Sam na mléku czystego klasycyzmu wykształcony, Symonds przedsięwziął, jak powiada w przedmowie, zbliżyć greckich poetów do współczasnego świata i w tym celu zastosował do ich oceny metodę jakiéj krytyka naukowa używa do studyów nad nowoczesnemi utworami. Istotnie, celu swego dopiął; nie są już poeci Hellady, gdy się z nimi przy jego pomocy bliższą zabrało znajomość, abstrakcyami nieuchwytnemi, ale jako ludzie z krwi i ciała pomiędzy nas zstępują. Nie ma wątpienia, że zamiast uwielbiać ich platonicznie *in verba magistri*, a nie czytać ich, jak się to powszechnie dzieje, daleko użyteczniejsza jest ta metoda życiowa, którą się on posługuje. Empedokles i gnomicy, satyrycy, lirycy i Pindar, tragedya w swych kilku stadyach, komedya z Arystofanesem na czele, idyliści i Teokryt przesuwają się przed zawsze zainteresowanym czytelnikiem. W drugim tomie autor specyalnie zajmuje się Homerową epopeą, Hezyodem, Eschylesem, Sofoklesem i różnemi pobocznemi kwestyami i zagadnieniami, odnoszącemi się do mytologii, do sztuki i do cywilizacyi greckiéj. Nie można się dziwić, że studya te w téj ostatecznéj formie, jaką posiadają, są owocem dziesięcioletniéj pracy. Autor powracał od czasu do

czasu do tego wiecznie świeżego źródła i jeżeli powiedziano o nim słusznie, że zawsze było widocznem, iż go dotknęła ta czarodziejska Italia swoją rószczką, to i o starszéj jéj siostrze, Helladzie, da się powiedziéć to samo. W każdym drobiazgu, co z pod pióra jego wyszedł, okazuje się to długie i poufałe obcowanie w wyborowém towarzystwie rodziców cywilizacyi świata nowoczesnego. Gdy mu potém mówić przychodziło z niezrównanym zapałem o odrodzeniu klasycyzmu w złotéj epoce renesansu, to można było widziéć, że nie powtarza oklepanek, ale że sam był przejęty znaczeniem tego wpływu na modłę ludzkości, do życia umysłowego wskrzeszonéj.

Prace krytyczne nad piśmiennictwem krajowém stanowią drugą grupę jego studyów poetyckich. Ześrodkowują się one na wieku Elżbiety i obejmują wydania dzieł dramatycznych Johna Webstera, Cyryla Tourneur'a, Tomasza Heywood'a i Krzysztofa Marlowe'a, poprzedzone wstępnemi uwagami i komentarzami. Większa część tych studyów została po upływie lat dwudziestu na nowo podjętą przez autora, przejrzana, przerobiona i weszła jako składowa część do pięknego systematycznego dzieła, noszącego tytuł „Poprzednicy Shakespeare'a w dramacie angielskim.“ Nie trzeba zapominać, że w roku 1862-im, gdy się te studya w swym pierwotnym ukazały kształcie, nie była jeszcze wyszła „Historya dramatycznéj literatury angielskiéj“ A. W. Warda, i że monograficzne prace Swinburna, Dowdena, Gossa i tylu innych nie były jasno postawiły przed publicznością głównych postaci teatru angielskiego w téj pamiętnéj epoce, obejmującéj drugą połowę XVI i pierwszą ćwierć XVII-go wieku. Gdy krytyczny zmysł Symonds'a wiódł go na mało znane wówczas szlaki, przemagała powszechnie ta apodyktyczna teorya Drydena, że Shakespeare wystrzelił z głowy Minerwy, że przed nim nie istniała scena, ale że on i on tylko stworzył całkowicie i samodzielnie teatr narodowy. Nie odejmuje to bynajmniéj wartości i znaczenia jego geniuszowi, gdy się udowodniło, że rzeczy miały się wręcz przeciwnie, że nie jest on bynajmniéj z nieba spadłym meteorytem, ale jedną tylko, najświetniejszą wprawdzie i wyjątkową gwiazdą, należącą do całościowego organizmu umysłowego swojéj epoki. Symonds zaczepiał wprawdzie o Szekspira ustawicznie i wykazuje dokładną jego znajomość, ale jest rzeczą zastanawiającą, że nie napisał o nim żadnego systematycznego studyum. Nie dowierzał widocznie siłom własnym, ażeby takiemu olbrzymowi sprostały i wiemy z prywatnéj jego korespondencyi, że chciał uwieńczyć swój zawód piśmienniczy, po długoletniém przygotowaniu, obrazem całkowitym jego twórczości. Śmierć zaskoczyła go wśród natłoku rozmaitych innych prac, a projekt ów wielki pozostał nieu-

rzeczywistnionym. Dzieło poświęcone poprzednikom Szekspira obejmuje całą ewolucyę, jaka odbyła się w owym peryodzie, ściśle zamkniętym w ośmiu dziesiątkach lat za Elżbiety i Jakóba. Najciekawsze dla badacza jest pierwsze jéj stadyum przygotowawcze. Ostatecznie kształtująca się narodowość, język wytwarzający się odpowiednio do zdumiewającego rozwoju życia społecznego, reforma purytańska i resztki scholastyki średniowiecznéj, spotykające się w arenie publicznéj, wszystkie te żywioły współdziałają do wytworzenia potężnego piśmiennictwa, wśród którego najbujniéj kwiat dramatu się rozwinął. Wielka postać Marlowe'a zamyka ten okres, ale dopiéro wtedy można jego dzieła zrozumiéć, gdy się przejdzie cały szereg sztuk, należących do cyklu mysteryów, morałów, fars i masek, jako pierwszych porywów niepewnéj jeszcze swych sił i szukającéj swéj drogi poezyi dramatycznéj. Przy gruntownéj znajomości włoskiego teatru Odrodzenia, Symonds jasno przedstawił wpływy jego, oraz styczne punkta, jakie łączą go z angielskim. Zaczątki historycznego dramatu i melodramatu romantycznego torują drogę nie dla Marlowe'a tylko, ale i dla Szekspira. Idąc w ślad za taką wielostronną działalnością teatru angielskiego w owéj epoce, rozumiéć nam łatwo, dlaczego współcześni nie wyróżniali wśród niéj Szekspira tak, jak to uczyniła potomność: dla nich był on tylko jednym z pośród wielu innych, kiedy dla nas w cieniu tego cedru inne rośliny zeszły do mikroskopijnych kształtów i rozmiarów. Nigdzie lepiéj nie można tego stanowiska zrozumiéć, jak czytając studyum Symonds'a o Tomaszu Heywood, którego Lamb nazwał trafnie Szekspirem przełożonym na prozę. Istotnie, posiada on wiele pierwszorzędnych zalet i brakowało mu tylko poetycznych skrzydeł, ażeby wzbić się w podobłoczne szlaki. Równe światło rzuca także inna praca Symonds'a, dopełniająca obrazu téj epoki, a któréj centralną figurą jest Ben Jonson. I on, tak samo jak Szekspir, zrodził się na gruncie przygotowanym przez Marlowe'a. Ben Jonson jest bez najmniejszéj wątpliwości najznakomitszym pisarzem teatralnym téj epoki po Szekspirze. Jak wiadomo, łączyły ich ściśle i poufałe stosunki, sam Szekspir grał w pierwszéj jego tragedyi „*Sejanus*", okazywał zawsze żywy interes dla jego rozmaitych sztuk, które pisane były dla jego trupy i dawane przez nią z powodzeniem. To encyklopedyczne wykształcenie, to światło o różnorodnych ogniskach, które w podziw wprawiać nie przestaje wszystkich, co się zagłębiają w Szekspira jest także niezaprzeczone u Ben Jonsona. Było ono nawet najgłówniejszą przyczyną, dla któréj popularnym nigdy nie mógł się stać u masy. A przecież silna budowa jego sztuk, ich realistyczne podstawy, ich humor pełen jędrno-

ści zapewniają, jeżeli nie wszystkim utworom tego płodnego pisarza, to przynajmniéj czterem jego komedyom. „*Volpone*“, „Alchemik“, „Milcząca niewiasta“ i „*Bartholemew Faw*“ miejsce pomiędzy arcydziełami teatru klasycznego w Anglii. Gdyby był posiadał wdzięk i gracyę obok téj energii Cyklopa, która go odznaczała, to byłby nietylko tym olbrzymim z przedpotowéj rasy, jak go trafnie Dryden określił, ale pisarzem, w którym każde z następnych pokoleń smakowaćby mogło. Symonds nigdy w swych studyach krytycznych nie traci trzeźwości sądu i nie popada w patetyczną przesadę. Oddaje on zasłużony hołd Ben Jonsonowi, ale wytyka mechaniczne, w jednym typie ulane postaci jego komedyi i inne jego usterki.

Do figur téj saméj epoki należy sir Filip Sidney, którego monografia przedziwnie skreślona została przez Symonds'a. Pisarz miał tu przed sobą zadanie nie łatwe. Współcześni uważali sir Filipa za istotę wyjątkową, za szczególnego ulubieńca losu, który dał mu wszystkie dary, jakie tylko mogą się śmiertelnikowi dostać w udziale: wielki ród, majątek, piękność greckiego półboga, talenta dyplomaty, generała, męża stanu, poety, filozofa i t. d. My, obecnie, nie znajdując się już pod tym urokiem, który na swoich współczesnych wywierał, nie możemy sobie o jego zasługach należytego wyrobić wyobrażenia. Nie należy zapominać, że Sidney był kandydatem dworu angielskiego na tron polski po ucieczce Henryka Walezyusza, przed elekcyą Stefana Batorego: a liczył wtedy 23 lat wieku! Ten jeden szczegół świadczy o stanowisku, jakie zajmował i uroku, jaki go otaczał. Ale gdy go sądzimy z niewielkiéj liczby jego piśmienniczych pozostałości, to ani ta słynna idylla „Arcadia“, ani „Astrofel i Stella“, ani sonety i liryki nie są w stanie usprawiedliwić wyjątkowego geniuszu, za jaki uchodził. Niepodobna jednak nie uznać tego szerokiego wykształcenia, téj różnorodności talentów, które go cechowały. Epoka, która takich ludzi wytwarzała, należy już w całém słowa tego znaczeniu do wysoko rozwiniętych umysłowo. Życie Filipa Sidney'a skończone na polu bitwy w kwiecie młodości, czyta się w pracy Symonds'a z wzrastającym interesem, który jest tém żywszy, że autor i tu także nie wznosi piedestału dla swego bohatéra. Co do nas osobiście przyznajemy, że życzylibyśmy sobie więcéj szczegółów, mianowicie co do epizodu, odnoszącego się do owéj kandytury na tron.

Pomiędzy studyami krytycznemi Symonds'a, odnoszącemi się do poetów, wymienić należy jeszcze dwa: monografie poświęcone Shelley'owi i Waltowi Whitman. Ani wielki poeta angielski pierwszéj ćwierci naszego stulecia, ani świeżo zmarły bard demokratyczny Stanów Zjednoczonych nie należą do tego ściślejszego koła umysłów,

wśród których przedewszystkiém obcować lubił, i nie można sobie inaczéj wytłómaczyć, że się szczegółowo nimi zajął, jak tym delikatnym zmysłem, który posiadał do ocenienia każdéj prawdziwéj wielkości, każdego istotnie oryginalnego pisarza. Monografia o Shelley'u należy do celniejszych prac krytycznych nad wielkim poetą i świadczy o tém już sam ten fakt, że wchodzi w skład klasycznego wydawnictwa Johna Morley: *English Men of letters*. A pisać o Shelleyu w Anglii aż do chwili obecnéj nie łatwo. Nie opowiedziawszy jego życiorysu, niepodobna dać klucza do jego humanitarnych, religijnych i filozoficznych pojęć, jeżeli się zaś wejdzie w szczegóły jego życia awanturniczego, obraża się *cant*, tak silnie zakorzeniony wśród społeczności angielskiéj, który potępia poetę i sprawiedliwości mu odmawia. Siedm dziesiątków lat upłynęło od chwili, gdy Byron na samotném morskiém wybrzeżu spalił zwłoki poety z morskiéj wyrzucone fali, a jeszcze przeciętna publiczność brytańska nie przebaczyła mu zuchwałości, z jaką zrzucił z siebie jarzmo towarzyskie, którém go gniotła. Umysł tak trzeźwy i tak szeroko wykształcony, jak Symonds'a, nie mógł o Shelley'u pisać inaczéj, jak z prawdziwą sympatyą. Nietylko że życie jego opowiedziane jest bezstronnie, z wyświeceniem psychicznych pobudek każdego ważniejszego kroku, ale cała sfera umysłowa poety scharakteryzowana jest w sposób nie zostawiający w cieniu żadnéj idei zasadniczéj. Wyświecając zasady, na których spoczywał rewolucyjny ateizm poety, krytyk obecny przypomina, że był on duchową odroślą rewolucyi francuskiéj, że te górnolotne deklamacye przeciwko przesądom, przywilejom, obskurantyzmowi, tyranii, które nas dzisiaj już rozentuzyazmować nie mogą, są po prostu idealistycznym, humanitarnym optymizmem gorącego, poetycznego temperamentu. Nie mamy prawa wymagać od niego, ażeby przemawiał w imieniu doktryny ewolucyjnéj, charakteryzującéj koniec stulecia. Chociaż żaden z braków i szczerb téj inteligencyi nie jest nam dzisiaj tajny, chociaż wiemy, że był często nieprzetrawiony, chaotyczny, z samym sobą w rozterce, mimo tego nie jesteśmy w stanie oprzéć się magnetyzmowi, który z natchnionych strof jego bije. Pomiędzy niezliczonemi komentarzami i krytycznemi pracami nad Shelleyem, i w oczekiwaniu ostatecznego o nim sądu, którego świat literacki wygląda od p. R. Garnett'a, monografia Symonds'a zawsze z korzyścią i z przyjemnością odczytywaną będzie.

Studyum nad Waltem Whitmanem wyszło z pod prasy jednocześnie z wiadomością o zgonie naszego autora. Piszący nie zna jeszcze téj pracy, ale niedawno czytał dawniejszą, pobieżną pracę Symonds'a w tymże przedmiocie, do którego on pod koniec życia powrócił i który

obszerniéj traktował. Widocznie leżało mu na sercu wyświecenie roli, jaką poeta odegra wśród demokratycznego kolosu. Wiadomo, że wielu z najgłębszych myślicieli, a między innymi Edmund Scherer, zrozpaczyli o poezyi przyszłości i nie znajdują dla niéj miejsca wśród świata takiego, jaki się przygotowuje. Symonds nie dzieli tego pesymizmu. On, wykarmiony na wyrafinowaném piśmiennictwie wysoce cywilizowanych społeczeństw, rozumié, że poezya przyszłości będzie odmienną i podziwia Walta Whitmana, formułującego w przybliżeniu choćby jéj *credo*. Ażeby poezya trysnęła z łona nowych społeczeństw, trzeba zbudzić wpierw w nich spirytualistyczny ideał, śpiącego jeszcze w nich boga, jak mówi Symonds. Przeszło już królestwo Ojca, królestwo Syna przechodzi, ale królestwo Ducha dopiéro się przygotowuje.

Brakuje nam miejsca do szczegółowego wzmiankowania o pracach Symondsa z działu podróżopisarstwa. Jest ich tomów kilka, pełnych ślicznych szkiców o Włoszech, Grecyi, o Niemczech, Szwajcaryi, Francyi, etc. Nie lubi on iść po wytkniętych gościńcach, ale chętnie zbacza w ustronia, gdzie go urok krajobrazów, albo dzieł sztuki zwabia. Czytając te pełne swobody i naturalności szkice z wycieczek i podróży czuje się wzrastającą sympatyą do autora, bo się natychmiast spostrzega, że chociaż z powołania pisarz, nie zacieśnił swego widnokręgu wśród zadrukowanéj bibuły i nie zobojętniał dla zagadnień życiowych. Człowiek i jego losy, wszechstronność jego rozwoju i postępów, oto co ma zawsze dlań pierwszorzędny interes i co serca jego podwaja tętno. Nic bardziéj charakterystycznego pod tym względem, jak opis jego zimowych przejażdżek po Szwajcaryi, długich rozmów po wiejskich gospodach z pocztylionami, wieśniakami, gimnastykami, rozmów przy szklance wina albo piwa, a przeplatanych czytaniem greckich poetów, lub téż nowoczesnych filozofów. *Nihil humani* etc., często przytaczany wiersz Terencyusza do nikogo lepiéj jak do niego zastosowany być nie może.

Dwie biografie, Benvenuta Cellini i Michała Anioła Buonarotti, stanowią poniekąd oddzielną grupę wśród pism Symonds'a; rozumié się, że przedsięwziął pierwszą niby jako wstęp do historyi włoskiéj epoki odrodzenia, a drugą jako jéj epilog. Pierwsza z tych prac nie jest oryginalną, ale tłómaczeniem z włoskiego autobiografii Benv. Celliniego. Nie będzie się nikt, kto ją zna, dziwił, że się wziął do jéj przełożenia na język angielski. Dość będzie przypomnieć, że Goethe przełożył ją na niemiecki a August Comte polecił, jako jeden z najznakomitszych utworów, służących do wykształcenia ludzkości. Pamiętniki tego genialnego *bravo*, popełniającego karygodne występki

z taką samą werwą, z jaką tworzył nieśmiertelne dzieła sztuki, oddawna uznane były za arcydzieło. Piśmiennictwo angielskie nie znało go aż do chwili, w któréj Symonds mu je przedstawił. Ale powodzenie było ogromne i trzy edycye wyczerpane zostały w ciągu pierwszych kilkunastu miesięcy.

Życie Michała Anioła jest jedną z ostatnich prac Symonds'a, bo nosi datę bieżącego roku. W dwóch grubych tomach, ozdobione wybornemi sztychami, jest ono pomnikiem, wzniesionym na cześć najwznioślejszego, najbardziéj uniwersalnego geniuszu, jakiego stworzył świat nowoczesny. Rzecz zastanowienia godna, że aż do chwili obecnéj nieledwie, wiele stron działalności Michała Anioła, pozostawało w półcieniu. Od trzydziestu lat dopiéro znamy jego poezye: Signor Cesare Guasti wydając je w druku zrewolucyonizował uprzednie pojęcia o artyście, którego świat znał jedynie z życiorysów jego współczesnych Condivi'ego i Vasari'ego. Nie straciły one wprawdzie znaczenia, ale wobec potrzeby jaką czujemy prac źródłowych, należało je uczynić dostępnemi dla badaczy. Mieściły się, jak wiadomém było, w lauretańskiéj bibliotece we Florencyi, archiwa rodziny Buonarottich, i gdy w r. 1875, z okazyi 400-go jubileuszu Michała Anioła, Milanesi wydał jego korespondencyę, stało się widoczném, że archiwa te umożebnią wniknięcie w istotę téj wyjątkowéj a potężnéj osobistości. Symonds otrzymał pierwszy upoważnienie od rządu włoskiego do zbadania wszystkich tych oryginalnych dokumentów, a korzystając z drugiéj strony z papiérów, jakie niedawno zakupione zostały przez British Museum, miał materyały dokładniejsze i obfitsze aniżeli jakikolwiek z jego poprzedników. Uwzględniając daléj tę okoliczność, że nikt od niego nie znał gruntowniéj i nie obracał się swobodniéj wpośród włoskiego świata téj epoki, że sam był po mistrzowsku przetłómaczył poezye bohatéra, wolno było oczekiwać dzieła pierwszorzędnego. Rzeczywistość odpowiedziała oczekiwaniu i chociaż zawcześnie jest jeszcze aby powiedzieć, że życie Michała Anioła będzie tak popularne jak było swojego czasu Benvenuta Cellini, to powodzenie tego rodzaju nie zadziwiłoby nas bynajmniéj. Sumienność tego życiorysu jest główną jego charakterystyką. Wszędzie, gdzie to tylko jest możliwe, autor wyraża się własnemi słowami swego bohatéra, i czujemy, że stoimy wraz z nim na silnym gruncie, wykluczającym fantazyę i paradoksalne wnioski. Naturalnie, autor jest pod wpływem tytanicznéj wielkości Michała Anioła i wszędzie heroiczny jego nastrój ducha podnosi. Znając gruntownie całą literaturę przedmiotu, wdaje się tylko ubocznie w polemikę z różnymi krytykami artystycznymi. Przedewszystkiém należałoby mu kruszyć kopie ze swymi rodakami.

Wielkość Michała Anioła została w Anglii przedstawioną przez bractwo pre-rafaelitów jako jednoznaczna z upadkiem sztuki, a szkoła estetów, wychodząc z téj saméj antypatyi, jaką do niego uczuwał król krytyki artystycznéj w Anglii — John Ruskin — szarpała od dawna, ale bezskutecznie, jego niespożytą twórczość. Łatwo pojąć, że autor nie uważał za potrzebne wchodzić w drobiazgową polemikę z tego rodzaju zapaśnikami. Wystarczyło mu być obiektywnym opowiadaczem a apoteoza złożyła się sama przez się.

Jak powiedzianém już było, *opus magnum* Add. Symonds'a, dziełem, którém chciał się przekazać piśmiennictwu, miała być historya odrodzenia we Włoszech. Dobrze było, że się tylko na tym kraju ograniczył, bo inaczéj zadaniu sprostaćby nie było łatwo. Nic lepiéj o tém nie przekonywa jak studyum o odrodzeniu nowoczesnéj Europy, które uważać można za wstęp do tego wielkiego dzieła. Odczytawszy uważnie to niewielkie rozmiarami studyum, znajdzie się w niém wszystkie zasadnicze myśli i poglądy autora, zsyntezowane w sposób nadzwyczaj szczęśliwy. Nie ogranicza on epoki odrodzenia do odrodzenia sztuk pięknych, do odnalezienia rękopisów, do reformy religijnéj, do postępów jurysprudencyi, do teoryi naukowych Kopernika, Vesalius'a i innych, do odkrycia nowych światów, do upadku feudalizmu, wszechwładzy papiestwa a wytworzenia wielkich mocarstw. Każdy z tych faktów to ważny i pierwszorzędny, ale tylko jeden z czynników téj potężnéj ewolucyi, która naraz otworzyła przed człowieczeństwem nowe perspektywy. Intelektualny pierwiastek zbudził się wśród świata i nie dał mu od téj chwili zdrzémnąć się ani jednéj sekundy. Człowiek się odrodził wtedy cały, bo nie tylko duch jego się wyswobodził ale zrehabilitowano także jego ciało, puszczone w pogardę przez anachoretyzm kościoła, otrzymało ono znowu równouprawnienie zniweczone upadkiem poganizmu. Renesans, to w oczach Symonds'a ostateczna emancypacya człowieka. Piękność, prawda, wiedza, swoboda, zatknęły wówczas zwycięski proporzec na gruzach zdruzgotanego niepowrotnie Kościoła, przywilejów, tyranii, scholastycyzmu. Kartezyusz, Bacon, Spinoza, Leibnitz, Locke: to wielcy synowie Renesansu a nietylko Luter albo Kalwin. *Litterae Humaniores* będą od téj chwili wyrazem ducha ludzkości, losów swoich i swego zadania świadoméj. Jest oddawna stwierdzoném, że każdy z historyków, co się w epokę tę zagłębi, zostaje jéj czarem olśniony i otumaniony. I Symonds temu wpływowi uległ.

Wielka historya odrodzenia we Włoszech, napisana przez Symonds'a, liczy siedm grubych tomów. Jestto rodzaj enkcyklopedyi, obejmującéj wszystkie zagadnienia, wszystkie strony tego rozga-

łęzionego i skomplikowanego organizmu. Główny zarzut jaki temu dziełu uczynić można, jest właśnie jego encyklopedyczny charakter. Żadna z traktowanych kwestyi, artystyczna, naukowa, literacka, kościelna i t. d., nie wyczerpuje przedmiotu. Specyalista chce o nich wiedzieć więcéj, wejść w ich naturę głębiéj; dla pobieżnego zaś czytelnika jest szczegółów nieraz zanadto. Jedyném dziełem, z którém pracę Symonds'a porównać można, jest klasyczny utwór Jakóba Burckhardta *Cultur der Renaissanse in Italien*, jako odnoszącém się do artystycznéj jego strony. Ale pisarz angielski daleko obszerniejszy krąg sobie zakreślił i jak czytelnicy już wiedzą, mamy w obrazie rozwoju Włoch téj epoki klucz do wszechrozwoju całego ucywilizowanego świata. Takie rozdziały, jak poświęcone w pierwszéj części Macchiavelemu albo Savonaroli, w drugiéj przedziwny szkic czterech okresów, jakie przeszedł humanizm włoski, wystarczyłyby już same do zapewnienia téj pracy trwałéj wartości. Część poświęcona specyalnie rozwojowi sztuk pięknych nie przedstawia naturalnie nic bezwzględnie nowego dla tych, którzy gruntownie przedmiot ten znają, ale nieraz piszący miał sposobność posłyszéć z ust znakomitych luminarzy sztuki, że się do studyów i sądu Symonds'a uciekać lubią w razach wątpliwych; rozdział poświęcony budownictwu włoskiemu używa reputacyi niezatartéj żadną z prac późniejszych. Reakcya kościelna — koncylium trydenckie, — Towarzystwo Jezuitów stanowią tło historyczne do obrazu heroicznéj poezyi Tassa, naukowéj działalności Giordana Bruno i Fra Paolo Sarpi. Wymieniliśmy poprostu niektóre z rozdziałów na jakie się to dzieło rozpada. Nie przyzuajemy sobie prawa do wydania o niém sądu. Ale nie wątpimy, że dla każdego wykształconego czytelnika autor przygotował tutaj pole do płodnego żniwa, że się od niego wiele nowego nauczyć, wiele dawnego przypomnieć można, i że całość epoki i narodu pochwycona jest przez myśliciela, mającego zawsze na swe usługi formę wykwintnéj piękności i takiéj harmonii, że rusztowania naukowego często nawet dopatrzéć nie można. Będąc uczonym jak Niemiec, napisał tę historyę jak Francuz.

Długa ta przechadzka około rozmaitych prac Ad. Symonds'a dała już czytelnikowi wyobrażenie o intelektualném jego znaczeniu. Ale dla tych, którzyby pragnęli zdać sobie sprawę z filozoficznych, religijnych, estetycznych przekonań i doktryn tego pisarza, najlepszém, informacyjném źródłem będzie zbiór jego essayów [1]). Autor

---

[1]) Essays, speculative and suggestive, 2 tomy, 1890. Chapman.

nazwał je essayami spekulatywnemi i poddawczemi (*suggestive*) i tytuł odpowiada dokładnie treści. We wstępie przypomina, że żyjąc w odosobnieniu od lat kilkunastu i odcięty od zewnętrznego świata przez siedm miesięcy w ciągu każdego roku, miał do rozmyślania i kontemplacyi czasu nie mało, ale *ipso facto* prąd jego idei może nie zawsze znajdować się w harmonii z nastrojem przemagającym wśród jego pobratymców narodowych. Co do tego punktu, prawdopodobnie się myli. Znaczenie jego literackie polega właśnie na tém, że uosabia lepiéj niż jakikolwiek inny pisarz angielski — z wyjątkiem chyba Matthew Arnold'a — stan umysłowości najwykształceńszych. W pismach jego odzwierciadla się cała potęga wpływu i oddziaływania świata poza angielskiego za narodowy geniusz angielski. Jeżeli stara Anglia purytańska, tradyconalna, sama w sobie zamknięta, coraz szerzéj otwiéra swe podwoje dla postronnych, dawniéj niedostępnych dla siebie pierwiastków, i w nowéj, duchowéj szacie staje u progu nowego stulecia, to jest to zasługą czy winą, pisarzy jak Symonds. Krytyka pod jego piórem stała się, jak to uważał za konieczne w obecnym stanie oświaty, nie dogmatyczną, nie akademicką, ale ściśle i wyłącznie historyczno-porównawczą i zatrzymywała się jedynie wobec starych stosunków. Nie wielu pisarzy i publicystów angielskich posiada tak wielostronne wykształcenie jak Symonds, nie wielu jest tak niestrudzenie pracowitych, a nie ma prawdopodobnie ani jednego, któryby posiadał tak piękną, kryształowo czystą, pełną prostoty formę językowo-stylistyczną. Ale żywotność i znaczenie piśmiennictwa angielskiego pokazuje się właśnie w tém, że pisarz tak zasłużony, nie wystrzelił samotnie po nad zastęp duchów pokrewnych i że rozpatrując się w jego utworach, poznajamiamy się ze sferą umysłową panującą wśród współczesnego świata brytańskiego.

Nie będziemy mogli lepiéj tego przeglądu jego piśmienniczéj działalności zakończyć, jak streszczeniem jego essayu o filozofii ewolucyjnéj. Można śmiało powiedziéć, że sformułowane w nim doktryny są wyrazem dominujących idei wśród kół postępowych angielskich.

Rozwój umysłowy trzech ostatnich stuleci w logicznym swym przebiegu doprowadził do tryumfu doktryny ewolucyjnéj. Jeżeli, jak sprawiedliwie zauważył Symonds, zasadniczym jéj rysem jest wykluczenie wszelkiéj końcowości (*finality*), a ciągłe umożebnienie przeistoczeń i przekształceń, to nie można zamknąć oczu na niepogadzalność doktryny ewolucyi z wszelką ideą religii, takiéj przynajmniéj, jaka dotąd stanowiła część duchowego zasobu ludzkości, i będącéj samą w sobie skończonym, doskonałym organizmem. Nie ma wątpienia, rozwój pojęć kosmologicznych wpływał na całokształt religii, tak, jak

mytologia grecka była w harmonii z pojęciami o fizycznéj naturze świata, tak samo chrześcianizm opiérał się na systemacie astronomicznym Ptolemeusza. Cios stanowczy, niepowetowany, zadany został całéj scholastycznéj teologiii przez Kopernika. Rok 1543 musi być uważany jako data największéj rewolucyi duchowéj, dokonanéj wśród świata. Wraz z ruiną pojęcia o stosunku ziemi do słońca musiały runąć raz na zawsze pretensye mieszkańców téj maluczkiéj, mikroskopijnéj ziemi do jakiejkolwiek, wyjątkowéj roli wśród świata. Nierozerwalna zależność jednych zjawisk od drugich, jednych praw od drugich, wykluczająca wszelką interwencyę sił i czynników nadprzyrodzonych, stała się elementarnym pewnikiem i jeżeli dziwić się można, iż tyle czasu upłynęło od Kopernika bez wyciągania z jego odkrycia praktycznych następstw dla człowieczeństwa jako etycznego organizmu, to sama powolność téj ewolucyi świadczy o istnieniu niewykorzenioném wśród ludzkości spirytualistycznego pierwiastku. Nie szuka go się już obecnie w owym fantastycznym zaświecie, jak tego wymagał dogmatyzm religijny, ale w obrębie, w zakresie samego naszego świata. Duch manifestować się musi w każdém zjawisku przyrody, a przyroda jest nim przesiąkniętą. Samowiedza duchowa istnieje w każdéj komórce organicznéj, a porządek, jaki się ujawnia wśród świata, prawa jakiemi jest rządzony, oto jednoznacznik owego pojęcia Boga, któremu hołdowano wprzódy. Czy takie wyłuszczenie doktryny ewolucyjnéj będzie powszechnie przyjętém, wątpimy. Jedni uczynią jéj zarzut, iż jest poprostu panteizmem w zmienionéj szacie, drudzy, że bez najmniejszéj potrzeby zaczepia pojęcie Boga, które zostawioném być może na uboczu. Wpośród angielskich myślicieli, doktryna ewolucyjna nawet najgorliwiéj wyznawana, nie prowadzi aż do ostatecznych swych logicznych wyników: z praktycznych zapewne względów zatrzymują się oni, jak Symonds, w pół drogi.

Ale autor nasz zdaje sobie sprawę, że dotąd nie wyciągnięto z doktryny ewolucyjnéj wszystkich wyników spoczywających w jéj jądrze. Nie dość jest wprowadzić zasadę kosmicznéj jedności i rozwoju świata podług organicznego planu do geologii jak to czynił sir Karol Lyel, do biologii jak to uczynił Darwin, do socyologii jak to jeżeli nie uczynił to przynajmniéj uczynić usiłuje Herbert Spencer; można i należy zastosować metodę tę do dziedziny i do objawów sztuki i literatury. Wychodząc z téj saméj zasady, że zarodek pierwiastkowy po wydaniu z siebie całokształtu wyczerpuje się i zużywa niepowrotnie, należy badać zjawiska świata intelektualnego, nie tracąc wszelako z uwagi różnicy, zachodzącéj pomiędzy objawami fizycznego a czysto umysłowego świata. Autor ów przywykłszy do traktowania

wszystkich zagadnień podług metody historycznéj, nie biedzi się w znalezieniu przekonywających przykładów. Narodziny, rozwój i upadek tragedyi greckiéj, malarstwa włoskiego albo teatru angielskiego w epoce Elżbiety, nastręczają mu się natychmiast. Szczególniéj dramatyczny jest przekład tego ostatniego. Dzieciństwo teatru angielskiego w mysterysch, ustalenie typu u Marlowa, zenit u Shakespeara, przejrzałość u Beaumont'a i Fletchera, upadek i wyjałowienie ostateczne u Davenant'a, nie będą zapewne podawane przez nikogo w wątpliwość. Możnaby z tego przykładu wysnuć nawet wnioski daleko smutniejsze dla przyszłości teatru angielskiego, aniżeliby się na to patryotyzm Symonds'a chciał zapewne zgodzić. Ale jest to kwestya podrzędna, którą można pominąć. Daleko ważniejszém zdaje się nowe zastrzeżenie, że to wprowadzenie do krytyki literackiéj i artystycznéj zasady ewolucyi nie daje nam najmniejszéj wskazówki co do dalszych faz rozwojowych i przypadłości, jakich umysłowa twórczość oczekiwać musi. Taka sama nieprzejrzana zasłona kryje nam dzień jutrzejszy jak dawniéj. Ci, którym hypoteza zaświatowa wystarczała do szczęścia albo przynajmniéj do spokoju, spostrzegą natychmiast to, czego ich doktryna ewolucyi pozbawiła, ale nie będą wstanie ocenić praktycznych jéj korzyści.

Są pomiędzy esayami zawartemi w tym zbiorze inne jeszcze wielce ciekawe. Zaliczamy do nich przedewszystkiém te, które traktują o stosunku wiedzy do moralności, o realiźmie i idealiźmie, o stylu, etc. W pracy, jaką zamierzamy poświęcić estetykom angielskim współczesnym, tę stronę twórczości Symonds'a podnieść będziemy mieli sposobność.

Dr. M. E. Trepka.





NIZINY.

(OBRAZEK).

I.

Widać rolę szarawą,
Oziminy na prawo,
A przedemną wieś;
Hen, po za wsią sinieje
Las, a może i knieje,
Niknąc w dali gdzieś.

Podziolone miedzami
Zboże idzie pasami, —
Ginąc, idzie w dół;
A tam może dotyka
Jakiéj łąki, strumyka,
Może kopców czół.

Pasy z sobą się żenią.
Tu pszenica zielenią
Barwi płową toń, —
Piersi zdobią jéj kwiatki —
Kąkol, groszek, bławatki
I roznoszą woń.

Obok żyto ją mami,
Zwija, gnie się falami,
Pragnie podać dłoń, —

Gnie, potrąca, a śmieje,
Pas za pasem szaleje,
Drga puszysta skroń.

Ona żyta się lęka,
Drży, jak młoda panienka
Na swawoli wiew;
Ono pędzi, dogania,
W namiętności się słania —
Płynie szału śpiéw.

A wiatr wieje w podmuchy
I rwie pyłu okruchy —
Rwie w objęciach fal;
Płyną pyłu tumany
Poza lasy, za łany —
Płyną kędyś w dal.

II.

A z oddali co chwila
Ten szał dziki umila
Cichy, rzewny dźwięk;
Wiatr go niesie falami —
Zadrga mocniéj czasami,
To przechodzi w jęk.

I rozléwa się granie
Po szerokim, po łanie,
A w powietrzu drga; —
Czyżby grała fujarka? —
Ot, i widać owczarka —
Na fujarce gra.

To wysyła w dal strugi
Gry szerokiéj a długiéj,
Jak ten cały łan;
To pieśń rzuca wokoło
Urywaną, wesołą
On — swéj pieśni pan.

I popłyną mu dźwięki
Raźno-skocznéj piosenki
Śród wietrzanych fal;
Aż się ozwie gdzieś echo
Pod wioskową pod strzechą
I popłynie w dal.

Znów rwie pieśni ogniwa,
Tony nowe dobywa —
Niby żale śle;
I te z pyłu lawiną
W dal nieznaną popłyną —
Wiatr poniesie je.

III.

I rozlega się wciąż granie
Po szerokim, szarym łanie,
Niby szumy drzew;
A znikając gdzieś bez końca,
Może w górę mknie do słońca
Ten przeciągły śpiéw.

Szczelnie zbiwszy się, gromadą
Téj gry słucha owiec stado,
Opuściwszy łby;
Rozszalała ozimina,
I łopucha i bylina
Słucha rzewnéj gry.

Ponad szerokiemi łany
Wiatr przystanął, zasłuchany,
W sam południa czas;
Na wysokim na lazurze
Gry téj słucha słońce w górze,
Piekąc wszystkich nas.

A na polu zcichła praca —
Do wsi chmara ludzi wraca
Od pługów i bron;

I przysłania ich bladawa,
Wzbijająca się kurzawa
Z obu drogi stron.

Nikną konie i rataje,
A na drodze pozostaje
Znikająca mgła,
I podbija się do słońca
Ta mgła pyłu znikająca,
Jak fujarki gra.

Piosnkę nową już zaczyna
Zasmolony ten chłopczyna,
Patrząc w stronę wsi;
Piosnka płynie w dal powoli
Po rozgrzanéj szaréj roli
I w powietrzu drży.

Nagle zmienia ton piosenki —
Wydobywa skoczne dźwięki,
Ile starczy tchu,
Bo odewsi z po za krzyża
Z dwojaczkami ktoś się zbliża,
Niosąc obiad mu.

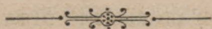
Wacław Raczyński.





Rose+Croix.

(Kartka z najnowszych dziejów mistycyzmu).



Paryż w Maju.

Przed kilkunastu dniami odebrałem list szczególnego rodzaju. Na wielkiéj kopercie, żółtego koloru, niebieskim drukiem wyciśnięty był symbol św. Ducha i napis:

Ordre de la Rose + Croix, du Temple & du Graal.

Koperta zawiérała zaproszenie do zwiedzenia salonu (wystawy) zakonu Rose + Croix i teatru zakonnego, w którym wystawioną będzie czteroaktowa tragedya „Babylone“ — pióra Sar Peladana, wielkiego mistrza zakonu.

Zawiadomienie to odbiło się echem w pewnych komórkach mózgu mego. Przypomiałem sobie, że przed kilku laty, wpadła mi w ręce powieść Sar Peladana p. t. „*Le vice suprême*,“ frapująca z jednéj strony niezwykłym talentem pisarskim, z drugiéj mistycznym kierunkiem. Chętnie tedy użyłem sposobności nadarzającéj się, by poznać oryginalną tę postać na własném jéj tle.

Salon zakonu Rose + Croix nie mieści się bynajmniej w jakimś zakątku Paryża. Jest to rzecz charakterystyczna dla dzisiejszych prądów w sztuce i literaturze francuskiéj, że grono mistyków, grupujących się około Sar Paladana, przedstawia prace swe światu w miejscu pryncypalném. Oddano im do dyspozycyi budynek centralny ostatniéj wystawy paryskiéj.

Na ścianach olbrzymiéj téj hali, rozmieszczone są obrazy olejne, akwarele, pastele i rysunki członków i zwolenników zakonu Rose + Croix. Z prawdziwą maestryą wprowadzają tu widza w świat mistycyzmu nowoczesnego, który wycisnął piętno swe na fizyognomii umysłowéj i artystycznéj Paryża, a którego przedstawicielem najbardziéj świadomym i konsekwentnym jest zakon Różo-krzyżowców.

Przypatrując się tym obrazom i rzeźbom artystów nieznanych prawie za granicami Francyi, ale pełnych talentu i polotu, przekonywujemy się, że dzisiejszy mistycyzm paryski, podobnie jak wszystkie formy dzisiejszéj produkcyi umysłowéj i moralnéj, nie jest czémś nowém całkowicie, lecz opiéra się na szerokiém podścielisku historyczném. Sprzęga on wszystkie pierwiastki mistycyzmu, jakie następowały kolejno w różnych cywilizacyach wschodnich i zachodnich. Wskrzesza postaci sławnych magów chaldejskich, docieka tajemnic kapłanów egipskich, nadaje postać uchwytną fantazyom gnostyków staro-chrześciańskich, rekonstruje Monsalwat i wprowadza widza do teatru wagnerowskiego w Beureuth, jako do jednéj z świątyń swych.

Salon Rose + Croix stanowi uroczystą uwerturę do tragedyi Sar Peladana. Bo oto w głębi sali widzimy teatr zaimprowizowany, w kształcie olbrzymiego namiotu płóciennego. Wstąpiwszy do wnętrza teatru, stajemy nieco zdziwieni: ciemność absolutna, słychać tylko szmer rozmów cichych, i czuć woń kadzidła, którą nasycono atmosferę jakby w kościele. Takiemi sposobami Sar Peladan nastraja publiczność, chcąc jéj wyłożyć doktrynę zakonu swego w formie dramatycznéj.

* * *

Babilon: gdy kurtynę odsłonięto, widać pyszną dekoracyę w stylu chaldejskim. Jestto platforma zamku królewskiego, na któréj spoczywa bohatér sztuki, Sar Merodak, ostatni król Babilonu. Bogowie orzekli, że Babilon zgubiony: Asyryjczycy gromią armie babilońskie i stanęli przed bramami miasta. Daremnie Merodak błaga bóstwa swe, daremnie im bluźni, daremnie wreszcie kruszy ich ołtarze, wzywając je, by go uśmierciły gromem, jeśli istnieją. Wówczas zjawia się Samsinna, młoda wieszczka, córka archimaga, i wykłada królowi naukę, która stanowi jądro magii chaldejskiéj: potęga ludzka mija, prawda tylko jest wieczną; nie zwycięscy chwała, lecz zwyciężonym; nadejdą czasy, w których nowa na świecie zapanuje sprawiedliwość, a imię jéj: przebaczanie i litość; czasy te nastaną, gdy gołąb sam podda się pazurom sępa, a baranek zębom wilka.

Merodak, ujęty tajemniczym urokiem téj nauki, a po części wdziękiem młodéj wieszczki, przestaje wierzyć w bóstwa ludu babilońskiego i poświęca się magii. Król asyryjski obala tron jego, pali zamek i bierze go w niewolę: lecz Merodak, zostawszy kapłanem-magiem, znosi z nadludzką cierpliwością upokorzenia te i znęcanie się zwycięscy, w myśl owéj nauki: gołąb sam podda się pazurom sępa...

Wówczas to stary mag, wypróbowawszy siłę moralną nowego adepta magii, zdejmuje z głowy mitrę i mianuje go następcą swym, sam gotując się do śmierci.

Merodak, odebrawszy namaszczenie, stał się doskonałym, świętym. Miłość wzajemna łączy go z Samsinną,—lecz ma to być miłość duchowa, nadziemska. Gdy młoda wieszczka. ulegając podszeptowi krwi wzburzonéj, rzuca się w objęcia Merodaka, mag ją odsuwa, mówiąc:

— *Je suis l'amant de verité!*

— *Et moi, la femme?* — zapytuje Samsinna.

Merodak odpowiada:

— *La femme? c'est le souris dans les pensées!*

Scenę tę miłosną przerywa zjawienie się starego maga, który w jasnowidzeniu przedśmiertném zwiastuje nadejście Zbawiciela. Ów gołąb, poddający się pazurom sępa, owo jagnię, poddające się zębom wilka, o których opiewała stara wyrocznia babilońska — to On, zbawiciel ludzkości, co zginie na krzyżu.

Kiedy archimag konający obwieszcza zdarzenia przyszłe Merodakowi i Samsinnie, zapadły cienie nocy. W tém nagle, jakby dla potwierdzenia słów maga, zjawia się w powietrzu płomienne widmo krzyża.

— Umiéraj spokojnie — szepcze Merodak, w którego ramionach kona archimag—wielkie misteryum chaldejskie ocalało!

* * *

Taką jest treść nowego utworu Sar Peladana. „Babylone", to po części poemat filozoficzny, pełen myśli w dźwięczną przybranych formę, po części dramat o silnych, lecz prawdziwie poetycznych efektach, Wielka scena, w której zwycięski król asyryjski znęca się nad Merodakiem, zmuszając go do pokłonu niewolniczego, a w królu-magu walczy duma despoty z pokorą kapłańską, napisana jest z siłą szekspirowską. Podobnie śmierć archimaga — scena ostatnia — potężne sprawia wrażenie. Cały utwór zaś podnosi znakomicie wyborna interpretacya aktorska i wystawa. Malarze zakonu Rose + Croix wykonali dla tragedyi mistrza swego dekoracye prawdziwie stylowe,

a zarazem nastrojone na ton mistyczny utworu. Aktorów zaś wybrał i wyuczył Sar Peladan z niezaprzeczonym talentem reżyserskim. Wytworzył on osobną jakąś, hieratyczną sztukę sceniczną: stroje, ruchy, dykcya, wszystko to tchnie powagą mistyczną, uroczystém pięknem, na którego dnie spoczywa tajemnica. Cokolwiek-by więc sądzono o kierunku Peladana, jako poety i o działalności zakonu jego, to jedno przyznać mu musi każdy, co widział „Babylone“, że to poeta z talentem prawdziwym, i że mistycyzm jako kategoryę estetyczną rozwinął wyżéj, aniżeli wszyscy mistycy poprzedni.

* * *

Sar Peladan nie dziękował publiczności za oklaski, mimo iż go wywoływano entuzyastycznie. „*Non nobis, non nobis, Domine, sed nominis Tui gloriae soli!* — oto jedno z haseł Rosae + Crucis. Nie ujrzałem go tedy w dniu przedstawienia; ale tém chętniéj przyjąłem propozycyę jednego z bliższych przyjaciół Peladana, by się zejść z mistrzem Rose + Croix dnia następnego.

Peladan naznaczył mi godzinę pierwszą po południu. Jestto pora śniadaniowa w Paryżu. Salon Rose + Croix był tedy zupełnie pustym. W otoczeniu fantastycznych obrazów, bronzów i marmurów oczekiwałem wielkiego maga paryskiego, zjawił się wreszcie, a wejrzenie jego było tak oryginalném i charakterystyczném, że muszę je opisać na tém miejscu. Peladan jest prześlicznym, ciemnym brunetem o wielkiém, aksamitném, rozmarzoném oku i czarnéj, jak węgiel, brodzie. Włosy, już nieco sywizną przyprószone, spadają mu na czoło i na policzki w nieładzie pięknym, lecz znać umyślnym. Miękki kapelusz o szerokich krésach, na bakier nasadzony, płaszcz fantastycznie udrapowany, podbity jedwabiem purpurowym, nadają mu wygląd portretu rubensowskiego. Lecz czarny jego strój atłasowy, i koronkowa na szyi chusteczka robią zeń kapłana, podobnie jak uroczyste ruchy w pierwszych chwilach rozmowy. Z tém wszystkiém pozostaje w sprzeczności—szpicruta, którą Peladan zlekka trzepie się po nodze, jakby wielki pan, który właśnie z siodła zeskoczył. Pozuje on więc równocześnie na kapłana-maga, na obraz renesansowy i na arystokratę-sportsmena, a przekonacie się niebawem, że wszystko to łączy się z jego doktryną i z zasadami zakonu Rose + Croix.

— *Seigneur* — rozpoczął Peladan, dla którego nie istnieje słowo „*monsieur*“ — zanim pana bliżéj zapoznam z własną mą działalnością literacką, chciałbym panu dać obraz dążeń naszego zakonu. Otóż idzie o odrodzenie idealizmu, o reakcyę przeciw materyalizmowi, któ-

ry pożera społeczeństwa dzisiejsze. Prawda oderwana, która jest identyczną z ideałem, rzadko się objawia rodowi ludzkiemu. Znali ją magowie chaldejscy, których naukę zrekonstruowałem, a po nich Esseńczycy, z pośród których wyszedł Chrystus. Tradycyę ich, ezoteryczną naukę Chrystusa, przechowywali gnostycy, którym Rzym odmówił miejsca w świątyni, by zapewnić spokój i szczęście tłumów. Stąd wyrodziła się sprzeczność między wiedzą i pięknością z jednéj strony, a wiarą z drugiéj; sprzeczność, któréj ofiarą padło tyle umysłów wielkich i serc szlachetnych.

Odradzając prawdę wiekuistą i ideał, podejmujemy naukę gnostyków. Dalecy jesteśmy od tego, byśmy my, magowie, korzyć się mieli przed kapłanem spowiednikiem, którego przewyższamy widnokręgiem umysłowym. Owszem, uzupełniamy działalność Kościoła w dziedzinach dla niego niedostępnych.

Na polu politycznem jesteśmy pokonani. Kościół jako taki, skompromitowany jest prowadzeniem się niektórych biskupów. Chcąc dziś odnowić potęgę ideału i wpływ chrześciaństwa, jedną tylko mamy drogę: sztukę. Natchnąć sztukę współczesną i całą kulturę estetyczną ideą teokratyczną, duchem idealizmu, oto cel nasz.

Rzecz jasna, że nie możemy stać na gruncie Kościoła prawowiernego. Pojmujemy chrześciaństwo jako religię ideału, jako religię piękności. Leonardo da Vinci jest dla nas większym świętym, aniżeli św. Franciszek z Asyżu, „Parsifal“ Wagnera jest dla nas utworem świętszym, aniżeli traktaty ojców kościoła, a „Passyę“ Bacha cenimy wyżéj, aniżeli przemowę Monsabrégo.

Gardzimy tłumem. Stróże najwyższych skarbów człowieczeństwa: prawdy i piękna, ideału przystępnego dla wybranych tylko istot, jesteśmy na wskroś arystokratami. *L'enthousiasme en face de la blague— des patriciens en face de la canaille!* Dla nas ludzkość rozpoczyna się od bohatéra i od księżnéj. Nie potrzebuję dodawać, że mówiąc o bohatérze, nie mam na myśli Mac-Mahona, a mówiąc o księżnéj, nie myślę o ks. Metternich. Bohatérem dla nas nie jest bandyta narodowy, lecz człowiek walczący o sprawiedliwość; a księżną zowiemy kobietę wykwintną z ciała i z ducha.

Nie uważamy się bynajmniéj za Francuzów. Jesteśmy ludźmi i czujemy się bliższymi owym Niemcom, którzy rozumieją „Parsifala“ i drugą część „Fausta“, aniżeli naszym szlifibrukom paryskim. Jednak sądzimy, że prawdę i ideał przechowywały dotychczas głównie ludy romańskie. Otóż rasa romańska ginie. Nie wiem, czy Francuzi istnieć będą jeszcze lat pięćdziesiąt. Wyczerpaliśmy się. Nastąpi wielka inwazya. Otóż należy nam o ile możności ucywilizować bar-

barzyńców, do których należy przyszłość. Należy ocalić ideały ludzkości, najgłębszą esencyę cywilizacyi. Trzeba, by romanizm konający przekazał następcom swym księgę, świątynię, miecz...

Teraz zrozumiesz pan organizacyę i działalność naszego zakonu i utwory moje. Zakon nasz różni się od wszystkich poprzednich dwiema zasadami głównemi. Zamiast zasady bierności, my stawiamy indywidualizm, zamiast ślepéj wiary w intelektualność. Bezpośrednim celem naszym jest połączenie wszystkich ludzi, wyższych ponad tłum, w wielkie bractwo intelektualne. Pragniemy zhieratyzować wszystko, co Kościół odrzuca, zestetyzować wszystko co świat oddaje na pastwę temperamentu i obyczaju; znieść miłość płciową i zastąpić ją pięknem oderwaném i rytuałem estetycznym; bo jądrem, treścią naszéj wiary jest piękność.

Zakon nasz składa się z trzech równorzędnych. Rose + Croix, to zakon poetów i artystów. Składają oni przysięgę, iż kochać będą piękno bardziéj, aniżeli siebie samych. Przyjmujemy ich takimi jakimi są: grzesznikami — lecz poetami, niewiernymi — lecz entuzyastami, bez cnót — lecz bogatymi w dzieła. Tworzą oni bractwo tych, co zbawieni będą przez sławę.

„Le Temple“ — to zakon tych wszystkich, którzy bronić chcą ideału w świecie, w jakimbykolwiek zawodzie pracowali. „Graal“ wreszcie, to bractwo wszystkich chrześcian prawowiernych i kapłanów Kościoła katolickiego.

Ad Rosam per crucem, ad crucem per Rosam! Oto hasło nasze. Ta rodzina idealna geniuszów, bohatérów i kapłanów-magów, przywróci światu polot i wzniosłość. Bronią naszą jest pióro, pędzel i dłuto, harfa i głos aktora. Rose + Croix co roku urządza *„une geste esthétique,“* by zapoznać świat ze sztuką chrześciańską i ze sztuką idealną wogóle. Uprawiamy Palestrinę i Wagnera, wznawiamy pamięć Balzaca i Delacroix'a, wreszcie urządzamy salon, tchnący naszym duchem i przedstawienia sceniczne głoszące naszą ewangelię.

Co do mnie, jako wielki mistrz zakonu, staram się w utworach mych ucieleśniać idee przewodnie *Rosae Crucis*. Lecz dzielę utwory te na dwie kategorye: na dydaktyczne i artystyczne. Dydaktycznym jest *„Amphitheatre des sciences mortes,“* restytucya magii chaldejskiéj, złożona z dwóch części: *„Comment on devient mage“* i *„Comment on devient fée“* — jest to etyka i ezotyka chaldejska. Głównem dziełem mém artystyczném jest cykl powieści *„La décadence latine.“* Rozpoczyna on się powieścią p. t. *„Le vice suprême“*, a kończy się powieścią p. t. *„La vertu suprême.“* Całość zaś jest *„une éthopée,“* kategoryą poetyczną przezemnie stworzoną. Napisałem též szereg dramatów,

które zowię „*Wagneries*,“ „*Le prince de Byzance*,“ „*Le fils étoiles*,“ „*Le mystère du Graal*,“ „*Le mystère de Rose + Croix*“—wreszcie „*Babylone*,“ którą wczoraj wystawiono.

* * *

Cały długi ten wywód wygłosił Sar Peladan niemal bez przerwy. Odrazu doznałem wrażenia, że to rzecz dobrze przygotowana i czekałem spokojnie, aż wielki mag wypowie wszystko co uważa za stosowne. Po ostatnich słowach Peladan machnął niedbale szpicrutą po powietrzu, zrzucił kapelusz i nastawił dziko ogromną, rozczochraną czuprynę. Fala kadzidła popłynęła ku mnie z tych włosów. Peladan używa osobnéj, hieratycznéj perfumy...

W rysach jego, bezsprzecznie pięknych i wydelikaconych, mieszała się namiętność i rozbujałość wschodnia ze sprytem francuskim. Patrząc na twarz tę, czułem, że człowiek ten nie jest wierzącym, że na dnie mistyczném jego dużo jest sceptyczność; że nie pisze utworów swych na chwałę zakonu Rose + Croix, lecz, że stworzył cały ten mistyczny aparat, by wypłynąć jako literat.

Miał przytém Sar Peladan w ruchach swych i w twarzy pewną zalotność, właściwą donżuanom, i ów specyalny rodzaj pewności siebie, który cechuje mężczyzn, mających powodzenie u kobiét. Mało to licowało z jego programem platonicznym...

— Zechciéj mnie objaśnić mistrzu — zagadnąłem go — czy pierwiastek chrześciański kościelno-religijny, który tak pilnie w programie Rose + Croix jest zaakcentowany, należy pojmować jako rzecz symboliczną, jako formę przystępną dla ogółu, czy w znaczeniu dosłownem? Czy jesteście w saméj rzeczy wierzącymi — wy, sceptyczni Francuzi, którzyście się w szkołach zapoznali z wiedzą nowoczesną?

Wielki mistrz spuścił oczy ku ziemi i odparł tonem zdradzającym, że mu to pytanie nie na rękę.

— Tak... tak... wierzymy... nie jesteśmy spirytystami — spirytyści, to kuglarze — ale my wierzymy w boskość i w cuda. Bo czémże jest cud? Skondensowana elektryczność. Posiada ją nikczemny drętwik — czemużby człowiek, prorok, mag, duch święty w ciele ludzkiém nie mógł uśmiercać lub wskrzeszać?

— A wasza pogarda dla miłości ziemskiéj — czy oznacza celibat istotny?

Uśmiech przeleciał przez uroczystą przed chwilą twarz maga i zatrzymał się na delikatnych, wibrujących jego nozdrzach.

— Ach nie... poprostu, jest to dla nas za niskiém, nie znajdujemy w tém przyjemności. Najwyższą rozkoszą jest piękno idealne, prawdziwe zadowolenie znaleść można tylko w sferze myśli. Kobiéta jest istotą ze wszech miar niższą, podrzędną. Nie jest to wogóle istota samoistna — kobiéta to refleks. My serce i umysł poświęcamy ideałowi — kobiécie to tylko, co w nas jest poza sercem i umysłem. Ale ma ona pewne znaczenie... kobiéta, to uosobienie piękna dla tych, co nie rozumieją piękności linii, to poezya dla tych, co nie umieją zgłębić wielkich utworów poezyi prawdziwéj...

Stwosz.





O pierwotnéj grzywnie menniczéj polskiéj

i o jéj podziale.



Prof. Małecki w cennéj swéj pracy „Grzywny karne w dawnéj Polsce i najdawniejsza nasza grzywna mennicza“ [1]) wyjaśnił, że pierwotna u nas grzywna była pięć razy mniejsza od grzywny używanéj przed 1300 r., t. j. peryodem groszowym; czyli że gdy grzywna epoki przedgroszowéj ważyła 155,85 gm., to grzywna pierwotna — 31,17 gm. i tę porównywa z uncyą, używaną niegdyś na Zachodzie. Następnie sądzi, że taka pierwotna grzywna dzieliła się na 24 pieniążki—skoty, więc każdy pieniążek powinien przecięciowo ważyć po 1,30 gm. i że reformę monetarną, podnoszącą pięciokrotnie wartość grzywny, przeprowadził Kazimierz I-szy około r. 1054, t. j. w tym czasie, kiedy zobowiązał się płacić Czechom haracz w kwocie 500 grzywien srebra i 30 złota za powrócony Szląsk, gdyż uncyami dla małéj ich wartości opłacać nie mógł. Wszystko to byłoby słusznem, gdyby do wywodu prof. Małeckiego nie wkradła się pomyłka co do wagi pieniążka przedhistorycznego, któremu przyznaje wagę 1,21 gm. Prof. Małecki pod nazwą pieniążka przedhistorycznego rozumie cienkie blachmany, które senator Stronczyński nazywa półbrakteatami [2]), gdyż innego pieniążka za przedhistoryczny uznać nie mógł; otóż do wagi tego okazu wkradła się omyłka, jedna bowiem odmiana takiego pieniążka bez krzyża waży przeciętnie 0,15 gm., a z krzyżem — 0,31 gm. i ta to różnica wagi zmienia o wiele i czas

---

[1]) „Biblioteka Warszawska“, 1893, kwiecień.

[2]) Stronczyński, „Dawne monety polskie“, t. II, typ 1—4.

przeprowadzenia reformy monetarnéj z 31,17 gm. na 155,85 gm., a także i sam podział grzywny.

Pięciokrotne powiększenie grzywny, według nas, mogło tylko nastąpić za Mieszka I, a waga grzywny pierwotnéj może się tylko odnosić do pieniązków tak zwanych przedhistorycznych, co postaramy się niżéj udowodnić.

Pierwotna grzywna polska ważyła 31,17 gm., a waga przedhistorycznego pieniążka bez krzyża dochodzi do 0,15 gm., t. j. że z oznaczonéj grzywny wybijano takich pieniążków 200 i te to pieniążki są właściwie przedhistoryczne; bito je przed wprowadzeniem wiary chrześciańskiéj. Takie same pieniążki z wizerunkiem krzyża mają przeciętną wagę 0,31 gm., a zatém z téj saméj grzywny musiano wybijać tylko 100 okazów [1]); trzeba je odnieść także do panowania Mieszka I, tylko że musiały być bite wkrótce po przyjęciu wiary chrześciańskiéj, jak to wskazuje krzyż na nich umieszczony. W obudwu razach widzimy, że grzywna dzieli się na sto części (ułamki wagi odrzucamy, gdyż moneta bita *al marca* nigdy nie może być matematycznie ścisłą co do wagi), z czego wynika, że podział pierwotnéj grzywny polskiéj był setny.

Idźmy daléj. Mieszko I-szy, przyjąwszy wiarę chrześciańską, wszedł w stosunki z dworem cesarskim, a tém samém zapewne i w ściślejsze stosunki handlowe z Niemcami; nieraz musiał dawać podarunki w przedmiotach i pieniądzach ludziom wpływowym na dworze cesarskim; widział on monetę niemiecką, która była cięższą od jego własnéj i dla ułatwienia stosunków na dworze cesarskim, a może być, że i handlowych, mógł rozkazać porównać wagę pieniążka polskiego z niemieckim. Niemiecki pieniążek od polskiego był cięższym pięć razy, więc dla zrównania waloru należało i polski o tyleż powiększyć; a ponieważ z grzywny 31,17 gm. bito 100 pieniążków, ważących przeciętnie każdy około 0,31 gm., więc i samą grzywnę należało powiększyć pięć razy, t. j. $31,17 \times 5 = 155,85$ gm., by otrzymać pieniążek ważący około 1,55 gm. Wątpimy, by Mieszko I przejął od Niemców cały systemat monetarny Karola W-go, chodziło mu bowiem tylko o ujednostajnienie dobroci monety polskiéj z monetą Zachodu, więc Mieszko powiększa grzywnę polską pięć razy, pozostawiwszy podział grzywny dawny, t. j. setny. I rzeczywiście, pieniążek Mieszka I-go waży 1,50 gm., a gdy uwzględnimy procent na zużycie i to, że mone-

---

[1]) Posiadam w mym zbiorze takiż pieniążek, który waży 0,13 gm., prawdopodobnie bity jako połówka zwykłego, albo w zastosowaniu do monetek bez krzyża.

ta była bitą *al marca*, to z takkiéj podwyższonéj grzywny, to jest z 155,85 gm. otrzymamy również 100 pieniążków; gdyż jeżelibyśmy nawet przyjęli podział grzywny o wadze 31,17 gm. na 24 pieniążki, jak tego chce p. Małecki, to i w takim razio grzywna utworzona z takich pieniążków, ważyłaby *brutto* 41 gm., a *netto* 38,44 gm., gdyż monetki bowiem Mieszka I są bite z XV próby srebra, co nawet bez uwzględnienia procentu na możliwe zużycie monety, wprost sprzeciwia się saméj wadze grzywny.

Wiemy z przykładów, że często przy zmianie systematu monetarnego, następnie moneta co do wagi, osobliwie zaś co do dobroci ziarna srebra stawała się gorszą. Przyczyną tego była chęć osiągania coraz większych zysków z bicia monety, albo téż konieczność zastosowania się do państw sąsiednich, które deprecyonując swą monetę, wyławiały u sąsiadów dobrą, zamieniając ją na monetę przez nich bitą o niższéj próbie srebra, t. j. wzbogacali się krzywdą sąsiadów, a tém samém przymuszali ich do zrównania i ujednostajnienia waloru monety w proporcyi do monety bitéj przez państwa sąsiednie. I w danym wypadku widzimy to samo. Po śmierci Mieszka Bolesław Chrobry bije również ciężkie pieniążki, lecz późniejsze, z napisem: REX BOLESLAVS już są cokolwiek lżejsze i wogóle moneta w tym okresie zaczyna się pogarszać.

Pieniążki tak zwane wendyjskie (prof. Przyborowski nazywa je krzyżówkami, dla zamieszczonych po obu stronach monety krzyżów, a p. Kostrzębski, znany numizmatyk warszawski—słowiańskiemi, bitemi u zachodnich Słowian) mają już niższą wagę, począwszy od 1,30 gm. spadają do 0,75 i próba srebra z XIV obniża się do VII-éj. Nie ulega wątpliwości, że większa ich część wyszła z mennic polskich. Nie mamy tu zamiaru pisania o nich wyczerpującéj rozprawy; zajęłaby nam ona za wiele miejsca i ostatecznie nie o te pieniążki chodzi tu głównie; zaznaczymy więc tylko, że były one bite w całéj zachodniéj Słowiańszczyźnie, a zatém i w Polsce, począwszy prawdopodobnie jeszcze od Mieszka II aż do połowy panowania Bolesława Śmiałego, t. j. mniéj więcéj przez 50 lat, jak tego dowodzą wykopaliska. Zjawia się tu samo przez się pytanie, czy można przypuszczać, aby w tak krótkim czasie nastąpiło tak wielkie zdeprecyowanie monety, równające się niemal połowie jéj wartości (ciężkie dochodzą do 1,30 gm. i te mają XIV próbę srebra, kiedy najlżejsze, ważące około 0,75 gm., dochodzą zaledwie XII-éj próby)? Przecież późniéj, od czasów Bolesława Krzywoustego potrzeba było całych stu lat, żeby moneta spadła o połowę swéj wartości! Poprobójmy tę kwestyę wyjaśnić: Kazimierz I-szy wychowany na zachodzie i nawskroś przejęty tą kultu-

rą, pierwszy mógł zmienić starodawny podział grzywny setny. Nie darmo nazywa się on Odnowicielem; zaprowadzał u siebie w kraju porządki widziane na Zachodzie, więc możebna, że razem z temi porządkami umyślił wprowadzić i podział grzywny na 24 części, z których mógł kazać wybijać 240 pieniążków, odpowiadających wagą i dobrocią wewnętrzną zagranicznym; a to têm łatwéj było mu uczynić, że zagranicą moneta spodlała, więc i w Polsce, obniżywszy jeszcze cokolwiek jéj wartość, z grzywny czystego srebra wagi 155,85 gm., otrzymano 240 pieniążków po 0,65 gm. czystego srebra; wagi grzywny nie naruszono przez to, a zastosowano się do Zachodu. Temu podziałowi odpowiadają monetki, ważące niżéj grama — aż do 0,75 gm.; jeżeli uwzględnimy zniżenie próby srebra, to i one będą stanowić $^1/_{240}$ część grzywny ważącéj 155,85 gm. Z tego wynika, że tak zwane monetki wendyjskie, ważące 1,30 gm. i zniżające się do 1 grama, a trzymające XIV próbę srebra, powinny być uważane jako bite jeszcze według podziału grzywny setnego [1]), a mające wagę niższą od grama i trzymające XII próbę srebra, powinny być zaliczone do monet bitych po przeprowadzeniu reformy monetarnéj na 240 denarów (pieniążków) z takiéj saméj grzywny. Jeżelibyśmy bowiem ten rodzaj monetek, ważących wyżéj grama uznali za bity po przeprowadzeniu reformy monetarnéj, toby one nie odpowiadały wadze grzywny monet czystego srebra, gdyż 240 pieniążków, ważących każdy po 1,30 gm., stanowiłoby *brutto* 312 gm., a uwzględniwszy XIV próbę srebra — *netto* 273 gm., a zatém byłyby cięższe od wagi saméj grzywny; tymczasem przy podziale setnym mają one *brutto* 130 gm., a *netto* 113,75 gm., co odpowiada grzywnie wagi 155,85 gm., przyjąwszy na uwagę stopniowe podlenie grzywny monety; przeciwnie zaś, monetki ważące około 0,75 gm., próby XII éj, znowu odpowiadają nowemu podziałowi grzywny na 240 denarów, rozumie się, z uwzględnieniem przypuszczalnéj mniéj więcéj wagi pieniążka, gdyż ważą one *brutto* 180 gm., a *netto*—135 gm.

Następcy Kazimierza I-go, aż do wprowadzenia systemu groszowego, t. j. do 1300-go roku, utrzymują tę samą wagę grzywny i tenże sam jéj podział, tylko moneta stopniowo pogarsza się coraz bardziéj i z grzywny coraz więcéj wybijają monetek.

---

1) Posiadam w mym zbiorze takie denary XIV próby, ważące 0,68, 0,72 i 0,42 gm., uważam je jako bite według systemu monetarnego setnego; w dwóch pierwszych widzę pół denary, a w ostatnim — ćwierć denara.

Tak więc, dzięki prof. Małeckiemu, który wykazał nam wagę grzywny polskiéj przedhistorycznéj, możemy obecnie twierdzić: że pierwotny podział naszéj grzywny, ważącéj 31,17 gm., był setny; że Mieszko I-szy powiększył wagę grzywny pięć razy, utrzymawszy ten sam podział setny; wreszcie zaś, że Kazimierz I-szy Odnowiciel, zaprowadzając porządki w kraju na wzór zachodnich, mógł tylko on pierwszy wprowadzić podział grzywny na 24 części, podział utrzymany nawet i w peryodzie groszowym pod nazwą *scotus* i z takiéj grzywny wybijać 240 denarów.

Wiktor Wittyg.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Maryan Gawalewicz.* **Perła**, obraz dramatyczny, wierszem, 1893, str. 35. — Z bogatego, wielce urozmaiconego życia ludzi w dobie renesansu włoskiego, wziął autor szczegół drobny, anegdotyczny, ale znamienny i zużytkował go umiejętnie w sposób dramatyczny. Portret Mony Lizy, malowany przez Leonarda da Vinci, a mianowicie zagadkowy uśmiéch na ustach téj pani, o któréj tak mało mamy wiadomości, nasunął mu pierwszą myśl do odtworzenia postaci wielkiego mistrza i odgadnienia zarazem, wśród jakiego-to momentu psychologicznego zawitał ów „sfinksowy“ uśmiéch na usta Mony. Wyobraził sobie, że miłość odgrywała tu jakąś rolę; ponieważ jednak biografia artysty nie podaje pod tym względem żadnych wyraźnych faktów, musiał się chwycić domysłu. Oto Leonardo, malując wizerunek Mony, pokochał ją, zaniedbawszy dawniejszą swą kochankę Margerytę; ale Mona jest ślicznym tylko posągiem, w którym drgnień żywszego uczucia nie ma. I jako człowiek i jako malarz Leonard stara się ten posąg ożywić, stara się wywołać w niéj jakieś głębsze wzruszenie. Zwyczajem swoim używa rozmaitych środków, „by choć na chwilę odsłoniła duszę“; chce się dowiedzieć, od jakiéj iskry ona płonie. Gdy kolega Rustici robi przypuszczenie, że w tym posągu pięknym może wcale nie ma duszy, Leonardo oburza się, powiada, że słowa takie znieważają piękno, że w takiém arcydziele bożém trudno, ażeby zabrakło ducha, bo pocóż-by Bóg „tyle swego natchnienia zmarnował w tém ciele.“ Jesteśmy właśnie na ostatniéj próbie dobadania się ducha w Monie Lizie. Podczas malowania ukryty na balkonie śpiewak z wtórem czterech głosów męskich wyśpiewuje pieśń na cześć piękności. Liza ani zadrgnęła, spytała tylko obojętnie, jak się zowie śpiewak, a potém chłodno pochwaliła jego piękny organ. Następnie

Leonardo wśród dźwięku muzyki ukazuje grupę muz dziewięciu, z pomiędzy których Erato z wieńcem laurowym i lutnią w ręku stoi na na przedzie. Wszyscy są w zachwycie. Leonardo zwraca się do Lizy z prośbą, by przemówiła do muz, bo „czar jest — powiada — w lubym dźwięku twojego głosu, co strojony w niebie.“ Mona od niechcenia spełnia życzenia mistrza, pytając muz, dla kogo wieniec przeznaczają, a one wszystkie razem harmonijnym mówią głosem: „dla ciebie!“ I ten hołd jednak obmyślany z takim smakiem i delikatnością przemija bez wielkiego wrażenia; Leonardo zauważył, że tylko blady jak księżyc uśmiech oświetlił lica Mony, a „jéj twarz spokojna jak wody zwierciadło, W którą gwiazd kilka cichą nocą spadło.“ I pyta sam siebie: „czyżby ta dusza była aż tak hardą, że się odezwać nie chce.“ A gdy Liza, widząc zamyślenie na czole mistrza, pyta to go o przyczynę. Leonardo wyznaje jéj swą miłość. Mona przyjmuje to wyznanie obojętnie, bez zdziwienia, mówiąc: „wiem o tém“. Obrazowo wyraża Leonardo swoje dla niéj uczucie, jako klejnot najdroższy, który nosi w sercu. Mona z radością dopytuje się o ten klejnot, a posłyszawszy, że to o miłości wciąż mowa, doznaje zawodu i daje to uczuć niemile tém dotkniętemu mistrzowi. Leonardo zwątpił, czy zdoła wydobyć duszę z tego posągu. Wyjawia się ona sama na widok pięknéj perły, którą ujrzała w pierścieniu Margeryty. Twarz Mony zapłonęła blaskiem zachwytu, na usta dotąd milczące lub zbywające rozmówcę blademi ogólnikami, spływają słów potoki, słów widocznie pochodzących z duszy, będących najlepszym wyrazem jéj wewnętrznego nastroju. A jéj uniesienie dochodzi szczytu, gdy Margeryta oddaje jéj tę cenną perłę w upominku. Leonarda opanowuje niesmak: „Ciało cheruba — powiada o Monie — a dusza motyla, co do świecideł i do blasków leci; ha!... wstyd mi teraz jest samego siebie! Dla marnéj perły taki zachwyt!... Boże, krzywdę aniołom uczyniłeś w niebie!“ Wówczas występuje zaniedbana kochanka Margeryta, która wyznaje Leonardowi, iż z zazdrości o jego miłość przygotowała dla Mony puhar z trucizną, który ta piękna wypiłaby, gdyby jéj uwagi nie była pochłonęła perła. Mistrz takiéj rozszalałéj miłości, co ohydną zbrodnią przemówić do niego chciała, podzielić nie może, gdyż miłość prawdziwa „jest jedném poświęceniem cała i jak niebianka, od ziemskich zmaz wolna, do bohaterstwa nie do zbrodni zdolna; w cierpieniu wzniosła, w męczarniach wytrwała, mścić się za krzywdy nie chce i nie umié, im wyższa — większych bywa cnót szafarką.“ Margeryta w uznaniu, że do takich szczytów w pojmowaniu miłości nie dosięgła, kochając i cierpiąc po ziemsku, nie waha się ani chwili i spełnia puhar przeznaczony dla

Lizy. Wzruszony do głębi tą szaloną, lecz zarazem i ofiarną miłością, Leonardo boleje nad domniemanym zgonem Margeryty, gdy przyjaciel jego Rustici objaśnia, iż, będąc przypuszczony do tajemnicy, przyprawiał puhar nieszkodliwie. Leonardo uszczęśliwiony, składając hołd piękności Lizy, serce oddaje Margerycie — swojéj perle. Obrazek kończy się zatém pogodnie, pomimo spiętrzonych dramatycznych kolizyi; nie ma on pretensyi do głębokości psychologicznéj, do odkrywania jakichś tajemnic duszy, ale środkami prostemi, utrzymanemi w szlachetnym tonie daje czytelnikowi chwilę marzenia swobodnego, przenosząc w świat piękna i artyzmu. Uwydatnienie pomyłek umysłów wielkich w wyborze przedmiotów uwielbienia, nie po raz pierwszy naturalnie pojawiające się w dziełach sztuki, nie jest jeszcze tak zużytym tematem, ażeby z niego nie można było wydobyć choć trochę świeżego powiewu przy stosownem traktowaniu i obrobieniu. Dokonał tego p. Gawalewicz; „Perła“ jego nie jest perłą jego dramatycznéj twórczości, ale zawsze do klejnocików należy.



NEKROLOGIA.

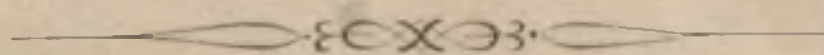
† **Michałowski Feliks Władysław,** urodzony w Lublinie około r. 1810, kształcił się w uniwersytecie warazawskim, następnie w Montpellier, gdzie w r. 1835 otrzymał stopień doktora medycyny po obronie rozprawy: „*De la parole.*“ Z późniejszych prac jego lekarskich wymienić należy: „*De quelques difficultés relatives aux théories actuelles de la circulation,*“ „*La beauté signe de santé. Conférence à l'hôtel de ville de St. Etienne*“ (1867). Zamieszkawszy w Bretanii i zaznajomiwszy się z językiem celtyckim, oddał się namiętnie filologii; a nie mając gruntownych w téj mierze podstaw, upatrzył szczególniejsze podobieństwo między językiem celtyckim a polskim i wywodził pierwszy z drugiego. Temu przedmiotowi poświęcone są prace następne: „*Unité et la confusion des langues*“ (St. Etienne, 1857, str. 202), „*Le Slave et le Breton*“ (tamże 1861), „*Note sur les plus anciennes langues de la France, lue au Congrès scientifique de France pendant la session de 1862 à St. Etienne*“ (1863), „*Origines celtiques*“ (tamże 1870), „*Vestiges dans les langues européennes des invasions orientales; lu au Congrès des Orientalistes à St. Etienne*“ (tamże 1876), „Mowa nasza i lud“ (Warszawa, 1881). Był członkiem wielu towarzystw naukowych we Francyi. Zmarł w połowie maja r. b. w Paryżu.

† **Walicki Aleksander,** urodził się w Wilnie 27 stycznia r, 1826, szkoły ukończył w Słucku, studya zaś uniwersyteckie na wydziale filozoficzno-historycznym w Charkowie; przebywał następnie to w mieście rodzinném, to w Nowogródku, Słucku, w Mińsku gubernialnym, gdzie założył księgarnię, w Spasku, w Tambowie, w Petersburgu, w Warszawie, gdzie od r. 1868 — 71 był administratorem i współpracownikiem „Kuryera Warszawskiego,“ w Krakowie, gdzie w drukarni Anczyca był korektorem, i wydał „Upominek zecerom od korektora“ (r. 1880), nareszcie w Nieświeżu, gdzie był kustoszem archiwum

Radziwiłowskiego. Miał pamięć wyborną, bystre pojęcie, znał bardzo wiele wybitnych osobistości, lubił i umiał opowiadać, gorliwie się zajmował literaturą i językiem polskim. Z początku pisywał korespondencye do gazet warszawskich pod pseudonimem Żelaźniaka, następnie pod pseudonimem Symforyana Pauzy, pisywał recenzye muzyczne w „Ruchu muzycznym," w „Wieńcu," oraz w dłuższych i krótszych artykułach dawał przyczynki do poznania znakomitszych postaci naszéj literatury pod pseudonimem Miściuka lub Chryzostoma Ładzica, mianowicie wielce się zajmował Mickiewiczem, szczególniéj w ostatnich latach zbiérał materyały do komentarza rzeczowego, jakim zamierzał opatrzyć „Pana Tadeusza." Osobno ogłosił: „Elementarz ścienny" (Mińsk, 1862), „Stanisław Moniuszko, z portretem i kartą nut" (Warszawa, 1876, str. 140), „Błędy nasze w mowie i piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincyonalizmy" (tamże, 1876; drugie wydanie w dwójnasób powiększone, str. XXV, 265, tamże r. 1879). Nie jest to suchy tylko wykaz, ale częstokroć bardzo żywa i dowcipna krytyka błędów językowych. Zmarł w Warszawie 1 czerwca r. b.

† **Dzierżanowski Kajetan**, urodzony około r. 1801, wykształcony w uniwersytecie warszawskim, był najprzód nauczycielem w Łomży i tu w akcie zakończenia roku szkolnego 1835/7 zamieścił rozprawkę p. t. „Główne różnice między postępowaniem cywilném francuskiém, pruskiém i austryjackiém" (druk. w Suwałkach, str. 20). Następnie obowiązki nauczycielkie pełnił w Pułtusku. Wreszcie zostawszy archiwistą w Płocku zasłynął jako znawca wyborny swego przedmiotu. Zmarł około 10 czerwca r. b.

† **Natalia z Czarnockich Bogowolska**, urodzona we wsi Jastrząb, gub. Suwalskiéj r. 1835, w dojrzałym wieku poświęciła się piśmiennictwu, była współpracowniczką „Bluszczu," przełożyła na język polski wiele powieści, występowała w teatrach amatorskich, w salonie jéj zbiérało się liczne grono inteligencyi. Zmarła w końcu maja r. b. w Warszawie.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*



